

Nowe odkrycie angielskiej literatury sensacyjnej

# LINDA DAVIES



Kulisy wielkich operacji bankowych

## GNIAZDO WĘŻY

  
WYWIKA

**Davies Linda**

**Gniazdo węży**

*Kobieta sukcesu i świetnie zarabiająca maklerka, Sarah Jenson otrzymuje delikatną misję. Ma przyjrzeć się operacjom finansowym w jednym z londyńskich banków podejrzewanym o pranie brudnych pieniędzy. Gdy odkrywa, że za nieczystymi interesami stoi włoska mafia, jest już za późno, by się wycofać...*

## Prolog

Ona jest doskonała. — Skąd ta pewność?

— Ma odpowiednią prezencję. Nikt nie będzie jej podejrzewał. Jest inteligentna, dyskretna i ambitna; takie wyzwanie na pewno ją zainteresuje. Jest idealistką: mogłaby złamać prawo, gdyby jej zdaniem miało to jakieś uzasadnienie. I pewnie nieźle by się przy tym bawiła.

Bartrop zaczął wykazywać zainteresowanie.

— A to dlaczego?

— Jest jakaś nieujarzmiona. Bartrop zmarszczył brwi.

— Nie sądzi pan, że to się może obrócić przeciwko nam? Niech pan nie zapomina, że nie stać nas na popełnienie żadnego błędu. Jeżeli cokolwiek z tego trafiłoby do gazet...

— Nie trafi — zapewnił Barrington. — Ona będzie po naszej stronie, a poza tym sprawdziłem ją. Potrafi zachować dyskrecję. Poplotkuje sobie, jak każda kobieta, ale nie o sprawach naprawdę ważnych.

— Zdaje się, że ona się panu podoba, prawda?

— Trudno, żeby było inaczej.

— Zdaje pan sobie sprawę, że to wszystko może się dla niej bardzo źle skończyć? Jeśli coś pójdzie źle, wszystkiego się wyprzemy.

— Nie sądzi pan, że powinienem ją o tym uprzedzić?

Powiesz jej tylko tyle, ile według mojego uznania powinna wiedzieć, pomyślał Bartrop.

— Proszę powiedzieć jej tylko, żeby nie dała się przyłapać, bo jeśli wpadnie, będzie musiała radzić sobie sama. Pytanie tylko, czy zgodzi się na taki układ? Nie chcę, żeby potem biegała z płaczem na policję — stwierdził.

Barrington zastanowił się chwilę.

— Da sobie radę.

— Tak czy inaczej, rozgłaszanie tych spraw nie byłoby w jej interesie — powoli i rozważnie dodał Bartrop.

Szef Wydziału do Spraw Narkotyków Wywiadu Wojskowego, zwanego MI 6 i Pierwszy Prezes Banku Anglii wymienili uśmiechy zadowolenia. Żaden z nich nie mógł wtedy przewidzieć, że kiedy Sara Jensen zrozumie, iż jest oszukiwana, zacznie działać zupełnie irracjonalnie; jeśli ktoś ją wyprowadzi w pole, jak Samson zburzy kolumny świątyni, aby dać się pogrzebać pod jej gruzami wraz ze swoimi wrogami.

## Rozdział 1

W wieku dwudziestu siedmiu lat Sara Jensen prowadziła życie z pozoru banalne, chociaż na wysokim poziomie. Była jednym z najlepszych maklerów na międzynarodowej giełdzie walutowej w londyńskim City. Mieszkała razem ze swoim bratem i chłopakiem w dużym domu w Chelsea. Była piękna. Miała urodę, miłość i pieniądze, ale dręczył ją jakiś lęk. Życie, które tak starannie zbudowała, opierało się na kruchych fundamentach. Bała się, że jej obecne szczęście może zniknąć podobnie, jak pewnego słonecznego popołudnia w Nowym Orleanie wraz ze śmiercią rodziców skończyło się jej dzieciństwo. W parę sekund. Brutalne zderzenie ludzkiego ciała ze stalą. Ten lęk nigdy nie opuszczał Sary. Wrył się głęboko, ukrył za półprawdami, wypieraniem się, samooszukiwaniem, i nigdy nie wypływał na wierzch, ale jego cień był widoczny we wszystkim, co robiła. W łatwości, z jaką podejmowała ryzyko, kiedy stawiała setki milionów funtów na giełdzie, w niewinnych, banalnych romansach, w potrzebie bezpieczeństwa, jaką teraz zaspokajał jej chłopak Eddie, w ulubionej whisky, we wspianym śmiechu i niezachwianej radości życia. Ta kruchość stawała się na swój sposób siłą Sary. Dawała jej bogate, ciekawe życie, a także doświadczenie ostateczności. I dopóki potrafiła utrzymać te sprzeczne elementy swojej osobowości w ryzach, nic jej nie groziło.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek coś podejrzewa, czy ktokolwiek wie, jaka jest naprawdę? Nie, nikt się nie domyślał. Dwoje ludzi, jej najbliżsi przyjaciele, Jacob i Mosami, być może widzieli jakiś cień, mroczny zarys, ale nigdy o tym nie wspominali i tylko z rzadka udawało im się przebić przez wizerunek, jaki Sara stworzyła dla świata.

Uśmiechnęła się i otrząsnęła z zamyślenia. Odwróciła twarz do maklerskiego monitora, podniosła słuchawkę telefonu i szybko dokonała przelewu, schodząc z pozycji. Zajęło jej to pół minuty, a przyniosło pół miliona funtów zysku.

Pieniądze płynęły przez linie telefoniczne, a informacja o ich pochodzeniu ginęła w labiryncie elektronicznych połączeń, które je przesyłały,

ukrywały i rozbijały na pliki banknotów, które można wycofać z lokaty bankowej, zdeponować gdzie indziej, zacierając ślad. Antonio Fieri niczym nie ryzykował. To dlatego udało mu się dotrzeć prawie na szczyt mafijnej hierarchii bez żadnych procesów, nie wspominając już o więzieniu.

Był pięćdziesięciosiedmioletnim niskim mężczyzną. Cała jego muskulatura ginęła w zwałach tłuszczu. Twarz miał prawie płaską, nie licząc kartoflanego nosa i zaskakująco wydatnych ust. Włosy mu się przerzedzały, a siwiznę pokrywał farbą przywracającą im czerń w czasie comiesięcznych wizyt u fryzjera. Jego oczka, małe, okrągłe, ciemnobrązowe, bez przerwy czujne, skrzyły się humorem i blaskiem, jaki człowiekowi daje satysfakcja z pracy.

Był głównym skarbnikiem mafii. Zajmował się praniem brudnych pieniędzy, pochodzących głównie z handlu narkotykami. Inwestował je i wymyślił nową, stosunkowo czystą metodę ich pomnażania. Nie gardził przemocą; przychodziła mu tak łatwo, jak jego klinicznie czyste operacje na giełdzie. Kochał czysty interes, polegający na zarabianiu pieniędzy za pomocą pieniędzy, a ze wszystkich jego pomysłów ten najnowszy wydawał mu się niezrównany.

Odłożył słuchawkę, a jego tłuste palce zostawiły lepkie ślady na plastyku aparatu. Podliczył zysk i uśmiechnął się usatysfakcjonowany. Siedem milionów dolarów w trzy godziny. Łatwe pieniądze. I czyste. O ileż czystsze od zysków z szantażu, wymuszania haraczu, narkotyków czy morderstw. Po prostu głosy w słuchawce, cyfry na monitorze, kilka szlaczków na skrawkach papieru. I jak szybko.

Wystarczyło parę sekund, aby pieniądze okrążyły całą ziemię.

Fieri uśmiechnął się szeroko, a kiedy wyobraził sobie funty, dolary, marki i jeny płynące do niego po niebie, jego usta rozdziawiły się w szeroką szczelinę, zupełnie jak wycięte w masce, którą robi się z wydrążonej dyni na święto Halloween. Cztery setki milionów dolarów zysku. Jak daleko dotrą, zastanawiał się zadowolony. Z Rzymu do Nowego Jorku w dziesięciofuntowych banknotach? Roześmiał się, wstał z fotela i podreptał do lodówki w kącie gabinetu. Czteryście milionów dolarów w dziesięć miesięcy. Nalał sobie kieliszek szampana i wzniosł toast za łatwe pieniądze. Gdyby Fieri wiedział, dokąd zaprowadzi go ten papierowy szlak, szampan zamieniłby się w jego ustach w żółć.

W dusznej sali maklerskiej w banku na londyńskiej giełdzie jeden z młodych pracowników odłożył słuchawkę, z trudem powstrzymując okrzyk radości. Kolejne trzy miliony dolarów na konto. A jedna czwarta dla niego. To staje się prawdziwym problemem — zaśmiał się do siebie — wydać po kryjomu tyle pieniędzy.

— Kolejny transport kokainy. Pięćdziesiąt kilogramów ukrytych w grubych podszwach całego kontenera butów z Włoch. Towar przechwycony został przez Główny Urząd Celny Jej Królewskiej Mości i współpracujący z nim wydział MI 6. Przemytników śledzono do magazynu znajdującego się w posiadłości na East Midlands. Kierowca ciężarówki i komitet powitalny aresztowani. Towar skonfiskowany i wkrótce zostanie spopieleny, a śledztwo przeciw handlarzom wszczęte. — Fiona Duncan, przewodnicząca komisji rządowej w Głównym Urzędzie Celnym Jej Królewskiej Mości jednym tchem wyrecytowała te szczegóły do słuchawki. James Bartrop z wydziału MI 6 słuchał bez emocji.

Ta akcja była tylko jednorazowym zwycięstwem. Strumień narkotyków napływających do kraju nie słabł, a ogniwo, które właśnie przzerwali, wkrótce zostanie zastąpione nowym. Trwalszy sukces mogłoby zapewnić tylko zaatakowanie i rozerwanie sieci przemytników u źródła, i to właśnie było celem Bartropa. Wydział MI 6 spełniał teraz główną rolę na arenie międzynarodowej, współpracując w tej sferze z FBI, Amerykańskim Wydziałem do Spraw Narkotyków oraz Brytyjskim i Amerykańskim Głównym Urzędem Celnym. W dużym stopniu napływ narkotyków do Zjednoczonego Królestwa był kontrolowany przez groźny sojusz narkotykowych baronów z Ameryki Południowej i mafii, która spełniała rolę europejskiego agenta południowoamerykańskich producentów. Jamesa Bartropa naciskano, aby przeniknął do tego sojuszu oraz stworzonej przez niego sieci i przechwycił cały import narkotyków do Wielkiej Brytanii. Podejrzał, że ten ostatni transport był dziełem kolumbijskiej mafii. Istniała możliwość, choć mało prawdopodobna, że potwierdzą to przesłuchania przemytników. Bartrop wiedział jednak z doświadczenia, że schwytani będą milczeć jak grób. Kto wie, może spróbują grać na zwłokę, wskazując całą masę drobnych hurtowników i pośredników, którzy tworzą dalsze ogniwa w tym łańcuchu. Jeżeli jednak jego przypuszczenia okażą się słuszne, przemytnicy nigdy nie odkryją źródła narkotyków, bo to oznaczałoby dla nich szybką i brutalną śmierć. Plutony egzekucyjne mafii i kolumbijskich syndykatów narkotykowych, kiedy tylko nie zajmowały się likwidowaniem członków rywalizujących z nimi ugrupowań, były bezlitosne w zabijaniu własnych ludzi, gdy zagrażali jedności organizacji. Szacunek, jaki wzbudza kolumbijski baron narkotykowy, ma specjalną wartość, i takim właśnie szacunkiem cieszył się, dumny z niego, Antonio Fieri. Bezwzględnością i sprytem dorównywał swoim południowoamerykańskim partnerom. Bartrop po raz pierwszy spotkał się z jego nazwiskiem dziesięć lat temu, kiedy był szefem sekcji MI 6 w Rzymie.

O Fierim, podejrzanym o to, że jest zastępcą szefa sycylijskiej mafii, mówiono, iż przekupuje urzędników państwowych i lokalnych polityków, powodując, że wszystkie najbardziej zyskowne kontrakty budowlane przekazywane były spółkom należącym do mafii. Nigdy mu tego oczywiście

nie udowodniono, skończyło się na podejrzeniach. Fieri zawsze potrafił przechytryć władze, które go tropiły.

Bartrop nie spuszczał oka z kariery Fieriego, a w tym czasie awansował w hierarchii „Szóstki”, czy „Firmy”, jak nazywali MI 6 pracownicy, lub u „Przyjaciół”, jak nazywali ich dobrze zorientowani ludzie z zewnątrz. Teraz Fieri był prezesem CNC i, według raportów tajnych służb, jednym z szefów mafii, kierującym handlem narkotykami. Gdyby Bartrop mógł pozwolić sobie na wybór pojedynczego celu, to wybrałby z pewnością Fieriego.

Wstał od biurka, podszedł do okna w swoim gabinecie i spojrzął na brudną Tamizę. Właśnie mijaly się dwa holowniki. Bartrop patrzył na mężczyzn, którzy stali na pokładach i machali do siebie rękami. To było jak oglądanie niemego filmu. Mógł sobie wyobrazić dźwięki, zapach rzeki, ale nic oprócz obrazu do niego nie docierało przez grube szkło okna.

Bartrop zmrużył oczy, obserwując refleksy słońca tańczące na rzece. Był cudowny, czerwcowy dzień. Mężczyzna stał nieruchomo z dłońmi opartymi o okno i patrzył. Rzucił kanciasty cień na zalaną słońcem szybę; nerwowy tryb życia nie pozwolił mu obrosnąć tłuszczem. Był ubrany w świetnie skrojoną, ciemną marynarkę, która podkreślała jego szczupłą sylwetkę. Miał ciało dwudziestolatka, dopiero twarz zdradzała dodatkowe dwadzieścia lat. Skóra mu pociemniała od zbyt dużej liczby papierosów, a wokół oczu i ust znaczyły się głębokie zmarszczki.

Jego twarz wydawała się niezwykle ekspresyjna, a rysy zdradzały wrodzoną ciekawość. Potrafił też jednak zachować kamienną maskę — nieodgadnioną i tajemniczą. Był doskonałym aktorem i umiał wyrazić wiele wewnętrznych sprzeczności. Łączył w sobie zimny rozsądek z isticie komputerową szybkością analizy. To powodowało, że jego intelekt błyszczał i zapewniał mu szybkość w zdobywaniu kolejnych stanowisk w firmie. Mówiono, iż pewnego dnia może zostać szefem.

Był powszechnie szanowany, ale miał też sporą liczbę niechętnych mu, którzy twierdzili, że jest trochę za bardzo sprytny. Wiedział o krytykach, ale śmiał się z tego lekceważąco. Unikał zastanawiania się nad swoimi czynami, jeśli nie musiał. Odwrócił się od okna i podszedł do biurka, zadzwonił do sekretarki Moiry i poprosił, aby przysłała mu jego zastępcę. Miles Forshaw pojawił się po kilku minutach i zajął miejsce naprzeciw Bartropa, który zaczął opowiadać o przechwyceniu ładunku kokainy i swoich podejrzeniach, że w przemyśle zamieszany jest Fieri.

— Będziemy musieli pomyśleć o innym sposobie dostania Fieriego. Musimy rozszerzyć naszą sieć... Jeżeli nie możemy go połączyć z narkotykami, spróbujmy znaleźć inny punkt zaczepienia. Wiem, że już to robimy, ale chcę, aby zaangażowano więcej środków. — Przerwał, by zapalić papierosa. Inicjatywę przejął Forshaw.



— Coś przyszło wczoraj w nocy. — Podrapał się w brodę, mówiąc powoli, w zrównoważony sposób, który zawsze irytował bardziej żywego Bartropa. — Raport z oddziału włoskiego. Pamiętasz Giuseppe Calvadora, tego finansistę, którego kiedyś przesłuchiwaaliśmy? — Bartrop kiwnął głową. — No właśnie, natrafiliśmy na bardzo interesujący wątek. Wysłaliśmy do niego wczoraj paru ogrodników, żeby usunęli jakieś uschnięte badyle. Na pół dnia okablowali jego biuro i telefon. Musieli jednak zabrać pluskwy przed kolejnym czyszczeniem.

Bartrop zaśmiał się. Calvadoro był filarem mediolańskiej śmietanki towarzyskiej, znany i szanowany, niemal poza podejrzeniem. Doskonały makler pracujący dla szefa mafii. Bartrop nie miał żadnego dowodu na to, że Calvadoro obsługuje klientów z mafii, ale kimkolwiek byli jego klienci, ich tajemnicze interesy wymagały najwyższej ochrony. Dwa razy dziennie firma ochroniarska przeczesywała ogromne biura Calvadora przy Via Turati w poszukiwaniu podsłuchów. Sprawdzali nawet pocztę, na wypadek gdyby pluskwa była wrzucona do wnętrza brązowej miękkiej koperty.

— W każdym razie — kontynuował Forshaw — Calvadoro przeprowadził kilka interesujących rozmów telefonicznych. Pierwszą z osobą, która się nie przedstawiła. Po prostu powiedziała mu, żeby kupował dolary w zamian za szterlingi. Sześćset milionów dolarów rozbite po dwadzieścia pięć. Potem Calvadoro zadzwonił do trzech innych maklerów tu, w Londynie, i wydał zlecenie na dwieście milionów, mówiąc im, aby rozbili je między te rachunki co zwykle, w pakietach po dwadzieścia pięć.

Bartrop usiadł, wzdychając ciężko w oczekiwaniu na najważniejsze. Forshaw delikatnie pochylił się po przodu, z wciąż wyprostowanymi plecami.

— Mauro, szef oddziału w Rzymie, sądzi, że rozpoznał głos tego anonimowego rozmówcy. — Zrobił pauzę dla zwiększenia efektu. — Twierdzi, że to Fieri. — Bartrop uniósł brwi, zdradzając najwyższe zainteresowanie, który to gest Forshaw próbował, zawsze bez powodzenia, naśladować.

— Właśnie sprawdzam głos. Ale interesujące jest to, że ktokolwiek to jest, chce ukryć wielkość swoich obrotów. Możliwe, że obsługuje dwadzieścia cztery różne rachunki, chociaż w to wątpię. Bardziej prawdopodobne, że operacja jest nielegalna. Na rynku walutowym transakcja na sześćset milionów dolarów musi przyciągać uwagę. Na dwadzieścia pięć już niekoniecznie. Wszystkie zapisy tych działań pokażą serię zakupów po dwadzieścia pięć milionów dolarów bez widocznego połączenia.

Bartrop głośno odetchnął.

— O której godzinie to się stało? Forshaw uśmiechnął się.

— Jak się zapewne domyślasz, pół godziny przed tym, jak Bank Anglii ogłosił obniżenie kursu o jeden punkt.

— Więc mamy przeciek w którymś z banków centralnych, możliwe, że nawet w „Old Lady”?

— Na to wygląda. — Forshaw oparł brodę na rękach i zamyślił się głęboko. — Antonio Fieri zaś mógłby być naszym wewnętrznym informatorem?

Mężczyźni uśmiechnęli się zgodnie. Oczy Bartropa zamglily się, gdy siedział przez chwilę w milczeniu.

— To prawie nie do pomyślenia — zwrócił się do Forshawa — żeby przeciek, jeżeli w ogóle taki istnieje, pochodził z Banku Anglii. Informacje na tak delikatne tematy, jak obniżenie stopy procentowej, mają tylko ci na szczycie. Znam od lat Barringtona, prezesa „Old Lady”. Może jest głupcem, ale nigdy przestępcą. W pokoju Moiry odezwał się interkom. Zniekształcony głos Bartropa wypełnił pokój:

— Moira, daj mi, proszę, prezesa Banku Anglii.

Prezes właśnie wychodził z comiesięcznego spotkania z ministrem finansów, gdy dogoniła go sekretarka.

— Och, prezesie, dobrze że jeszcze pana złapałam — oznajmiła uspokajając oddech. — Jakiś James Bartiop jest na linii. Mówi, że to pilne.

Anthony Barrington zatrzymał się na chwilę i zmarszczył czoło, słysząc nazwisko Bartropa, po czym powoli zawrócił i statecznie wkroczył do swojego biura. Żaden z pracowników tego banku nigdy się nigdzie nie spieszył. Bank „Old Lady”, mający siedzibę przy ulicy Threadneedle, był oazą spokoju w środku zgiełku i nieustannego ruchu City. Pędzenie korytarzami uważano tu za niegodne. Zostawiono to pracownikom amerykańskich banków inwestycyjnych w ich szklanomarmurowych wieżach.

Barrington zamknął drzwi gabinetu, usiadł za biurkiem i czekał, aż sekretarka go połączy.

## Rozdział 2

Osiódmą wieczorem tego samego dnia czarny rover Bartropa wtoczył się na dziedziniec na tyłach gmachu Banku Anglii. Bartrop zniknął w drzwiach, a za nim Munro, z Królewskiego Korpusu Żandarmerii Wojskowej, pełniący rolę jego kierowcy oraz osobistej ochrony. Bartrop wsiadł do windy jadącej do prywatnego biura prezesa.

Barrington czekał w gabinecie, zastanawiając się nad przyczyną tego spotkania. W rezultacie to jednak Bartrop musiał pojawić się u niego. Tego ranka Barrington zirytował się, słysząc sugestię Bartropa, że to on powinien przyjść do Century House, siedziby MI 6, mieszczącej się w południowym Londynie. Jest przyjęte, że to ludzie fatygują się do Banku, by załatwić interesy, a nie odwrotnie, i dotyczy to również dyrektora MI 6, Bartropa.

Dzwonek do drzwi wyrwał Barringtona z zadumy. Podeszedł do drzwi i spojrzął przez wizjer. Zobaczył Bartropa i tuż za nim drugiego mężczyznę. Ochroniarz, pomyślał Barrington, otwierając drzwi i głośno witając Bartropa.

Barrington trzymał otwarte drzwi, pytając patrząc na Munro, który skinął mu głową, podziękował i powiedział, że zaczeka na zewnątrz. Barrington poprowadził Bartropa do salonu, ciesząc się, że sam nie musiał być w ten sposób prowadzony. Gospodarz przygotował drinki. Usiedli naprzeciw siebie w obitych skórą fotelach. Barrington czuł się rozluźniony, wyciągnął przed siebie długie nogi, prawą rękę bezwładnie zwiesił z fotela. W lewej trzymał drugiego już dzisiaj drinka, gin z tomkiem. Był dziesięć lat starszy od Bartropa, tak też wyglądał. Popielatoszare włosy wyraźnie mu się przerzedzały. Świadek zbyt wielu dobrych obiadów i licznych butelek bordeaux wyraźnie widniało w pasie i drugim podbródku, ale inaczej niż Bartrop, miał skórę prawie pozbawioną zmarszczek, a rysy jego twarzy układały się w wyraz zadowolenia. Jego uśmiechnięte, dobrotliwe oczy mówiły, że nie oczekiwał więcej niespodzianek od życia. Bartrop, przyglądając mu się, poczuł przebłysk pogardy. Usiadł z boku, chowając nogi pod krzesło i kosztując whisky

śluchał towarzyskiej paplaniny Barringtona. Po chwili jego zniecierpliwienie musiało się stać na tyle widoczne, że Barrington zamilkł.

Bartrop osuszył swój kieliszek i delikatnie pochylił się do przodu.

— Panie prezesie, zastanawiałem się, czy mógłby mi pan wyjaśnić, na czym polegała procedura, jaką podjęliście wczoraj, kiedy obniżyliście stopę procentową funta o jeden punkt.

— To proste — odpowiedział Barrington, podnosząc się, aby nalać kolejne kieliszki. — Chcieliśmy dodać naszej gospodarce odrobinę energii. Inflacja jest pod kontrolą. Będziemy ją oczywiście uważnie obserwować, ale w tej chwili nie stanowi żadnego problemu. Żadnych niepomysłnych okoliczności ani potrzeby redukcji, więc minister finansów i ja zgodziliśmy się na jednoprocentową obniżkę kursu, gdy tylko da się całą operację przeprowadzić. Wczoraj po południu rynki były ustabilizowane, więc zdecydowaliśmy się to zrobić.

— Kto wiedział o tej decyzji wcześniej? Barrington zawahał się przez moment.

— Wszystkie banki centralne, z wyjątkiem żółtków, którzy wtedy spali. —

Barrington podał Bartropowi szklanę. — Dlaczego pan pyta?

Bartrop zauważył błysk irytacji w oczach Barringtona. To zrozumiałe. Było to pytanie o nieprzyjemnych implikacjach, szczególnie, że zostało zadane przez człowieka z wywiadu. Bartrop poczuł dumę z powodu swojej spostrzegawczości. Tak, to tylko irytacja, nic więcej, był tego pewien. W każdym razie Barrington miał za dużo do stracenia i za mało do zyskania, gdyby komuś ujawnił zastrzeżoną informację. Błyskotliwa kariera bankowa, dzięki której wydatnie powiększył swój znaczny, odziedziczony majątek, wykluczała motyw finansowy. Jakie są inne możliwości? Bartrop uśmiechnął się, rozważywszy wszystkie okoliczności. Barrington nie był szaleńcem. Raporty wywiadu wydały o nim doskonałą opinię, gdy po raz pierwszy dyskutowano możliwość mianowania go na stanowisko prezesa. Jeżeli istniał przeciek z banków centralnych, Bartrop był pewien, że nie pochodził od Barringtona. Napił się jeszcze whisky i powiedział Barringtonowi o Antonio Fierim i swoich podejrzeniach dotyczących „hazardowych” operacji na międzynarodowej giełdzie walutowej. Barrington zgodził się, że działania Fieriego są zastanawiające. Miał też własne informacje potwierdzające podejrzenia Bartropa. Tydzień temu odebrał telefon od Jonathana Gilbeya, szefa firmy księgowej Dawson Lane. Gilbey poinformował go, że jeden z młodych pracowników DL doniósł mu, że coś dziwnego dzieje się w dziale własnościowej wymiany walutowej pewnego dużego amerykańskiego banku w City. Wymiana własnościowa, Barrington wyjaśniał Bartropowi, ma miejsce wtedy, gdy jakiś bank przeznaczą pewną część własnego kapitału dla wyspecjalizowanych maklerów, którzy używali go do „zajmowania pozycji”, tzn. obracania pieniędzmi na giełdzie walutowej w imieniu tego banku. Było to przeciwieństwem zwykłego tworzenia rynku wymiany walutowej, kiedy banki występowały

tylko w imieniu swoich klientów — kompanii ubezpieczeniowych, funduszy emerytalnych, spółek przemysłowych lub innych banków — kupując i sprzedając waluty według ich instrukcji. Handel własnościowy jest bardziej ryzykowny dla banków, ale niewspółmiernie bardziej opłacalny.

Po tych wyjaśnieniach, Barrington wrócił do swojej historii. Pracownicy Dawson Lane tworzyli grupę zajmującą się rewizją ksiąg rachunkowych Banku InterContinental (znanego w skrócie jako ICB). Jeden z nich zauważył, że dochody uzyskane przez dział własnościowej wymiany walutowej podskoczyły ostatnio do podejrzanego poziomu.

Gdy Barrington poprosił Marcusa Aylyarda, szefa Departamentu Nadzoru Rynków Banku Anglii, aby ten przejrzał miesięczne zestawienia zysków i strat działu własnościowej wymiany walutowej banku ICB za ostatni rok, stało się oczywiste, że wzbudziły one podejrzenia młodego rewidenta księgowego. Aylyard odkrył w nich pewną prawidłowość. Największe dochody następowały wkrótce po podjęciu przez banki centralne decyzji o szybkim skupie lub sprzedaży walut oraz innych interwencjach, takich jak zmiany stóp procentowych. Do pewnego stopnia to było normalne. Interwencyjny skup walut i zmiany stopy procentowej zawsze są przyczyną i konsekwencją ożywienia na rynku. To właśnie w czasach zmian na rynkach walutowych spekulanci osiągają największe zyski i straty, ale wysokość i systematyczność zysków oraz nagły skok dochodów ICB dały powody do podejrzeń, że ktoś w ICB wyzyskuje tajne informacje. Gdyby to miało miejsce, informacje owe mogłyby pochodzić tylko od najwyższych w hierarchii urzędników. Bartrop i Barrington zgadzali się co do tego. Wyglądało na to, że przeciek istniał w samym sercu systemu finansowego. Przeciek, który mógłby połączyć jednego z najważniejszych członków włoskiej mafii z na pozór szanowanym bankiem City. Barrington zmartwił się bardzo. Nie mógł sobie pozwolić na takie kłopoty. Bartrop poczuł zastrzyk adrenaliny z powodu nowych możliwości. To najlepsze wiadomości, jakie miał od tygodni. Zerwał się na nogi.

— Muszę już iść, panie prezesie. — Wyciągnął dłoń. — Byłbym zobowiązany, gdyby odłożył pan na parę dni problem banku ICB. Mam pomysł, który mógłby dotyczyć zarówno pańskich, jak i moich spraw. Zadzwoń jutro lub pojutrze. Prezes uściśnął dłoń Bartropa i odprowadził go do drzwi. Potem wrócił na swój fotel i patrzył zamyślony przez okno na panoramę City rysującą się na niebie. Nie mógł się zdecydować co do Bartropa, który miał w sobie pewien żywotny urok i było zajmujące śledzić ścieżki, jakimi podążał jego umysł. Barrington czuł się jednak przy nim jakby zbity z tropu. Przy kilku okazjach, kiedy się spotykali wcześniej, dostrzegł interesowność Bartropa. Jaki miał cel teraz, nie potrafił odgadnąć. Dzisiaj zastanawiał się, jaką rolę ten błyskotliwy umysł wyznaczył dla niego. Bartrop wyobraźni miał wystarczająco dużo, możliwości działania również. Barrington, pomimo swojej pozycji na szczycie City, nie był z natury

człowiekiem wyrachowanym, ale zachowywał się niezwykle ostrożnie, gdy chodziło o Jamesa Bartropa.

Co miał na myśli? Coś inteligentnego i sprytnego, co wymaga jakiegoś rodzaju przyzwolenia Barringtona. No cóż, można współpracować, oczywiście w pewnych granicach. Stawanie po przeciwnej stronie barykady w stosunku do „Przyjaciół” nie było rozsądne, a w tym wypadku łączył ich wspólny interes, przynajmniej tak mu się zdawało. Gdyby umiał przewidywać przyszłość, na pewno wybrałby inny plan działania niż ten, który Bartrop dla niego przeznaczył.

Obaj mężczyźni spotkali się znowu kolejnego wieczoru o dwudziestej trzeciej trzydziści w mieszkaniu prezesa po tym, jak Barrington skończył oficjalny obiad. Bartrop mówił bez ogródek, zdawało się, że niczego nie ukrywa.

— Jeżeli chodzi o nasz wspólny problem, panie prezesie, mam propozycję, która mogłaby usatysfakcjonować nas obojgu.

Barrington ręką wskazał mu fotel i usiadł słuchając.

— Wygląda na to, że może istnieć związek pomiędzy Fierim, na którego tropie jestem, oraz ICB, który podlega panu. Ale aby się o tym przekonać, potrzebujemy zbadać ICB. — Przerwał na chwilę.

Barrington skinął z akceptacją.

— Jeżeli dobrze rozumiem, w tej chwili większość defraudantów w City, gdy tylko wkrocza tam grupa kontrolerów i śledczych z zewnątrz, nagle rozplywa się w powietrzu.

— Tak, to możliwe — powiedział Barrington. — Najlepiej byłoby znajdować się tam na miejscu i przyłapać ich na gorącym uczynku, bo później trzeba mocniejszych dowodów i dużo poważniejszego procesu. Materiał na oskarżenie może zniknąć, gdy tylko pojawią się śledczy. — Barrington kontynuował, zapalając się do tematu, bo wyczuł w Bartropie nutę sympatii dla problemów, przed którymi staje Bank w momencie, gdy trzeba poddać City kontroli. — Później oczywiście nie ma problemu niewidzialnych ofiar defraudacji. Najprawdopodobniej renomowane firmy czy prywatne osoby niechętnie przyznają się do tego, że ktoś ich wykiwał. Wolą raczej przełknąć stratę, niż narazić dumę. Toteż czasem jest niewiarygodnie trudno skłonić ich do współpracy z policją.

— Tak, mogę to sobie wyobrazić — przytaknął Bartrop, wracając do sprawy. — Zatem najlepiej byłoby złapać defraudantów na gorącym uczynku, nie płosząc ich znaleźć im kolegę kontrolera. — Przerwał na chwilę, uważnie przyglądając się reakcji Barringtona. — Ma pan na myśli tajnego agenta? — spytał ostro Barrington. Bartrop uśmiechnął się. — Tak, właśnie to mam na myśli. My jednak nie mamy w naszej firmie żadnego maklera rynku wymiany walutowej, więc byłbym wdzięczny, gdyby pan kogoś zaproponował. — Zrobił pauzę, aby podkreślić wagę tych słów. Barrington siedział z głową lekko przechyloną na bok, ostrożny, ale zainteresowany. Bartrop kontynuował. — Potrzebujemy kogoś, kto

jest świetnym maklerem, jest inteligentny, odważny, ale przede wszystkim godny zaufania i dyskretny.

Barrington parsknął śmiechem.

— Po pierwsze, to bardzo rzadka kombinacja. Maklerzy należą do najbardziej gadatliwych i niegodnych zaufania ludzi, jakich znam. Kłamstwo to podstawa ich pracy, i prawie wszyscy są niedyskretni. Po drugie, nawet gdybym mógł znaleźć takiego doskonałego szpiega, jak zamierza pan wprowadzić go do ICB?

Bartrop spojrział przed siebie spokojnie w sposób, który sugerował, że ponieważ spostrzeżenie Barringtona jest mylne, postara się je zignorować.

— Po pierwsze — podkreślił te słowa, zabarwiając je najdelikatniejszą ironią, jak gdyby przyłapał Barringtona na liczeniu na palcach — jestem przekonany, że dzięki pańskiej nieskończonej liczbie kontaktów w City będzie pan w stanie wybrać odpowiedniego kandydata. A po drugie, maklerzy zdają się zmieniać banki jak rękawiczki, więc pewnie nie trzeba będzie zbyt długo czekać, aż w ICB zwolni się jakieś miejsce.

Barrington z żalem pomyślał, że nie potrafi znaleźć błędu w tej argumentacji.

— Dlaczego by nie użyć kogoś, kto już pracuje w ICB? — Zaryzykował.

— Cóż, to wydaje się oczywiste, tylko że nie wiemy, komu tam można zaufać. O wiele lepiej będzie wprowadzić kogoś z zewnątrz, chyba pan rozumie?

Oczywiście, cholernie dobrze rozumiem, pomyślał Barrington, chwytając aluzję. Zastanawiał się, dlaczego Bartrop czuł irracjonalną potrzebę, by zachowywać się tak niesympatycznie. Chciał zaznaczyć swoją pozycję w czasie tego spotkania i doprowadzić je do końca po własnej myśli.

— Pański pomysł brzmi rozsądnie, panie Bartrop. — Wstał z fotela, chcąc zakończyć spotkanie. — Zastanowię się nad tym.

— Byłbym wdzięczny, panie prezesie. Również gdyby mógł pan znaleźć czas na jakiś lunch czy obiad z najbardziej odpowiednimi kandydatami, aby ich trochę wyczuć. Jestem pewien, że znajdzie pan sposób, by zrobić to dyskretnie. — Bartrop spojrział na zegarek. Była dwunasta. Wstał i skierował się do wyjścia.

Barrington przez chwilę milczał.

— Gdy znajdziemy wam szpiega — podkreślił ostatnie słowo, wiedząc, że zirytuje to Bartropa — to co wtedy? Jaki zrobicie następny ruch?

— To w dużej mierze zależy od tego, kto będzie tą osobą. — Przerwał, jak gdyby zastanawiając się nad czymś. — A tak na marginesie, panie prezesie, cieszę się, że poruszył pan tę kwestię. Czy w dalszym ciągu zechce pan uczestniczyć w tej sprawie bezpośrednio, czy może będzie pan wolał, by ktoś pana zastąpił?

Barrington zastanawiał się, czy Bartrop spytał o to specjalnie, aby go zdenerwować.

— Zastąpił?

— Mógłby to być pański wiceprezes albo pański osobisty asystent, jakże on się nazywa, Aylyard?

— Dlaczego miałbym chcieć, aby mnie ktoś zastępował? Bartrop wzruszył ramionami.

— To powszechna praktyka... na wypadek, gdyby coś źle poszło.

— A co mogłoby źle pójść? Chce mi pan powiedzieć, że przewiduje pan jakieś komplikacje?

Bartrop roześmiał się.

— Nie, nie o to chodzi. Jak mówiłem, to powszechna praktyka. Nie jesteśmy jasnowidzami. Jeśli coś rzeczywiście się nie ułoży, będzie pan bezpieczny. Ktoś inny poniesie odpowiedzialność. To wszystko.

Barrington postąpił krok do przodu.

— Bądźmy szczerzy, panie Bartrop. Jeżeli jest jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że coś źle pójdzie, to możemy już teraz zapomnieć

o całej sprawie. Znajdę inny sposób, aby sprawdzić ICB.

— Nie potrafię wróżyć z ręki, panie prezesie — odpowiedział spokojnie Bartrop — ale wiem, że nie ma żadnego powodu, aby ta akcja miała się nie udać. Nie przedstawiałbym jej panu, gdybym podejrzewał, że coś się może nie udać, że coś może wymknąć się spod kontroli.

— I proszę mi obiecać, że pan osobiście będzie wszystko kontrolował i upewniał się, że nic złego się nie dzieje?

Bartrop pod maską wyrozumiałości ukrył narastającą irytację.

— To moja praca, panie prezesie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Prezes uśmiechnął się. — Dobrze. Więc ustaliliśmy. Pan robi swoje, a ja swoje. A wracając do kwestii wiceprezesa to, między nami mówiąc, powszechnie uważa się, że nie zasługuje na to stanowisko, nie ma odpowiedniego autorytetu. Jego powierzchowne życie nie wzbudza zaufania. Aylyard zaś, no cóż, po prostu sędzę, że nie ma tego *gravitas*. Jest świetny w swoim zawodzie, ale nie cieszy się wystarczającą estymą. Bartrop skierował się do drzwi.

— A więc dobrze, panie prezesie. Zostawiam sprawę panu. Uścisnęli sobie dłonie i życzyli nawzajem dobrej nocy.

Bartrop wsiadł do windy, za nim podążył Munro, który wyprzedził go, aby otworzyć mu drzwi rovera. Bartrop usiadł na tylnym siedzeniu. Munro prowadził szybko przez opustoszałe ulice City. Bartrop w zamyśleniu patrzył przez okno. Na tym etapie działań byłoby rozsądnie wziąć pod uwagę ochronę z MI 5, ale to mogłoby oznaczać kolejne utrudnienia. Nie ma potrzeby wtajemniczania większej liczby osób niż to konieczne. A musiał dostać Fieriego... Poza tym to nie jest sprawa dla „Piątki”, nawet nie dla „Szóstki”. To sprawa City prowadzona przez prezesa Banku Anglii. A jeśli przy okazji jakaś informacja okaże się pożyteczna dla niego, to będzie



po prostu los wygrany na loterii. Uśmiechnął się przebiegle do swego odbicia w kuloodpornej szybie.

### Rozdział 3

Kiedy zadzwonił telefon, Sara Jensen leżała jeszcze z Eddiem w łóżku, korzystając z ostatnich paru dni jego pobytu w Londynie, zanim jej chłopak odleci na swoją kolejną ekspedycję. Wyciągnęła nagie ramię i chwyciła słuchawkę. Odezwał się kolega z pracy, David, bardzo zaaferowany.

— Słuchaj, Saro, jest wpół do dziewiątej. Spóźniłaś się już godzinę i Carter cię szuka. Jest naprawdę wkurzony, a to do niego zupełnie niepodobne.

Sara wybuchnęła śmiechem. — I co mu powiedziałaś?

— Że dla ciebie ważniejsza jest umówiona wizyta u lekarza.

— Świetnie — ucieszyła się Sara. — Lekarze nigdy nie przyjmują przed dziewiątą. Pół godziny na moją wizytę i trzy kwadransy z Chelsea do City. Zobaczymy się o dziesiątej piętnaście. — Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył coś dodać, i znów zajęła się Eddiem.

O dziesiątej udało się jej w końcu uwolnić z ramion Eddiego i wyskoczyć z łóżka.

Chłopak patrzył na nią, kiedy szła przez pokój. Była wysoka, około metra siedemdziesięciu dwóch, zgrabna, ze szczupłym, ładnie ukształtowanym ciałem i kobiecymi krągłościami. Szła leniwie, swobodnie, ciesząc się swoją nagością.

Wzięła prysznic, drugie brązowe włosy związała gumką i trzymała je w jednej ręce poza zasięgiem wody. Pozostawiła za sobą szlak małych kałuż, gdy wyszła spod prysznica i otuliła się cienkim, bawełnianym kimonem. Przemierzyła sypialnię i skierowała się na taras na dachu. Uwielbiała go w czerwcu; kolorowy, pachnący różami, gardenią i geranium.

Przeciągała tę chwilę, pozwalając ciepłemu powietrzu wysuszyć mokrą skórę, zanim wróciła do środka. Potem przeglądając szafę wybrała liliową, lnianą sukienkę i jasnobrązowe buty. Przewiesiła torbę przez ramię, pocałowała Eddiego i uśmiechając się wyszła. Zatrzymała taksówkę jadącą wolno wzdłuż King's Road i trafiła za swoje biurko w Finlays przed jedenastą.

John Carter, dyrektor wykonawczy w Finlays i dawny kochanek Sary, przyszedł pięć minut później.

— Wszystko w porządku, mam nadzieję? — powiedział z kurtuazyjnym uśmiechem.

— Och, tak — uśmiechnęła się Sara. — To było zwykłe badanie okresowe.

Carter zaczerwienił się. David Reed, siedzący po lewej stronie Sary, dostał nagłego ataku kaszlu. Sara posłała mu piorunujące spojrzenie.

— Zastanawiam się — powiedział Carter, ignorując Reeda — czy miałabyś ochotę przyjść jutro na lunch z klientem. Bardzo by chciał, aby był ktoś z międzynarodowego rynku wymiany walut — dodał.

Sara spojrzała w swój kalendarz.

— Środa dziesiątego. — Podniosła głowę i uśmiechnęła się. — Tak, świetnie, John. Carter wrócił do swego biura i zadzwonił do Barringtona.

— Załatwione, prezesie. Jesteśmy umówieni na jutro.

— Dobra robota. A przy okazji, czy masz jakiś życiorys tej dziewczyny, Sary Jensen?

— Znajdę coś w dziale personalnym i wyślę ci faksem po południu.

— Wiesz, wolałbym, jeśli nie masz nic przeciwko temu, aby przywiózł mi to kurier — powiedział Barrington.

— Ależ oczywiście, nie ma problemu — Carter zdziwiony tą tajemniczością, zastanawiał się, o co chodzi.

Wszystko zaczęło się dziesięć dni wcześniej, kiedy sekretarka Cartera w specyficzny, nosowy sposób, który miał pokazać, że na niej, Kate Jenkins, nic nie może zrobić wrażenia, oznajmiła, że prezes Banku Anglii jest na linii. Carter odebrał telefon, zastanawiając się, czy chodzi o interes, czy sprawę prywatną. Znał Barringtona od prawie dwudziestu lat. Byli kiedyś sąsiadami w hrabstwie Surrey i wiązały ich zarówno sprawy towarzyskie jak i służbowe. Odkąd Carter rozwiódł się ze swoją żoną, żona Barringtona, Irene, często zapraszała go na obiad w czasie weekendów.

Ale to nie była rozmowa prywatna. Po wymianie zwyczajowych uprzejmości Barrington zaczął mówić o rynkach międzynarodowej wymiany walutowej, aby w końcu spytać Cartera, jak ocenia swoich podwładnych.

— Jest tylko jedna osoba, o której warto mówić — odparł Carter, opisując Sarę Jensen.

Barrington zasypał Cartera pytaniami o Sarę. Jak wygląda, czy jest dobra i w końcu, czy nie mogliby się kiedyś razem umówić na lunch. Barrington, jak powiedział, jest szczególnie zainteresowany kontaktami z prawdziwymi, żywymi ludźmi pracującymi na rynku.

Carter nie przywiązywał zbyt dużej wagi do tej rozmowy. Zaliczył ją do rzeczy dziwnych, które czasem zdarzają się w życiu. Prezes praw-

dopodobnie miał dość towarzystwa innych pracowników Banku Centralnego, większość z nich była raczej marnymi indywidualnościami. Prawdopodobnie chciał poprawić sobie humor, jedząc lunch z osobami o niższym statusie, a kto będzie do tego celu lepszy niż makler rynku międzynarodowej wymiany walutowej? Prezes bardzo by się zdziwił, gdyby poznał Sarę Jensen, pomyślał Carter.

Później w ogóle zapomniał o tej rozmowie, więc był bardzo zaskoczony, gdy jeszcze tego samego dnia prezes zadzwonił znowu, oznajmiając, że niespodziewanie nikogo nie przyjmuje podczas jednego lunchu. Prezes Banku Rumunii, niech Bóg ma go w opiece, odwołał spotkanie; jakieś problemy w kraju — mruknął Barrington — więc być może mogliby się spotkać jutro i przy okazji, gdyby Carter zechciał zabrać ze sobą tego maklera rynku wymiany walutowej, o którym wspominał, jak ona się nazywa, Jensen...?

Wobec tego Carter, umierając wprost z ciekawości, zorganizował spotkanie. Prezes prawdopodobnie chce ją zatrudnić, pomyślał, przeglądając dokumenty Sary, zanim oddał je swojej sekretarce z prośbą, aby wysłała je kurierem do rąk własnych prezesa Banku Anglii.

Nie ma obawy, pomyślał Carter. Bank Anglii nie mógłby sobie pozwolić na zapłacenie jej choćby połowy tego, co zarabiała w Finlays. Od czasu, gdy Sara zaczęła pracować dla nich cztery lata temu, konkurencyjne banki regularnie próbowały ją zwabić do siebie. Ani Carter, ani szef działu handlowego, Jamie Rawlinson, nie mieli najmniejszego zamiaru pozwolić jej odejść. Zapłaciliby tyle ile trzeba, aby ją zatrzymać.

Była najlepsza ze swojego pokolenia — nie miał co do tego wątpliwości. Instynktownie wyczuwała rynki i łatwo podejmowała ryzyko. Sukcesami bardzo się cieszyła, ale kiedy traciła pieniądze, nie brała sobie tego do serca, co potrafiło tylko niewielu handlowców. Carter czuł, że jest w pewien szczególny sposób ambitna, oczywiście lubiła rywalizację, ale nie miała czasu ani ochoty na prowadzenie rozgrywek personalnych w biurze. Jak niewielu z jej współczesnych, którzy publicznie przysięgali wierność swojemu szefowi w danej chwili, Sara nie ukrywała, że pracuje po to, aby zaoszczędzić odpowiednią ilość pieniędzy. Naprawdę interesowały ją wspinaczki górskie i podróże, które odbywała ze swoim bratem Alexem czy z nowym chłopakiem, jakże mu tam? ...Eddiem, tak, pomyślał ponuro Carter.

Siedząc w zaciszu swego gabinetu, Carter dał upust swoim wątpliwościom, które dręczyły go przez cały dzień i od których nie potrafił uciec. Najpierw próbował znieczulić się racjonalizmem. To było zupełnie naturalne, usiłował sobie wytłumaczyć, że Sara chciała spotykać się z kimś w jej wieku. Zawsze podejrzewał, że pierwszy raz poszła z nim do łóżka z litości. Właśnie wtedy porzuciła go żona, gdyż nigdy nie miał dla niej czasu, jak twierdziła. Jeżeli nie siedział w biurze, to był na jakimś obiedzie

z nudnym klientem. O wspólnym obiedzie marzyła od czasu, odkąd przestał się o nią ubiegać. Więc Carter zaczął zabierać swoją gwiazdę, Sarę Jensen, na te obiady w interesach. Klienci uwielbiali ją. I on wkrótce też dołączył do ich grona, przelewając na nią wszystkie swoje uczucia. Ta kobieta rozumiała obydwie strony jego życia, osobistą i zawodową. I była piękna. Nie mógł jej się oprzeć.

Byli razem sześć miesięcy. Dzięki niej odzyskał wiarę w siebie i radość życia.

Chciał się z nią ożenić. Nigdy jej tego nie powiedział, ale miał wrażenie, że ona to wyczuła. Delikatnie dała mu do zrozumienia, że nie byłaby dla niego odpowiednią żoną. Starość i kolejne ataki żony wyleczyły go z próżności, wiedział więc, co Sara naprawdę miała na myśli. Toteż z ogromnym żalem pozwolił jej odejść.

Wciąż się widywali, a raz w miesiącu jedli razem obiad. Nie mógł się oprzeć wypytywaniu o jej chłopaków. Przez jakiś czas nie było nikogo, jak mówiła, ale później poznała Eddiego, przyjaciela jej brata Alexa. To było jakiś rok temu.

Carterowi trudniej przyszło się z tym pogodzić niż z czymkolwiek innym.

Podczas gdy John Carter wspominał swój związek z Sarą Jensen, jej dokumenty pędziły przez City na motocyklu do Anthony'ego Barringtona.

Pół godziny później, po przejściu przez recepcję, gdzie zostały zgodnie z przepisami prześwietlone w celach bezpieczeństwa, trafiły na miejsce przeznaczenia.

Barrington rozciął paczkę i zaczął czytać z zainteresowaniem.

Sara Louise Jensen, narodowość angielska, urodzona w Nowym Orleanie w 1966 roku, czyli ma dwadzieścia siedem lat. Skończyła Szkołę dla Dziewcząt na Hampstead, a następnie Uniwersytet Cambridge, gdzie zdobyła dwa dyplomy z matematyki. Jej zainteresowania to jazz, książki, jazda na nartach, wspinaczka wysokogórska i podróże. Po ukończeniu uniwersytetu, zanim otrzymała pracę w Finlays, spędziła rok podróżując po Stanach Zjednoczonych.

Barrington przeszedł do raportów napisanych w dziale kadr Finlays. Pierwszy, w formie krótkiej notatki, przedstawiał jej możliwości zawodowe. Wybitna ocena handlowa. Systematycznie osiąga wysokie dochody. Chłodny, profesjonalny makler. W zeszłym roku zarobiła dla swego wydziału sześć milionów funtów. Mniej systematyczny zapis obecności. Być może uważa, że dzięki dużemu wkładowi w przychody zasługuje na specjalne względy. Zapytana o nieobecności beztrąsko się przyznaje. Barrington zaśmiał się, gdy przeczytał nad tym zdaniem odręczny komentarz: „Przynajmniej jest szczerą”.

Następny rozdział złożony był z różnorodnych szczegółów administracyjnych.

Barrington pobieżnie przejrzał stan kont bankowych, kredyty na zakup domu, ubezpieczenia zdrowotne. Zatrzymał się przy jednej z sum, która wyróżniała się na tej stronie. Całkowity dochód za zeszły rok: 400 000 funtów; pensja podstawowa 100 000 funtów; premia 300 000

funtów. Nawet przy wyśrubowanych płacach w City to było spektakularne osiągnięcie. Znaczyło, że Sara jest jedną z najlepiej opłacanych kobiet w City, jednym z najwyżej opłacanych maklerów.

Nie ma wątpliwości, pomyślał Barrington, że Sara Jensen była doskonale przygotowana, jeśli chodzi o wykształcenie zawodowe. Tylko czy ma psychologiczne predyspozycje do roli szpiega, co oczywiście dałoby się stwierdzić tylko przy osobistym kontakcie. Jakich cech Barrington miał szukać, nie wiedział. Ale jednej rzeczy był pewien — nie mógł się doczekać spotkania z Sarą Jensen. Zaczął pakować jej papiery z powrotem do koperty, zastanawiając się, jak Sara wygląda. Zanim zakleił kopertę i zamknął ją w sejfie, jeszcze jeden szczegół rzucił mu się w oczy. Zauważył, że najbliżsi krewni figurujący w aktach to ciotka i brat. Dziwne, pomyślał. Ma dopiero dwadzieścia siedem lat. Z pewnością jej rodzice nie mogli nie żyć. Być może brak informacji? To niedobry znak. Połączył się przez interkom z sekretarką i poprosił, aby połączyła go z Carterem.

Carter wyjaśnił, że rodzice Sary zginęli w wypadku samochodowym w Nowym Orleanie, gdy miała 8 lat.

— To musiało bardzo ją zranić — zauważył Barrington.

Carter przez chwilę milczał, opadł go strumień wspomnień i nigdy nie zadanych pytań. Nie, to tylko przypuszczenia, odpowiedział sobie, rozpraszając te myśli.

— Chyba jakoś doszła z tym do ładu na swój własny sposób — odparł tylko.

Barrington, zadowolony, zakończył rozmowę. Jeżeli chodziło o niego, Sara Jensen, jak na razie, była doskonałą kandydatką.

## Rozdział 4

Sara Jensen szeptem zaklęta. Dlaczego zawsze, kiedy chciała wyjść wcześniej, wszystkie rynki zaczynały się wariacko ożywiać? Patrzyła na kolumny cyfr na swoim monitorze, które zdawały się coraz bardziej szaleć pod wpływem jej spojrzenia. Zaklęła znowu i wyłączyła monitor. Obraz na ekranie zniknął z wyraźnym sapnięciem i srebrnym błyskiem. Zdziwiony David Reed zerknął na nią, gdy zabierała swoją torebkę.

— Nie możesz teraz wyjść, Saro. Jest dopiero druga. A poza tym rynek wcale nie jest spokojny — powiedział z udawaną irytacją. Była to ich tradycyjna zabawa odgrywana wielokrotnie przy podobnych okazjach przez obydwie strony. On bawił się jej nieskrepowaną buntowniczością, ona jego skłonnością do przestrzegania wszelkich reguł.

— Owszem mogę — odpaliła. — Te rynki wprawiają mnie w zły nastrój, a kiedy jestem w złym nastroju, tracę pieniądze. Dobrze o tym wiesz. — Wzruszyła ramionami, udając rezygnację. — Więc muszę iść. — Szybko się odwróciła z kwaśną miną i dodała. — Jeżeli ktoś czegoś będzie ode mnie chciał, powiedz, że jutro oddzwonię.

David usiadł z powrotem pokonany przez jej argumenty.

— Nie zapominaj — krzyknął za nią — o jutrzejszym lunchu z Carterem. — Znał z doświadczenia te jej „złe nastroje”, jak je nazywała, wiedział, że mogą trwać nawet kilka dni.

Supermarket przy King's Road o tej porze pełen był matek z dziećmi, rencistów i nawiedzonych artystów, którzy, jak myślała o nich Sara, ubierają się tak, jakby chcieli zamanifestować swój ból egzystencjalny. Wszyscy razem tworzyli inny rodzaj przechodniów, niż wylewający się z pracy na ulicę tłum niewolników tygodniowych wypłat, otaczający ją zawsze, gdy wychodziła z pracy jak zwykle o siedemnastej i razem z nią robiący zakupy między siedemnastą a dziewiętnastą. O wiele bardziej lubiła ten powszedni tłum o czternastej trzydzieści, pomyślała. Robienie zakupów po szóstej stwarzało ryzyko przemienienia z wyprostowanymi

typami w prążkowanych koszulach, którzy uwolnieni od biurk zdawali się wozić swoje frustracje w sklepowych wózkach.

Zatrzymała się w dziale mięsny dłużej chwilę, przyglądając się surowym wołowemu kotletom, które, gdy trzyma się je w rękach, przelewają się wraz z krwią w torebkach, w których są zaprasowane. Wybrała najbardziej soczysty kawałek, jaki mogła znaleźć — piękny, ciemnoczerwony, krwisty stek bez kości. Następnie sięgnęła po ziemniaki i pomidory do upieczenia, główki brokułów i garść czerwonej i zielonej sałaty.

W dziale nabiałowym wzięła chudą i tłustą śmietanę oraz pół tuzina wiejskich jajek. Z gotowymi zakupami z supermarketu weszła do Chealsea Farmers' Market, tuż za King's Road.

Kupiła paczkę lasek wanilii z Neal's Yard, firmy produkującej zdrową żywność, a następnie wpadła do sklepu z alkoholem, schylając głowę w niskim wejściu. Sklep mieścił się w małej drewnianej chałupce, ale zawsze miał dobry wybór win i paru przyjaźnie nastawionych, choć nie zawsze kompetentnych sprzedawców. Pozwoliła sobie na dłuższe wybieranie trzech butelek czerwonego wina oraz dwóch szmpana, po czym ruszyła do domu.

Kiedy stanęła w drzwiach, Alex i Eddie siedzieli w salonie na podłodze po turecku, pochylając się nad ogromną, sfatygowaną mapą. Byli tak czymś pochłonięci, że przez chwilę nie zauważyli jej obecności. Sara patrzyła na nich w milczeniu. Alex, jej młodszy brat: dwudziestopięcioletni, odważny, ujmujący. Zawsze myślała o nim jako o niewinnym, inteligentnym i zupełnie pozbawionym cynizmu dzieciaku. Miał predyspozycje, by zostać człowiekiem szczęśliwym. Śmierć rodziców, kiedy skończył sześć lat, dotknęła go znacznie mniej niż Sarę. Tęsknił za nimi, cierpiał, czuł się samotny i bał się: ograniczył się do normalnego zakresu ludzkich uczuć. No i miał swoją starszą siostrę i angielską ciotkę, które się nim zajmowały. Znalazł w nich oparcie i po paru latach stał się normalnym, szczęśliwym dzieckiem. Swoją energię kierował na zewnątrz, szczególnie interesowały go góry, które stały się jego obsesją. Podobnie jak Sara, zdał do Cambridge, ale w związku z tym, że większość czasu spędzał na wspinaczkach, uczelnię ukończył z trójką. Nie zależało mu na tym. Tak długo jak miał czas i pieniądze na wspinaczki, był szczęśliwy. Czasu miał pod dostatkiem, a pieniądze miała Sara. Alex spędzał dziewięć miesięcy w roku na ekspedycjach, a pozostałe trzy w domu Sary. Był to dla niego wymarzony sposób na życie, a Sara cieszyła się jego szczęściem. Ponad rok temu, chodząc po Alpach, poznał Eddiego, dwudziestodwunastoletniego Australijczyka. Razem weszli na szczyt i razem wrócili do domu Sary. Przyjaźń pomiędzy Eddie i Sarą powoli się rozwijała. Po czterech miesiącach zostali kochankami.

Podobnie jak Alex, Eddie był wysoki i szczupły, z silnymi, ale nie przerośniętymi, mięśniami alpinisty. Zajmował się robieniem filmów dokumentalnych dla australijskiej telewizji, a w wolnych chwilach uprawiał



wspinaczkę. Tak jak większość mężczyzn Sary był brunetem, ale w przeciwieństwie do wielu z nich cechowała go uprzejmość i delikatność. Miał specyficzne poczucie humoru, wydawał się niemal kostyczny, ale to raczej efekt inteligencji i cech narodowych niż złośliwości, ponieważ był zupełnie pozbawiony nieprzyjaznych uczuć. Jediną wadą ich znajomości, pomyślała Sara, zmierzając w kierunku Alexa, aby go pocałować, jest to, że przez te wspinaczki i podróże widywali się rzadko. Rozstania zawsze przeżywała jako koszmar, ale przyzwyczała się już do tęsknoty za nim i obawy o jego życie w górach.

Obaj uśmiechnęli się, gdy do nich podeszła. Eddie wziął Sarę za rękę i pociągnął w dół, żeby ją pocałować.

— Więc udało ci się uciec?

Roześmiała się i usiadła między nimi, stawiając torby ze śmietaną i butelkami wina, które zostawione same sobie wytoczyły się na podłogę.

— Pokażcie mi, dokąd się wybieracie. Alex pokazał jej trasę przez Butan.

— Więc przewidujecie, że sześć tygodni zabierze wam dojście na miejsce, a potem parę tygodni badań, odpoczynek w Katmandu i kolejny miesiąc w trasie, w dżungli?

— Mniej więcej — powiedział Eddie. Sara przyciągnęła ich do siebie.

— I co ja zrobię bez was przez trzy miesiące? — Mówiła to tonem żartobliwym, ale obydwaj wyczuli w nim prawdziwy smutek. Widzieli go za każdym razem, kiedy ją opuszczali. Alex, a również stopniowo Eddie, dostrzegali, że pod zewnętrzną pewnością siebie kryła się bezradność. Sara robiła, co mogła, aby to zamaskować, prawdopodobnie nigdy by się do podobnych uczuć nie przyznała, ale cała trójka wiedziała o tym doskonale. Alex starał się nie myśleć o rozstaniu, gdyż zmartwienie nie pozwalało mu się skoncentrować. Zawsze tak było. Jako starsza siostra, zawsze się nim opiekowała. Miała być w rodzeństwie tym silniejszym, ale tkwiło w niej coś niepewnego, coś, co sprawiało, że czasami bał się zostawiać ją samą. Od czasu, gdy pojawił się Eddie, uspokoiła się bardzo. Po raz pierwszy do lat, może w ogóle po raz pierwszy, Alex widział ją szczęśliwą, nawet bezpieczną. Przyjrzał się jej. Nie. Nie czuła się bezpiecznie. Zastanawiał się, czy w ogóle potrafi tak się czuć; czy potrafiłaby sobie na to pozwolić. Patrzył, jak śmieją się z Eddiem. Była szczęśliwa, przynajmniej tego był pewien.

— Jedź z nami — rzucił Alex spontanicznie.

— No właśnie, dlaczego nie miałabyś pojechać z nami? — zapytał Eddie.

Sara uśmiechnęła się i wzięła zakupy, aby je zanieść do kuchni. Nie tym razem — pomyślała, rozpakowując torby. Ale już niedługo — obiecała sobie.

Wkrótce...

Zegarek zadzwonił o szóstej. Sara wychyliła się z łóżka i sięgnęła, aby go wyłączyć, po czym z powrotem przypełzła do Eddiego, przywierając do niego całym ciałem. Przytulił ją mocno, chowając twarz w jej włosach, całując szyję, twarz, oczy. Po paru minutach odsunął się odrobinę i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

— Mówiłem wczoraj serio. Mogłabyś jechać z nami. W kilku miejscach plan da się zmienić, i wiesz, jak bardzo obydwaj chcielibyśmy, abyś z nami była...

Sara uśmiechnęła się, patrząc w jego szczere oczy.

— Wiem i kiedyś z wami pojedę, ale jeszcze nie teraz. Jeżeli bym poszła z wami i zasmakowała całej tej wolności, myślę, że nie potrafiłabym wrócić znowu do pracy.

— To chyba nie byłaby taka tragedia? Nie sądzisz?

— Nie mogę rzucić pracy, jeszcze nie teraz — odpowiedziała Sara prosto.

Eddie przyciągnął ją do siebie i znowu pocałował. Wiedział, że nie mógł walczyć z tym argumentem. Powiedziałaaby, że chodzi o pieniądze. Po prostu potrzebowała popracować jeszcze rok albo dwa, wtedy zgromadzi ich wystarczająco dużo, aby odejść. Ale czuł, że było coś jeszcze. Przypuszczał, że z powodu całej swojej buntowniczości miała potrzebę realizowania się w sprawach życia codziennego, znajdowała ulgę w codziennych czynnościach i ograniczeniach, na które tak narzekała. Podejrzywał, że było to typowe dla osieroczonego dziecka pragnienie bezpieczeństwa i regularności. Wziąwszy pod uwagę całą wiedzę o niej, dokonał rozsądnej analizy, wprawdzie niekompletnej, ale prawidłowej.

Wyruszyli o dziewiątej. Sara stała na schodach i patrzyła na odjeżdżającą taksówkę. Cały ciężar ustąpił. Odwróciła się, weszła do środka i długo siedziała pod gorącym prysznicem.

Do łóżek trafili o piątej. Po opróżnieniu talerzy pełnych steków, a potem *creme brulee*, siedzieli, pili, rozmawiali, śmiejąc się głośno i rozgrywali kolejne rundy „Chińczyka”. Sara i Eddie spali prawdopodobnie około pół godziny.

Niepewnym krokiem wyszła spod prysznica słaba z wyczerpania i emocji.

Wycierając się spojrzała w lustro. Jej oczy były puste, pełne smutku. Patrzyła na swoje odbicie przez dłuższą chwilę, po czym uśmiechnęła się blado i odwróciła się.

Odjechali. Ale wróć. Musiała w to wierzyć. Ale samotność połączona z niepewnością ścisnęła jej żołądek, wypełniła strachem i tajemniczą tęsknotą. I chociaż Sara uciekała od niepewności, również potrzebowała jej, mimo że uczucie to destabilizowało ją bardziej niż cokolwiek innego, sama go szukała, zapraszała do swojego życia.

Sara przejrzała całą swoją szafę, zastanawiając się, co na siebie włożyć.

Pamiętała o dzisiejszym lunchu z klientem, wybrała więc elegancką, ale skromną, czarną, lnianą garsonkę; doskonale pasującą do jej nastroju, pomyślała. Czerń pozbawiała jej i tak już bladą twarz kolorów. Weszła do łazienki i wklepała w twarz trochę fluidu. Dodała koloru policzkom i ustom. Pod oczami rozsmarowała korektor, aby ukryć fioletowe cienie. Jeżeli wypije wystarczająco dużo kawy, powinni się na to nabrać, pomyślała.

Anthony Barrington rozmawiał z Johnem Carterem w jednym z prywatnych pokoiów jadalnych w banku Finlays, gdy weszła Sara Jensen. Patrzył, jak idzie w ich kierunku. Ma około metra siedemdziesięciu dwóch, a w tych butach prawdopodobnie metr siedemdziesiąt pięć, zauważył. Jej krok był długi i zdecydowany. Spojrzała na niego jak wspaniała amazonka, chociaż w taki sposób, jakby starała się ukryć swoje wdzięki. Ubrana była skromnie, prawie jak na pogrzeb. Włosy, zebrane do tyłu, nadawały jej twarzy wyraz; surowości, ale było coś jeszcze. A mianowicie oczy, usta, linia szczęki, policzków i brwi: bogata zmysłowość promieniowała z jej rysów. Ascetyzm fryzury i ubioru były tylko pozorem. Gdy podeszła bliżej i zatrzymała się przed nim dostrzegł zaskoczony siateczkę zmarszczek wokół oczu. Wyraźne linie, może niezupełnie zmarszczki, ale mimo wszystko było to niezwykle, jak na jej wiek. Gdy wyciągnęła do niego rękę, uśmiechnęła się i zmarszczki zdawały się podnieść. To była odważna twarz. Jej oczy błyszczały. Uścisnęła mu dłoń, przywitała niskim, miękkim głosem, ale przez ułamek sekundy jej twarz wyrażała pustkę, zupełny brak emocji. Ciepło jednak powróciło. Barrington uścisnął dłoń dziewczyny, spojrzał w jej uśmiechnięte oczy, ale miał wrażenie, że w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana poznaniem go.

Kątem oka Barrington zauważył, że Carter dziwnie mu się przygląda. Szybko spojrzał na swego starego przyjaciela, który, dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę, coś mówił do niego. Zdecydował, że najlepszą bronią będzie szczerość.

— Przepraszam cię, stary przyjacielu, jestem trochę zaskoczony panną Jensen. Nie przygotowałeś mnie na takie spotkanie.

Carter wysłał Sarze porozumiewawcze spojrzenie. Zdarzało się to nie po raz pierwszy.

— Tak, to moja wina — uśmiechnął się i zwrócił się do Sary. — Ale rozumiem. Sara uśmiechnęła się uprzejmie, jak gdyby usłyszała stary dowcip.

— Coś do picia? — zapytał Carter, podchodząc do Sary.

— Krwawą Mary — uśmiechnęła się delikatnie. Kiwnął głową. Barrington poprosił o to samo. Carter zajął się drinkami. Poranne sobotnie Krwawe Mary. Dawno temu. Przygotował normalne proporcje

dla siebie i Barringtona i z podwójną porcją tabasco dla Sary; mocna kajuńska głowa. Uśmiechnął się do siebie i odwrócił do towarzystwa z promiennym uśmiechem. Barrington obserwował Sarę. Raczej piła, niż sęczyła. Stała z boku, patrząc przez okno na morze dachów pod nimi. Znajdowali się na najwyższym piętrze nowoczesnego wieżowca, w którym mieścił się bank Finlays; starsze budynki City, w tym Bank Anglii, rysowały się poniżej.

— Niezły widok. — Pokiwał głową Barrington. — Jeden z najlepszych w City. Sara odwróciła się.

— Prawda? Uwielbiam tu stać i po prostu patrzeć przez okno. Z tego miejsca budynki City wyglądają tak inaczej, spokojnie i niewinnie. Żadnego zgiełku, żadnych ochroniarzy, po prostu hektary odkrytych dachów. — Uśmiechnęła się nagle. — Gdybym miała obrabować bank, zdecydowanie dostałabym się tam przez dach.

Obydwaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

— Cóż, dziękujemy za informację — powiedział prezes. — Jakieś włamanie przez dach i od razu będziemy wiedzieć, kto w tym maczał palce.

— Och, nie podniecaj się za bardzo, prezesie. Nigdy nie udałoby ci się złapać Sary — stwierdził Carter. Mężczyźni znowu wybuchnęli śmiechem, a Sara uśmiechnęła się, patrząc przez okno, i zapaliła papierosa.

W drzwiach pojawił się kelner, dyskretnie dając znak Carterowi, że lunch jest gotowy.

— Dziękuję, Fred, możesz podawać — powiedział Carter. Wskazał Sarze i Barringtonowi krzesła. Sam usiadł u szczytu stołu, Barrington z prawej, a Sara z lewej strony. Fred wniósł ciepłą potrawkę z wątróbek drobiowych.

— Więc studiowała pani w Cambridge? — zapytał Barrington przełykając. Sara kiwnęła głową, poczuła falę zmęczenia i znudzenia i odpowiedziała mechanicznie.

— Od 1985 do 1988. Matematyka. Trzy lata.

— Dwie piątki — dodał Carter.

— Nie nasza liga — zaśmiał się Barrington. Sara uśmiechnęła się uprzejmie.

— Tylko matematyka? — kontynuował Barrington.

— Tak, ale chodziłam też przez parę semestrów na filozofię.

— Cóż za połączenie.

— Doskonałe połączenie — odparła Sara. — Serce i umysł.

— A teraz City? — Barrington pochylił się nad stołem w jej kierunku, unosząc brwi.

— Tak, niezupełnie jedno wynika z drugiego, prawda?

Zapadła cisza i dwóch mężczyzn czekało, aż Sara wyjaśni. Wzruszyła ramionami.

— Czy to nie oczywiste?

Barrington spojrzał lekko zażenowany. Odkasznął.

— Tak, ale poza pieniędzmi, czy jest jakiś inny powód? Czy bawi panią handel na międzynarodowym rynku walut?

Sara roześmiała się, po czym szybko zatuszowała to uprzejmością.

— Cóż, nie powiedziałabym, że mnie to bawi. Tego słowa użyłabym raczej w odniesieniu do wspinaczki wysokogórskiej, jazdy na nartach albo czytania. To mnie interesuje. Lubię hazard i, co zaskakujące, rynek też jest mieszaniną serca i umysłu, tego co logiczne i tego, co wynika z emocji. W Czarną Środę albo w noc moskiewskiego puczu, kiedy obalano Gorbaczowa, uczucia grały równie wielką rolę jak logika. Emocje na rynku, psychologia, próby manipulowania rynkiem lub przynajmniej innymi maklerami. Tak, to jest fascynujące. To jest jak wielka gra. Barrington zamilkł, Carter widział, jak obserwuje Sarę, po chwili wyrwał się z zamyślenia.

— Gra? Ta gra ma dosyć poważne konsekwencje.

— Ależ nie mówię, że nie ma. To prawda. Powstają i upadają całe fortuny, setki milionów, miliardy, rozpada się rządowa polityka ekonomiczna, kończą się kariery polityczne.

— Mówi pani tak, jakby to pani nie dotyczyło — powiedział prezes lekko poruszony.

— Bo nie dotyczy — odpowiedziała Sara. — Albo przynajmniej nie na moim stanowisku jako maklera na rynku walut. Zarabiam pieniądze dla mojego pracodawcy. Jasne i proste. Jako prywatna osoba oczywiście myślę o polityce ekonomicznej i o zrujnowanych ludzkich karierach, ale to jest wliczone w ryzyko tej gry. Tak samo łatwo coś podobnego może się przytrafić mnie. Jeśli parę razy popełnię błąd, stracę kilka milionów funtów, John bez wahania wyleje mnie z pracy i będzie miał rację.

— Nie wydaje się pani zbyt zaniepokojona tą perspektywą — zauważył Barrington. — A dlaczego miałabym być? — wzruszyła ramionami Sara. Carter wtrącił: — Jeżeli chodzi o moje zdanie, Sara jest jednym z najlepszych maklerów rynku walutowego na całej giełdzie. Jest ostatnią osobą, która mogłaby się martwić perspektywą wylania. Barrington wyprostował się z powrotem na krześle.

— Czyżby była aż tak dobra? — spytał z uśmiechem.

— Jest aż tak dobra — powtórzył Carter.

Dania pojawiały się i znikwały. Fred wniósł mus czekoladowy. Sara, ku zadowoleniu Barringtona, zabrała się do swojego z apetytem.

— John powiedział mi, że urodziła się pani w Nowym Orleanie, to bardzo interesujące - zagadnął ją. Zauważył z zaniepokojeniem, że drgnęła na wspomnienie Nowego Orleanu. Przypomniała sobie zapewne, że tam zginęli jej rodzice. Ugryzł się w język. Jak mógł być tak niedelikatny? Jednakże jej twarz pozostała kamienna tak, że zastanawiał się, czy przypadkiem mu się nie przywidziało. Zaczęła opowiadać z uśmiechem.

— Moja mama urodziła się w Nowym Orleanie. Jej rodzice to osadnicy z Francji, którzy przybyli tam z Nowej Szkocji. Moja mama była piękna, drobniejsza, delikatniejsza i ciemniejsza ode mnie, miała czarne włosy i głębokie brązowe oczy... Mój ojciec przyjechał do Nowego Orleanu na wakacje, spotkał tam mamę i już się nie rozstali. — Sara rozłożyła ręce. — No i jestem. — Spojrzała na stół, sięgnęła po szklanekę i napiła się czerwonego wina.

— To wszystko tłumaczy — powiedział Barrington, chcąc wprowadzić lżejszy nastrój.

Sara uniosła brew pytająco.

— Pani karnacja — dodał Barrington, wykazując się przebiegłością detektywa Poirot.

— Oryginalni Kajuni, francuscy i hiszpańscy osadnicy — wyjaśniła Sara — to mieszane małżeństwa, także krew włoska, pewnie również murzyńska. Jesteśmy ciemniejsi od Francuzów czystej krwi — uśmiechnęła się, jak gdyby na wspomnienie czegoś. Po raz pierwszy cała jej twarz rozjaśniła się; Barrington prawie podskoczył, gdy zobaczył to napięcie w jej oczach.

Lunch dobiegł końca. Barrington podziękował Carterowi, i ciepło uściśnął dłoń Sary. Uśmiechnął się i pożegnał. Sprawilo mu przyjemność, gdy zauważył jej lekkie zdziwienie, którego nie usiłowała ukryć. Dawała mu do zrozumienia, że domyśla się, iż była pewnego rodzaju eksponatem, i nie ma sensu pytać go o prawdziwy cel tego lunchu. Wykazywała cierpliwość, jak gdyby wiedziała, że i tak w swoim czasie wszystkiego się dowie.

Niezwykła kobieta, pomyślał Barrington, wracając do banku. W ciszy swojego gabinetu zadzwonił do Bartropa.

— Myślę, że znaleźliśmy odpowiedniego szpiega dla pana. Bartrop zignorował złośliwość.

— Świetnie, niech mi pan coś o nim powie.

— Prawdę mówiąc, to jest ona, inteligentna, wykształcona i piękna. I bardzo poważna, najwyraźniej jest jednym z najlepszych maklerów międzynarodowego rynku walutowego w City.

— To brzmi obiecująco. Jak się nazywa?

— Jensen.

— A pełne imię i nazwisko? Bartrop usłyszał szelest papieru.

— Sara Louise Jensen.

— Spodziewam się, że to Angielka.

— Cóż, jest obywatelką brytyjską, ale jej mama była amerykanką, a...

— Jej matka nie żyje? — przerwał Bartrop.

— Tak, i ojciec też. Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miała osiem lat. Bartrop wystrzelił serię pytań na ten temat.

— Nie jest to osoba z tak zwanego dobrego domu, prawda? Nowy Orlean, sieroctwo, wychowana przez ciotkę, kajuńskie pochodzenie. To brzmi jak recepta na katastrofę, panie prezesie.

— Można by tak pomyśleć, panie Bartrop, ale pan jej nie widział. Jest tak normalna i tak świetnie zaadaptowana, jak tylko mógłby pan sobie wymarzyć.

— Cóż, jeśli pan tak mówi, jestem pewien, że ma pan rację, panie prezesie. Ale najpierw sami sprawdzimy parę rzeczy na jej temat. Po egzotycznych kobietach częściej niż po innych można się spodziewać, że ukrywają przysłowiowego trupa w szafie.

— No cóż, niech pan ją sprawdzi. Wyślę panu kopię jej dossier, może się przyda.

— Dziękuję panie prezesie, da to nam trochę materiału na początek. — Bartrop pożegnał się zadowolony z takiego zakończenia rozmowy.

## Rozdział 5

Bartrop zadzwonił do prezesa wieczorem następnego dnia. — Więc jest pan pewien tej dziewczyny? — zapytał.

— Byłem pewien wczoraj i dzisiaj wciąż jestem pewien, oczywiście pod warunkiem, że twoi szpiedzy nie odkryli jednego z tych trupów w szafie, o których wspominałeś.

— Żadnych trupów. Sprawdziliśmy. Żadnych przeciwwskazań. Wydaje się wystarczająco normalną, młodą kobietą. Ciężko pracuje, bawi się też nie najgorzej, wypija swoją działkę, ale to nie jest problem. Miała wielu chłopaków w Cambridge, ale wydaje się, że teraz się ustatkowała. Wie pan, że chodziła swego czasu z Carterem, wiedział pan o tym, prawda?

— Oczywiście, że wiedziałem — skłamał Barrington. — I co z tego wynika?

— Nic szczególnego. W każdym razie, panie prezesie, pod każdym względem się nadaje.

— Jak to, nadaje się? — warknął Barrington. — Jest doskonała.

— W porządku, niech będzie. Jest doskonała. Jest pan zadowolony? Czy zamierza pan kontynuować to przedsięwzięcie?

— Owszem, zamierzam.

— Ale mam na myśli, czy zamierza pan to robić osobiście.

— Niech pan słucha, panie Bartrop. Już to przerabialiśmy. Mam pańską gwarancję, ponadto poznałem Sarę Jensen i mogę panu powiedzieć, że żaden Marcus Aylyard, czy ktokolwiek inny sobie z tym nie poradzi. Jest świetna i nie sądzę, żeby Aylyard mógł zrobić na niej wrażenie. Teraz cała sprawa sprowadza się do tego, żeby ją pozyskać, zdobyć jej zaufanie

I skłonić do tego, aby robiła dokładnie to, o co nam chodzi, czyż nie tak?

— Właśnie tak.

— Dobrze więc, żadnego zastępstwa, sam poprowadzę tę sprawę.

— Świetnie, bardzo się cieszę, panie prezesie. Ale teraz lepiej zajmijmy się wdrażaniem panny Jensen.



Po drugiej stronie linii telefonicznej Barrington wzdrygnął się, słysząc to obrzydliwe słowo, „wdrażanie”.

— Najważniejszą rzeczą, o której nie możemy zapomnieć — kontynuował Bartrop — jest to, że wdrożenie musi być częściowe. Musimy jej opowiedzieć dobrą historię, aby złapała przynętę, ale nic nie może wskazywać na to, że celem naszej akcji jest Fieri. Absolutnie nie może o tym wiedzieć. Powinna myśleć, że cała sprawa dotyczy po prostu korupcji w City. Jeżeli później uznamy za stosowne zdradzić jej coś więcej, zrobimy to wtedy. A teraz zobaczymy, czy skłonna jest chwycić przynętę. Potem, jeśli dostanie tę pracę, popatrzymy, jak sobie radzi, czy jest dobra i do jakiego stopnia możemy na niej polegać. Wtedy podejmiemy decyzję.

— To brzmi rozsądnie — powiedział prezes.

— Powodzenia — życzył mu Bartrop, po czym się rozłączyli. Prezes sięgnął do szuflady w biurku i wyjął piersiówkę z whisky.

Pociągnął łyk i zadzwonił do Cartera. Powiedział mu, że chce się zobaczyć z Sarą Jensen jutro rano, na przykład o dziewiątej, w swoim banku. Zapytał, czy Carter mógłby to zorganizować.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy Sara właśnie wchodziła do domu. Zignorowała dzwoniący telefon. Jedyni ludzie, z którymi chciałaby teraz porozmawiać, byli z dala od telefonu, w niedostępnej krainie.

John Carter nagrywał się na sekretarkę z pytaniem, czy mogłaby do niego zadzwonić, bardzo prosił, w pilnej sprawie. Sara szła niewzruszenie przez pusty dom. Było wpół do szóstej; czuła się wyczerpana. Cokolwiek się dzieje, może poczekać do jutra.

Sięgnęła po butelkę whisky stojącą na podłodze i zabrała ją do sypialni. Łóżko wyglądało ponuro i pusto, pościel w nieładzie. Sara wybrała nagranie Cagneya i Lacey'a ze stosu taśm wideo i włożyła kasetę do odtwarzacza. Zabrzmiały dźwięki jazzowego tematu. Zrzuciła z siebie ubrania, włożyła starą piżamę i wtuliła się w rozrzucone w nieładzie prześcieradła. Wlała w siebie sporą ilość whisky, zanim telefon zadzwonił ponownie. Podniosła słuchawkę i zirytowanym głosem rzuciła: „halo”. To był znowu John Carter. Zapytał grzecznie, czy nie przeszkadza, przepraszając, że ją niepokoi, ale musi z nią porozmawiać.

— Wszystko w porządku — powiedziała Sara, ścisząc jednocześnie muzykę.

— Wczoraj na lunchu zdawałaś się zmęczona.

— Och przepraszam, czy byłam strasznie nudna? Carter roześmiał się.

— Nie aż tak bardzo. Prezes uważa, że jesteś absolutnie czarująca.

— Naprawdę? To miło. — Rozproszona niemymi obrazami Sara wyłączyła wideo.

— A propos, nie miałam okazji cię zapytać, po co

w ogóle wzięłaś mnie na to spotkanie z prezesem. Cała sprawa wydaje mi się trochę dziwna.

— Bo jest dziwna — przyznał Carter — ale to był jego pomysł, nie mój. Powiedział, że chce rozmawiać z jakimś maklerem giełdy walutowej, więc zaproponowałem cię. — Zamilkł na chwilę. — Teraz chce się z tobą spotkać w banku.

Sara była oszołomiona.

— O co tu chodzi, John?

— Szczerze ci mówię, że nie wiem. Może chce cię zatrudnić.

— Trudno mi uwierzyć, że prezes Banku Anglii traci czas, zajmując się rekrutacją pracowników.

— Masz rację, ale słuchaj, Saro, wszystko, co mogę zrobić, to przekazać ci wiadomość od niego. Powiedział, że bardzo chciałby spotkać się z tobą w banku jutro o dziewiątej rano.

— W porządku — zgodziła się Sara. — Więc do zobaczenia jutro o dziewiątej.

— O nie — sprostował Carter. — Tam będziesz tylko ty i prezes.

O dziewiątej rano stacja metra przy banku była pełna ludzi. W tym miejscu przecinały się Północna i Centralna linia, wylewając z siebie na ulicę strumień skwaszonych twarzy. Niosąc jak paszporty *Financial Timesa* albo *Sun*, wstępowali do baru „Birley's” po słodkie bułeczki oraz cappuccino i wynosili je w białych papierowych torbach, aby następnie wypełnić windy setek instytucji finansowych zapachem śniadania.

Sara wyszła ze stacji metra i ruszyła wzdłuż Threadneedle Street. Oślepiające słońce, którego promienie odbijały się w szybach wieżowców, zmusiły ją do zmrużenia oczu. Wbiegła po kilku schodkach prowadzących z ulicy, jej wysokie obcasy stukały na wyszlifowanych kamieniach. Uśmiechnęła się do wysokiego mężczyzny w czarnym kapeluszu i różowym, krótkim żakiecie, stojącego na straży w drzwiach gmachu Banku Anglii. Ten żywy, różowy kolor nazwano „różem Houblona”, przypomniała sobie, na cześć sir Johna Houblona, pierwszego prezesa Banku Anglii, który został powołany aktem parlamentu w 1694 roku. Był to kolor liberii jego służby i został zachowany z tamtych czasów przez odźwiernych i służących. Kilka lat wcześniej, kiedy zaczęła pracować w City, wybrała się na wycieczkę z przewodnikiem po Banku Anglii. Ale wiele nie zobaczyła. Najbardziej interesujące części nie zostały udostępnione zwiedzającym. Poczula lekki dreszcz emocji na myśl, że dzisiaj zobaczy wnętrze biura prezesa.

Sara uśmiechnęła się do odźwiernego i weszła do sklepionego holu wejściowego, który był długi, a posadzkę pokrywały tu mozaiki z różnych epok. Podeszła do biurka recepcjonisty, wymieniła swoje imię i nazwisko, dodając, że jest umówiona z prezesem.

Recepcjonista uśmiechnął się, gdyż uprzedzono go o jej wizycie. Przez telefon oznajmił, że panna Jensen już idzie. Skinął głową odźwiernemu, który zwrócił się do Sary, wyrecytował dworskie: „proszę tędy, proszę pani”, i odprowadził ją do tak zwanych salonów — najważniejszego i najbardziej imponującego miejsca w banku, gdzie znajdują się gabinety prezesa, wiceprezesa i wszystkich dyrektorów.

Z jakiegoś dziwnego nawyku Sara usiłowała zapamiętać drogę, ale w końcu się zgubiła. Jej uwagę rozproszył odgłos własnych kroków odbijających się echem od mozaikowych podłóg, obrazy wiszące na ścianach, wysokie sufity, piękne gzymsy i przytłumione dźwięki dochodzące z za zamkniętych drzwi.

Odźwierny zatrzymał się przed obitymi dębową boazerią drzwiami i zapukał z szacunkiem. Drzwi otworzyła sekretarka, a odźwierny wprowadził Sarę do środka, anonsując z szacunkiem jej imię i nazwisko, po czym wycofał się cicho. Z uprzejmym uśmiechem sekretarka zaprowadziła Sarę do biura prezesa.

Prezes stał tyłem do niej, patrząc przez okno na wewnętrzny dziedziniec. Ręce miał założone za plecami, zdawał się kontemplować obraz ładu i spokoju, który się przed nim roztaczał. Dziedziniec otoczony był biurami wyższych rangą urzędników, którzy kierowali bankiem. Napawało to prezesa dumą, że jego pracownicy patrzyli na siebie nawzajem, a nie na świat zewnętrzny. Cały Bank Anglii uważany był za symbol olimpijskiego spokoju. Wrzawa metra z jego zgiełkiem, tłumem i niechlujnymi maklerami zdawała się nie należeć do tego samego świata. Panowała tu dystygowana atmosfera, tak jak dystygowany wydawał się mężczyzna, który zajmował to biuro.

Prezes odwrócił się, uśmiechnął szeroko, podszedł do Sary i uściśnął jej dłoń.

— Witaj, Saro, miło cię znowu widzieć. — Wskazał jej ręką fotel pod ścianą, nad którym wisiał jakiś obraz. — Nie usiądzie pani? — Uśmiechnął się i usiadł naprzeciw, ze wzrokiem utkwionym nieco ponad nią. Podobnie jak wczoraj, Sara czuła, że jest bacznie obserwowana.

— Przede wszystkim chciałbym podziękować za to, że zgodziła się pani przyjść w tak krótkim czasie po zaproszeniu. — Przerwał, eleganckim gestem założył nogę na nogę i pochylił się w jej kierunku. Sara uśmiechnęła się lekko i czekała, co powie dalej. Uśmiech pewności siebie pojawił się na chwilę na jego twarzy, a on sam zdawał się czekać na jakąś wewnętrzną siłę, która pozwoli mu kontynuować. — Chciałbym, aby miała pani na uwadze, że o rzeczach, o których będziemy tu mówić, nie będzie pani mogła swobodnie rozmawiać z nikim innym. Jeżeli czuje pani, że nie sprostą temu warunkowi, powinienem przerwać nasze spotkanie w tym momencie.

— Przestał się uśmiechać, a spojrzenie utkwiał w jej oczach.

Sara przez chwilę milczała, usiłując uciszyć ciekawość rodzącą się w jej umyśle.

Odpowiedziała w ten sam zrównoważony sposób.

— Oczywiście panie prezesie, cokolwiek od pana usłyszę, potraktuję jako poufne. Wytrzymując jej spojrzenie, zaczął mówić:

— Jak pani wie, w ciągu ostatnich paru lat zdarzyło się sporo skandali, w które były zamieszane firmy w City. Bardzo źle wpłynęły one na naszą reputację.

Sara kiwnęła głową. Rzeczywiście, był Guinness, Blue Arrow, Barlow Clowes, Maxwell, BCCI i cała masa przypadków o mniejszym znaczeniu. BCCI, czyli Bank Kredytów i Rynków Międzynarodowych znany inaczej w City jako Bank Kretynów i Rabunków Międzynarodowych, szczególnie zaszkodził interesom Banku Anglii. Był sprawcą największej defraudacji w historii bankowości, a Bank Anglii, jako główny zarządzający, został zaatakowany w Raporcie Bingham'a za dopuszczenie do multimiliardowej defraudacji i groźby ogłoszenia bankructwa banku.

Prezes zmarszczył czoło.

— Rośnie nacisk na parlament, aby uchwalił ustawę godzącą w City, która osłabiłaby nas jeszcze bardziej, a w rozwiązaniu problemu defraudacji nie pomogłaby wiele.

Sara rozumiała jego niepokój. City nie znosiło, kiedy uważani za ignorantów ludzie z zewnątrz ingerowali w jego sprawy. Wołało samo ustanawiać swoje prawa przez Izbę Lordów.

— Oczywiście, dostrzegam, że w niektórych sprawach istniejący system nie spełnia swojej roli tak skutecznie, jakby mógł. Na przykład, te procesy o defraudacje umarzone po latach zbierania dowodów, a kosztujące dziesiątki milionów funtów...

— Prezes rzucił nienawistne spojrzenie niewidzialnemu wrogowi. — To wysoce niepokojąca farsa.

Guinness, pomyślała Sara, i Blue Arrow. Sprawa Guinnessa miała powszechnie złą sławę z powodu nierównego zastosowania sprawiedliwości. Niektórzy obrońcy doprowadzali do umorzenia sprawy z powodów trudnych do zrozumienia i zaakceptowania, szczególnie przez ludzi, którzy oskarżeni o to samo zostali skazani na parę lat więzienia. Blue Arrow przysporzyło niezłych problemów Najwyższej Izbie Kontroli. Sprawa trwała dwa lata i kosztowała podatników trzydzieści siedem milionów funtów. Lista wydatków była zbyt długa i zbyt skomplikowana, a niejednolite oskarżenia obalano po apelacji.

Poprzedni prezes, chociaż nie ponosił odpowiedzialności za prowadzenie sprawy przez Najwyższą Izbę Kontroli, ani za przebieg rozprawy sądowej, został ostro, choć nie bezpośrednio skrytykowany za mało efektywne działanie jako zarządcy City.

Barrington, dostrzegając w Sarze oznaki solidarności, zapalił się do tematu.

— Oczywiście defraudacje w City zdarzały się zawsze, ale kiedyś potrafiliśmy poradzić sobie z korikretnymi przypadkami dyskretnie, prezesa

informowano o wykroczeniach, brał na dywanik winowajców, którzy potem grzecznie odchodzili na emeryturę. Było to bardzo sprytne. City samo siebie kontrolowało, defraudacje likwidowano w zarodku i nic nie godziło w jego reputację. Rodzaj samokontroli. O wiele bardziej efektywne, niż publiczne pranie brudów, nie sądzi pani?

— Ma to swoje zalety — zgodziła się Sara — dopóki odpowiedzialni za samokontrolę są nieprzekupni.

Prezes rzucił jej ostre spojrzenie.

— Ktoś musi odgrywać rolę Pana Boga.

— Myślałam, że od tego są sądy.

— W idealnej sytuacji tak — zgodził się Barrington lekko zirytowany. — Ale zmierzam do tego, że w pewnych, przyznaję, że rzadkich przypadkach, ten system się nie sprawdza.

Sara wstrzymała się od komentarza i zaczekała, co powie prezes. Wzruszył ramionami.

— Widzi pani, nie możemy sobie pozwolić na kolejne wielkie skandale.

Defraudacje nie skończą się, więc musimy znaleźć jakiś nowy sposób radzenia sobie z nimi, bez polegania na obecnym systemie występowania na drogę sądową przez Najwyższą Izbę; Kontroli. Oczywiście Biuro do Spraw Defraudacji nadal będzie odgrywać główną rolę, zwłaszcza w bardziej zaawansowanych przypadkach. Po publikacji raportu Bingham'a nie mogę powstrzymać uczucia, że gdy grupy dochodzeniowe uderzają na alarm, część defraudantów nagle się ulatnia.

Sara zgodziła się kiwając głową.

— Chce pan powiedzieć, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, że jeżeli jacyś defraudanci nie mogą być wykryci, pan powinien stać się niewidoczny, aby przyłapać podejrzanych na gorącym uczynku, inaczej dowody przestępstwa zostaną po prostu uznane za niewystarczające.

— Właśnie — potwierdził Barrington z uśmiechem tryumfu, pochylając się nad biurkiem w jej kierunku. — Właśnie tak. I chciałbym, aby pani pomogła mi rozwiązać ten problem. Sara nagle zapomniała o paru ostatnich wyczerpujących dniach i poczuła, jak z zaciekawienia przyspiesza jej puls. Wyprostowała się w swoim fotelu i słuchała zaaferowana. — Czy słyszała pani o Intercontinental Bank?

— Któż by nie słyszał? Prezes uśmiechnął się.

— Rzeczywiście. Mają fatalną reputację. Są dynamiczni, osiągają ogromne dochody, są przebojowi; wie pani, pracują ciężko, bawią się ostro, ale wokół nich unosi się jakiś brzydki zapach. — Jego błękitne oczy zwężyły się. — Szczególnie tamtejszy dział międzynarodowej wymiany walutowej. Ich księgi handlowe wyglądają zbyt dobrze, aby mogły być prawdziwe, i krążą o nich różne plotki. — Przerwał, przyglądał się jej przez chwilę, po czym wyznał. — Właśnie szukają nowego maklera.

Myślę, że pani świetnie nadawałaby się na to stanowisko. Oczywiście, jeżeli pani się zgodzi.

Barrington uśmiechnął się. Sara siedziała nieruchomo z nogami okręconymi wokół nóg fotela. Palce miała splecione. Patrzyła ponad głową Barringtona za okno na podwórze pod nimi. Czuła nagły przypływ podniecenia. Zawsze chciała pracować dla ICB, każdy makler, który miał ICB w życiorysie, stawał się obiektem najwyższego podziwu. Jeżeli potrafiłeś tam przetrwać, potrafiłbyś przetrwać wszędzie. Uznawano ich za niekoronowanych królów City, twardzi i bezwzględni, ale płacili świetnie. „Bрудnymi pieniędzmi”, pomyślała Sara. Uśmiechnęła się do Barringtona.

— Bardzo bym chciała dostać tę pracę. Ale lepiej niech mi pan powie, co muszę najpierw zrobić.

— Najpierw dostać pracę. Zorganizuję, że ktoś z agencji łowców głów zadzwoni do pani po południu, żeby umówić panią na interwiew. Z pani notowaniami nie powinna mieć pani problemów z podbiciem ich. Kiedy dostanie już pani tę pracę, a jestem pewien, że ją pani dostanie, niech pani patrzy i obserwuje. Proszę się zachowywać normalnie, ale wyczulić uwagę na wszystko, co mogłoby się wydawać podejrzanym. Będzie mi pani referować to, co uzna pani za dziwne, jeżeli chodzi o zachowania na rynku. Jeżeli okaże się, że w jakikolwiek sposób łamią prawo, osobiście włączę się do sprawy.

— W jaki sposób? — zapytała Sara.

— Bardzo prosty. Poinformuję ich, że jeżeli nie zrezygnują z procederu i nie odejdą z City, zostaną postawieni w stan oskarżenia. Jeżeli będą mieli choć trochę rozsądku, nie odrzucą mojej propozycji, nie sądzi pani?

— Cóż, sądzę, że tak. Jeśli będą winni, a my im to udowodnimy.

— Proszę nie zapominać, że w moich zamierzeniach sprawa nigdy nie trafi do sądu. Nie potrzebujemy więc dowodów sądowych, wystarczy mi informacja, że popełniono wykroczenie. Oczekujemy, że dowie się pani, kto dokładnie i jakiego przestępstwa się dopuszcza.

— Z tego, co pan mówi, wydaje się to proste — powiedziała Sara. Prezes roześmiał się. — Przykro mi, ale jestem pewien, że to nie okaże się takie proste. Myślę jednak, że dzięki spokojnej, systematycznej obserwacji z bliska powinna pani do czegoś dojść. Oczywiście będzie to eksperyment dla nas obojga. Musimy poruszać się po omacku, dopasowywać elementy układanki w trakcie naszej współpracy...

Sara oparła się w fotelu i przez chwilę milczała.

— Zastanawiam się tylko, czy ludzie, którzy robią takie rzeczy, nie powinni być profesjonalistami? Chodzi mi o to, że nie mam żadnego przygotowania.

— I bardzo dobrze — uznał prezes. — Nie możemy użyć zawodowych wywiadowców. Spłoszyliby zwierzynę. Jak powiedziałem, osoba, jakiej potrzebujemy, to makler międzynarodowego rynku walutowego, tajny

współpracownik, który może wszystko obserwować z bliska. Ktoś, kto zna się na interesie, kto wie, co jest normalne, a co podejrzanе, i ktoś, kto może obserwować bez wzbudzania jakichkolwiek podejrzeń. Pochylił się znowu w jej kierunku.

— Rozejrzeliśmy się trochę, Saro, ty jesteś do tego zadania doskonała.

— My? Kim są ci my? — zapytała Sara ostro. Barrington zaklął w myślach.

Uśmiechnął się.

— John Carter, oczywiście. To on panią polecił.

— Ach — uspokoiła się Sara — John. Oczywiście. Więc on o wszystkim wie?

— Nie. Nie o wszystkim. Tylko częściowo. Ale prosiłbym, aby nie rozmawiała z nim pani na ten temat. O to samo poprosiłem jego. Mógłby się więc czuć niezręcznie, gdyby pani poruszyła tę kwestię.

— Oczywiście — powiedziała Sara lekko rozdrażniona. — Jeżeli mnie pan prosi o utrzymanie tajemnicy, oczywiście dochowam jej. — Lekko zmarszczyła czoło. — Ale proszę mi wyjaśnić, na czym opiera pan swoje podejrzenia wobec ICB i dlaczego zdecydował się pan na podjęcie takiego właśnie śledztwa?

Barrington ledwie powstrzymał się od głośnego westchnienia. Ta kobieta była nieugięta.

— Rewident księgowy nabrał takich podejrzeń i zgłosił je swoim zwierzchnikom, a ten przyszedł z tym do mnie — wyjaśnił pobieżnie, po czym uśmiechnął się, jakby próbował przekonać ją. — Później był problem decyzji o najlepszym sposobie śledztwa. Myślałem o tym przez parę tygodni; i zdecydowałem się na ten eksperyment. Następnie należało znaleźć odpowiednią osobę i w tym momencie John Carter i pani zostaliście włączeni do sprawy.

Sara z powrotem usiadła w fotelu i pogрузzyła się w myślach. Prezes czekał. W końcu Sara się odezwała:

— To brzmi interesująco, intrygująco. Chciałabym spróbować, ale proszę mi powiedzieć, kto i o co jest podejrzany.

Barrington uśmiechnął się. Był zadowolony.

— Pamięta pani, jak mówiłem że dochody działu międzynarodowej wymiany walutowej IBC wyglądają zbyt dobrze, aby mogły być prawdziwe?

Sara kiwnęła głową.

— Cóż, te dochody podskoczyły, kiedy pojawił się tam osobnik o imieniu Dante Scarpirato. Jest albo geniuszem, albo przestępcą.

— A w jaki sposób, pańskim zdaniem, zarabia pieniądze, jeśli jest przestępcą?

Barrington uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

— Na tym właśnie polega problem; trzeba zrozumieć umysł kryminalisty. Oni są dużo lepsi w wymyślaniu przestępstw, niż służby specjalne w ich wykrywaniu.

Naprawdę nie wiem, co to jest. Gdybym

zaryzykował kilka możliwości, mogłoby to panią skierować na fałszywy trop.

— Niezła zabawa. Więc teraz mam pozwolenie, aby myśleć jak przestępca.

Przez moment Barrington wyglądał na przerażonego.

— Proszę się nie martwić — roześmiała się Sara. — To tylko dowcip. — Wróciła do sprawy. — Ten Dante Scarpinato. Czy pan go zna?

— Spotkałem go raz — powiedział Barrington niemalże z niesmakiem. — Jest napuszony, arogancki, przebiegły; wie pani, Annabel's, Mark's Club, trwała opalenizna. Mówi się o nim, że jest bezwzględny, wszystkich traktuje jak wrogów. Jakoś sobie z tym radzi, bo zarabia masę pieniędzy. Nie jest to najsympatyczniejsza postać. — Barrington przerwał i spojrzał zaaferowany na Sarę. — Powiedziano mi również, że potrafi sobie radzić z kobietami.

Sara roześmiała się.

— Proszę się o mnie nie martwić, panie prezesie, umiem o sobie zadbać.

— Jestem pewien, że pani umie, i to bardzo dobrze. — Zaczął wstawać, wtedy jednak, jak gdyby przypominając sobie o czymś, usiadł znowu. Gdy się odezwał, Sara odniosła wrażenie, że jest lekko skrepowany.

— Ach tak, przypomniało mi się jeszcze coś, o czym muszę pani powiedzieć.

Dowiedziawszy się wszystkiego, może pani zdecydować, że jednak nie chce z nami współpracować. Jeśli tak, okażę wyrozumiałość, ale musi pani być szczerą.

Sara przechyliła głowę i obserwowała go w milczeniu.

— Cała operacja, cóż, dzida pani na własne ryzyko. Mogłaby pani pomyśleć, że konieczne będzie zbliżyć się do źródła. Rozumie pani, w zdobywaniu informacji. Akceptuję to. Informacja jest dla nas bardzo ważna. Warta ryzyka, jeśli zechce je pani podjąć. Nie wiem dokładnie, jak pani będzie chciała pracować i co pani zrobi, kiedy otrzyma pani tam stanowisko. Wybór metody zależy od pani. Ale muszę panią ostrzec, jeżeli zostanie pani na czymś przyłapana, mimo że zakulisowo udzielię pani każdej pomocy, nie będę mógł pani pomóc oficjalnie. Najlepiej, jeśli po prostu nie da się pani przyłapać. — Zaczerwienił się ledwo zauważalnie. Utrzymał jednak kamienną twarz i wrażenie pewności siebie.

Znaleźć się bliżej źródła. Nie dać się złapać. To przecież jest normalna rzecz na każdym chyba stanowisku w City, pomyślała Sara. Nie powiedziała jednak tego głośno, dochodząc do wniosku, że to wcale nie jest dowcip i prezes prawdopodobnie nie uznałby tego za śmieszne. Chwilę milczała, zmuszając się do poważnego przemyślenia wszystkiego, co usłyszała. Po chwili przemówiła:

— Jak powiedziałam, prezesie, proszę się o mnie nie martwić. Potrafię



się o siebie troszczyć. Rozumiem zasady — dodała po chwili zastanowienia — przynajmniej tak długo, dopóki się one nie zmieniają.

Nie wiedział dlaczego, ale uznał tę uwagę za jakąś przepowiednię. Nie była to zwykła linia postępowania, doskonale niewinna. Zbyt często, pomyślał, rozmawiam z Jamesem Bartropem; nabieram przy nim chorobliwej podejrzliwości.

— No cóż, dobrze, to chyba wszystko. — Prezes przez chwilę miał niepewną minę, po czym przypomniał sobie. — Ach, kartoteka. — Sięgnął po skórzaną teczkę z napisem „ICB”, leżącą w szufladzie jego biurka, i podał ją Sarze. — Dobrze będzie, jeśli obejrzy to sobie pani. Jest tam parę rocznych zestawień, wycinków z prasy, wewnętrznych raportów przygotowanych przez nasz Departament Nadzoru Rynków. Wykazują, że dochody ICB z rynku międzynarodowej wymiany walutowej podskoczyły gwałtownie w ciągu ostatniego roku, od czasu gdy zaczął tam pracować Dante Scarpirato. — Wstał, aby zakończyć spotkanie. — Zatem, Saro, życzę pani szczęścia z ICB. Proszę dawać mi znać, jak sobie pani radzi. — Zapisał coś na skrawku papieru. — To mój prywatny numer telefonu w banku i numer do mojego mieszkania tutaj, gdyby wydarzyło się coś szczególnie ważnego. — Podał papier Sarze i na pożegnanie uściśnął jej dłoń.

Sara szła odbijającym echo jej kroków korytarzem, aż w końcu znalazła się na pełnej zgiełku ulicy. Było coś, co nie dawało jej spokoju. Czowała, że prezes coś ukrywał. Może chodziło o te jego podejrzenia dotyczące rodzaju defraudacji — zdecydowała. W gruncie rzeczy, gdyby były to tylko niejasne przeczucia, zatrzymanie ich dla siebie miało sens, w innym razie mogłby błędnie ukierunkować jej śledztwo. Skończyłaby na potwierdzaniu domysłów i nie trafiła na prawdziwą defraudację.

Była do tego stopnia zaaferowana, że podniecenie wynikające z tego zadania wypłoszyło z jej świadomości wszystkie inne zmartwienia. Prezes trafił w jej czuły punkt. Uwielbiała tajemnice i podniecenie. Pod wieloma względami prezes nie mógł trafić na lepszego kandydata.

Sara mogła uprzejmie wycofać się, zapomnieć o całej rozmowie i wrócić do swojego biurka w Finlays. Ale tego nie zrobiła, i w wyniku tej decyzji jej życie i życie wielu innych ludzi miało się nieodwracalnie zmienić.

## Rozdział 6

Sara spojrzała na zegarek: dziesiąta rano. Główna ulica przed Bankiem Anglii była spokojniejsza; większość ludzi zajęła się już swoją poranną pracą, choć wciąż unosiła się atmosfera zamieszania i pośpiechu. Thread-needle Street, Princes Street, Cornhill, King William Street, Queen Victoria Street i Poultry, wszystkie prowadziły do Banku Anglii, który zarówno funkcjonalnie, jak i geograficznie był sercem City. Sara nigdy nie potrafiła iść wśród tych tłumów i owianych wiatrem ulic bez podniecenia. Zawsze zdawała się tam przyspieszać kroku, patrzeć ostrzej. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuła, że jest w centrum ważnych wydarzeń. Uczucia, które zapewne oparte były na marzeniach z przeszłości, teraz stały się rzeczywistością: właśnie wyszła od człowieka stojącego w najważniejszym miejscu City; pracowała dla prezesa. Było to oczywiście niewidoczne dla świata, ale to nie miało dla niej żadnego znaczenia. Poznała prezesa, zawarła z nim umowę, i to jej wystarczyło.

Z Threadneedle Street skręciła w Old Broad Street i przeszła paręset metrów, do Finlays. Wewnątrz pokazała wejściówkę ochroniarzom, i pełną luster windą wjechała do sali maklerskiej. Wsadziła swoją kartę identyfikacyjną w czytnik magnetyczny i drzwi otworzyły się z kliknięciem na rozległą zatłoczoną salę, która wyglądała jak giełda sprzętu elektronicznego.

Pierwszą rzeczą, która ją uderzyła, był hałas, drugą chaos. Trzystu maklerów, sprzedawców i asystentów siedziało twarz przy twarzy jak kury na grzędach. Wypełniali każdą część labiryntu biurek, które jak sieć kolejowa zajmowały całą salę. Niektórzy siedzieli beczynnienie, po czym, jakby porażeni prądem elektrycznym sięgali po słuchawki telefoniczne, zrywali się na nogi, krzyczeli, żywo gestykulowali, a parę sekund później z powrotem zapadali w chwilową apatię. Sara weszła w ten wir. Było tam parę drogowskazów : jakaś flaga tu, porno kalendarz tam; nic osobistego, nic delikatnego, żadnych roślin, żadnych głębokich foteli ani luksusowych dywanów. Monitory komputerów ustawione na wysokości twarzy i prze-

sunięte tak, aby na bardzo małych biurkach było miejsce na kubki z kawą, aparaty telefoniczne, kalkulatory. Pliki dokumentów, rocznych raportów, prospektów tworzyły niebezpieczne, grożące zawaleniem stosy. Podłoga była podniesiona, aby pomieścić kilometry kabli, które zasilają setki terminali komputerowych. Sufit obniżono, by zapewnić, co prawda niezbyt skutecznie spełniającą swoje zadanie, wentylację, konieczną do ochłodzenia całej baterii urządzeń i rozgrzanych ludzi. Ludzie siedzieli łokieć przy łokciu w klaustrofobicznej przestrzeni.

Sara podjęła swoją podróż wśród głośnych powitań.

— Cześć, czeka cię dziś upojna noc, Saro?

Ubrała się dziś na wizytę u prezesa, bardziej elegancko niż normalnie do pracy. Nie mogła powstrzymać śmiechu. Jej koledzy nigdy nie przegapili możliwości pożartowania sobie. Uważni obserwatorzy mody mogli wyczytać sporo informacji z krojów jej sukienek czy długości spódnic.

Sara zazdrośnie strzegła swej prywatności, co tylko podżegało spekulacje. Od czasu do czasu wymyślała jakieś smaczne kąski, by zapewnić kolegom odrobinę radości, ale ci wytrawni znawcy ludzkiej natury rzadko dawali się nabrać na te ochłapy. Była nieodgadniona i chociaż współpracownikom nie udawało się jej rozszyfrować, nigdy nie przestawali próbować.

Z tajemniczym uśmiechem Sara usiadła na swoim miejscu, nacisnęła guzik monitora, włączając się w olbrzymi elektroniczny świat giełdy, gdzie całe epepeje opowiedziane są za pomocą zmieniających się cyfr. Urządzenia obudziły się z jękiem, po czym zaczęły nerwowo gadać. Ich migająca zieleń rzucała niezdrową poświatę na blade twarze, które nigdy nie oglądały wystarczająco dużo światła dziennego. Sara przeczytała wiadomości, które przepłynęły przez jej ekran firmy Bloomberg:

Europejskie oleje roślinne przejęte przez niepewne Chicago. Pojedynek — Eubank i Benn walczą na słowa. Wiesenthal oskarża świat o obojętność wobec Jugosławii. Stare wieści. Nic się nie dzieje.

O drugiej trzydzięci David Reed krzyknął do Sary siedzącej pół metra od niego.

— Sara Jensen. Łowcy głów. Na pierwszej linii. — Kilka twarzy odwróciło się i grupka ludzi roześmiała się i zbliżyła, aby patrzeć i podsłuchiwać.

— Zajmijcie się sobą, dobrze? — rzuciła Sara zirytowana. Wcisnęła linię pierwszą.

— Halo.

— Sara, tu Sue „Bank”.

— Cześć, Sue — roześmiała się Sara. Maklerzy zwykle znali wszystkich łowców głów i używali ich pseudonimów w bezskutecznych usiłowaniach, by zachować kontakty z nimi w tajemnicy. Do Sary dzwoniło prawie co tydzień, agenci zatrudnienia chcieli wywabić ją z Finlays i za każdym razem koledzy robili sobie z tego żarty. Więc i tym razem podsłuchiwali, ale bez zapału. Słyszeli to już wiele razy.

Sue była założycielką agencji pośrednictwa pracy „Zatrudnienia bez Ograniczeń”, prawdopodobnie najbardziej prestiżowej ze wszystkich firm zajmujących się rekrutacją pracowników w City. Była blondynką, około metra osiemdziesięciu wzrostu, epatowała pewnością siebie i urokiem osobistym. Poznały się trzy lata temu, kiedy Sue pierwszy raz próbowała wyciągnąć Sarę z Finlays. Polubiły się natychmiast i darzyły osobistym i zawodowym szacunkiem.

— Słuchaj, Saro. Wiem, że nie chcesz się nigdzie ruszać, ale tylko mnie wysłuchaj.

— Sue recytowała, zanim Sara zdążyła cokolwiek powiedzieć. — Nie ma sensu udawać, nie mam zamiaru cię upominać, więc dam sobie spokój z formalnościami. ICB, dzid: międzynarodowej wymiany walutowej. To jest wspaniała okazja. Wiesz, że płacą chyba najlepiej w City. Sama możesz ustalić swoją stawkę. Czas coś zmienić, Saro. Cztery lata w Finlays. Zacznie powoli rdzewieć.

Sara wtrąciła się ze śmiechem:

— W porządku, Sue. Nie potrzebuję wykładu. Powiedz mi coś więcej.

— To właściwie wszystko. Teraz powinnaś się spotkać z ich szefem wydziału.

— Ach, masz na myśli mojego przyszłego szefa?

— Tak, jeśli tak to chcesz ująć. Dante Scarpirato, interesująca postać, Saro. We mnie wywołuje dreszcze... — Sara usłyszała jakieś głosy w tle i wyobraziła sobie sekretarkę Sue wchodzącą z plikiem papierów. — Przepraszam, Saro, muszę już kończyć, panu Dantemu Scarpirato odpowiada jutro siódma wieczorem. Co ty na to? Sara uśmiechnęła się pełna oczekiwania.

— W porządku.

Sara dotarła do domu o szóstej. Zaryglowała za sobą drzwi, weszła do sypialni, zrzuciła ubrania i otuliła się starym szlafrokiem z frotté, luźno wiążąc go w tali. Zerkając w lustro w łazience, wyjęła szkła kontaktowe i włożyła przyciemnione okulary, które przedtem przetała rąbkiem szlafroka. Przyczłapała na bosaka do salonu, naląła sobie pół szklaneczki whisky, dopełniła wodą i rozciągnęła się na kanapie. Telefon stał obok na jej rzeźbionym marokańskim stole, który parę lat temu wypatrzyła w Marakeszu. Włączyła automatyczną sekretarkę, ale ściszyła głos; żadnych zakłóceń, żadnych głosów, które mogłyby jej przeszkodzić.

Ciężka teczka leżała na podłodze obok kanapy. Sara otworzyła ją

i wyciągnęła kartotekę dotyczącą ICB. Była gruba, około pięciu centymetrów, wypełniona wycinkami z gazet i magazynów, dwoma rocznymi raportami z roku 1991 i 1992 oraz wewnętrznym raportem Banku Anglii.

Sara przerzuciła roczne raporty, ale tak jak się spodziewała, nie zawierały nic, czego by już nie wiedziała. ICB był bankiem inwestycyjnym opartym na funduszach pochodzących ze Stanów Zjednoczonych, miał dziesięć oddziałów w największych centrach finansowych świata. Prowadził normalny zakres działalności wspólny dla wszystkich banków międzynarodowych: własne finanse, zarządzanie kredytami, indywidualni klienci. Cała działalność była dochodowa i godna zaufania, ale ICB najbardziej słynęło ze swoich przedsięwzięć handlowych. Akcje, obligacje, waluty i mnóstwo innych przyprawiających o zawrót głowy rzeczy, takich jak wymiany, opcje i tak dalej. Firma zatrudniała cztery tysiące osób na całym świecie, z czego siedemset w Londynie. Sara odrzuciła roczne raporty na podłogę. Interesowały ją tajne raporty Banku Anglii. Zawierały informacje, które nigdy nie zostałyby opublikowane w żadnym oficjalnym dokumencie.

Statystyki w raporcie banku rzeczywiście wzbudzały podejrzenia wobec ICB. W 1992 dochód netto ICB wynosił 300 milionów funtów. Dział międzynarodowej wymiany walutowej, kierowany przez Dantego Scarpira-to i grupę trzech handlowców, pracując na bazie kapitałowej 28 milionów funtów, zarobił 45 milionów funtów. Był to spektakularny sukces.

Sara przyzwyczajona do ogromnych sum w City poczuła się oszołomiona. Finlays, które zatrudniało pięć osób do własnościowej wymiany walutowej z wyjściową bazą kapitałową 15 milionów funtów zarobił 18 milionów funtów w 1992 roku, co zostało uznane za niezwykle wydarzenie.

Kolejną zastanawiającą rzeczą dotyczącą zysków z własnościowej wymiany walutowej ICB był ich wzrost datujący się od czasów nastania Dantego Scarpirato. W 1991 roku, na rok przed jego pojawieniem się, zarobili 9 milionów funtów.

Scarpirato zatrudnił się w 1992 roku i wtedy zyski podskoczyły do 45 milionów.

Barrington miał rację. Scarpirato był albo geniuszem, albo przestępcą.

Sara skończyła czytać o dziewiątej. Podniosła się z kanapy cała zdrewniała, zebrała wszystkie papiery rozrzucone po podłodze, włożyła je do foliowej torebki i zamknęła w szufladzie, po czym poszła do kuchni i uważnie przejrzała zawartość lodówki. Znalazła jakieś pozostałości z ostatniej kolacji z Eddiem i Alexem.

Policzyła dni, trzy dni temu byli jeszcze wszyscy we trójkę razem. Poczowała bolesny skurcz i pustkę.

Wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić, po czym sięgnęła do lodówki po pomidory, cebulę i czosnek. Zaatakowała cebulę i czosnek ostrym jak brzytwa nożem, potem zatraciła się na chwilę w kontemplacji ziół i przypraw ustawionych w dwóch rzędach na długiej półce ponad jej głową. Pół godziny później siedziała przed telewizorem z talerzem pełnym makaronu z doskonałym sosem pomidorowym.

Nauczyła się gotować, kiedy była jeszcze dzieckiem. Wszystko wydawało jej się lepsze, niż artystyczne i niesystematyczne posiłki przygotowywane przez ciotkę. Uśmiechnęła się do tych wspomnień. Teraz Isla wykładała na uniwersytecie w Stanach, mieszkała w kampusie i gotował jej ktoś inny. Być może przybyło trochę ciała na jej szkielecie, przypominającym parasol. Jeśli w ogóle pamiętała, żeby jeść. Sara potrząsnęła głową, jakby chcąc uwolnić się od wspomnień, i włączyła telewizor dokładnie w momencie, aby Nicholas Witchell zdążył powiedzieć jej dobranoc. Przełączyła kanał na ITV. Czekając na wiadomości o dziesiątej i usłyszała, jak Trevor MacDonald swym dźwięcznym głosem mówi, że: „nic nowego pod słońcem”. Nic się nie działo. Zadzwoiła do biura ICB w Tokio, by sprawdzić, co słychać na rynku. Tu też nic. Rozłączyli się, obiecując zadzwonić do niej, gdyby coś się działo.

Szeroko ziewając, Sara udała się do łazienki. Wycinki o ICB zostawiły ślady farby drukarskiej na jej dłoniach. Wyszorowała je energicznie mydłem waniliowym, spłukała twarz zimną wodą i nałożyła warstwę najnowszego, cudownego kremu. Zrzucając swój szlafrok na podłogę w sypialni, nastawiła budzik i wsunęła się do łóżka. Zasnęła, marząc

o Alexie i Eddiem.

Obudziła się o szóstej. Przeszukała szafę po raz trzeci z rzędu i ubrała się z wielką starannością w skromny, granatowy, lniany kostium ze złotymi guzikami i świeżą białą bluzkę. Doskonały zestaw na interwiew. Ale do siódmej wieczorem, czyli do czasu, gdy miało się odbyć spotkanie, nosił już fałdy i zagniecenia po całym, ciężkim dniu pracy. Biura ICB znajdowały się na ulicy Lower Thames, w nowoczesnym wieżowcu. Wnętrze było także nowoczesne. Olbrzymie atrium zajmowało centrum budynku. Stało tam jedynie biurko recepcjonisty, dwie kanapy i kolekcja trójkątnych metalowych rzeźb, które zdawały się obserwować Sarę, gdy się do nich zbliżała. Drobną recepcjonistką poinformowała ją, że ma się udać na trzecie piętro. Dante Scarpinato siedział w ciemnym garniturze w swoim mrocznym biurze w opuszczonej sali handlowej. Wstał, gdy do niego podeszła. Nieruchomy, wyprostowany, wydawał jej się kimś mocno stąpającym po ziemi. Był szczupły, dobrze zbudowany, o doskonałej proporcji wagi do wzrostu. Garnitur miał również doskonały, tak samo jak białe mankiety koszuli, które wystawały spod rękawów marynarki, oraz ciemne, doskonale wypolerowane buty. Nie wykazywał żadnych śladów zmęczenia ani rozproszenia, które charakteryzują większość maklerów po dwunastu godzinach pracy w biurze. Wszystko w nim wydawało się przemyślane i opanowane. Ruszył w jej kierunku i uściśnął dłoń dziewczyny. Byli tego samego wzrostu, zauważyła, stali oko w oko.

— Proszę, niech pani usiądzie.

Sara usiadła naprzeciw niego. Obserwował ją nie uśmiechając się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Po tej deprymującej ciszy zapytał:

— Dlaczego chce pani pracować w ICB? — Odwrócił się w kierunku rzędu monitorów maklerskich migających przed nim, tak że Sara mówiła do jego profilu. Od czasu do czasu wciskał jakąś komendę i przeglądał następną stronę na monitorze, jakby nie pamiętał o niej, zadając jej kolejne pytanie, nie przerywając swojego zajęcia.

Sara знаła ten wybieg: udawać obojętność, wtłoczyć drugą osobę w rolę petenta, zmusić, aby próbowała zwrócić twoją uwagę. Był to wybieg egocentryczny, nudny i powszechnie stosowany w takich sytuacjach. Oczekiwała więcej po tym mężczyźnie, ale musiała przyznać, odgrywał swoją rolę znakomicie i złapała się na tym, że chce, aby odwrócił swoją twarz w jej kierunku. Po pięciu minutach takiego zachowania zaczęła się czuć onieśmielona, po dziesięciu rozdrażniona.

— Proszę mi wybaczyć pytanie, ale pan przeprowadza interwiew ze mną czy z komputerem?

Scarpirato odwrócił twarz w jej kierunku po raz pierwszy, wytrzymując jej spojrzenie.

— Jak ważne są dla pani pieniądze? — To pytanie wytrąciło Sarę z równowagi. Po pierwsze dlatego, że chęć zysku świetnie kryła jej prawdziwe zamiary, a po drugie ten problem nurtuje wszystkich w City, ale nigdy nie mówi się o nim tak bezpośrednio.

Tylko naiwni pracują w City dla czegoś innego niż dla pieniędzy. Wszyscy starają się maskować swoją prawdziwą motywację, ukrywając ją pod takimi słowami, jak: wyzwanie, podniecenie, doświadczenie; i wszystko to prawda, ale drugorzędna. Sprzedajność pracowników to temat tabu. To pytanie było wręcz nieprzyzwoite. Sara dała sobie czas do namysłu. Przystudiowała twarz swojego rozmówcy, zanim odpowiedziała. Nie była to twarz klasycznie piękna, ale niezwykle zajmująca. Skóra dobrze opalona, z ciemniejszymi miejscami zarostu. Czoło miało wysokie, z lekkimi zakolami i linią kręconych, ciemnych włosów. W półmroku usta wyglądały, jakby były granatowe. Nos długi i prosty, ale to oczy przyciągały uwagę. Brakowało życia w tym wyprostowanym ciele, które siedziało przed nią za biurkiem; cała siła Dantego Scarpirato koncentrowała się w oczach. Do tego stopnia, że można by pomyśleć, że umarłby, gdyby je na chwilę zamknął. Były ogromne, okrągłe, połyskujące brązowo. Rozszerzone źrenice wypełniały prawie całe oko. Rąbek białka zaznaczał się tylko wąskim, błyszczącym okręgiem. Były to oczy pogardliwe, zmęczone i znudzone, które nagle zapaliły się blaskiem szaleństwa, uczucie to wygasło jednak tak szybko, że Sara zastanawiała się, czy rzeczywiście je widziała. Nagle przerwała swoją kontemplację i skoncentrowała się na odpowiedzi. Nie było potrzeby podtrzymywać tabu, skoro zostało złamane.

— Pieniądze to moja podstawowa motywacja.

Blady uśmiech wykrzywił mu usta. Była to jedyna reakcja, jaką raczył ją obdarzyć.

— Dobrze. To jedyny powód, aby tu pracować. Niezupełnie, pomyślała Sara.

Scarpirato wstał z krzesła.

— Muszę wyjść.

Sara rzuciła okiem na zegarek: siódma trzydzieści. Było to najkrótsze interwiew w jej życiu.

Scarpirato eskortował ją do drzwi windy. Szedł obok niej, biodro, ramię i głowa na tej samej wysokości. Obserwowała jego nadgarstki, które wystawały z mankietów, gdy sięgnął, by wcisnąć guzik przywołujący windę. Były ładne, prawie jak u kobiety, oprócz grubych czarnych włosów które je pokrywały. Ręce miał pięknie ukształtowane, palce długie i cienkie. Pojawiła się winda. Sara zjechała na dół sama.



## Rozdział 7

Sara dłuższą chwilę czekała przy Lower Thames Street, rozglądając się na próżno za wolną taksówką. Po pięciu minutach podeszła kawałek wzdłuż Suffolk Lane do Cannon Street, aby spróbować szczęścia tam. W piątkowy wieczór wszystkie taksówki były zajęte, rozwożąc pracowników City do domów, do barów, kin, teatrów i restauracji na West Endzie. W końcu wypatrzyła taksówkę z zapalonym znakiem „wolny” na dachu i zatrzymała ją, energicznie machając ręką. Z ulgą wskoczyła do środka.

— South Audley Street, proszę. Mayfair. — Zatopiła się w siedzeniu, zamknęła oczy i zapadła w drzemkę.

Z taksówki wysiadła w połowie South Audley Street. Szła ulicą w popołudniowym słońcu, czując przyjemne ciepło na twarzy. Uwielbiała tę okolicę, zagubione uliczki, sklepy pełne antyków, imponujące kamienice, sekrety skrywane za ciężkimi zasłonami. Teraz było cicho, intymnie. Pracownicy biur wyszli już do domów lub winiarni przy Piccadilly, a jeszcze nie pora na bogato ozdobione biżuterią, ze zbytnim przepychem ubrane kobiety. Zaczynają się pojawiać po dziewiątej, wychodząc ze swoich domów, wsiadając na tylne siedzenia drogich samochodów, które odjadą w jednej chwili.

Sara zatrzymała się przed delikatesami, by popatrzeć na szeregi salami, wiszące jak stalaktyty w sklepieniach jaskiń. Bogaty zapach świeżo zmielonej kawy unosił się w powietrzu i zwabił ją do środka. Półki pełne włoskich towarów. Kupiła dwa pudełka pysznych czekoladek Baci, pastę orzechową z Perugi i funt lśniących ziaren kawy. Wyposażona w swoje paczuszki skręciła w prawo w Mount Street, po czym paręset metrów dalej znowu w prawo w Hay's Mews. Zatrzymała się przed dużym jednorodzinny domem, którego cudownie białe ściany ozdabiały pnące się po nich róże. Zadzwoiła do drzwi i czekała. Czowała, że ktoś na nią patrzy, po czym drzwi się otworzyły.

Najbliższa przyjaciółka Sary, Mosami Matsumoto, koleżanka po

fachu, która pracowała w City dla Yamaichi, stała bosą w otwartych drzwiach owinięta w biały len i uśmiechała się miło.

Znały się z czasów Cambridge. Razem skończyły studia na tym samym kierunku. Obydwie były atrakcyjne, inteligentne, towarzyskie, ale przyciągała je do siebie skrywana samotność, która w jakiś sposób była odporna na wrzawę studenckiego życia. Rozpoznawały w sobie nawzajem cichą determinację oraz inność, i gdzieś głębiej, chęć ucieczki. Przesłanki Mosami okazały się proste: chciała umknąć życia kobiety zamężnej w konserwatywnym Tokio, przeznaczenia, które narzucało jej japońskie społeczeństwo, nie zważając na jej nowoczesne wykształcenie w Cambridge. Nie zamierzała żyć, walcząc ze społeczeństwem; chciała zaspokoić swoją potrzebę wolności poza tamtym systemem, do którego nie pasowała. Sarze z kolei nikt nie narzucał żadnej wizji przyszłości lub historii, od której usiłowałyby uciec, ale mimo to Mosami rozpoznawała w niej oznaki chęci ucieczki: ogromne ambicje, wieczny niepokój, brak stabilizacji, sięganie po coraz więcej, skłonność do podejmowania ryzyka i autodestrukcji, dopóki oznaczała rozwój. Nadmiar pracy, mężczyźni i od czasu do czasu podróże były siłą napędową dla obydwu; do każdej z tych rzeczy podchodziły z niezwykłą intensywnością, która po jakimś czasie znikała, ukrywała się, a po paru tygodniach znów dawała o sobie znać. Teraz, po pięciu latach obydwie miały ustabilizowaną karierę w City i osiągnęły pewien spokój, lub raczej jego iluzję. Jeżeli w ogóle go odczuwały, to był on wynikiem zmęczenia; powtarzania znanych czynności i braku nowych wyzwań. Ryzyko wciąż je pociągało i obydwie obserwowały się nawzajem, wyczekując, kiedy się pojawi. Rozmawiały przez telefon codziennie i zwykle widywały się raz w tygodniu. Ten weekend miał być jednak dla nich szczególny. Umówiły się, że spędzą go razem, sprawiając sobie przyjemności jedzeniem, winem i chodzeniem na zakupy. Ucałowały się ciepło. Sara wręczyła jedno pudełko czekoladek Baci ze słowami:  
— Coś dla ciała.

Mosami rozpakowała paczkę i wzięła parę czekoladek.

— Cudowne. Moje ulubione. — Wyciągnęła pudełko w kierunku Sary. — Masz, weź sobie jedną. Wyglądasz, jakbyś głodowała, laluniu.

— O Boże — ziewnęła Sara. — Dlaczego wszyscy mają obsesję na punkcie mojej wagi?

Mosami wysłała jej ponure spojrzenie.

— Cholernie dobrze wiesz, dlaczego. A teraz się zamknij i jedz. Śmiejąc się weszły do kuchni i Mosami otworzyła butelkę wina.

— Co słysząc? — zapytała Mosami, podając Sarze kieliszek czerwonego wina. Sara napiła się i poszła z powrotem do salonu. Mosami ruszyła za nią ze swoim kieliszkiem i z butelką.

— Wiesz, czuję się trochę dziwnie, kiedy Eddie i Alex wyjechali. — Mosami wzruszyła ramionami. — Zajmie mi trochę czasu, zanim się do

tego przyzwyczaję. Czasami zastanawiam się, po co mi takie problemy. Może powinnam się zabezpieczyć na przyszłość i następnym razem związać się z księgowym.

— Zabezpieczyć! — parsknęła Mosami. — Myślisz, że to by było bezpieczne? Po pięciu minutach wylądowałabyś w wariatkowie. Wiesz, że tak by się stało.

— Tak. Chyba masz rację, ale mimo wszystko...

— Wiem, słoneczko. To trudne. Ale to nic. Spędzimy cudowny relaksujący weekend wolny od mężczyzn. Mam mnóstwo planów.

Sara uśmiechnęła się.

— Jesteś aniołem.

— Wiem. A poza tym — Mosami próbowała rozluźnić atmosferę — co nowego?

Sara zastanowiła się.

— Cóż... myślę o zmianie pracy. — Zaczekała na reakcję Mosami.

— Dlaczego?

— Cztery lata. Czas na zmiany, rozumiesz.

— I to jest jedyny powód?

— Wystarczający.

Jak diabli, pomyślała Mosami, sięgając po butelkę, aby nalać kolejny kieliszek wina. Weekend minął na dogadzaniu sobie. Sara wróciła do domu w niedzielę wieczorem. Przeszła przez ciche pokoje i usiadła przy automatycznej sekretarce. Wysłuchała wiadomości, mając nadzieję na jakieś wieści od Eddiego i Alexa. Nic od nich nie było, nic interesującego poza wiadomością od Sue „Bank”, proszącej o telefon. Sara znalazła jej numer w notesie i wystukała go.

— Sue, tu Sara.

— Ach, Sara, cześć, co słyhać?

— W porządku. Właśnie minął długi, leniwy weekend. A u ciebie?

— Perspektywa przerażającego poniedziałkowego poranka. Jak zwykle.

— Nie dla ciebie jedynej.

— Słuchaj. ICB.

— Uhu.

— Co ma znaczyć „uhu”?

— Cóż, chyba ma znaczyć: „o kurczę, spieprzyłam to, nie robiłam sobie wielkich nadziei”.

— A to dlaczego?

— Cóż, Dante Scarpinato dał mi całe trzydzieści minut, po czym wykopał za drzwi, oto dlaczego. — Roześmiała się Sara.

— Słuchaj, Sara, gdybyś mu się nie spodobała, wykopałby cię już po pięciu minutach. Dowiedział się tego, co chciał wiedzieć. Ufa mi. Wie, jaka jesteś dobra. Chciał tylko zobaczyć, czy mu się spodobaasz. I mu się spodobałaś. —

Przerwała triumfalnie.

— Dziwny sposób na okazanie tego — mruknęła Sara.

— Nie możesz oczekiwać od wszystkich, że będą przed tobą padać na kolana.

— Na kolana... Prawie że... Sue przerwała jej w pół słowa.

— Słuchaj. Scarpirato właśnie do mnie zadzwonił. Jest w tej chwili w domu. Chce, żebyś do niego zadzwoniła i umówiła się na spotkanie z pozostałymi dwoma członkami jego zespołu.

— To chyba trochę niezwykle, prawda? — powiedziała Sara. — To znaczy, bezpośredni kontakt. Trochę nieformalne.

— Ach, przestań, Saro. Nie potrzebujesz mnie jako przyzwoitki. Sara roześmiała się.

— Nie. Przypuszczam, że nie. Podaj mi jego numer.

Sue wyrecytowała go jednym tchem. Sara pożegnała się i zadzwoniła od razu.

Zauważyła, że to numer na Chelsea, ta sama centrala, co jej. Byli więc sąsiadami.

— Dante? Tu Sara Jensen.

— Dobry wieczór, Saro. — Jego głos był szorstki, przerywany, jeszcze bardziej nieugięty niż przy spotkaniu twarzą w twarz i pobrzmiwała w nim jakaś nutka ironii. Zignorowała to i czekała w milczeniu.

— Czy możesz przyjść do mojego biura jutro o osiemnastej trzydzieści?

— Tak, odpowiada mi ta godzina.

— Więc do zobaczenia. — Powiedziawszy to, odłożył słuchawkę. Ta krótka wymiana zdań zaniepokoiła ją. Był jakiś chłód w tej zwięzłości, lekceważenie konwenansów. Wielu maklerów tak rozmawiało, ale w jego przypadku to nie była grubiańskość ani brak rozmowności. Zdawało się, co dziwne, że nie brak mu kindersztuby, lecz odkłada tylko na bok niepotrzebne konwenanse.

Następny dzień Sara spędziła handlując ryzykownie, aby nie myśleć o umówionym spotkaniu. Kiedy w końcu nadeszła pora, pospieszyła z biura do budynku ICB.

Ten sam ciemny gabinet, kolejny nieskazitelny garnitur. Scarpirato powoli ruszył w jej kierunku, gdy weszła, wyciągnął rękę i pewnie uściśnął jej dłoń. Nie spuszczał wzroku z jej oczu. Uśmiechnął się lekko, nie po przyjacielsku czy zapraszająco, ale jakoś inaczej, Sara nie potrafiła powiedzieć jak. Rozejrzała się. W gabinecie było jeszcze dwóch mężczyzn siedzących beczynnym na obitych materiałem krzesłach przy biurku. Scarpirato skinął do nich głową.

— Sara Jensen, proszę poznać: Matthew Arnott i Simon Wilson.

Wilson zerwał się na nogi, uśmiechnął się i ciepło uściskał jej dłoń. Arnott niechętnie podniósł się do połowy, sekundę trzymał rękę Sary, osunął się z powrotem na krzesło i patrzył w bok. Scarpirato przesunął swoje krzesło zza biurka i usiadł między Arnottem i Wilsonem, którzy szybko zrobili mu miejsce. Siedząc obok niego i obserwując go, jak gdyby czekając na jakiś sygnał, wyglądali zdaniem Sary jak neofici. Sara zajęła puste miejsce naprzeciw i postawiła swoją torbę na ziemi. Rozpięła żakiet, sięgnęła po paczkę papierosów i zapaliła. Uśmiechnęła się do obserwujących ją.

— Czy mają panowie coś przeciwko? Scarpirato potrząsnął głową i podał jej popielniczkę.

— Ja też zapalę — powiedział Arnott. Wyszedł z gabinetu, wracając z paczką ze swojego biurka. Obłoczki papierosowego dymu uniosły się do sufitu.

Sara zaciągnęła się i patrzyła na dwóch nowo poznanych mężczyzn. Arnott wyglądał tak, jakby miał reklamować koszule na błyszczących stronach GQ. Był przystojnym Amerykaninem pod trzydziestkę. Kanciasta szczeka, błękitne oczy, proste, prawie brązowe włosy krótko ścięte i wymuskane do perfekcji. Akcent też miał wypracowany — zauważyła Sara. Nosowa wymowa charakterystyczna dla stanu New Jersey została przerobiona na bostońskie przeciąganie samogłosek, ale pojawiała się jednak w niektórych trudniejszych słowach. Ten obraz mógłby okazać się w efekcie pozytywny, choć nieco pretensjonalny, gdyby nie oczy i rysunek ust. Spojrzenie było twarde i cyniczne, każda mina zabarwiona pogardą dla całego świata. Jego usta wykrzywiały się w wyrazie samozadowolenia. Nie był to najsympatyczniejszy typ, jakiego Sara miała okazję spotkać, ani też taki, który chciałby ją zatrudnić.

Simon Wilson przeciwnie, wydawał się słodki, chciał zrobić dobre wrażenie. Był młodszy, miał około dwudziestu czterech lat, pracował w City dopiero parę lat, jak domyślała się Sara, i daleko mu było do prawie normalnego, rutynowego samozadowolenia, jakie obnosi tak wielu jego kolegów po fachu. Miał piaskowoblond włosy i piegi, ubrany w przeciwieństwie do innych maklerów w zmiętych garniturach, w garnitur szyty na miarę. Złapał ją na tym, że się mu przygląda, i uśmiechnął się do niej. Odwzajemniła uśmiech, po czym spojrzała na Dantego Scarpirato, czekając, żeby rozpoczął. On obserwował ją, nic nie mówiąc, bez ruchu. Był zwrócony w stronę Arnotta. Wymienili spojrzenia, po czym Arnott wyprostował się w swoim krześle i zapytał:

— Jak widzi pani kurs dolara wobec szterlinga? Sara uśmiechnęła się lekko rozbawiona.

— O jakim okresie mówimy? O następnych paru minutach, najbliższych dwudziestu czterech godzinach, tygodniu, czy roku?

— O następnych pięciu minutach.

— Nie wiem. — Sara uśmiechnęła się otwarcie. — Pięć po szóstej, kiedy ostatni raz spojrzalam na monitor, było 1,4930. 40. Nie wiem, co się działo na rynku przez ostatnie czterdzieści pięć minut a me mam nawyku ustalania cen na ślepo. Ale powiedziałabym, że dolar delikatnie się umacnia.

Arnott wyciągnął z kieszeni pager Reutera, gadget pięć na siedem centymetrów, który podawał przez dwadzieścia cztery godziny na dobę podstawowe kursy walut i wiadomości finansowe. Wcisnął kalwisz i wpatrywał się w malutki ekran.

— 1 4910 20 Jak zgaduję rośnie — powiedział, przeciągając samogłoski. Spróbował kolejnej taktyki. — Dlaczego opuszcza pani Finlays?

— Kto mówi, że opuszczam?

— Ale jest pani tu, zgadza się?

— Jestem tu, abyście mogli dowiedzieć się czegoś o mnie, a ja czegoś o was.

Arnott przeszył ją piorunującym spojrzeniem. Sara, me przejmując się, odpowiedziała mu tym samym. Zapadła cisza pełna napięcia. Wilson przerwał ją z uśmiechem.

- Pracuje pani z Davidem Reedem, prawda?

\_\_Tak, siedzimy obok siebie. Zna go pan?

— Gramy razem w piłkę nożną — zaśmiał się Wilson. — A raczej oróbuiemy. On jest stale kontuzjowany.

— Proszę mi o tym opowiedzieć. Zdaje się spędzać większość czasu z jakąś częścią swojej anatomii w gipsie.

— Co za strata dla pani — wtrącił Arnott.

Sara przez dwie sekundy patrzyła na niego w milczeniu po czym odwróciła głowę. Spotkała wzrok Dantego Scarpirato. Ten wyjął z kieszeni cygaro i zabrał się metodycznie do zapalania go, patrząc na nią pomiędzy pociągnięciami. Rozparł się w swoim krześle i przyglądając się jej, odgrywał rolę bezstronnego obserwatora, który zdawał się świetnie bawić Sara odwróciła wzrok rozzłoszczona. Stała się atrakcją wieczoru. Jak zauważyła, nie było chyba innego powodu, dla którego miała pojawić się na tym spotkaniu. Wilson ją polubił, Arnott znienawidził, jesh chodzi o Dantego nie wiedziała, co czuje. I nie bardzo ją to w tej chwili interesowało.

Spojrzała na zegarek, po czym spokojnie, opanowanym głosem powiedziała:

— Bardzo tu miło, ale za piętnaście minut muszę gdzieś byc, więc jesu oanowie nie macie nic przeciwko.

Dyskretny uśmiech Dantego Scarpirato został zastąpiony przez wyraz zaskoczenia.

Pochylił się do przodu na swoim krześle.

— Oczywiście. Przepraszam, że zawiadomiliśmy o spotkamu tak krótko przed nim.

Wstał z krzesła. Arnott obserwował Sarę w milczeniu wychodzącą z gabinetu.

Wilson odprowadził ją do drzwi.

— Do widzenia. Miło było panią poznać. — Uścisnął jej dłoń Sara uśmiechnęła się.  
— Pana również.

Scarpirato odprowadził ją przez salę do windy. Nie odezwali się po drodze ani słowem. Gdy drzwi windy otworzyły się, uścisnął jej dłoń

— Dziękuję, że pani przyszła. Będziemy w kontakcie. — Uśmiechnął się lekko, po czym zawrócił i odszedł, gdy drzwi windy się zamknęły.

— Pieprzcie się wszyscy — mruknęła Sara.

## Rozdział 8

Sara wyszła na zewnątrz i znalazła się na Lower Thames Street, zaczęła na lukę w szeregu mijających ją samochodów i przebiegła na drugą stronę ulicy. Ruszyła w kierunku Cannon Street i zatrzymała się przy budce telefonicznej na rogu ulicy Bush Lane. Podniosła słuchawkę i wystukała numer. Po paru sygnałach odezwał się lekko drżący głos.

Pięć minut później Jacob Goldsmith, najstarszy i najbliższy przyjaciel Sary, bardziej mentor, z uśmiechem odłożył słuchawkę i wziął na ręce kota puszącego swoje lśniące czarne futro.

— Już czas, żeby złożyła nam wizytę, prawda? Rubin, którego głaskał, trzymając na rękach, wyciągnął z rozkoszy pazurki, mrużąc oczy z przyjemności, i otworzył je szeroko z oburzenia, gdy pan postawił go z powrotem na ziemi. Machając ogonem, rozdrażniony kot patrzył na mężczyznę, który włożył buty, wziął klucze i portfel ze stołu w holu i zamknął za sobą delikatnie drzwi. Trzy zamki umieszczone we wnętrzu drzwi z sosnowego drzewa kliknęły głośno za staruszką. Ostrożnie przeszedł na drugą stronę ulicy i z głową pełną przepisów kulinarnych skierował się do supermarketu przy Golders Green Road.

Jacob Goldsmith miał siedemdziesiąt trzy lata. Posiadał całą subtelność mądrości spełnionego wieku. Zawsze uprzejmy i delikatny, był człowiekiem pełnym czaru i czułości dla tych, których kochał, wśród nich na pierwszym miejscu znajdowała się Sara. Teraz otaczała go aura intensywnej refleksji, co tworzyło wokół niego atmosferę dobrego samopoczucia i radości. W żadnym razie na jego określenie nie wystarczyłoby słowo „miły”, taki opis nie pasowałby do Jacoba, był na to zbyt przenikliwy i inteligentny, a poza tym miał w sobie buntowniczość. Wciąż żwawy i w dobrej formie, gdy ubierał się na spotkanie ze swoimi starymi partnerami od interesów, włączał drugi bieg i łatwo można go było wziąć za sześćdziesięciolatka. Ale ostatnio nieczęsto ich widywał; na emeryturę przeszedł już dwadzieścia lat temu, i jego życie wyglądało teraz zupełnie inaczej. Przeprowadził się



z East Endu do domu na Golders Green, gdzie zamieszkał już dwadzieścia trzy lata temu, przygotowując się do emerytury. Jego sąsiadką była ciotka Sary, Isla, profesor chemii na londyńskim uniwersytecie. Rok po wprowadzeniu się Jacoba, z Ameryki przybyli Sara i jej młodszy brat, Alex, aby zamieszkać z Islą, siostrą ich ojca. Gdy ich rodzice zginęli w wypadku drogowym, Sara miała osiem lat, Alex sześć. Bezpieczne dzieciństwo zostało zniszczone, Alex był prawie zupełnie rozbity. Sara wydorosłała w mgnieniu oka i pomogła mu się pozbierać. Dzieci pokochały Islę, ale ciotka nigdy nie wypełniła im pustki po utracie rodziców.

Isla, inteligentna kobieta, wyprzedzająca swój czas, pod wieloma względami stała się doskonałym wzorem postępowania dla Sary; ale w najmniejszym stopniu nie była osobą rodzinną. Zostawiała Alexa i Sarę samym sobie na całe dni. Isla regularnie zapadała w trans swoich badań naukowych, przeprowadzanych w zakurczonym pokoju na górze domu. Pory posiłków przychodziły i mijały. Jacob często kręcił się po swoim ogrodzie, pielęgnując rośliny. Wkrótce dzieci zaczęły spędzać większość czasu w jego towarzystwie. Zona Jacoba zmarła dziesięć lat wcześniej, nie miał dzieci, więc dla całej trójki przez lata było to szczęśliwe życie w symbiozie. Regularnie dla nich gotował; Isla mogła na nim polegać, i zaczął obowiązywać nieoficjalny podział obowiązków między nimi. Isla pomagała dzieciom w nauce, dawała im dodatkowe lekcje z ich ulubionych przedmiotów: Sarze z matematyki, Alexowi z geologii. Jacob karmił ich i zapewniał rozrywki. Zdawał się mieć nieograniczone zasoby opowieści o tym, gdy służył w jednostce Królewskich Dragonów podczas drugiej wojny światowej,

o podróżach po wojnie, o jego karierze w Londynie, gdzie został ekspertem od wykonywania sejfów oraz ich otwierania. Sara była zaciekawiona szczególnie tym ostatnim aspektem życia Jacoba. Jego zaś bawiło to zainteresowanie dziewczynki, dla niej rezerwował najdziwniejsze opowieści

1 po długim i wytrwałym naprzykrzaniu się Sary, nauczył otwierać ją zamki i włamywać się do sejfów. Mając dziewięć lat, potrafiła wejść do własnego domu bez kluczy i dostać się do sejfów Jacoba oraz Isli. Robiła to dla samej przyjemności. Nie była zainteresowana zawartością, a nawet podrzucała do nich różne rzeczy. Zawsze, kiedy Jacob otwierał swój sejf, co robił może raz na parę miesięcy, znajdował stos małych liścików od Sary!

Ich niezwykle wychowanie, różnorodny wpływ i wczesna utrata rodziców wykształciły w Alexie i Sarze dziwny rodzaj moralności. Rozwinęli w sobie głęboką lojalność w stosunku do siebie i do Jacoba, i nie potępiali tego, co inni w najlepszym razie postrzegali jako wykroczenia. Małe rabunki Jacoba nie wydawały się niczym złym, ponieważ nie godziły w żaden sposób w ofiary — firmy ubezpieczeniowe wypłacały odszkodowania — i ponieważ sam Jacob był bez wątpienia dobrym człowiekiem. Opiekował się nimi, kochał ich, zabawiał i pomagał w rozwoju

ich osobowości, które dojrzewały nie skrepowane ograniczeniami konwenansów. Podróże Jacoba w czasie wojny i przed powrotem na East End rozpałały w Alexie miłość do przygód. Miłość Sary do Jacoba, dla której nie miał znaczenia fakt, że w powszechnej świadomości byłby nazwany kryminalistą, wytworzyła w niej we wczesnym wieku świadomość niejednoznaczności moralności, gdzie czyny same w sobie nie musiały być dobre lub złe. Wyrosła w świadomości indywidualnego poczucia moralności i sprawiedliwości.

Jacob nigdy nie dał się złapać. Nigdy nie był zagrożony więzieniem, ale Sara jako dziecko zawsze bała się, że go zaborą. Dopiero, gdy nadszedł czas jego emerytury i przysiągł, że nigdy już nie wróci do pracy, jej obawy ustały, ale zawsze uważała, że gdyby trafił do więzienia, byłaby to parodia sprawiedliwości.

Isla, choć bardziej odległa, również w dużym stopniu wpłynęła na swoich dwoje podopiecznych. Z taką niezależną kobietą, która osiągnęła sukces w karierze zawodowej, jako jedyną kobietą w ich życiu i Jacobem, zajmującym się gotowaniem, zwykle stereotypowe podziały ról pomiędzy kobietą i mężczyzną były w ich życiu nieobecne. Alex wychowywany przez ciotkę oraz siostrę rozwinął głęboki szacunek i miłość dla kobiet, podczas gdy Sara nie widziała żadnych przeszkód dla rozwoju własnych talentów i ambicji, który mógłby być ograniczony przez jej płć. Wyrosła głęboko przekonana, że miłość i bezpieczeństwo nie są wartościami stałymi, ale pewna siebie i swoich możliwości.

To pomogło jej przejść przez szkołę i Cambridge i osiągnąć dwa dyplomy z matematyki. Od dzieciństwa chciała zostać matematykiem, ale w Cambridge uczestniczyła w kilku prezentacjach przygotowanych przez Banki Akceptacyjne, które desperacko szukały najlepszych studentów kończących matematykę, aby pracowali dla nich na najbardziej wymagających stanowiskach handlowych. Sara wahała się jakiś czas. Odległy świat matematyki zaczął tracić swój czar. Po gruntownym przedyskutowaniu sprawy z Islą i Jacobem, Sara zdecydowała się na karierę w City. Miałaby tu mnóstwo znajomych; świat czystej matematyki był dla niej zbyt samotny, a w City mogła znaleźć aż nadto wyzwań i pieniędzy. To kupiłoby jej wolność i bezpieczeństwo, których tak pragnęła.

Sara została więc bankowcem, Alex zaś finansowanym przez nią alpinistą. Na razie wyrabiał sobie nazwisko dzięki karierze starszej siostry. Kiedy osiągnie sukces, będzie upowszechniał swoje zdobycze i doświadczenia, spłaci ją częściowo, a kiedy siostra zakończy już karierę w City, może za dziesięć lat, zacznie zabierać ją ze sobą na ekspedycje. Wszystko przemyśleli i po czterech latach poczynili już spore postępy w realizacji planu.

Isla, uwolniona od niezbyt chętnie spełnianych obowiązków domowych, dostała posadę profesora kontraktowego na uniwersytecie w południowej Kalifornii, w Berkeley. Była tam już dwa lata. Wynajęła swój dom, a Sara wyprowadziła się, wzięła ogromną pożyczkę, użyła wszystkich oszczędności i kupiła sobie dom przy Carlyle Square. Wprowadziła się tam razem z Alexem. Trzy miesiące później mieszkanie na parterze w domu Sary zostało wystawione na sprzedaż. Starsza dama, która je zajmowała, zrezygnowała ze swojej słabnącej niezależności i przeprowadziła się do syna i jego żony do Szkocji.

Sara działała szybko. Od dawna marzyła o tym mieszkaniu na parterze. Isla lub Jacob zawsze mogliby z niego skorzystać, Alex zaś mógł tam trzymać swój ogromny zapas wyposażenia. I jeśli Eddie miał z nią pozostać, mogliby potrzebować więcej miejsca. Zwiększyła więc swój kredyt do maksimum, wyłuskała wszystkie oszczędności, które już zaczęła odnawiać, i kupiła mieszkanie za 160 tysięcy funtów. Tak więc, mając dwadzieścia siedem lat, była właścicielką domu na Chelsea wartego 800 tysięcy funtów z 400 tysiącami funtów kredytu do spłacenia, wykonując dobrze płatny, ale ryzykowny zawód.

Tej finansowej niepewności jeszcze dwa lata temu nie byłaby w stanie wytrzymać, ale rany z dzieciństwa przygotowały ją na sukcesy w życiu dorosłym i teraz, mimo że nie czuła się z tym zbyt szczęśliwa, nie pozwalała sobie na zamartwianie się i śmiała się, że dzięki tej ryzykownej sytuacji odkryła w sobie żyłkę do hazardu. Jeszcze parę dobrych lat w City i spłaci kredyt. Wtedy zacznie zbierać, jak je nazywała, uciekające pieniądze.

Osiągnęła sukces, była inteligentna, lubiana i piękna, ale nigdy lekkomyślna. Pod wieloma względami obecne życie Sary stało się tak dobre, jak to tylko możliwe, ale kiedy zaczynała je analizować, co robiła bardzo rzadko, zawsze się bała, że ten spokój był ciszą przed burzą.

Jacob podejrzewał, że w Sarze jest element autodestrukcji, więc obserwował ją troskliwie. Znał jej sytuację finansową i nie przejmował się nią nadmiernie, martwiło go tylko, że Sara przeżywa z tego powodu stres. Na osiemnaste urodziny podarował jej cenny pierścionek z rubinami i brylantami. Kiedy skończyła studia, sprezentował jej kolczyki do kompletu. Na następną okazję, sam jeszcze nie wiedział na jaką, trzymał dla Sary brylantowo-rubinowy naszyjnik ukryty obecnie w sypialni. Dzięki tym kosztownościom, jeśli zaszłaby taka potrzeba, spłaciłaby za jednym zamachem cały swój kredyt. Jacob zdawał sobie sprawę, że trudno byłoby sprzedać naszyjnik w kraju, ale miał kontakt z pewnymi kupcami, którzy znali się na doskonałej biżuterii, i nie potrzebowali świadectw pochodzenia.

Nie powiedział jeszcze Sarze o tym prezencie. Pogniewałaby się, że Jacob nie wierzy w jej siły. Ale nie o to chodziło, oczywiście. Wierzył, że

w końcu sobie poradzi, zachowa pracę, spłaci długi... Chciałby jej oszczędzić nieprzyjemności na tej drodze, miło było mieć wrażenie, że te rubiny tu są: piękna polisa ubezpieczeniowa.

Sara energicznie szła w kierunku stacji metra nazwanej Bank. Kusilo ją, aby pójść do domu i się przebrać, ale dodatkowa podróż byłaby stratą czasu, a poza tym Jacob lubił widzieć ją elegancką. Gdyby poszła do domu, nie mogłaby się oprzeć legginsom. Wolala mieć na sobie swój żakiet z City, pojechać do Jacoba wcześniej i popróżnować u niego, podczas gdy on zajmie się gotowaniem. Kupiła bilet na stacji *Evening Standard* i wtopiła się w tłum zmierzający do północnej linii metra. Pociąg pojawił się po paru minutach, w momencie, kiedy ludzie drepający na stacji zaczęli ją denerwować. Sara wepchnęła się do środka, wywalczyła sobie siedzenie i zatopiła się w lekturze gazety na czterdzieści minut.

Wysiadła na stacji Golders Green i poszła okrężną drogą, do sklepu z alkoholami. Wybrała dwie butelki czerwonego wina. Jacob rzadko pił białe. Jego miłość do czerwonego wina udzieliła się również Sarze. Ekspertem w dziedzinie win stała się na wiele lat, zanim zaczęła chodzić na wystawne randki do eleganckich restauracji. Kołyszając butelkami w plastikowej torbie, zeszła z powrotem ze wzgórza, wróciła do stacji i skręciła z hałaśliwej głównej ulicy w cichą Rothervick Road. Jedno- i dwupiętrowe domki z czerwonej cegły stały rzędem oddzielone od ulicy doskonale utrzymanymi ogrodami. W większości z nich kwitły róże.

Odkąd poznała Jacoba, nigdy nie szczędził czasu i energii na dogłębne oglądanie swego ogrodu, który był szczególnie ładny. Uwielbiał róże. Rosły tam dzikie herbaciane róże, dumne Kopenhagi i najlepsze, duże czerwone Alexandry, rozlewające wokół swój niespotykany zapach. Kwitło też mnóstwo innych gatunków. W dzieciństwie nauczył ją wszystkich ich nazw, ale teraz nie pamiętała już większości z nich. Sara otworzyła furtkę, która lekko skrzypnęła. Jacob nie chciał jej naoliwić, twierdząc, że to świętynny system wczesnego ostrzegania. Skrzypnięcie przywołało Rubina, który przydreptał zza rogu i zaczął się ocierać o łydki Sary. Jedną ręką podniosła go do góry, drugą przycisnęła dzwonek. Butelki delikatnie zadzwoniły o mosiężną kłamkę. Po paru sekundach Jacob stał w drzwiach z szerokim uśmiechem.

— Witaj, kochanie. — Uściskał ją, gniotąc Rubina pomiędzy nimi. Ucałował Sarę w policzki i spojrzał z nadzieją na reklamówkę. — Co tu dla mnie masz? Coś skromnego mam nadzieję? — Zerknął do torby i obejrzał butelki. Jego uśmiech się pogłębił. — Nieźle. Cieszę się, że czegoś się nauczyłaś.

Sara roześmiała się.

— Wszystko, co wiem, i tak dalej... — Delikatnie postawiła Rubina

na ziemi i poszła za Jacobem do kuchni. Wyciągnął ze starej dębowej serwantki dwa wysokie kieliszki o zmysłowym kształcie i otworzył butelkę. W obydwu kieliszkach zmieściło się pół butelki. Sara nabyła od Jacoba zwyczaju mierzenia swojej konsumpcji alkoholu liczbą kieliszków.

— Wszystko już prawie gotowe. Idź i oglądaj „Coronation Street”. Potem opowiesz mi, co się tam dzieje. Ja cię zawołam.

Sara wzięła wino do salonu i klapnęła na sofę przed telewizorem. Odcinek serialu „Coronation Street” był już w połowie. Sara sączyła wino, popstrykała kanałami, wzięła stary numer *Spectatora* i usiłowała go czytać.

Po dwudziestu minutach Jacob wystawił głowę przez drzwi.

— No i co się działo?

Hmm? — Sara podniosła głowę i spojrzała z niewyraźną miną.

— W „Coronation Street”, co się działo? Sara roześmiała się i spojrzała spłoszona.

— Przepraszam, Jacob. Nie skoncentrowałam się.

— Skoncentrowałam. Nie bądź głuptasem. Nie trzeba się koncentrować, żeby oglądać „Coronation Street”. — Spojrzał na nią groźnie z końca pokoju. — Tak czy inaczej, lepiej chodź coś zjeść.

Sara potulnie podążyła za nim do kuchni. Usiadła, a on nalał jej ogromną porcję *poule au pot*.

— Zjedz. Skóra i kości, jak zwykle.

— Wcale nie — powiedziała Sara, pałaszując w nagłym przypiływie apetytu.

Jacob obserwował Sarę przez chwilę, zanim zapytał.

— Coś złego się dzieje?

Sara przerwała, aby przełknąć. Odłożyła widelec.

— Co masz na myśli?

Jacob wyglądał na poruszonego.

~ Co mam na myśli - Co mam na myśli. Co, jak sądzisz, mam na myśli?

Sara westchnęła i upiła wina.

— Zrozum, Jacob, nie mogę ci zawsze wszystkiego mówić. Nie jestem pewna, czy to twoja sprawa.

Zobaczyła, jak jego oczy wilgotnieją, i miała ochotę odgryźć sobie język.

— O Boże, Jacob. Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć. To przez ten wyjazd Alexa i Eddiego, jestem trochę przygnębiona. Źle spałam...

Jacob pociągnął długi łyk.

— W porządku, nie przejmuj się, kochanie. — Przez chwilę milczał. — Ale to nie jest to. To nie dlatego jesteś smutna. Widziałem cię taką już kiedyś. Czegось się boisz, tak?

Sara przyjrzała się zniszczonej, pomarszczonej od zmartwień twarzy Jacoba. '

— Nic się przed tobą nie ukryje, prawda?

Jacob wyprostował się z westchnieniem ulgi i czekał.

— Cóż, właściwie chyba mogę ci powiedzieć — odezwała się Sara. — Nie widzę powodu, dla którego miałabym tego nie robić. Jest coś bardzo dziwnego, w co zamierzam się wplątać. W co już właściwie jestem wplątana. — Przerwała. — Trochę zawikłane to wszystko.

Jacob wyciągnął z niej po kawałku informacji: o Carterze, Barringtonie i Dantem Scarpirato.

— Rozumiesz — kończyła — chcę dostać tę pracę. Czuję się po prostu trochę zaniepokojona. To wszystko. W Finlays wszystko dobrze, z Eddiem też. Wszystko jest piękne i spokojne.

— A ty po prostu nie potrafisz tego tak zostawić?

— Nie — przyznała Sara. — Nie potrafię.

— Więc, co zamierzasz zrobić? Sara uśmiechnęła się.

— Wziąć pracę, którą mi oferują.

Jacob uśmiechnął się po drugiej stronie stołu.

— To może być niezła zabawa. Sara spojrzała na niego z uwagą.

— Widziałam już to spojrzenie wcześniej, Jacobie Goldsmith. Coś tam masz dla mnie w rękawie?

— Zaczekamy i zobaczymy, jak dostaniesz tę pracę, dobrze?

## Rozdział 9

Przez dwa dni Sara nie miała żadnych wiadomości ani od Sue „Bank”, ani od Dantego Scarpirato. Pierwszego dnia czuła prawie ulgę, wolna, oddała się swojemu zwykłemu życiu. Drugiego dnia zaczęła się martwić: może ktoś inny dostał tę pracę. Zrozumiała, jak bardzo jej zależało na tym zadaniu. Trzeciego dnia udawała wystudiowaną obojętność tak, że prawie przekonała samą siebie, iż może wziąć albo zostawić tę pracę i całą umowę... Oczywiście, jak na ironię, trzeciego dnia zadzwoniła Sue „Bank”.

To była środa wieczorem, godzina 20.30, Sara właśnie wróciła z siłowni i aby nadrobić straty energii, kupiła sobie paczkę chipsów. Ze złością sięgnęła po słuchawkę, usiłując chwycić ją tłustymi palcami.

— Halo! — Było to bardziej wyzwanie niż powitanie.

— Cóż, przepraszam — usłyszała znajomy głos i śmiech Sue.

— Przepraszam, Sue — wykrztusiła Sara, połykając garść chipsów. — Nie przeszkadzaj psu, jak je... czy coś takiego.

— Skądś to znam. Mam zadzwonić później?

— Nie, nie przejmuj się, już przeżuwam.

— Fuj, obrzydliwość. No więc, słuchaj. Znowu zadzwonił do mnie Scarpirato. Chciałby się z tobą zobaczyć jutro, jeśli to ci pasuje.

— Czy gdyby mnie teraz widział, też by zadzwonił? — Sara zatrzymała chipsa w połowie drogi i uśmiechnęła się szeroko. — Oto jest pytanie. — Wrzuciła chipsa do ust i przez chwilę w milczeniu żuła.

— No więc jak — powiedziała Sue nagabujące — Chcesz tę pracę, czy nie? Sara zignorowała jej pytanie.

— Na jakim etapie jest w przeprowadzaniu interview?

— Oprócz ciebie widział się z ośmioma kandydatami — odpowiedziała Sue cierpliwie. — Jeszcze dwóch ma zamiar zobaczyć. Upłynęła następna dłuższa chwila ciszy.

— Saro, chcesz tę pracę czy nie? Zdaje się, że nie jesteś pewna. Sara uśmiechnęła się do siebie.

— Zobaczmy, co ma nam do powiedzenia pan Scarpirato. Przekaż mu, proszę, że zobaczę się z nim jutro w jego biurze o 18.30.

— Dobrze, proszę pani.

Następnego wieczoru o 18.20 Dante Scarpirato siedział w swoim biurze z Matthew Arnottem i Simonem Wilsonem, rozmawiając o ostatnim kandydacie, którego przesłuchiwali, dwudziestodwuletnim Amerykaninie, przyjacielu Arnotta, z którym studiował razem na uniwersytecie w Brown.

— Cóż, myślę że jest świetny — Arnott spojrział na Dantego i odwrócił wzrok. — Jest dobrym maklerem i pasuje do nas. — Przerwał trochę niezręcznie i po chwili ciszy dodał niepewnie. — W każdym razie ma mój głos.

Scarpirato zaciągnął się mocno cygarem i odwrócił twarz do Arnotta.

— Ten facet to idiota. Czasami trzeba być tak cholernie niesubtelnym. Twarz Arnotta zalała się czerwienią. Simon Wilson oglądał czubki swoich butów. Arnott zapalił papierosa i trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym wycelował nim w Dantego Scarpirato.

— Więc kogo chcesz? Scarpirato westchnął.

— Właśnie to proponuję przedyskutować, jeśli uspokoisz się na sekundę. W drzwiach pojawiła się sekretarka, nie pozwalając Arnottowi odpowiedzieć.

— W recepcji czeka Sara Jensen. Mam ją przysłać?

— Tak, bardzo proszę. Ale posadź ją przy moim biurku handlowym. Poproś, żeby zaczekała parę minut. Przyjdę po nią, kiedy będę gotowy.

Sekretarka odwróciła się i zniknęła w recepcji. Po paru minutach przysłała z Sarą i posadziła ją przy biurku, około pięciu metrów od gabinetu, w którym siedzieli.

Sara usiadła na biurku. Trzymała egzemplarz *Evening Standard* i udając że czyta, usiłowała podsłuchać rozmowę w gabinecie. Docierało do niej jednak tylko niewyraźne mamrotanie. Sara poddała się i skoncentrowała na gazecie. Nie było sensu podsłuchiwać tylko po to, aby wysnuć niepewne wnioski. Szklane ściany i drzwi pokryte były żaluzjami. Patrząc z zewnątrz do środka, dostrzegało się tylko niewyraźne sylwetki.

Z wnętrza gabinetu widok był o wiele lepszy. Scarpirato obserwował Sarę przez żaluzje, gdy siedział i rozmawiał ze współpracownikami. Słuchał, co do niego mówią, nie spuszczać z niej wzroku. Arnott usiadł z powrotem na krześle i wyciągnął ręce nad głową w pozie rozmyślnej obojętności. Zapalił kolejne marlboro.

— Nie możemy z tym poczekać do jutra?

— Chciałbym usłyszeć wasze opinie teraz. — Scarpirato mówiąc to patrzył na profil Sary.

— Dlaczego? Mamy mnóstwo czasu. Mamy jeszcze jednego kandydata do przesłuchania, nie musimy podejmować takich decyzji teraz.



Scarpirato kontynuował wpatrzony w Sarę:

— Ponieważ proponuję dać tę pracę jej — odpowiedział cicho.

— O cholera, Dante. Wiesz, jaka ona będzie. Jest arogancką suką, która się wkręci, wykręci, trochę popracuje w przerwach między swymi towarzyskimi rozrywkami i będzie po prostu wszystkich rozpraszać.

Scarpirato oderwał oczy od Sary i zwrócił się twarzą do Arnotta.

— Ile dla nas zarobiłeś w ciągu ostatniego roku? Arnott spojrzał zmieszany.

— Dlaczego nie spytasz o ten rok? Jak dobrze wiesz, jestem do przodu  
0 parę milionów.

— Ale byłeś do tyłu parę milionów w ubiegłym roku, kiedy Sara Jensen przypadkiem zarobiła 6 milionów dla Finlays. Wszyscy znamy jej referencje. Może się wkręcać i wykręcać, jak mówisz, ale w ciągu godziny zarabia więcej niż ty w ciągu tygodnia. — Scarpirato uśmiechnął się do Arnotta. — Więc znasz moją decyzję. McPerson odszedł dwa tygodnie temu. Potrzebujemy nowego człowieka. Moglibyśmy miesiące spędzać na przeorywaniu City i nie znaleźlibyśmy nikogo tak dobrego, jak ona... Lub tak dobrze wyglądającego, pomyślał z goryczą Arnott.

— Teraz wyjdźcie i poproście ją tu, z łaski swojej. Spadajcie obydwaj.

Rozpłomieniony Arnott wymaszerował, a za nim milczący Simon Wilson. Arnott wysłał Sarze kwaśny uśmiech.

— Prosi, żebyś weszła. — Skinął głową na gabinet, chwycił marynarkę ze swego krzesła i wyszedł. Wilson powiedział: „Cześć”, „Do widzenia”

I spokojnym krokiem ruszył za Arnottem.

Scarpirato siedział, paląc cygaro. Patrzył na nią uważnie, gdy wchodziła do gabinetu. Gestem wskazał Sarze krzesło. Poczowała się skrepowana pod jego natarczywym spojrzeniem. Słaby uśmiech wykrzywił mu usta. Przebłysk wyzwania rozbłysł w oczach Sary, gdy na niego spojrzała, a to spowodowało, że jego uśmiech pogłębił się jeszcze. Chciała sięgnąć po papierosa do swojej torby stojącej na podłodze po to, żeby uwolnić się od spojrzenia i ukryć swoje oczy. Bała się, że Scarpirato wyczyta w nich za dużo, ale zniewolona utkwiała w nim wzrok. Usiedli, nic nie mówiąc, patrząc na siebie, żadne nie chciało zacząć rozmowy, pierwsze spojrzeć w bok. W końcu mężczyzna pochylił się do przodu i całe napięcie minęło. Było tak, jak gdyby przybrał inną maskę: przyszłego szefa, oficjalną, obiektywną, zawodową. — Okay, Saro, wszyscy zgodziliśmy się, że będziesz pożytecznym członkiem naszego zespołu. — Sara, przypominając sobie wyraz niechęci na twarzy Arnotta,omalże nie wybuchnęła śmiechem. — Wiec witaj w ICB.

Zdawał się z góry zakładać, że ona zaakceptuje propozycję, zatrzymał się przelotnie, aby z jej spojrzenia wyczytać zgodę, i ciągnął, nie zważając na nic. — Chcę, abyś znalazła się w tym biurze tak szybko, jak będziesz mogła. Kiedy zaczynasz?

Sara zamrugła oczami słysząc to i odwróciła wzrok. Jego głos był spokojny i rozważny, mówił z przerwami dla zwiększenia efektu. Dobierał

słowa w miarę normalnie, ale to wszystko w jego ustach... Studiowała twarz Dantego Scarpirato. Znowu pojawił się na niej łagodny uśmiech. Czowała się prawie tak, jakby sobie z niej żartował. Ich oczy spotkały się i ona też uśmiechnęła się po namyśle.

— Chcę pakiet pięciuset tysięcy funtów zagwarantowany na pierwszy rok, i zaczynam w poniedziałek.

Scarpirato pochylił się w jej kierunku i przyjrzał się uważnie, mrużąc przy tym oczy.

— Pół miliona? To trochę więcej, niż myślałem.

— Nie zamierzam się targować.

— Okay, Saro, ale mam nadzieję, że wiesz, co robisz, podbijając stawkę. Lepiej, żeby okazało się, że jesteś dobra.

Lepiej by było dla ciebie, żebym nie okazała się dobra, pomyślała. Scarpirato wstał i wyszedł zza biurka. Był niepokojąco blisko. Sięgnęła po torbę i cofnęła się o krok. Obserwował, jak przygotowuje się do wyjścia.

— I jeszcze jedno pytanie — rzuciła, gdy wychodzili z jego gabinetu. — Nie wydaje się, by Matthew Arnott za mną przepadał. Trudno mi uwierzyć, że chce, abym była w zespole.

Scarpirato roześmiał się.

— Proszę się nim nie przejmować. To ciężki drań. Ale jest utalentowanym maklerem. Zarabia dla nas dużo pieniędzy. Myśli, że to go upoważnia do chamskich zachowań. Zna pani ten typ...

Sara uśmiechnęła się ponuro.

— O, tak. Znam ten typ.

Przeszli razem przez parkiet, teraz cichy i prawie pusty, w kierunku wind. Zatrzymał się przy windach i zwrócił do niej.

— Przygotuję umowę na jutro rano. Sara skinęła głową.

— Proszę ją wysłać na mój domowy adres. Będę czekała, aż ją dostanę, zanim wyjdę do Finlays.

Scarpirato sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął pióro i mały kalendarz.

Odwrócił się. Był to dział z adresami, jak zauważyła Sara. Podała mu swój adres, patrząc, jak go zapisuje. Włożył kalendarz i pióro z powrotem do kieszeni. I uśmiechnął się do niej.

— Do zobaczenia w poniedziałek — powiedział.

— Tak, do zobaczenia w poniedziałek.

Spojrzał na nią zagadkowo, jakby w tonie jej głosu coś go zaskoczyło, po czym odwrócił się i odszedł. Sara patrzyła, jak znika w labiryncie biurk. Przyjechała winda. Sara na dół zjechała sama. Pot spływał jej po plecach.

Idąc wzdłuż Idol Lane do Eastcheap, złapała taksówkę. Zagłębiona w siedzeniu zapaliła papierosa. Dostała tę pracę. Jeszcze dwie godziny temu o niczym innym nie marzyła. Teraz zastanawiała się, w co zaczyna się wplątywać.

Następnego dnia rano czekała w domu na gońca z umowami z ICB. Dwie kopie przybyły o dziesiątej. Jedną podpisała i wysłała z powrotem, drugą zatrzymała w swoich dokumentach. Popędziła do telefonu zadzwonić do Anthony'ego Barringtona. Jest na spotkaniu, jak powiedziała sekretarka. Zostawiła pilną wiadomość. Dziesięć minut później oddzwonił.

— Prezesie, dziękuję za telefon. Mam dobre wieści. Dostałam tę pracę. Zaczynam w poniedziałek.

— Dobra robota, Saro. To doskonała wiadomość. Naprawdę. Świetnie się pani spisała! — Zrobił teatralną przerwę, po czym zaczął mówić z udawaną powagą. — Ale mam nadzieję, że nie będzie to pani kosztowało zbyt dużo. Nasza sprawa zajmie trochę czasu, a nie chcielibyśmy, żeby miała pani kłopoty ze swoim kredytem. Roześmiali się razem. Obydwoje wiedzieli, że być może przyjdzie jej za to zapłacić. Ryzyko polegało na tym, że zostanie odkryta, zanim zdobędzie dowody. Jeśli Scarpirato okaże się winny. Wtedy zostanie zwolniona, i w najlepszym razie trzydzieści pięć milionów funtów rocznie będzie warte bezwzględnej walki. Prezes odłożył słuchawkę i poprosił sekretarkę o połączenie z Jamesem Bartropem. Bartrop odezwał się na linii parę sekund później.

— Panie prezesie.

— Bartrop, dostała tę pracę.

— Świetnie. Wszystko zaczyna się układać. — Przerwał na chwilę. Barrington prawie poczuł trybiki obracające się w mózgu Bartropa. — Teraz musimy sprawę trochę zasilić — kontynuował.

Barrington zmarszczył czoło. Następne szarady.

— Zasilić?

— Tak. Finansowo. Trzeba dać jej trochę pieniędzy, w gotówce, na wydatki.

— Wydatki? Jakie wydatki?

— Ach, nie wiem. To nieważne. Barrington czekał na wyjaśnienie, o co chodzi.

— Po to, żeby ją związać. Symbolicznie. To powszechna praktyka, która urealnia sprawę. Traktuje się ją bardziej poważnie.

— Tak, rozumiem. Ile?

— Ach, parę tysięcy.

— To pestka, dla takiej dziewczyny jak ona.

— To nie ma znaczenia. Nie chcę jej dawać za dużo. Wyglądałoby to podejrzanie. Symboliczna suma. Zapłacimy. Przyślę przez gońca za pół godziny. Proszę zorganizować z nią spotkanie. Im wcześniej da jej pan pieniądze, tym lepiej. To ustala ton.

— W porządku. Czekam na przesyłkę. Zobaczę, co się da zrobić.

Sara weszła do Finlays podniecona i rozedrgana. Czas się pożegnać. Najlepiej przejść przez to szybko. Mijając swoje biurko, poszła od razu do prywatnego gabinetu Jamiego Rawlinsona. Większość dyrektorów, oprócz swojego miejsca w sali handlowej, miało prywatne gabinety. Sala handlowa nie dawała chwili spokoju; wrzała od plotek, więc prywatne gabinety były niezbędne.

— Dzień dobry, Jamie. Mogę ci zająć dziesięć minut?

Próbował przekonać ją, aby została; usiłował, bez skutku, skontaktować się z Carterem, który był tego dnia na delegacji w Paryżu. Sara pozostała niewzruszona. Nadszedł czas przenosin. Wróciła do swego biurka, wzięła parę osobistych rzeczy, które trzymała porzrucane. Reszta rzeczy osobistych zostanie dostarczona jej przez gońca. Trochę czasu zajęło jej skopiowanie i zabranie wszystkiego, co miało dla niej wartość zawodową. Wzięła swoją torbę i ruszyła przez salę. Zatrzymał ją głos Davida Reeda. — Saro, telefon. Pilny. Nie przedstawił się.

Sara zaklęła pod nosem. Chciała wyjść z budynku tak szybko, jak to było możliwe. Zawróciła i podeszła do swojego starego biurka, chwyciła słuchawkę i włączyła się na pierwszą linię.

— Halo.

— Och, Saro, cieszę się że panią złapałem. Tu Anthony.

Sara zmarszczyła czoło, rozpoznając głos, ale zaskoczona imieniem.

— Ach, to pan, panie pre... Przerwał jej w pół słowa.

— Tak, to ja. Przepraszam, ale mam mało czasu. Czy mogłaby pani wpaść do mojego biura? Powiedzmy, za pół godziny.

— Dobrze, w porządku.

— Więc do zobaczenia. — Połączenie zostało przerwane.

Sara wzięła swoją torbę, przemknęła przez salę i wyszła z Finlays na dobre. Czowała się nieswojo. Rozstanie po czterech latach nie mogło być przyjemne. Czowała w żołądku znajome ukłucie niepewności. I jeszcze ta dziwna rozmowa z prezesem, chcącym ukryć swoją tożsamość. Przywołało to nieprzyjemne wspomnienia. Miała kiedyś romans z żonatym mężczyzną. Nie chciał, by używała jego imienia, gdy rozmawiali przez telefon i nigdy się nie przedstawiał. Jego powściągliwość wydawała się jej bezsensowna i paranoiczna. Oskarżała go, uważając, że jest podwójnie nielojalny. Zostawiła go po trzech miesiącach i postanowiła nigdy nie stawiać się w podobnej sytuacji.

Wypchnęła z myśli te wspomnienia, ale nieprzyjemne uczucie pozostało. Wyszła na Old Broad Street. Na ciepłe lipcowe słońce. Bank był dwie minuty drogi stąd, miała więc pół godziny. Poszła do Finsbury Circus i spacerowała po liściastym parku, usiłując przegonić niepokój. Skąd ten pośpiech? Dlaczego chciał się z nią zobaczyć? Czyżby odwołano całą akcję?

Nagle poczuła falę chorobliwego drżenia. Odeszła z Finlays. Tego nie dałoby się odwołać. Nigdy by tego nie zrobiła, nigdy nie przeszłaby do

ICB, gdyby nie ta specjalna misja, którą powierzył jej prezes. Może nieoczekiwanie zmienił zdanie? Może uznał, że ona się do tego nie nadaje? Poczowała, że ogarnia ją panika. Może o czymś się dowiedział.

Usiadła na ławce w parku i po omacku szukała w torbie papierosów. Zapaliła i wypuściła nerwowo dym. Czowała, jak nikotyna dostaje się do jej żył. Wypaliła papierosa do samego filtra głęboko się zaciągając.

Nagle roześmiała się sama do siebie. Już teraz zaczynała wpadać w panikę. A co będzie później? Wdeptała papierosa w ziemię, wstała i mruknęła do siebie.

— Pieprzyć to. — Odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku Threadneedle Street i Banku Anglii.

— Ach, Saro. Dziękuję, że pani przyszła. Znowu zbyt późno zawiadomiłem panią o zaproszeniu. W każdym razie, dobra robota. Bardzo dobra robota.

Sięgnął do biurka i wyjął kopertę. Popchnął ją przez biurko do Sary. Nie wzięła jej.

— To dla pani. Na działanie i pokrycie wszelkich wydatków. Jestem pewien, że będzie je pani potrafiła odpowiednio wykorzystać.

— To naprawdę nie jest konieczne; panie prezesie.

— Dobrze, dobrze. Nigdy nie wiadomo, czego może pani potrzebować. To należy do operacji. Proszę wziąć pieniądze.

Sara wzruszyła ramionami. Sięgnęła po kopertę i nie otwierając wrzuciła ją do torby. Spojrzała na prezesa. Uśmiechał się do niej dobrotliwie, jak ojciec dający kieszonkowe. Tylko że Sara nie potrafiła spojrzeć na to w ten sposób.

Prezes zerknął na zegarek i wstał. Wyciągnął do niej rękę.

— Cóż, do widzenia, Saro, i powodzenia. Jest pani teraz w gruncie rzeczy zdana na siebie. Oczywiście będzie pani miała moje całkowite poparcie, ale stanę się prawie niewidoczny, dla pani dobra, dobrze? Inaczej mogłoby się to okazać podejrzane.

Proszę dzwoń, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebowała.

Wciąż uśmiechał się szeroko, ale ciepły ton zniknął. Sara czowała się lekko odepchnięta, jak gdyby wsadzano ją do pociągu na długą, samotną podróż. Więc tak to wygląda. W porządku. Widziała w tym logikę. I mogła postąpić podobnie.

Uścisnęła jego dłoń.

— Do widzenia, panie prezesie.

Nie zajrzała do koperty, dopóki nie dotarła do domu. Dopiero siedząc przy biurku, rozcięła ją nożem i wyciągnęła 3 tysiące funtów. Banknoty włożyła z powrotem do koperty i zamknęła ją na klucz w szufladzie biurka. Trzy tysiące funtów. Na wydatki. Ale na co?

Weszła do sypialni i przebrała się, żeby pobiegać.

## Rozdział 10

James Bartrop siedział w swoim biurze w Century House w południowo-wschodnim Londynie, w dwudziestopiętrowym niechlujnym wieżowcu przy Westminster Bridge Road pod numerem 100 i pił bardzo mocną kawę z ekspresu. Budynek zaprojektowany w 1961 roku był typowym biurowcem z tamtego okresu: szarym, surowym, ponurym, pozbawionym charakteru i nie lubianym przez pracujących w nim ludzi. Od innych wieżowców różnił się siatką przeciwbombową chroniącą osiem najniższych pięter.

Wkrótce wydział MI 6 miał się przenieść do nowego budynku w Vauxhall, na południe od Tamizy, około pół kilometra w linii prostej od siedziby parlamentu. Budynek, który kosztował 240 milionów funtów, nie mógł bardziej się różnić od Century House. Był produktem pysznego stylu architektury lat 80. Prasa trochę ironicznie nazwała go Wieżą Babel. Zaprojektowany nie po to, by wkomponował się w otoczenie, ale by wykrzyczał swoją indywidualność, roztrąbił swoją obecność, zwracając na siebie uwagę każdym elementem muru, wieżami i zabarwionymi na zielono oknami, nie był zapewne najbardziej odpowiednim budynkiem na siedzibę wydziału MI 6, czy Tajnej Służby Wywiadowczej, jak go oficjalnie nazywano. Ale wtedy, gdy powstawał, wywiad był w trakcie „przyznawania się do istnienia”; innymi słowy jego działalność miała zostać wkrótce uznana aktem parlamentu. Ten nowy budynek na swój bezwstydną sposób zdawał się rozgłaszać ten fakt każdemu, nawet słabo zorientowanemu, przechodniowi.

Wywiad miał się do niego wprowadzić w 1994 roku. Bartropa, obserwującego, jak powstaje nowy budynek, najpierw drażniła jego banalność, ale wkrótce zaakceptował go, a nawet czekał niecierpliwie, kiedy zacznie pracować w nim, wśród udogodnień, nowoczesności, mając piękne widoki z okien. Nie należał jednak do ludzi zbyt przejmujących się otoczeniem. Miał wyczucie estetyki, ale bardziej niż na otaczającym go krajobrazie, polegał na swoim krajobrazie wewnętrznym. Był człowiekiem

szczęśliwym, a przynajmniej dobrze funkcjonującym, istniał przecież ogarniający wszystkie dziedziny życia cel, któremu je podporządkował i który kierował jego myślami.

Ale nie był to jednak obraz, który prezentował światu. Wydawał się hedonistą, tak jak większość czterdziestopięcioletnich kawalerów dobrze ustawionych finansowo dzięki zamożności od urodzenia. Dobrze jadł, sporo pił. Mieszkał w dużym domu na Chelsea Square. Na weekendy wyjeżdżał do swojego wiejskiego domu w Gloucestershire dwie i pół godziny drogi z Londynu lub leciał na południe Francji albo w Alpy, w zależności od pory roku, prawie zawsze w kobiecym towarzystwie, zostawiając sprawy zawodowe za sobą i prowadząc regularne życie w nieregularnym towarzystwie.

Żaden z romansów nie trwał długo, ale to nie miało znaczenia. Zawsze było ich wystarczająco dużo, aby wypełnić pustkę. Jako kawaler zbliżający się do średniego wieku mógł sobie pozwolić na zawężenie selekcji, bo nie tylko był bogaty, ale również atrakcyjny fizycznie: metr osiemdziesiąt wzrostu, dobrze zbudowany, mocna twarz, kręcone, brązowe włosy, niebieskie, nieco przymglone oczy. Kapryśne, rozbawione spojrzenie, przynajmniej to na użytek publiczny. Zawsze próbował maskować swój naturalny cynizm.

Oprócz tego wydawał się atrakcyjny psychologicznie, czuł w sobie wyzwanie historycznego niespełnienia, zwiększone jeszcze przez brak skrupułów pielęgnowany w jego pracy. Jednym słowem, pociągał kobiety, czy raczej pewien typ kobiet: ambitnych lub tych, które niezbyt przejmowały się sobą, a istniała ich spora liczba. Bartrop prowadził życie, które wielu uznałoby za godne pozazdroszczenia i sam był z niego, jak do tej pory, zadowolony.

Od niedawna poczuł, że nie może tak dalej żyć. Wszystko robił dla zabawy. Jego praca też była zabawą, ale przynajmniej dawała mu coś wartościowego, więc trzymał się jej kurczowo. Pozostawał agnostykiem. Wiara bowiem mogłaby się okazać wręcz niebezpieczna w jego pracy, ale miał cel i był skłonny poświęcić stabilizację i stałość życia małżeńskiego, aby go osiągnąć. Wyznawał filozofię, którą sam dla siebie stworzył. I zdawała się funkcjonować zupełnie dobrze.

Czasami jego praca dawała mu spokojną, umysłową rozrywkę. Tego ranka, gdy myślał o Sarze Jensen, złapał się na tym, że cieszy się jednym z tych rzadkich momentów satysfakcji połączonej z oczekiwaniem. Często miewał takie uczucie na początku nowego romansu, które jednak później niezmiennie zasłaniały chmury następujących nieuchronnie mniej przyjemnych emocji: kobiety okazywały zniecierpliwienie, rozczarowanie i zgorzknienie, on zaś czuł się zrezygnowany i chciał jak najszybciej zakończyć kolejną znajomość. Ale w sprawach zawodowych z Sarą Jensen, nie było takiej pewności. Ta znajomość, chociaż odległa, niekoniecznie musiała zakończyć się łzami. Nie zakończy się, jeśli dobrze wszystko rozegra

i będzie miał odrobinę szczęścia lub przynajmniej nie za dużo pecha. Sprawa wydawała się śliska, przyznawał, ale jak zapewniał Barringtona, możliwa do kontrolowania.

Na początku miał pewne zastrzeżenia co do osoby Sary Jensen. Był podejrzliwy w stosunku do pięknych kobiet. Nadmiar adoratorów i zbyt wiele propozycji nie zawsze prowadziły do stabilizacji. Ale w gruncie rzeczy wszystko wyglądało dosyć solidnie oprócz tragicznego dzieciństwa. A jej uroda mogła okazać się przydatna w zbliżaniu się do podejrzanych.

Bartrop złapał się na zastanawianiu, jak ona może wyglądać. Nigdy oczywiście nie spotka się z nią. Dla Sary Bartrop w ogóle nie istniał lub jeśli nawet, to był odległą osobą ukrytą w cieniu, bez związku z jej rolą agenta. Uśmiechnął się do siebie. Zadzwoił do swojego zastępcy, Milesa Forshawa.

— Chciałbym dostać parę fotografii panny Jensen. Porozmawiaj o tym, proszę, z obserwatorami.

Poniedziałek rano. Metalowe rzeźby w ICB chłodno powitały Sarę. Jej kroki odbijały się echem od szaromarmurowych ścian przedsionka, a twarz, która przyglądała się jej w wyłożonej lustrami windzie, zdradzała napięcie.

O siódmej trzydzieści rano sala handlowa była pełna. Morze nieprzyjaznych twarzy patrzyło na nią, kiedy weszła. Z uczuciem ulgi usiadła na pustym siedzeniu między Arnottem i Wilsonem.

Wilson spojrział na nią i uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dzień dobry, witamy na pokładzie. Sara odwzajemniła uśmiech.

— Dzień dobry i dziękuję.

Z prawej strony Arnott niechętnie podniósł głowę.

— No właśnie. Witamy na pokładzie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odwrócił się z powrotem do swoich monitorów. W tym samym momencie z gabinetu wyłonił się Scarpinato

i podszedł do biurka maklerów. Arnott i Wilson odwrócili się od ekranów, aby patrzeć, co robi. Obrzucił Sarę spojrzeniem.

— Zebranie zespołu — oznajmił. Był szefem, narzucającym swoje zdanie.

Prawdziwym szefem w tonie i postawie, Sara zauważyła to, obserwując go, kiedy szedł pewnym krokiem w kierunku sali konferencyjnej, na uboczu sali handlowej.

Arnott, Wilson i Sara wstali i podążyli za nim.

W odróżnieniu do ogromnych przestrzeni sali handlowej, która tonęła w chorobliwej, zielonej poświacie monitorów, sala konferencyjna skąpana była w naturalnym świetle wpadającym do środka przez okna wychodzące na Tamizę.

Widziało się stąd nawet Tower Bridge. Sara podziwiała panoramę, korzystając z chwili. Reszta siedziała wokół porysowanego



blatu czarnego biurka, Arnott i Wilson siorbali gorące cappuccino. Sara odwróciła się z uśmiechem i zajęła miejsce naprzeciw szefa.

Arnott, a później Wilson analizowali rynki z ostatniego tygodnia i drobiazgowo planowali swoją strategię handlową na parę następnych tygodni. Sara zastanawiała się, czy zawsze byli w tym tak zasadniczy. Scarpirato patrzył przez okno na rzekę nie odzywając się i kiedy Wilson skończył, poprosił ją o zabranie głosu. Jeżeli miał nadzieję postawić dziewczynę w niekorzystnej sytuacji, każąc jej mówić po nich, będzie rozczarowany. Sara rozparła się w swoim fotelu i uśmiechała ponad stołem do całej trójki.

— Nieszczerólnie jestem zainteresowana takim wróżeniem z fusów. Wolę obstawiać kierując się instynktem. — Na taki komentarz mógłby sobie pozwolić tylko Scarpirato, a Sara została nagrodzona chichotem zza stołu.

— Pozwólmy więc uwolnić się tym instynktom. Możesz zacząć obstawiać już dzisiaj, limit twojej pozycji wynosi 200 milionów dolarów.

Sara ukryła zaskoczenie. Oczekiwała na początek pięćdziesięciu. Mogłaby sporo narozrabiać za pomocą dwustu. Scarpirato najwidoczniej zastawiał pułapkę na dużą skalę. Sara nadal uśmiechała się nonszalancko. Scarpirato kontynuował zasadniczym tonem:

— Trzymaj się zwykłych tras; na razie nic egzotycznego. Jeśli chcesz robić coś innego lub wykroczyć poza dwieście, przyjdź do mnie.

Sara skinęła głową.

— Handluj na własną odpowiedzialność, ale informuj o wszystkim Matthewa — zwolnił do staccato. — Sprawdzę cię, jeśli zechcę, tak jak to robię z innymi, ale większość czasu będziesz sama — uśmiechnął się miękko. — Lubię, gdy maklerzy handlują na własne konto, wtedy albo korzystają ze swoich sukcesów, albo tracą — podkreślił to słowo — w konsekwencji swoich błędów. Wstał, kiwnął głową, życzył jej szczęścia i wrócił do kryjówki swego gabinetu.

Sara uśmiechnęła się i wolno podeszła do biurka. Opinie o ICB okazały się niesprawiedliwe. Najwyraźniej trudno stać się w tym miejscu primadonną.

Nieskrępowana arogancja była nie tylko tolerowana, ale wręcz nagradzana. Nie oczekiwała, że zechcą ją sprawdzić tak szybko i tak rozrzutnie. Jej limit handlowy w Finlays również wynosił 200, ale była jednym z ich najlepszych maklerów, i sprawdziła się w ciągu czterech lat. Do ICB przyszła z doskonałymi referencjami, ale mimo wszystko stanowiła ryzyko. Na rynku jesteś tylko tak dobry, jak twoje ostatnie osiągnięcie. Jest to jeden ze stresów tego zawodu — musisz potwierdzać się codziennie. Zdaje się, że Scarpirato podejmował wobec niej rozmyślny hazard.

Odniosła się do tego zagrania z arogancką pogardą.

Sara podrapała się w brodę w zamyśleniu. Niepisanym prawem maklera było, że podejmuje decyzje, opierając się na własnym wyczuciu. Zbyt częste powtarzanie podobnego zabiegu nieuchronnie prowadziło do

katastrofy. Ale prawdopodobnie takie działanie nie leżało w naturze Dantego Scarpirato, rozumowała. Wilson zdziwił się z powodu wielkości jej limitu. Był z pewnością dużo wyższy niż jego, ale nie okazał z tego powodu zazdrości. Twarz Arnotta z kolei wykrzywiła się w złowieszczym grymasie. Nie będzie ukrywał radości, jeśli ona straci pieniądze, najwyraźniej na to czekał. Sara uśmiechnęła się do niego słodko, wyciągnęła rękę i poczęstowała się jednym z jego mocnych marlboro.

Pałac myślała o taktykach handlowych szefa. Był jak makler głów, który rezerwuje sobie prawo do ustalania własnych zasad gry, z całkowitą autonomią, z limitami sięgającymi nieba. Ciepłarnia do wylęgania pieniędzy, niebo dla utalentowanych... i dla nie skorumpowanych. Zgasła papierosa w głębokiej szklanej popielniczce z czarnym znaczkiem ICB i wyciągnęła rękę po słuchawkę telefoniczną. Czas porozmawiać ze znajomymi, sprawdzić sytuację na rynku.

Sara codziennie rozmawiała z towarzystwem około 10 maklerów, z którymi handlowała przez ostatnie cztery lata. Wszyscy krążyli po City i mieli nadzieje na zrobienie wielkiej kariery. Jedyna rzecz, jaka się zmieniała, to zarobki, sceneria i limity.

Sara sprawdziła telefoniczną tablicę rozdzielczą o powierzchni trzydzieści na trzydzieści centymetrów, która zawierała dwadzieścia wewnętrznych linii telefonicznych i parę bezpośrednich połączeń z innymi giełdami. Aby się z nimi skontaktować, musiała nacisnąć tylko jeden guzik. System działał prawie jak interkom. Przycisk, a tym samym linia, na drugim końcu był oznaczony napisem: „ICB” i zaczynał mrugać, kiedy Sara do kogoś dzwoniła. Po trzech mrugnięciach telefon dzwonił słyszalnie. Trzy pierwsze nieme mrugnięcia były wymyślone po to, aby zredukować hałas na parkiecie. Podnoszenie słuchawki dopiero wtedy, gdy telefon zadzwonił, uważano za nieprofesjonalne, więc maklerzy bez przerwy zerkali między swoje trzy lub cztery ekrany handlowe i tablicę rozdzielczą telefonu, aby natychmiast reagować na przychodzące rozmowy. Sara wcisnęła przycisk BdP, Banque de Paris, gdzie pracował jeden z jej ulubieńców. Pięćdziesiąt metrów dalej, po przeciwnej stronie Lower Thames Street, Johnny McDermott, znany z wybuchowego usposobienia makler walut w Banku Paryskim, zauważył, że na jego tablicy rozdzielczej błyska linia ICB. Uśmiechnął się, wcisnął tę linię.

— Niech zgadnę. Sara Jensen.

— Dzień dobry, Johnny.

— Więc pracujesz z Matthew Arnottem. — W głosie Johnny'ego zabrzmiała nuta wyjątkowej złośliwości.

— Tak.

— To kawał gówna. — Johnny rzucił to słowo z radością.

— Hmm.

— I z Dantem Scarpirato?

— Tak.

— To jeszcze większe gównno. Sara zdusiła śmiech.

— Hmm. I jeszcze z Simonem Wilsonem.

— Nareszcie jakiś porządny facet — zainteresował się Johnny.

— Hmm. Dzięki Johnny.

— Cała przyjemność po mojej stronie, Saro. Przyjemnego słuchania, kupo gównna. Sara wybuchnęła śmiechem.

— Johnny, ty draniu. Zaczekaj. — Obydwoje wiedzieli, że Scarpirato i jego wierny sługa, Arnott, będą odsłuchiwać taśmy z pierwszych paru dni jej pracy, dla zabawy i żeby pospiegować ją trochę. Na sali handlowej każdą rozmowę telefoniczną nagrywano dla zabezpieczenia przed zdradzaniem tajemnic handlowych i w celu nadzoru. Automatyczny dostęp do tych taśm był przywilejem szeroko nadużywanym przez zwierzchników. — Nieważne, Johnny. — Sara przestała się śmiać. — Widziałeś coś ciekawego?

Po godzinie Sara była już po rozmowach ze wszystkimi dziesięcioma współpracownikami, którzy swoją zwyczajową mieszanką kłamstw, nieumyślnych prawd i od czasu do czasu kawałkiem informacji potwierdzili jej własne przecucie, że przynajmniej dzisiaj na rynku nic się nie działo.

Teoretycznie maklerzy w różnych firmach są przeciwnikami, zmierzającymi w rozmowach, aby zrobić jeden drugiego. Każdy tego oczekuje i jest mile zaskoczony, kiedy to się nie zdarza. W pewnych granicach to ich praca, a przy okazji odrobina zabawy. Sara wiedziała o tym i akceptowała to bez zadawania zbędnych pytań. Ale rywalizowanie z maklerami z zewnątrz było niczym w porównaniu z tym, czego doświadczała w ICB. Arnott od początku zaznaczył swoją opozycję w stosunku do niej. Przynajmniej nie miała iluzji.

Arnott, jak czuła, bardzo chciał zobaczyć jej niepowodzenie. Scarpirato, na swój własny, wyważony sposób również. Dał jej wysoki limit handlowy, licząc na to, że skompromituje się szybko i ostatecznie. Cóż, on i Arnott rozczarują się: nie miała zamiaru handlować dla samego handlowania. Niech myśla, że czuje się onieśmielona wielkością swego limitu, i pośmieją się z niej, że nic ze strachu nie robi. To było częścią tej gry.

Nic nie ukrywało jednak faktu, że oni też grali ostro. Taki był charakter tego miejsca. Sara знаła jego opinię, ale mimo wszystko, nie mogła powstrzymać uczucia, że jest wyróżniona, i zastanawiała się, co się za tym kryje. Uśmiechnęła się do siebie w myślach. City roilo się od teoretyków konspiracji. Nigdy nie sądziła, że stanie się jednym z nich.

Dzień minął spokojnie i o 17.30 Sara przygotowywała się do wyjścia. Arnott, który większość dnia spędził zamknięty z Dantem Scarpirato w jego gabinecie, przechodząc obok zauważył, że wyłącza swoje monitory i wyjmuje torbę spod biurka.

— Coś zrobiłaś? — Wiedział, że nie. Jej obowiązkiem było informować go o wszystkich posunięciach. Sara pokazała mu zęby w uśmiechu.

— Nic a nic. — Przewiesiła torbę przez ramię i radośnie życzyła dobrej nocy. Pomachała na do widzenia Simonowi Wilsonowi i wyszła z sali. Wychodzenie przed szefem nie było najlepszą polityką, ale musiała przyzwycząić ich do swoich nawyków od razu. Sara przeszła przez korytarz spokojnym krokiem i wskoczyła do windy, łapiąc ją w momencie, gdy drzwi się zamykały.

Arnott patrzył, jak Sara znika, po czym wstał i poszedł do gabinetu szefa. Wymienili parę słów, po czym Arnott wystawił głowę za drzwi i zawołał Wilsona. Wilson po kryjomu wepchnął egzemplarz *Racing Post* pod stos gazet i przyłączył się do kolegów. Scarpirato rozpiął się w swoim krześle ze zwisającym między palcami drugim tego dnia cygarem. Arnott zapalił marlboro. Wilson, zwolennik zdrowego trybu życia, zmarszczył nos. Ryzyko zawodowe. Obydwaj pochylili się w kierunku szefa, jak gorliwi słudzy. Scarpirato uśmiechnął się do nich.

— No i?

Arnott zaciągnął się papierosem

— Zgrywa się na primadonne, prawda?

— Cóż, przypuszczam, że sądzi, iż jej pozycja upoważnia ją do takiego zachowania — chciał wytłumaczyć Sarę Wilson.

— O tak, bynajmniej nie stara się tego ukryć — odparował Arnott. — Cały dzień się opieprzała, a o 17.30 spieprzyła.

Scarpirato założył ręce za głowę i przez parę sekund patrzył w sufit. Jego wzrok po ścianie spelzł na Arnotta.

— A ty co dzisiaj zrobiłeś? — rzucił zdawkowo. Arnott przesunął się niepewnie na swoim krześle.

— Zrobiłem trochę telegraficznie. Oczy Wilsona rozbłysły uśmiechem.

Scarpirato pochylił się w kierunku Arnotta i uniósł brwi.

— I zarobiłeś coś?

Szczęka Arnotta lekko opadła. Wcisnął głowę w ramiona, a jego głos stracił barwę.

— Nie, straciłem.

— Więc się, kurwa, zamknij — powiedział spokojnie Scarpirato. — Zaoszczędź nam trochę pieniędzy i idź do domu.

Arnott wymaszerował z płonącymi policzkami. Wilson podążył za nim, uśmiechając się dyskretnie. Gdy Scarpirato nie mógł usłyszeć, Arnott rzucił się na Wilsona.

— Co cię tak cholernie cieszy? Tylko tyle, że zarobiłeś dziś trochę pieniędzy. I wyobrażasz sobie, że kim jesteś, ty pieprzony kutasie z Północy?

Wilson głośno parsknął śmiechem i doradził:

— Idź do domu i wyżyj się na swoim psie. I tak pracujesz z Sarą Jensen, czy ci się to podoba, czy nie.

Grad epitetów odprowadził go do windy.

Sara zatrzymała taksówkę na Cannon Street. Zapadła w krótką, niespokojną drzemkę, budząc się, gdy kierowca z piskiem opon zahamował na King's Road przy Carlyle Square. Zapłaciła, wysiadła i przeszła przez plac. Nie zauważyła zaniedbanej, nie rzucającej się w oczy kobiety, która przyglądała się jej, gdy podchodziła do domu. Weszła do środka, nalała sobie whisky i położyła się na łóżku. Na zewnątrz kobieta zawróciła i skierowała się na Sloane Square. Była jednym z obserwatorów z MI 6, personel inwigilacyjny. W walizce niosła zainstalowany aparat fotograficzny, zawierający teraz dwanaście fotografii Sary Jensen, które wkrótce zostaną wywołane i wręczone Jamesowi Bartropowi. Następnego dnia Sara zjawiała się w ICB z ochotą do handlowania. Miała szczęście, bo rynki się ożywiły. Wszystko zaczęło się spokojnie, zbyt spokojnie, jak myślała Sara, dzwoniąc do swoich znajomych współpracowników. Nic się nie działo drugi dzień z rzędu, wszyscy wydawali się niebezpiecznie i obiecująco znudzeni. Nie trzeba było wiele, aby sprowokować ich, żeby się na siebie rzucili; staną się łatwą ofiarą plotek. Sara musiała po prostu zdobyć wiadomości pierwsza, wyczuć pogłoski przed resztą. Nastawiła się na obdzwonienie swoich cennych kontaktów. Teraz, gdy wszystko było w porządku, a indeks giełdowy załamał się, rynki walutowe stały się o wiele bardziej zmienne i podatne na plotki.

O 10.30 rynki wciąż jeszcze pozostawały senne, gdy coś ją natchnęło. Stary znajomy z Cambridge, Manfred Arbingen, obecnie reporter w *Die Zeit* we Frankfurcie zadzwonił, żeby trochę poplotkować.

— Właśnie rozmawiałem z Finlays. Powiedzieli mi zdawkowo, że przeszłaś do ICB. Zabrzmiało to jak wyrok. — Roześmiał się. — Niezbyt lubiany bank w City, ci twoi nowi pracodawcy?

— Nie, ale nieźle to rekompensują. A poza tym, nie siedzi się tu po to, aby cię lubiano.

— Masz rację. Bankowcy są prawie tak znienawidzeni, jak dziennikarze.

— Jesteśmy parą pariasów — docięła Sara.

— Pariasów — rzucił Manfred. — Nic mi nie mów o pariasach. Właśnie usiłuję spreparować artykuł o aktualnej sytuacji ekonomicznej, próbuję coś wyciągnąć od różnych członków zarządu Bundesbanku, ale nikt nic nie chce powiedzieć. Nie jestem nachalny. Nastawiłem się na mały przeciek, ale nic, *niente*, tylko to zadowolenie z siebie.

Kontynuował swoją tyradę. Sara przestała słuchać, jej umysł krążył

wokół wcześniejszego stwierdzenia. Po chwili zorientowała się, że w słuchawce nastała cisza. Manfred musiał skończyć.

— Jesteś tam jeszcze?

— Przepraszam, Manfredzie, szef przechodził obok i rozproszył mnie na moment.

— Kim jest ten facet?

— Geszę się, że zakładasz, że to mężczyzna, Manfredzie. Miło widzieć, że polityczna poprawność nie zanieczyściła jeszcze ziemi niemieckiej.

— Och, wycofuję się, w porządku — wystękał. — Nie chciałem urazić, tak czy inaczej, kto to taki?

— Włoch. Dante Scarpinato. Manfred zapisał.

— Ach, co za rodzynek. Kompletny wariat. Mój przyjaciel pracował z nim parę lat temu. Boże, ty naprawdę w tym siedzisz?

Ale Sara już go nie słuchała. Zamyśliła się nad swoim ruchem. Pożegnała się i wcisnęła linię BdP. Johnny McDermott natychmiast odpowiedział.

— Johnny, jak u ciebie stoi dolar/marka za sto? — Co znaczyło: „Jaki jest aktualny kurs dolara wobec marki, przy transakcji za sto milionów dolarów płaconych w ciągu dwóch dni?” Jej lakoniczność, która gdzie indziej mogłaby brzmieć ordynarnie, nie raziła na giełdzie. Maklerzy byli dziwacznymi, schizofrenicznymi stworzeniami i czasem dzwonili, żeby pytlować o niczym przez pół godziny, innym razem od razu przechodzili do interesu.

— 1,7745. 55 — rzucił McDermott, co miało znaczyć, że sprzedawał markę niemiecką po kursie 1,7745 w stosunku do dolara (płacąc 1,7745 DM, a otrzymując \$1), a sprzedawał ją po kursie 1,7755 (płacąc \$1, a otrzymując 1,7755 DM). Różnica między ceną sprzedaży i kupna wynosiła 10 punktów. McDermott kupował i sprzedawał waluty. Był zobowiązany podawać ceny kupna i sprzedaży bez pytania o zamiary innego maklera. Taki rodzaj handlu na ślepo przydawał temu zawodowi nieprzewidywalności i smaczku. Sara, jako makler własnościowy nie była do niczego zobowiązana. Kupowała i sprzedawała co chciała i kiedy chciała. Nigdy nie pozostawała na łasce innych maklerów na takiej zasadzie jak McDermott, ale jej ryzyko było nieporównanie większe niż ryzyko McDermotta. Kupował i sprzedawał walutę cały dzień, ale rzadko „trzymał pozycję” (nie podejmował ryzyka innego niż krótkoterminowe). Sara inaczej, czasem trzymała pozycję całymi dniami, nawet tygodniami, skupując lub sprzedając ogromne sumy.

— Daję ci sto — oznajmiła Sara, co znaczyło że sprzedaje sto milionów dolarów, otrzymując ich ekwiwalent w markach niemieckich.

— Okay. Zrobione. Kupuję sto dolar/marka po 1,7745 — wyrecytował McDermott.

— Zrobione — powiedziała Sara.

Ton ich rozmowy i język, jakiego używali, brzmiał zwodniczo prosto. Ale każde, uważnie dobrane słowo miało dokładne, jasne, prawnie określone znaczenie. Błędy i nieporozumienia mogły kosztować setki tysięcy funtów, więc koncentracja obydwu stron była ogromna.

Operacja zakończona, Sara skrupulatnie przystąpiła do procesu potwierdzenia. Najpierw wypisała bilet w swojej „książeczce”, w której notowała wszystkie operacje. Bilet zawierał szczegóły dotyczące operacji: walutę, cenę, ilość, partnera, formę przekazu i datę realizacji. Następnie oderwała górną część biletu, wąski, blad różowy pasek i włożyła go do szczeliny niewielkiego urządzenia, które wpięczętowało tam datę i dokładną godzinę, po czym umieściła bilet na tacy operacji. Pięć minut później zabrał go departament realizacji, który miał dopilnować, aby w ciągu dwóch dni sto milionów dolarów zostało zdeponowanych na właściwym rachunku BdP w ramach realizacji tej operacji. W tym samym czasie podobne operacje wykonywane były w BdP, gdzie przygotowywano wszystko do dostarczenia w ciągu dwóch dni 177 450 000 marek niemieckich na odpowiednie konto w ICB.

Sara miała teraz ogromną pozycję markową. Nabyła ją z wiarą, że wartość marki niemieckiej wzrośnie w stosunku do dolara. Jeśli wzrośnie, Sara sprzeda wszystkie marki niemieckie w zamian za dolary i osiągnie zysk, który nawet przy niewielkich zmianach kursu będzie ogromny. Skończywszy pisanie, Sara poinformowała Arnotta o swojej operacji, tak, jak jej polecono.

— Jakaś szczególna przyczyna? — zapytał drwiąco.

Sara uśmiechnęła się i poklepała się po brzuchu. Kobięca intuicja, nic co mógłby zrozumieć.

Przez dwie następne godziny czekała, patrząc uparcie w ekrany i życząc sobie, aby marka niemiecka poszła w górę. Nic się nie działo. Kurs uparcie wynosił około 1,7745. 55. Sara miała nadzieję, że po lunchu sytuacja się wyjaśni. Wilson spoglądał na nią. Było oczywiste, że Sara nigdzie nie idzie.

— Wychodzę do Birley's. — Ogłosił. Scarpirato powolnym krokiem wyszedł pół godziny temu, a za nim Arnott. Sara została sama przy biurku. Dziesięć minut później Wilson wrócił z dwiema papierowymi torbami w rękach. Jedną położył na biurku Sary.

— Awocado, krewetki i sok pomarańczowy — uśmiechnął się szeroko. — Wyglądasz na osobę zdrowo się odżywiająca. — Sara uśmiechnęła się mile zaskoczona i rozerwała foliowe opakowanie, gryząc łapczywie.

— Zdziwiłbyś się. — Sięgnęła pod biurko do torby i wyciągnęła portmonetkę, ale Wilson zamachał rękami protestując. Istniał zwyczaj zabierania nowych pracowników na lunch. Sam został zaproszony na taki zestaw, gdy przybył tu rok temu. Kanapka od Birley'sa to najmniejsza

rzecz, jaką mógł dla niej zrobić, i czuł się tym zażenowany. Patrzył, jak je. Po paru kęsach kanapki już nie było.

— Coś kupowałaś?

Sara kiwnęła głową, co miało znaczyć, że tak, i dalej sączyła sok pomarańczowy.

— Dolar/marka, dużo?

Sara znowu kiwnęła głową. Wilson przechylił głowę na bok i spojrzał na nią zagadkowo. Roześmiała się.

— W porządku, myślę, że niemiecka inflacja jest w lepszym stanie, niż sugerują liczby. Sądzę, że wpłynie to na rynek dziś po południu.

— Dlaczego?

— Cóż, liczby zostaną ogłoszone jutro rano, a z tego co rozumiem, szychy w Bundesbanku wyglądają na lekceważąco pewnych siebie.

Wilson wybuchnął śmiechem.

— Lekceważąco pewni siebie? Masz na myśli, że jeszcze bardziej pewni siebie niż zwykle?

Sara pokazała zęby w uśmiechu.

— Tego nie powiedziałam. W każdym razie myślałam, że będzie to warte ruszenia. Mam nadzieję, że marka skoczy w górę dziś wieczorem i wyjdę na swoje.

— Dlaczego dziś wieczorem, skoro cyfry nie zostaną ogłoszone do jutra?

— Obserwuj. Bardzo często rynek rośnie lub spada, zanim zrobią to liczby. Tak czy inaczej, można zwąchać sprawę wcześniej.

Zaintrygowany Wilson obserwował ją przez moment, po czym spojrzał na swój ekran, podniósł słuchawkę, sprzedał dziesięć milionów dolarów i kupił 17 755 000 marek niemieckich po kursie 1,7755. Odłożył słuchawkę na biurko i uśmiechnął się do niej.

— Mam podobne przeczucie.

Obydwoje się śmiali, gdy Scarpirato i Arnott dumnie wkroczyli na parkiet po lunchu.

O 14.30, gdy Sarę ogarnęła już trochę panika, marka niemiecka zaczęła rosnać w stosunku do dolara. Każdy wzrost o jedną setną feniga w wartości marki w stosunku do dolara, powiedzmy, z kursu 1,7745 do 1,7744 dawał jej nominalny zysk 5 636 dolarów. To znaczy, że jeśli w tym momencie zacznie sprzedawać swoje marki i kupować dolary („zamknie pozycję”), otrzyma 100 005 636 dolarów. Ponieważ musiała zapłacić 100000000 dolarów za marki, które najpierw kupiła, wyrówna różnicę i zysk wyniesie 5 636 dolarów.

Po pięciu minutach kurs wynosił już 1,7700. 10, a dziesięć minut później 1,7650. 60. W ciągu trzech godzin kurs dolar/marka ruszył o 85 punktów, Sara miała zysk blisko pół miliona dolarów, dokładnie 481 314 dolarów. Poczwała na sobie wzrok zdenerwowanego Wilsona. Chciał już sprzedawać, zamknąć pozycję, podjąć zyski, ale wciąż czekał, tak długo,



jak to możliwe, bo tendencja się utrzymywała i Sara też trzymała swoją pozycję. Sara czekała, cierpliwie patrząc na monitory, krew pulsowała w jej żyłach. Minuty mijały. O 15.30 przy kursie 1,7640. 50 zamknęła pozycję z zyskiem 538 243 dolarów. Parę sekund później Wilson zrobił to samo, zarabiając 59 490 dolarów. Sufa zameldowała o wszystkim Arnottowi, który i tak obserwował każdy jej ruch. Z wymuszonym uśmiechem odpowiedział „dobra robota”. Sara miała ochotę to uczcić. Zadzwoiła do Mosami w Yamaichi. Jeden z jej kolegów odebrał telefon. — Proszę z Mosami Matsumoto — powiedziała Sara i czekała, aż przyjaciółka skończy swoją rozmowę. Arnott pół metra dalej przysłuchiwał się z zainteresowaniem. Mosami Matsumoto, znał to nazwisko. Przypomniał sobie. Przyjaciółka jego dziewczyny. Mały jest ten świat.

Mosami podeszła do telefonu.

— Cześć, kochanie. Przepraszam. Interesy. Sara się roześmiała.

— Tak, u mnie też. Słuchaj, co powiesz na drinka dziś wieczorem?

— Świetnie. Nie mam żadnych planów. — Przez moment milczała, po czym zapytała krótko.

— Jakaś okazja? Sara się roześmiała.

— Dobre wieści. Trzeba je uczcić, wystarczy?

— To aż za dużo — powiedziała Mosami podejrzliwie.

O 17.30 Sara wyłączyła monitory i przygotowała się do wyjścia. Zdawało jej się, że Scarpirato obserwuje ją przez żaluzje. Spojrzała w tamtą stronę. Arnott spędził całe popołudnie w jego gabinecie. Nie mógł nie poinformować Dantego o jej handlowym sukcesie. Każdy normalny szef przyszedłby natychmiast pogratulować jej i zaprosiłby przynajmniej na drinka. A Scarpirato po prostu siedział niewzruszony w swoim gabinecie ukryty za żaluzjami. Nie miała zamiaru upominać się o nagrodę. Przewiesiła torbę przez ramię i wyszła.

## Rozdział 11

Sara, mimo sukcesu handlowego, czuła się sfrustrowana. Zaczęła się zastanawiać, jak się zbliżyć do Dantego Scarpirato, aby go sprawdzić. Większość maklerów lubi gawędzić w czasie, gdy nic się nie dzieje na rynku. Opowiadają o swoim życiu prywatnym z żenującymi szczegółami. Jako rasa ludzi są niezdolni do utrzymania tajemnicy. Ale Scarpirato mówił niewiele. Nigdy nie zatrzymał się, aby z nią pogawędzić. Nawet w sprawach zawodowych był lakoniczny. Tylko Arnott potrafił wydrzeć z niego więcej niż jedno zdanie. Sara zastanawiała się, jak Scarpirato zachowywał się w stosunku do swoich przyjaciół, kobiet; czy kiedykolwiek przestawał być tak czujny. Zamachała ręką na taksówkę i pojechała w kierunku Mayfair.

— No więc? — zagadnęła Mosami, prowadząc Sarę do salonu. — Jakie są te wieści, które mamy uczcić?

Sara usiadła na długiej kremowej kanapie, zrzuciła buty i wyciągnęła nogi.

— Nowa praca. ICB.

Mosami syknęła. Sięgnęła po paczkę papierosów silk cut leżących na stoliku i zapaliła.

— Mam nadzieję, że płacą ci dobrze. Sara wzruszyła ramionami.

— Okay.

— Cóż, przyznaj. Czy ktoś chciałby tam pracować z jakiegoś innego powodu niż pieniądze?

Sara uśmiechnęła się, poczęstowała się papierosem i zapaliła. Mosami obserwowała ją ze zmarszczonym czołem.

— Więc jak? — dopytywała się Mosami. Sara się roześmiała.

— Sama odpowiedziałas na własne pytanie. Dlaczego ktoś miałby tam pracować z innego powodu niż pieniądze?

Mosami wzruszyła ramionami, ale nie dawała się zbyć.

— No dobrze, jacy oni są? Tacy źli, jak ich reputacja?

— Gorszi — roześmiała się Sara. — Mój szef jest bardzo wyniosły, tajemniczy, Włoch w każdym calu, ale przynajmniej do zniesienia. Jego zastępca jest absolutnym gównem. Matthew Arnott. — Sara wypowiedziała jego imię z niesmakiem. — Nadęty Amerykanin. Nie ukrywa, że mnie nienawidzi; prawdopodobnie usiłuje sprawić, żebym stamtąd wyleciała, zanim ktoś zauważy, że mogę być lepsza niż on.

— Znam go — wtrąciła Mosami spokojnie. — Widziałam go parę razy. Muszę powiedzieć, że nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia.

Sara wyprostowała się i wyciągnęła nogi.

— Jak dobrze go znasz?

Mosami się uśmiechnęła. Teraz Sara była tą ciekawską.

— Znam jego dziewczynę. Chodzimy do 1;ej samej siłowni. Carla Vitale. Włoszka. Niesłychanie piękna, dosyć dzika. — Roześmiała się. — Przy niej wyglądamy jak zakonnice.

Sara uniosła brew.

— Nie wiem jak ty, ale to porównanie pasuje do mnie, przynajmniej ostatnio.

— Tak. Daj sobie odpocząć, kochanie...

— Skoro ta dziewczyna jest takim gorącym towarem — zauważyła Sara — to co robi z Matthew Arnottem? Mosami rzuciła konspiracyjne spojrzenie i pochyliła się do przodu. — Cóż, Carla kocha luksus, wiesz, ładne ubrania, wygodne mieszkanie, podróże. Kiedyś, na przyjęciu, które organizowała, obydwie upiłyśmy się i zapytałam ją, dlaczego jest z Arnottem. Bez przerwy się kłóca, kiedy ich widzę, nie wyglądają na zbyt szczęśliwą parę... W każdym razie Carla uśmiechnęła się i odpowiedziała : „On jest kopalnią złota”.

Mosami oparła się z powrotem na krzesło z uśmiechem zadowolenia. Sara wyglądała na zaskoczoną.

— ICB płaci dobrze, ale wątpię, czy zarabia więcej niż ćwierć miliona, najwyżej trzysta tysięcy.

— Tak, to dziwne. Dla dziewczyny tak zachłannej jak Carla to nie jest duża sumka. Musi mieć pieniądze rodzinne. Jestem nawet pewna, że je posiada. Ma ogromny dom na Holland Park. Musiał go kosztować co najmniej milion. To na pewno nie zasługa ICB.

— Nie — odparła Sara, obracając pierścionek na swoim palcu. — Nie sędzę. — Podniosła wzrok. — Nieważne. Dość mam Matthew Arnotta, co z tym drinkiem? Mosami wyszła do kuchni i wróciła z butelką czerwonego wina. Nalała do dwóch kieliszków. Sara szybko wychyliła swoje, po czym spojrzała na zegarek. Zerwała się na nogi.

— Lepiej już pójdę. Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia dziś wieczorem.

Mosami rzuciła jej szybkie, podejrzliwe spojrzenie, nic nie mówiąc odprowadziła do drzwi i pocałowała na do widzenia. Wróciła do salonu i usiadła, sącząc wino. Kłopoty z mężczyznami — zdecydowała. Eddie wyjechał, i ten komentarz o zakonnicy. „Wydaje mi się, że dziewczyna opiera się za bardzo” — roześmiała się Mosami.

Sara wyszła z Hays Mews na Charles Street, a potem na Berkeley Square, znalazła budkę telefoniczną i wykręciła numer Jacoba. Telefon dzwonił i dzwonił. Sara wyobrażała sobie Jacoba ociężale odkładającego książkę i podchodzącego do telefonu. Jego ruchy zwolniły się ostatnimi laty. W końcu odebrał.

— Cześć, Jacob. Mogę wpaść? Myślę, że coś mam.

Sara złapała taksówkę i pół godziny później była na Rothervick Road.

Jacob zaprosił ją do środka, posadził, i przygotował filiżankę herbaty.

Poczęstowałby ją winem, gdyby została na kolację; piła ostatnio za dużo. Wrócił z herbatą i paroma herbatnikami.

— Mam przygotowaną kolację, mięso duszone. Możesz zostać, jeśli chcesz, ale na razie wypij to.

Sara uśmiechnęła się i wzięła filiżankę. Jacob usiadł w fotelu naprzeciw.

— Co słyhać, kochanie?

Sara napiła się herbaty i odstawiła filiżankę na stół.

— Nie za dużo, ale brzmi podejrzenie. — Opowiedziała mu o Arnotcie, że jest kopalnią złota. — Większość czasu spędza zamknięty w gabinecie z Dantem Scarpinato. Jeżeli coś się dzieje, nie byłabym zdziwiona, gdyby siedzieli w tym razem. — Znowu napiła się herbaty i spojrzała na Jacoba z nadzieją.

— Rzeczywiście, to brzmi podejrzenie. — Przerwał i uśmiechnął się konspiracyjnie.—Ale nie sądzę, żebyś dała sobie radę z udowodnieniem tego.

Sara spojrzała zaskoczona.

— Co masz na myśli?

— Myślę, że powinnaś spróbować innych metod. Sara czekała na dalszy ciąg.

— Podśluch, moja droga, o tym myślę. Sara podniosła brwi i odwzajemniła uśmiech.

— Zastanawiałam się nad tym, doszłam do wniosku, że to by było posunięciem się za daleko.

— Za daleko? Sama w to nie wierzysz. To powszechna praktyka, szczególnie w City: szpiegostwo przemysłowe, szpiegostwo finansowe. To poważny biznes. Mam przyjaciela, który mógłby...

Sara wybuchnęła śmiechem, nie pozwalając mu dokończyć.

— Założyłabym się, że masz.

— Cóż — powiedział Jacob oburzony. — Gdybyś chciała, mogę się z nim skontaktować.

Sara znowu napiła się herbaty i zamyślona utkwiała wzrok w filiżance.

— Nie wiem. Nie jestem pewna, czy to pasuje do sprawy; co powiedziała by prezes.

— A jak sądzisz, co by powiedział?

— Cóż, był najwyraźniej nieskory do rozmów na temat metod. Mam uczucie, że zostawia sprawę do mojej decyzji. W rzeczywistości oświadczył, że jestem mniej lub bardziej zdana na siebie. Dał mi do zrozumienia, że interesują go tylko rezultaty.

— I co jeszcze?

Sara wzruszyła ramionami.

— Że chce dowodu, chociaż mniej rygorystycznego, niż wymagałby tego sąd. Chce tylko mieć pewność, że zostało popełnione przestępstwo. Ale nie powiedział mi, jak mam ten dowód zdobyć, inaczej niż „obserwując”. — Uśmiechnęła się. —

Przypuszczam, że podsłuch jest po prostu bardziej efektywną formą obserwacji, czyż nie?

Jacob kiwnął głową.

— Mocno tylko podkreślił — ciągnęła Sara — że nie mogę dać się złapać. Bo jeśli mnie złapią, nie będzie mógł mi pomóc w oficjalny sposób.

— Co, twoim zdaniem, miał na myśli mówiąc to?

— Przypuszczam, że sugerowali, iż mogę pracować w szarej strefie, poza ograniczeniami prawa.

Nie leżało to, zdawała sobie sprawę, w sferze kompetencji prezesa Banku Anglii, ale sytuacja pozwalała jej na pewną elastyczność. Od dawna podejrzewała, że w imieniu rządu prowadzone są różne niejasne praktyki, więc nie odczuwała skrupułów ani niepokoju w odniesieniu do swojego zadania. Musiałaby się po prostu upewnić, że nie zostanie złapana.

— Ach, i dał mi trzy tysiące funtów. Powiedział, że to na wydatki. — Jacob uniósł brwi.

— Czy powiedział, jakiego rodzaju wydatki?

— Nie, po prostu wyraził pewność, że będę potrafiła je dobrze spożytkować.

— No więc...

Sara uśmiechnęła się.

— Chyba jednak powinienem skontaktować się ze swoim przyjacielem. W ciągu godziny zmieniła rolę z pasywnego obserwatora na... na kogo dokładnie, nie była pewna, ale wiedziała, że pewna granica została właśnie przekroczona. Nie zadawała sobie wtedy pytania, czy to posunięcie jest rozsądne. Na tym etapie podążała jeszcze w kierunku zaspokajania swojej ciekawości. I według jej rozeznania, nie było nic, co mogłoby ją zaalarmować. Uczucie niepokoju, które odczuwała, tłumaczyła lękiem przed nieznanym. Było to uczucie jej nieobce i przyjęła je jako naturalne.

## Rozdział 12

Dłonie Giancarla Catanii były wilgotne od potu. Szybkim ruchem wytarł je o tył swoich spodni, zanim uściskał rękę Fieriego na pożegnanie. Obawiał się jednak, że ten prosty gest został zauważony i że gorąco jego dłoni nie mogło znaleźć wytłumaczenia w arktycznym chłdzie gabinetu Fieriego.

Niegodność strachu odczuwał prawie tak samo boleśnie, jak sam strach. Ale przynajmniej zaowocowało to dobroczynnym gniewem i jak zawsze w gniewie znalazł ucieczkę.

Jego kierowca i ochroniarz, jakby specjalnie wystawiali się na atak. Obydwaj siedzieli rozparci w służbowym samochodzie, paląc papierosy w pozie wystudiowanej nonszalancji. Na co by się zdali, pomyślał w panice, gdyby stanęli twarzą w twarz z mordercami. Na nic, oni też o tym wiedzieli, uśmiechali się tylko do siebie.

Ochroniarz był konieczny dla człowieka na stanowisku prezesa Banku Włoch.

Wszyscy najważniejsi bankowcy we Włoszech mieli swoich ochroniarzy. Dla wielu z nich stali się oni w równym stopniu oznaką pozycji, co ochroną. Na Catanii ich obecność już dawno przestała robić jakiegokolwiek wrażenie. Doskonale wiedział, że do zapewnienia mu stuprocentowego bezpieczeństwa nie wystarczyłby nawet cały legion ochroniarzy, nie mówiąc już o czterech, którzy wymieniali się obowiązkami. Nie zamierzał więc specjalnie zabiegać o ich lojalność. Zawsze natomiast przydawali się do jego autoterapii wyładowywania złości.

Po publicznym pokazie złego humoru opadł z ulgą na tylne siedzenie swojej lancii. Samochód ruszył, wjechał z Via Appia Attica na peryferie Rzymu i włączył się w ruch na Via di Porta San Sebastiano. Catania spojrzął na zegarek. Była 20.45.

Powinien dojechać do domu, zanim dzieci pójda do łóżek, jeśli oczywiście ten imbecyl Paulo będzie jechał szybciej. Szarpnął szybą oddzielającą go od kierowcy i rzucił polecenie. Kierowca spojrzął uważnie na odbicie szefa w lusterku. Coś go gryzło. Dostrzegął w jego złości oznaki strachu.

Paulo wyprzedził czerwonego fiata, przyspieszając i uciekając przed natarczywym trąbieniem i zastanawiał się po raz setny, jak tak urocza kobieta jak signora mogła zostać żoną takiej świni.

Zgarbiony na tylnym siedzeniu Catania zapalił cygaro i zaczął analizować przebieg i znaczenie spotkania z Fierim, z którego właśnie wracał. Fieri był spięty, podejrzliwy, stawiał wymagania. Bardziej niż zwykle. W porządku, widocznie miał problemy. Któż ich nie ma. Zdaje się, że połowa członków rządu i większość finansowej elity biznesu była przesłuchiwana. To działało jak inkwizycja. Catania poczuł ukłucie w żołądku. Może nie nadeszła jeszcze jego kolej.

Wszyscy się martwili, nawet ci niewinni. W zeszłym tygodniu senator Amalii popełnił samobójstwo. Jego departament był wplątany w jakiś skandal budowlany. Nikt ani przez chwilę nie uwierzył w jego winę, ale widocznie nie mógł znieść takiego uszczerbku swojej reputacji. Więc wziął swoją strzelbę myśliwską i się zastrzelił. Catania wyjrzał przez przyciemnioną szybę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, były dodatkowe nieprzyjemności ze strony Fieriego, to mogło go wykończyć nerwowo.

Spodziewał się, że wizyta zajmie mu nie więcej, niż godzinę, a później będzie miał czas na długi leniwy wieczór z żoną i dziećmi. Ale Fieri trzymał go przez ponad dwie godziny, wypytyjąc o ministrów finansów, głównych bankowców i ich zjazd we Frankfurcie w przyszłym tygodniu. Catania niewiele miał do powiedzenia. Usiłował wytłumaczyć Fieriemu, że trzeba poczekać, aż obrady się skończą, wtedy dostanie od niego pełny raport. Ale Fieri nie przyjmował tego do wiadomości. Chciał wiedzieć, dlaczego to zebranie zostało zwołane tak nagle. Planowane spotkanie miało się odbyć za dwa tygodnie w Londynie. Dlaczego więc chcieli się widzieć jeszcze we Frankfurcie?

Starając się ukryć zniecierpliwienie Catania stwierdził, że nie wie. Niemcy, jak powiedział, wyjaśnią wszystko na spotkaniu. Wszyscy kręcili nosem, ale w końcu się zgodzili i oczywiście przyjadą. Nikt nie miał pretensji do potężnego Bundesbanku.

Catania starał się, aby wszystko, co mówił, brzmiało naturalnie i nonszalancko, ale uporczywe nagabywanie Fieriego i jego zły humor przestraszyły go. Kto wie, może Fieri coś podejrzewał. Catania głośno odetchnął. Nie, nie mógł. To niemożliwe. Nie nastąpił żaden przeciek. To byłoby jak zabicie kury znoszącej złote jajka. Catania zadrzał, kiedy zastanowił się nad tą analogią. Wyjrzał przez okno i spróbował uspokoić myśli. Wstrząsnęło nim, gdy samochód z piskiem opon zahamował przed jego willą przy Via di Sant Eustachio, tuż przy Panteonie, w sercu barokowego Rzymu. Wysiadł bez słowa i zadzwonił do drzwi. Clara, gospodyni, wpuściła go do środka. Usłyszał śmiech Donatelli dobiegający z salonu, gdzie bawiła się z dziećmi. Niech Fieri idzie do diabła z tym niepokojeniem go. Po prostu jego nerwy z wiekiem są w coraz gorszym

stanie. Nie było możliwości, aby coś wiedział. Przekonany własnymi słowami Catania podążył do salonu, prosto w ciepłe objęcia żony.

Bawił się z dziećmi przez dziesięć minut, po czym Donatella położyła je do łóżka. Zostawiony sam sobie Catania powrócił do swoich zmartwień. Wszedł do gabinetu, gdzie usiadł i zagapił się w demniejące okno. Nie potrafiąc znieść bezczynności chwycił za telefon, przerzucił swój notes z telefonami dotyczącymi pracy i zadzwonił do prezesa Banku Anglii do jego mieszkania w banku. W Londynie była godzina 20.00. Może uda mu się go złapać przed kolacją.

Barrington, rozkoszując się wieczorem bez zajęć zawodowych, co zdarzało się nieczęsto, miał właśnie usiąść z żoną do kolacji, gdy zadzwonił telefon. Spojrzał piorunująco na słuchawkę, zanim ją podniósł. Kto, do diabła, mógł być tak głupi, żeby dzwonić o ósmej wieczorem. To pewnie jeden z tych idiotów ze Skarbu Państwa, którzy jeśli nie pracowali do późna, jedli kolację, którą nazywali herbatką, o szóstej. Zdziwił się więc, gdy usłyszał wyraźny włoski akcent.

Z nie ukrywaniem zniecierpliwieniem słuchał niedoskonałej angielszczyzny Catanii. Do czasu, gdy Catania doszedł wreszcie do tego, o co mu chodzi, irytacja Barringtona przybrała formę łaskawego przyzwolenia.

— Mój drogi prezesie, rozumiem, że to denerwujące odbywać dwa spotkania w tak krótkim czasie. Zgadzam się z panem. Wszyscy mamy dosyć swoich zajęć, ale niestety nie wiem, czego może dotyczyć spotkanie we Frankfurcie, nie posiadam również takich kompetencji, aby zastanawiać się, czy nie byłoby rozsądniej połączyć obu spotkań. — Roześmiał się, jak gdyby dowcipem chciał pokryć tajemniczość. — Mogę jedynie powiedzieć, że jeśli Niemcy zwołują spotkanie, powód jest dostatecznie ważki. Oni nie robią niczego bez powodu. Nadadzą tej sprawie, cokolwiek by to było, nawet jakieś głupstwo, tak wielkie znaczenie, że wszyscy zgodnie uznamy, że dobrze się stało, iż tam przyjechaliśmy.

Barrington nie dziwił się, że Catania nie rozumie dowcipu. Zawsze był zdania, że ten Włoch to osobnik bez poczucia humoru. Często zastanawiał się, jakim cudem Catania został prezesem Banku Włoch. Dzięki uporowi, jak podejrzewał, i sprytowi. Wyrzucając z myśli denerwującego Włocha, wrócił do jadalni, gdzie czekała na niego żona.

Podczas gdy Barrington siadał do obiadu, Catania tkwił nieruchomo w swoim gabinecie. Poczucie humoru Barringtona, które Anglicy z pewnością uznaliby za wyrafinowane, wzmocniło tylko jego obawy. Usłyszał, że woła go żona. Zaklął pod nosem. Stawał się nerwowy, łatwo wtedy o uleganie bezpodstawnym podejrzeniom. Nic się przecież nie działo. Gdyby się działo, dobrze wiedział, że nie siedziałby tu teraz.

Sara obudziła się następnego ranka z uczuciem podniecenia. Cóż to będzie za gratka, szpiegować Matthew Arnotta. Usiadła przy nim o 7.25



i zaczęła przyglądać mu się uważnie. Myślała o jego domu na Holland Park i o sugestii Mosami, że pewnie odziedziczył rodzinne pieniądze. Sara sądziła, że to mało prawdopodobne. Ludzie z osobistymi fortunami rzadko byli niewolnikami w bankach inwestycyjnych. Mogli się tam bawić parę lat, ale tylko ci z obsesyjną potrzebą zarobienia własnego stosiku pieniędzy utrzymywali się tam dłużej. Arnott miał około trzydziestki, jak sądziła Sara. Więc prawdopodobnie był na rynku około ośmiu lat, a poza tym jak na dzieciaka z bogatego domu wydawał się zbyt zachłanny i zestresowany. Sara miała niemalże pewność, że pieniądze, które posiadał, zarobił sam. Bardzo możliwe, że nielegalnie.

Wiedziała, że Arnott ma coś na sumieniu; jego udawaną pewność siebie i natychmiastową wrogość w stosunku do niej uznała za ostrzeżenie. Była nowa, stanowiła potencjalne zagrożenie, mogła na coś niechcący wpaść. Ale w takim razie, dlaczego ją zatrudnili? Jeśli on i Scarpirato robili coś nielegalnie, dlaczego podjęli ryzyko angażowania nowych ludzi? Dlaczego mieliby zatrudnić Simona Wilsona, oczywiście jeżeli on też nie był w to zamieszany.

Sara usiadła wygodnie i obserwowała kolegów. Zapaliła papierosa i patrzyła, jak obłoczki dymu unoszą się do sufitu. Może przyjęto nową osobę dla niepoznaki. Zawsze istniał nacisk ze strony zarządu, aby powiększać liczbę personelu w najbardziej dochodowych działach. Jeśli Arnott i Scarpirato coś kombinowali, wzbudziliby podejrzenia, gdyby odmówili zatrudnienia nowych ludzi. Roześmiała się w duchu. Najwyraźniej nie była jedyną, która kierowała się ukrytymi motywami. Zastanawiała się, czy Jacob rozmawiał już ze swoim przyjacielem. Rzuciła okiem na Arnotta siedzącego obok niej ze skwaszoną miną. Niebawem pozna tajemnice jego i Dantego Scarpirato.

Scarpirato wyszedł wcześniej, już o szesnastej; Sara zaraz po nim. To był spokojny dzień. Przeprowadziła niewielką operację, zarobiła piętnaście tysięcy funtów, po czym wyszła. Wilson i Arnott pracowali dalej. Obydwaj stracili niewielkie sumy. Wilson był typem sangwinika: nigdy nie wydawał się zbyt przejęty, Arnottowi zaś te straty również nie zepsuły świetnego humoru. Sara chciała zmusić go, by się rozgadał, wyciągnąć z niego informacje na temat jego rodziny, ale musiała z tym jeszcze poczekać.

Sara wysiadła z taksówki na King's Road. Wskoczyła do kiosku, by kupić *Evening Standard*, żeby sprawdzić kolumny dotyczące City i swój horoskop. Mogła kupić gazetę w City i czytać ją w taksówce, ale wolała patrzeć po drodze na zatłoczone ulice i marzyć. Poszperała w swojej portmonetce, szukając trzydziestu pensów, a następnie, lawirując między czerwonymi piętrowymi autobusami i pędzącymi jak kamikadze gońcami, przeskoczyła na drugą stronę jezdni i skręciła w Carlyle Square.

Odgłosy ulicy oddaliły się i Sara usłyszała dzieci bawiące się w ogrodach. Ich piski przesywały powietrze. Zobaczyła, że bawią się w chowa-

nego wśród drzew i krzaków. Uwielbiała te ogrody, zieloną oazę, idealną do opalania się latem; zawsze świetnie utrzymane, kolorowe przez cały rok. Spojrzała przez bramę i zobaczyła swoją sąsiadkę, panią Jardine, otoczoną dziećmi. Sara pomachała do niej i wykrzyknęła „cześć” ponad hałasem. Pani Jardine odmachała z uśmiechem cierpiętnicy. Matki z sąsiedztwa nigdy nie pozwalały swoim dzieciom bawić się samym i dzisiaj był dyżur pani Jardine. Sara czasem zastępowała kogoś w tych dyżurach, ale dziś nie miała nastroju. Atmosfera w pracy wyczerpała jej nerwy i czuła potrzebę pobiegania. Weszła z powrotem na chodnik i zatrzymała się przed swoim domem, aby na niego chwilę popatrzeć. To dawało jej radość i zawsze podnosiło na duchu.

Był ogromny, przestrzenny, trzypiętrowy, z elegancką fasadą z jasno-brązowych kamieni. Miał cztery sypialnie. Okna sypialni Sary wychodziły na taras, o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych. Alex zajmował największy pokój, od ogrodu, który mu służył jako składnica lin do wspinaczki, czekanów, złożonych namiotów i całego sprzętu potrzebnego do profesjonalnego alpinizmu. Trzecią sypialnię Sara zamieniła w gabinet, wyłożony od podłogi do sufitu książkami: zwiariowanym wyborem swoim oraz Alexa, dotyczyły one gór i wspinaczek. Czwarta sypialnia mieściła się na parterze i przeznaczona była dla gości.

Resztę parteru zajmował ogromny salon. Światło wpadało tam przez czworo wysokich, rozsuwanych, przeszlonych drzwi z widokiem na plac i dwa mniejsze okna wychodzące na ich własny ogród z tyłu domu. Pod oknami był mały, ozdobny balkon pełen doniczek geranium i goździków. Ściany pokryto delikatną glazurą w kolorze bursztynu, na podłodze z ciemnego drewna leżały stare, perskie chodniki. Pomieszczenie było wysokie. Sara zawsze czuła, że w tym pokoju można oddychać. Ściany pokrywała eklektyczna kolekcja obrazów: twarze afgańskich wojowników obok pejzaży górskich ze Szkocji; nepalski szerpia obok fragmentu afrykańskiego buszu u stóp Kilimandżaro; łańcuchy górskie, które Sara potrafiła nazwać i rozpoznać z każdej strony. I mapa z podróży Alexa dookoła świata.

Pamiętki wisiały również w kuchni i łazience, których ściany pokryte były powiększonymi zdjęciami czegoś, co wyglądało jak góry z chińskich malowideł, na których szczyty sterczały jak ostrza wbite w ziemię.

Sara leżąc w wannie i patrząc na nie, wyobrażała sobie, że tam jest. Dziś w domu był porządek. Barbara, sprzątaczką, złożyła jedną ze swoich rzadkich wizyt. Sara cieszyła się nim; pantofle na obcasie zdjęła w holu, a bluzkę i marynarkę położyła na łóżku. Przetrasnęła starą dębową szafkę pełną szuflad, wyciągnęła wypłowiałe drelichowe szorty i bidy podkoszulek. Znalazła swoje buty do biegania, mocne, z grubą podeszwą, wietrzące się na tarasie.

Poświęciła parę minut na ćwiczenia rozgrzewające, rozprostowała

ścięgną po paru dniach bezruchu, po czym z kluczami od domu, zaciśniętymi w prawej dłoni, pobiegła wśród wrzawy King's Road, wzdłuż Old Church Street w lewo na Embankment. Zaczęły się już godziny szczytu. Spaliny unosiły się wysoko. Sara zignorowała samochody i biegła z oczami utkwionymi w rzekę. Obserwowała łódź manewrującą wokół Cadogan Pier, wyrzucającą co jakiś czas grupkę turystów, zanim zawinęła do Chelsea Harbour, osiemset metrów na zachód. Czasami wracała z pracy do domu łodzią, z przystani Swann Lane w City. Nie było to zupełnie po drodze, ale robiła tak dla odmiany i żeby nacieszyć się wspaniałym widokiem, zwłaszcza budynku parlamentu.

Czując, że się już trochę spociła, minęła biało-różową cukiernię na Albert Bridge i skręciła w Battersea Park. Opalający się pakowali już swoje manatki, zastąpieni gromadą biegaczy pojawiających się ze wszystkich stron. Sara biegła szybko, wyprzedzając niektórych wolniej się poruszających. Lekarz kazał zaprzestać jej biegania: przebyła zbyt wiele kontuzji kolana; ale Sara go nie usłuchała. Lubiła to. Bieganie ją odprężało. Utrzymywanie formy traktowała jako mile widziany efekt uboczny.

Okrążyła park, biegnąc sprintem ostatnie paręset metrów, po czym oddychając głęboko, ruszyła na drugą stronę mostu. Idąc na zachód Embankment, zobaczyła na horyzoncie elektrownię Lots Road, która wyglądała jak jakieś widmo stworzone przez architekta parku, niestety jednak była prawdziwa.

Chłodząc się przyjemnie, Sara skręciła w Old Church Street i spacerem wróciła na King's Road. Tam spotkała procesję spoconych bankowców wypełniających ulice w swoich wykrochmalonych koszulach, z aktówkami w rękach. Połowa City zdawała się przenosić w to miejsce. Zobaczyła paru znajomych i szybko dała nura w Carlyle Square. Za każdym razem, kiedy wychodzisz, wpadasz na kogoś znajomego.

Anonimowość jest niemożliwa. Doprowadzało ją to do szału.

Ktoś zadzwonił, gdy nie było jej w domu. Pierluigi di Rivana, dawny kolega z Finlays. Dzwonił w sprawie obiadu, na który umówili się w ubiegłym tygodniu. Powiedział, że przyjdzie po nią o dziewiątej. Doskonale. Zostało jeszcze mnóstwo czasu, żeby poleniuchować. Mimo tego, że bardzo tęskniła za Alexem i Eddiem, czasem potrzebowała samotności, spokoju i ciszy.

Długo stała pod prysznicem, aż się odprężyła, umyła włosy i położyła się na łóżku. Okna były otwarte i delikatny wietrzyk wlatywał przez muślinowe zasłony, chłodząc ją. Czytała przez chwilę jakieś powieści-dłó, po czym zasnęła i spała do dziewiątej. Potem szybko się ubrała w niebiesko-białą bawełnianą szmizjerkę i włożyła granatowe buty z rzemykami, na wysokim obcasie. Rozczesała splecione włosy i wklepała w skórę trochę perfum. O dziewiątej piętnaście, tak jak oczekiwała, przybył spóźniony Pierluigi.

— Ciao, Sara. Co słyszeć?

Sara ucałowała go w oba policzki.

— Ciao, Pierluigi. W porządku, dziękuję, a u ciebie?

— Ach, u mnie też w porządku. Praca. — Rzucił jej ostre spojrzenie. — I ciekawość. Sara się uśmiechnęła.

— Nie bądź zbyt ciekawski.

Poszli do Scaliniego przy Walton Street. Było tam tłoczno i gwarno.

Sara miała dość hałasu po całym dniu na giełdzie, ale Włosi to uwielbiali; szkoda fatygi, żeby proponować jakieś cichsze i bardziej przestronne miejsce. Pierluigi zaprowadził ją do stołu. Siedziało tam już osiem osób i były jeszcze dwa wolne miejsca. Sara знаła ich wszystkich oprócz jednego. Zanim pozwolono jej się odwrócić w prawo, do nieznanego, wpadła w zamęt powitań i pocałunków, zupełnie tak jakby się nie widzieli wieki. Nieznajomy siedział cicho, obserwując całe przedstawienie z uśmiechem rozbawienia. Pierluigi dokonał prezentacji:

— Sara Jensen, Marco Scarpirato.

Wymienili uścisk dłoni. Sara precyzyjnie się i usiadła na wolnym krześle obok niego.

Pierluigi zajął miejsce naprzeciw i obserwował ją uważnie. Sara zignorowała go i całą uwagę poświęciła Marco. Niższy i młodszy od swego brata, twarz miał nalaną i pozbawioną zmarszczek, a głos i postawa wskazywały, że czuje się rozluźniony. Ubrany był zwyczajnie: w dżinsy i podkoszulek, który nie ukrywał małego brzuszka. Nikt nie domyśliłby się, że on i Dante są braćmi.

— Skąd znasz Pierluigiego?

— Z Finlays. Pracowaliśmy razem.

— Już nie pracujecie?

— Nie, odeszłam parę dni temu.

— Och, dokąd?

— Do ICB — rzuciła zwyczajnie Sara. Przez chwilę Marco zdawał się nie reagować. Jego twarz była nieruchoma, po czym skrzywiła się w wyrazie rozdrażnienia i znów wróciła do uprzejmej obojętności.

— Mój brat tam pracuje. Ma na imię Dante.

— To mój szef — zachichotała Sara. — Mały jest ten świat.

— Biedactwo.

— A to czemu?

— Cóż, to diabeł wcielony, chyba zauważyłaś. Sara pozwoliła sobie na wyraz zaintrygowania.

— Nie, nie zauważyłam.

Obojętność Marca została przełamana i wyglądał teraz na złego.

— Nie udawaj, mój brat jest bardzo inteligentny, ale nikt nie udaje, że go lubi. Sara zaczęła się czuć nieswojo.

— Wydaje mi się zupełnie w porządku. Może jest trochę bezwzględny, ale da się lubić. I z pewnością nie jest diabłem.

Marco pokręcił się na krześle. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, ale oczy się nie śmiały.

— Jeszcze go nie znasz.

Usiłowanie, by rozładować atmosferę, tylko powiększyło złe samopoczucie Sary. Więc bracia się nie lubią i nie żyją ze sobą najlepiej. Nazywają siebie nawzajem łądakami, co jest między braćmi do przyjęcia. Ale Marco najwyraźniej czuł potrzebę ukrycia swoich prawdziwych uczuć. To, że nie zrobił kariery, sprawiło, że uraza była wyjątkowo głęboka. Zastanawiała się, co Dante zrobił swemu młodszemu bratu.

Sara wzruszyła ramionami.

— No, dość na dziś o City. Porozmawiajmy o czymś innym. — Zauważyła, że jego ramiona się rozluźniają. — Rozumiem, że ty nie pracujesz w City?

Roześmiał się.

— Nie, dzięki Bogu. Pracowałem w City trzy lata, ale znienawidziłem to i odszedłem. Teraz studiuje malarstwo.

— Spora zmiana. Dlaczego wybrałeś sztukę? Czy ktoś w twojej rodzinie maluje?

— Nie — odpowiedział sucho. — To całkowicie mój wybór. Ojciec był bankowcem. Czuł się szczęśliwy, że obydwaj jego synowie poszli w jego ślady. — Wzruszył ramionami. — Dante osiągnął sukces, a ja doznałem porażki. Nie ma drogi pośredniej, prawda?

— Nie w City. City ma tendencję do polaryzowania rzeczywistości. Marco odwrócił się znowu i po raz pierwszy zdawał się patrzeć na nią normalnie.

— A ty, co tam robisz? Sara się roześmiała.

— Lepiej nie pytaj. Nie jestem pewna. To po prostu coś, co robię w wolnych chwilach.

Marco uśmiechnął się i zdawał się nastawić przyjaźnie.

— Więc nie czujesz się zbyt przywiązana?

— Och, okropne słowo. „Czy jesteś przywiązany do tej firmy, do tej pracy, to bardzo dla nas ważne, rozumiesz, odpowiedzialność” — Sara przedrzeźniała tyradę powtarzaną w całym City setki razy dziennie. Marco wybuchnął śmiechem. — Ale nie mów tego swojemu bratu. Śmiech urwał się nagle.

— Dlaczego miałbym mu mówić? — pytanie było ostre, jeszcze raz Sara wyczuła w nim ogromne napięcie.

Wzruszyła ramionami.

— W porządku. — Uśmiechnęła się i odwróciła, aby porozmawiać ze swoim drugim sąsiadem.

Trzydzieści minut po północy, kiedy Sara zasypiała już nad stołem,

rachunek został w końcu zapłacony i wszyscy zabrali się do wyjścia, życzyli sobie nawzajem dobrej nocy, i Sara poszła do samochodu z Pierluigim.

— Co, zadowolona? Marzyłaś, żeby poznać Marca Scarpirato, dostałaś, czego chciałaś?

Sara była zdumiona ostrym tonem Pierluigiego. Spojrzała na niego lekko urażona. Jeden nadwrażliwy facet na noc zupełnie wystarczy.

— Nie marzyłam, Pierluigi. Byłam po prostu ciekawa. To wszystko.

— Ciekawa. Cóż, ja też jestem ciekawy. — Prowadził przez chwilę w pełnej napięcia ciszy. Skreślił w Carlyle Square i zaparkował przed domem Sary.

Odprowadził ją na schody przed frontowymi drzwiami, pocałował na dobranoc, po czym się zawahał. Rozdrażnienie minęło i zastąpiło je zażenowanie.

— Słuchaj, Saro, chcę po prostu wiedzieć, o co chodzi. Dzwonisz do mnie i pytasz, czy znam Dantego Scarpirato. Tylko ze słyszenia, odpowiadam, ale znam dobrze jego brata, Marca. Mówisz mi, żebym zabrał go na obiad. — Spojrzał na nią ponuro i powiedział na swój włoski, melodramatyczny sposób. — Nie wiem, o co ci chodzi, ale cokolwiek to jest, nie wolno ci zaczynać z Dantem Scarpirato. Rozumiesz?

Sara roześmiała się zdziwiona.

— Dlaczego, do cholery, mi to mówisz? Dlaczego miałabym coś zaczynać z Dantem Scarpirato? Mam wspaniałego chłopaka, którego kocham, a nawet gdybym go nie miała, nie chciałabym tamtego.

Pierluigi był niewzruszony.

— Jesteś w jego typie — powiedział powoli i dobitnie. Sara odrzuciła i wzniosła rękę.

— I to wystarczy, tak? Ja nie mam tu nic do powiedzenia? Pierluigi uśmiechnął się w końcu z wyrazem rezygnacji.

— Cóż, ty możesz być w porządku. Ale... — dodał cicho, gdy się odwrócił — wszyscy się poddają, prędzej czy później. — Jeszcze spojrzał na nią, kiedy stała już na schodach. — Zadzwoń do mnie za tydzień.

Sara weszła do środka, zastanawiając się nad słowami Pierluigiego. Była tak zajęta obroną, że nie zadała sobie oczywistego pytania — co takiego strasznego miał w sobie Dante Scarpirato? Dlaczego Pierluigi uznał za konieczne dać jej tak ponure ostrzeżenie? Może zazdrość? Nie, to było coś więcej. Gdy rozebrała się i weszła do łóżka, poczuła niepokój. Obraz Dantego Scarpirato siedzącego w milczeniu w swoim ciemnym garniturze w mrocznym biurze przepełnił jej myśli. Rozmowy z Marco i Pierluigim nie zwiększyły jej zaufania do tego mężczyzny. Co gorsza, zaczęła się martwić. Zawsze myślała, że tak zwana „zbrodnia w białych rękawiczkach” była prawie czysta, bezbolesna. Ale wokół Dantego Scarpirato roztaczała się aura bólu i strachu.

## Rozdział 13

Zrobiłaś ogromne wrażenie na moim biednym bracie. — Dante Scarpirato z uśmiechem pochylił się w kierunku Sary, gdy siedziała przed monitorami. — To nie fair podrywać takiego faceta. Sara podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

— Więc kogo powinnam podrywać?

Jego oczy się rozszerzyły. Zanim zdążył odpowiedzieć, zbliżył się do nich Arnott i klepnął go po plecach. *j*

— Cześć, Dante. — Zachowywał się jeszcze bardziej bezczelnie niż zwykle.

Scarpirato zignorował Arnotta i wszedł do sali konferencyjnej. Ruszyła jego śladem, a za nią reszta: Arnott i Wilson, który pojawił się w ostatniej chwili. Po raz pierwszy Scarpirato dał im wytyczne. Chciał, aby kupowali szterlingi. Czuł, że funt jest niedoceniony. Sądził, że sytuacja ekonomiczna Wielkiej Brytanii polepszy się, ale ponieważ to trwa tak długo i tyle razy wcześniej to zapowiadano, rynek nie chciał znowu uwierzyć politykom, którzy twierdzili, że tym razem polepszenie koniunktury nadejdzie na pewno.

Scarpirato sądził, że przedstawiciele G7 — Grupy Siedmiu Najbardziej Uprzemysłowionych Krajów Świata: Wielkiej Brytanii, USA, Japonii, Niemiec, Francji, Włoch i Kanady, zgadzają się, że szterling jest niedoceniony. Sądził, że prawdopodobnie zbiorą się i zadecydują o podjęciu operacji wzmocnienia funta. Pytanie tylko kiedy. Scarpirato sądził, że już wkrótce.

Sara słuchała z zainteresowaniem, zgadzała się z jego analizą w zupełności. Taka interwencja mogła nastąpić w każdej chwili. Scarpirato polecił im zbudować pozycję podstawową, powiedzmy trzystu milionów funtów, która w ciągu tygodnia powinna dojrzeć.

Poinstruował swój zespół, aby sprzedawali dolary i skupowali szterlingi z tygodniowym terminem płatności. Chciał, aby weszli na rynek dzisiaj i wykupili od swoich partnerów na rynku określoną liczbę szterlingów,

placąc za nie za tydzień, w dolarach po kursie, który według dzisiejszych szacunków rynkowych będzie obowiązywał za tydzień.

Scarpirato i jego zespół liczyli na to, że w tym czasie wartość funta wobec dolara wzrośnie tak, że osiągną dzięki tej operacji duży zysk.

Było to podobne do kupowania trzech jabłek w zamian za trzy pomarańcze, aby za tydzień okazało się, że po otrzymaniu jabłek można je sprzedać za cztery pomarańcze. Tylko że w tym przypadku, jeśli Scarpirato rozumował dobrze, mogli zarobić miliony funtów.

Za każde sto milionów funtów z pozycji, którą trzymali, ICB oferowało tylko dziesięć milionów w kapitale. Reszta pieniędzy była pożyczona. Spekulowanie pożyczonymi pieniędzmi, znane jako spekulowanie rezerwą, to ryzykowny interes, ale jeśli prawidłowo oceniało się rynki, zyski mogły okazać się zawrotne. To był niewątpliwie pozytywny aspekt całej operacji. Zastawiało się tylko ułamek stawki, ale zgarniało się cały zysk.

Przy tak ogromnej pozycji, jak trzysta milionów funtów, nawet niewielki ruch rynku we właściwym kierunku mógł przynieść miliony funtów zysku. Istniała też druga możliwość. Można było również stracić miliony, tracąc cały zainwestowany kapitał. Jeśli bowiem trzyma się pozycję trzystu milionów funtów, z włożonym kapitałem trzydziestu milionów funtów, a rynek obraca się przeciwko tobie, można stracić cały włożony kapitał. Sam dobry pomysł tu nie wystarczał. Trzeba mieć również doskonałe wyczucie chwili.

W przewidywaniach Dantego Scarpirato szterling miał wzrosnąć w stosunku do dolara w ciągu następnego tygodnia. Było to bardzo precyzyjne zagranie hazardowe, wymagające dokładnego wyczucia czasu. I miało niewiele wspólnego z krótkoterminową oceną rynku. Trzeba mieć albo ogromną odwagę, albo pewność faktów, żeby tak ryzykować. Ale tu nie było faktów, tylko przypuszczenia. Sara zastanawiała się, co mogło sprawić, że Scarpirato jest tak pewny.

Cała grupa spędziła następny dzień budując pozycję. To zadanie wymagało niemałej zręczności. Maklerzy, ludzie, z którymi robili transakcje, byli niezwykle czujni. Gdyby zorientowali się, że ICB buduje dużą pozycję szterlinga, natychmiast podnieśliby jego kurs w stosunku do dolara. Przy pozycji tak dużej, jak trzysta milionów, oznaczałoby to dziesiątki tysięcy funtów straconych zysków. Więc Sara, Arnott i Wilson posuwali się na rynku ukradkowo, budując pozycję kawałek po kawałku małymi sumami, najwyżej dziesięć milionów funtów naraz. Do zamknięcia giełdy w piątek zakończyli tę misterną robotę bez wzbudzenia czyichkolwiek podejrzeń. O piątej Scarpirato, który spędził cały dzień zamknięty w swoim biurze, podszedł do biurki handlowych.

— Jak idzie? — zapytał Arnotta.

— W porządku — Arnott określił się na obrotowym krześle twarzą do niego. — Zbudowaliśmy pozycję, nie wzbudzając cienia podejrzeń. Kursy są doskonałe.



Scarpirato się uśmiechnął.

— Świetnie. Żadnej fuszerki. Dobra robota. Znasz moją obsesję dotyczącą dyskrecji.

Sara obróciła się wolno na krześle, aby popatrzeć mu w oczy. Obrzucił ją przelotnym spojrzeniem, odwrócił się i skierował się do swojego gabinetu. Sara patrzyła na jego plecy, wstała zza biurka i poszła za nim. Podeszła do zamkniętego gabinetu, zapukała w szklane drzwi i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Scarpirato siedział za biurkiem. Spojrzał zaskoczony, gdy Sara odsunęła krzesło i zajęła miejsce naprzeciw niego. Uniósł brwi i spojrzał badawczo z tryumfalną miną, jak gdyby to on sprowokował ją, że za nim przyszła; oczekiwał jakiegoś wyjaśnienia. Zignorowała to. Opierając się wygodnie w fotelu i nie spuszczać go z oczu, odezwała się:

— Zastanawiam się, Dante, jak wpadłeś na ten pomysł dotyczący szterlingów. ) Obserwowała go, czekając na jakąś reakcję. Zareagował>prawie natychmiast, jak gdyby za naciśnięciem guzika. Słaby uśmiech zniknął z jego ust, zmrużył oczy tak, że nie było prawie widać białek, został tylko ciemny błysk. Sara studiowała jego twarz przerażona i zafascynowana. W jego prawie czarnych oczach i ostrym grymasie ust koncentrowały się gniew, zniecierpliwienie i pogarda. Emocje bardzo częste na giełdzie, ale rzadko okazywane w ten sposób, bez żadnego skrępowania. Sara patrzyła na Dantego, a wyraz jego twarzy się nie zmieniał. Było to rozmyślne lekceważenie konwenansów, tendencja, którą wyczuła już wcześniej w jego lakonicznym sposobie rozmawiania i w jego spojrzeniach. Tylko że wtedy wyczuwała w nim również pożądanie, teraz została tylko wrogość. Równie intensywna i równie intymna. Sara spojrzała w jego ciemne, pełne wściekłości oczy. Gdy jej odpowiadał, mówił powoli, jak gdyby sprawiało mu to ból.

— Sądziłem, że wyjaśniłem to wczoraj rano. Jeżeli nie zrozumiałaś, dlaczego niewolniczo wykonywałaś moje instrukcje przez ostatnie półtora dnia?

Sara miała ochotę się roześmiać, ale powstrzymał ją wzrok Dantego. Jego złośliwa uwaga była szorstka, ale przyniosła zamierzony efekt. Sara nie odpowiadała, tylko przyglądała mu się w milczeniu. Zastanawiała się, czy jego reakcję spowodował brak pewności siebie, który sprawiał, że Dante nie znosił żadnego zagrożenia swojego autorytetu, czy też szczególne wyczulenie na ten temat. W obydwu przypadkach było to dziwne, jak na człowieka, który najwyraźniej uważał, że jest uosobieniem pewności siebie, i który powinien być przyzwyczajony do takich ataków, nawet jeśli miał coś do ukrycia.

Sara wzruszyła ramionami.

— Być może coś przeoczyłam. Wyjaśniłeś mi tylko, dlaczego sądzisz, że szterling pójdzie w górę i tak się składa, że się z tobą zgadzam, ale

dłaczego właśnie teraz? — Założyła nogę na nogę, pochyliła się do przodu i zapytała spokojnie. — Czy był jakiś przeciek, czy po prostu strzelałeś?

Gniew znowu rozbłysnął w jego oczach, gdy zrozumiał oskarżenie, co tylko potwierdziło diagnozę Sary, że należał do ludzi, których działania zawodowe były wynikiem precyzyjnej analizy, rządził nimi intelekt. Strzelanie to zabawa z losem, kierowana instynktem. Urok lekkomyślności, który przez lata nie opuszczał wielu maklerów, był przez niego uznany za godny pogardy. Ciemne oczy badające ją jeszcze przez parę sekund zamrugały, jak gdyby chciały odpędzić wrogość, i otworzyły się szeroko.

— Po prostu przeglądam gazety, oglądam telewizję, staram się czytać między wierszami, przypatruję się ministrom finansów, kiedy są pokazywani razem. Można wiele wywnioskować z ich interakcji. I mam uszy szeroko otwarte na wszelkie plotki.

Scarpinato usiadł z powrotem na krześle, splatając ręce za głową. Obserwował ją bez słowa przez parę chwil, po czym przysunął się ze swoim krzesłem i pochylił nad biurkiem w jej kierunku.

— Zadowolona?

Sara wstała, podeszła do drzwi i oparła się o framugę. To była konwencjonalna odpowiedź i nie satysfakcjonowała jej. Odpowiedziała z uśmiechem.

— Niezbyt oryginalne, ale efektowne. — Czują jego oczy na swoich plecach, gdy wracała do biurka.

Była godzina 17.30, w biurze nie miała już nic do zrobienia, a cały wieczór przed nią, wyłączyła więc monitory, wzięła torebkę i wyszła.

Gdy się dostała do domu, zastała w nim Jacoba, siedział przy stole kuchennym i pił herbatę. Miał własne klucze i wpadał czasami, żeby zrobić coś w domu, przybić gwoździe, poczekać na jakiegoś roznosiciela czy inkasenta z elektrowni lub po prostu sprawdzić, czy u Sary wszystko w porządku.

Sara uśmiechnęła się, gdy go zobaczyła.

— Jacob. — Pochyliła się, aby pocałować go w policzek. — Co za miła niespodzianka.

— Wpadłem z paroma wiadomościami. Tylko na chwilę. Powiem ci i uciekam. Jest piątek wieczór, pewnie gdzieś wychodzisz?

Sara sięgnęła po kubek i naląła sobie trochę herbaty z imbryka stojącego na stole.

— Żadnych rozrywek dziś wieczorem. Szczerze mówiąc, jestem zbyt zmęczona. Więc czemu nie miałbyś zostać na kolacji? Teraz moja kolej, żebym cię podjęła. Roześmiał się.

— Cóż, jeśli jesteś pewna? Sara uśmiechnęła się.

— Jestem pewna. A teraz mi powiedz, jakie masz wiadomości.

— To może poczekać. Pewnie jesteś wykończona. Wstajesz o szóstej. Może najpierw mała drzemka, a potem wszystko ci opowiem. Mogę w tym czasie przygotować kolację.

— Czuję się dobrze. No już, powiedz mi. Umieram z ciekawości. Wypił duży łyk herbaty, niecierpliwość Sary cieszyła go.

— Widziałem się dziś z moim przyjacielem w sprawie podsłuchu. — Posłał Sarze tryumfujące spojrzenie. — Mówi, że może to załatwić. Ale potrzebuje najpierw parę informacji.

Sara uśmiechnęła się szeroko.

— Cudownie. Do dzieła.

Jeszcze tego wieczoru, kiedy Jacob po kolacji odjechał już do domu, Sara zadzwoniła do Mosami.

— Cześć, tu Sara. Słuchaj, kochanie. Muszę cię o coś zapytać. Czy mogę wpaść teraz?

— Tak, oczywiście. Widzimy się za chwilę. — Mosami odłożyła słuchawkę i zmarszczyła czoło. Sara zachowywała się ostatnio trochę dziwnie. Tajemniczo. Miała nadzieję, że nic złego się nie dzieje.

Sara wyszła na Carlyle Square i wsiadła do swojego samochodu, srebrnoszarego BMW CSL z 1973 roku. Było to dwudrzwiowe coupe przeznaczone do jazdy szosowej i do wyścigów. Tam, gdzie to możliwe, zbudowany był z aluminium. Miał trzylitrowy silnik, osiągał maksymalną prędkość 210 kilometrów na godzinę. Wypuszczono tylko pięćset takich modeli z kierownicą z prawej strony.

Wyposażono go w bardzo cenione kubelkowe siedzenia. Auto ze wszech miar godne pożądania. Sara kupiła go dwa lata temu, żeby uczcić przetrwanie kolejnego roku w City. Stał się jej dumą i radością.

Po piętnastu minutach dojechała do Hay's Mews przed dom Mosami. Mosami usłyszała samochód i otworzyła drzwi. Stała w progu, miała na sobie jedwabne kimono na pizamie należącej do kompletu. Jej długie włosy luźno opadały, układając się w czarne paski na żółtym jedwabiu kimona.

Ucałowały się. Mosami wskazała na swój ubiór.

— Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Odpoczywałam. Wiesz, piątkowe wieczory.

Jestem absolutnie wykończona. — Uśmiechnęła się. — Byłam w łóżku i oglądałam na wideo „Księgę dżungli”, kiedy zadzwoniłaś.

Sara się roześmiała.

— To cudowne. Brzmi jak sielanka.

— I jest. — Mosami zaprosiła Sarę do kuchni. — Herbatka z rumianku?

— Uhu. Marzę o tym. Mosami napełniła czajnik.

— Więc co się dzieje?

Sara mówiła do pleców przyjaciółki.

— Dlaczego miałyby coś się dziać? Mosami prychnęła.

— No wiesz, Saro. Zachowujesz się ostatnio trochę dziwnie. Nowa praca, wszystko tak nagle i tak tajemniczo. Nie przesadzam, widziałam już u ciebie te objawy, pamiętasz?

Sara obserwowała wrzący czajnik. Mosami wyjęła imbryk z szafki i wrzuciła do niego dwie torebki rumianku. Napełniła imbryk wrzącą wodą, postawiła na drewnianej tacy obok dwóch filiżanek i zaniósła do salonu. Usiadła na kanapie i naląła herbaty. Sara usiadła obok niej i wzięła filiżankę. Piła uważnie, ogrzewając twarz w parze.

Sara odstawiła filiżankę na drewniany stół i zwróciła się do przyjaciółki.

— Cóż, wszystko jest trochę dziwne. Nie wiem, naprawdę, od czego zacząć. — Westchnęła głęboko i znów się napiła. Przewędrowała oczami cały pokój, jak gdyby szukając natchnienia. — Tak jak ci powiedziałam przez telefon, muszę cię o coś zapytać. Potrzebuję twojej pomocy, ale naprawdę nie mogę wyjaśnić dlaczego. Przynajmniej bez szczegółów.

Mosami patrzyła na Sarę, obserwując jej oczy i grymas ust. Sara uniosła brwi, jak gdyby oczekiwała odpowiedzi. Mosami wzruszyła ramionami. Widziała zażenowanie Sary, sama czuła się podobnie.

Nagle Sara odezwała się znowu, zaskakując Mosami:

— Chodzi o Carlę Vitale. Muszę dostać się do jej mieszkania. Mosami przez chwilę milczała. Spojrzała przed siebie, kontemplując obraz wiszący na przeciwległej ścianie, płataninę kolorów, wszystkich odcieni błękitu, od koloru lodu do indygo. Po czym odwróciła się z powrotem do przyjaciółki.

— Co się dzieje, Saro? Sara wzruszyła ramionami.

— Nie mogę ci powiedzieć. Chciałabym, ale nie mogę. W każdym razie, sama nawet nie jestem pewna. Muszę się dopiero dowiedzieć. To wszystko się wiąże z Matthew Arnottem. Myślę, że on łamie prawo. I sędzę, że Carla mogłaby coś o tym wiedzieć.

Mosami przechyliła głowę na bok.

— Więc chcesz się dostać do jej mieszkania? Sara pokiwała głową.

— Chcę zainstalować urządzenie podsłuchowe.

— Pluskwy?

— Uhu.

— O Boże, Saro. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. — Mosami sięgnęła po swoje papierosy leżące na stoliku. Poczęstowała Sarę.

Przez chwilę paliły w milczeniu. Po czym Mosami odezwała się znowu:

— Słuchaj, nie rozumiem tego, co robisz i dlaczego to robisz. Bez wątpienia tak jest lepiej. Ty nie chcesz nic mówić, a ja nie chcę wiedzieć. Zostawmy to tak jak jest. — Uśmiechnęła się lekko. — Ale pomogę ci.

Gdy Sara wróciła do domu, zadzwoniła do Jacoba na Golders Green.

— Jacob, to ja. Właśnie widziałam się z Mosami. Pomoże mi. Więc powiedz swojemu przyjacielowi, że mamy dostęp.

Jacob odłożył słuchawkę i zadzwonił pod numer telefonu we wschodnim Londynie. Odezwał się przyjazny głos człowieka w średnim wieku. Jacob mówił zwięźle.

— Mam dostęp. Do wszystkich trzech celów.

— Dobrze. Wpadnij jutro po południu, powiedzmy o trzeciej. Będę miał cały towar. Sobota rano; dźwięk budzika dotarł do niej z innego pokoju. Sara wczoraj uwolniła się od jego bezlitosnego cykania i złowieszczonego dzwonienia. Obudziła się o dziesiątej i leżała w łóżku jeszcze pięć minut, rozkoszując się świadomością, że może w nim zostać bez przeszkód jeszcze nawet parę godzin, jeśli będzie miała na to ochotę. Słońce wpadało przez muślinowe firanki i czuła już żar zapowiadającego się upalnie dnia.

Wstała z łóżka powoli, narzuciła bawełniany szlafrok i poszła do salonu. Schyliła się, aby przejrzeć kolekcję kompaktów i wybrała „Ella Fitzgerald's Greatest Hits”. Dźwięki „Mackie Majcher” popłynęły, gdy poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać głośną maszynę do cappuccino.

Pięć minut później niosła do sypialni pełną filiżankę, podzieloną na cztery pomarańcze, pocięty w plasterki owoc kiwi i przelewającą się miseczkę orzechowych płatków kukurydzianych Kelloggs z pokrojonym bananem, zalanych pełnotłustym mlekiem. Ostrożnie postawiła tacę na łóżku, wślizgnęła się pod kołdrę, wzięła do ręki książkę, którą podniosła z podłogi. Była to jedna z jej ulubionych autorek, Rosamunda Lehmann. Tytuł książki brzmiał „Drzewo morskiej winorośli”. Piękny tytuł i piękna książka, na jej okładce był obrazek kobiety zrywającej z drzewa owoc. Zdaniem Sary była to scena niebiańskiego spokoju. Zjadła śniadanie powoli, czytając książkę, pozwalając, aby czas mijał leniwie i spokojnie.

Nie miała na dziś żadnych konkretnych planów. Pierluigi zaprosił ją do wspólnych przyjaciół na obiad. Nie była pewna, czy pójdzie. Po wyjeździe Alexa i Eddiego nie wiedziała, czy chce czyjegoś towarzystwa. W jednej chwili rozkoszowała się spokojem, w następnej nienawidziła go. Innym razem ogarniała ją po prostu apatia. To była norma i wiedziała o tym doskonale. Wiedziała również, jak przełamać apatię. Wcześniej czy później stworzy sobie jakiś problem. Potem problem zostanie rozwiązany, a w niej zagości kruchy spokój. Niepewna, ale słodka ulga.

Jacob zadzwonił o czwartej. Sara właśnie wróciła po biegach.

— Och, kochanie, dobrze że jesteś w domu. Czy mogę wpaść? Mam coś dla ciebie. Sara uśmiechnęła się szeroko.

— Będę czekać.

Przyszedł o piątej z białą plastikową torbą. Ruszył za Sarą do kuchni. Usiadł przy stole, a ona zajęła się przygotowywaniem herbaty. Otworzyła szafkę, w której było około dziesięciu puszek i pudełek różnego rodzaju herbat. Wyjęła trzy. Jaśminową, Earl Grey i Gunpowder, a następnie wrzuciła równe ilości każdej do swego ulubionego imbryka. Był to prezent od Jacoba, ozdobiony malunkiem wykonanym przez Clarice Cliff, a przedstawiającym antylopy w biegu. Wzięła dwie filiżanki od kompletu, nalala herbaty i usiadła naprzeciw Jacoba z uśmiechem oczekiwania. Jacob sięgnął po torbę leżącą na podłodze. Sara zapaliła papierosa. Jacob położył torbę na stole i wyjął z niej trzy zwyczajne rozgałęziacze do prądu i podwójne gniazdko telefoniczne.

Sara patrzyła na nie zaintrygowana. Podniosła błyszczące oczy na Jacoba.

Wymienili uśmiechy.

— Śliczne, prawda? — powiedział Jacob.

— Zadziwiające. Wyglądają jak zwykle rozgałęziacze. Po prostu wsadzasz je do gniazdka i zaczynają pracować?

— Mniej więcej. Włączają się, reagując na głos. Ściągają wszystko w pomieszczeniu, również część z sąsiadujących pokoi. Mają wbudowane własne nadajniki, działające w promieniu około mili. Nadajniki przekazują wszystko odbiornikowi, który nagrywa całość na magnetofon cyfrowy. — Jacob wyciągnął z plastikowej torby dwa małe magnetofony o długości około ośmiu, wysokości trzech i szerokości pięciu centymetrów. — Są specjalnie ustawione. Taśma idzie przez dwanaście godzin. Mam dwanaście taśm. To powinno wystarczyć na początek. — Wcisnął przycisk włączający, a następnie nagrywanie. — Widzisz? Proste. Działa jak zwykły magnetofon.

— Zaskakujesz mnie, Jacob. Wiesz o tym?

Staruszek roześmiał się. Jego oczy błyszczały, tak samo jak oczy Sary.

— Mówisz, że możesz dostać się do mieszkania Carli?

— Tak sądzę. Jacob pokiwał głową.

— Sprawdziłem odległość. Mniej niż mila. Ten dom ma doskonałą lokalizację. — Przedrzeźniał sposób mówienia agenta nieruchomości. Sara się roześmiała.

Kontynuował normalnym głosem. — Jedyne, czego mi trzeba, to usytuować gdzieś odbiorniki. Położę je na dachu, w porządku? Sara kiwnęła głową.

— Świetnie. Gdziekolwiek.

— Dach jest najlepszy — powiedział Jacob. — Lepszy odbiór. — Upił duży łyk herbaty i zaniósł filiżankę do zlewu. Wrócił do stołu i usiadł wyprostowany, poważny.

— Mój przyjaciel ma też odbiorniki do pluskiew, które podłożysz w pracy. Mieszka na Whitechapel w nowym wysokim bloku, na dziesiątym piętrze. Doskonale usytuowany do zbierania głosów z pluskiew w ICB. Mniej niż mila odległości i bardzo wysoko. — Przerwał, spojrzał na twarz Sary i kontynuował. — Istnieje ryzyko, że będzie słuchał taśm: to stary wścibski pluskwiarz, ale jest całkowicie pewny. Jeżeli nawet dowie się czegoś, nigdzie dalej to nie trafi.

— Jeśli ty mu ufasz Jacob, ja też nie mam nic przeciwko. Jacob odetchnął z ulgą.

— Myślę, że tak będzie dobrze. Jak powiedziałem, to dobry człowiek. Jeden z moich starych przyjaciół. Kiedyś robiliśmy...

Sara przerwała mu śmiechem:

— Jeden z twoich staruszków. Lepszej rekomendacji nie mogłabym żądać.

Jacob udawał, że go to zraniło.

— Czasami jesteś niemożliwa. Nie wiem, jak ja z tobą wytrzymuję. Sara ścisnęła go za ramię.

— Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać. Jacob ciągnął.

— W każdym razie, on zaopiekuje się tym, co uzyskamy z ICB. Reszta zależy od ciebie. Masz dwa odbiorniki i dwa magnetofony, jeden do pluskwy w pokoju, drugi do telefonu. Obydwa u Carli. Tu jest przenośny mikromagnetofon. Mogę bez problemu przynieść więcej sprzętu, więc daj mi znać; czy sądzisz, że będziesz mogła się dostać do domu Arnotta, i jak mu tam, Dantego Scarpirato.

— Dam ci znać, Jacob, i dziękuję. — Uśmiechnęła się. — Och, prawie bym zapomniała. Ile to wszystko kosztuje?

— Dostałem zniżkę — uśmiechnął się Jacob. — Normalnie byłoby to około ośmiu tysięcy funtów. Ja to dostałem za cztery.

Sara głośno przełknęła ślinę.

— Boże, drogie są te rzeczy. Ale dobra robota w takim razie — dodała szybko. — Świetny interes. — Podeszła do biurka i wyjęła kopertę z pieniędzmi od Barringtona. — Tu są trzy. Resztę dostaniesz w poniedziałek. Czy twój przyjaciel się na to zgodzi?

Jacob kiwnął głową. Już zapłacił swojemu przyjacielowi z własnych pieniędzy. Wyszedł chwilę później. Sara zadzwoniła do Mosami.

— Mosami, cześć kochanie, to ja. Słuchaj, czy istnieje szansa, żebyś wpadła do Carli jutro?

Carla Vitale mieszkała przy Onslow Square. Około pół mili od Sary, w budynku zwróconym frontem na zachód, z trzema sypialniami na planie pięciokąta. Mosami była tam już kilka razy na przyjęciach i wpadła kiedyś na kawę po wyprawie na zakupy na Fullham Road. Wczoraj

zadzwoiła do Carli i powiedziała, że umówiła się o piątą na herbatę z przyjacielem tuż za rogiem, i ponieważ będzie w okolicy, zapytała, czy Carla nie będzie miała nic przeciwko, jeśli wpadnie później na coś mocniejszego? Brzmiało to wystarczająco rozsądnie. Carla, oczywiście, też tak sądziła, bo zaprosiła ją i teraz Mosami była tam z roz-gałęziaczem do prądu i podwójną wtyczką do telefonu w torebce, stukając do drzwi Carli i zastanawiając się, dlaczego, do cholery, nie otwiera jej tak długo.

— Mosami, wejdz, kochanie. — Carla była owinięta ręcznikiem. — Przepraszam, trochę tu bałaganu, właśnie dostałam wiadomość. Wszystko tłuste, muszę umyć włosy. — Roześmiała się i wprowadziła Mosami do środka. — Poczęstuj się drinkiem. Jest jakieś białe wino w lodówce, dołączę za minutę. — Zniknęła w sypialni, zostawiając Mosami samą.

Mosami weszła do kuchni, znalazła butelkę wina, pokręciła się, szukając korkociągu, w końcu jakiś znalazła, nalała sobie szklanę Sancerre i wróciła do salonu. Postawiła szklanę na krawędzi stołu i rozejrzała się za gniazdkiem. Po chwili znalazła to, czego szukała: rozgałęziacz pełen wtyczek, jedna od lampki, jedna od telewizora i jedna od wideo. Szybko uklękła, wyciągnęła rozgałęziacz i zastąpiła go tym, który miała w torebce. Wyprostowała się szybko, zapięła torebkę na zamek, w środku zamykając rozgałęziacz Carli, i usiadła na kanapie z kieliszkiem w dłoni w momencie, kiedy pojawiła się Carla. Teraz musiała się jeszcze jakoś dostać do telefonu. Szansa pojawiła się pół godziny później. Spojrzała na zegarek, po czym wyprostowała się nagle.

— Cholera, zapomniałam. Za dziesięć minut mam być na Hampstead. Czy mogę stąd zadzwonić?

Carla uśmiechnęła się.

— Jasne. Użyj aparatu w sypialni, jeśli wolisz. — Puściła oczko. Mosami uśmiechnęła się, wzięła torebkę i udała się do sypialni Carli.

Gniazdko telefoniczne było pod łóżkiem. Mosami ukucnęła na podłodze, wyjęła sznur od telefonu, włożyła go do rozgałęziacza i z powrotem, razem z rozgałęziaczem do gniazdka w ścianie. Teraz znalazło się tam podwójne gniazdko, chociaż podłączona była tylko jedna linia telefoniczna. Ale całe urządzenie zasłaniała pościel opadająca z łóżka na podłogę. Nie istniała przyczyna, dla której Carla miałaby tam zaglądać, czy zwrócić na to uwagę, nawet gdyby z jakiegoś powodu tam spojrzała. Mosami podskoczyła nagle. Usłyszała jakieś głosy. Zerwała się na nogi i wybiegła z pokoju. W korytarzu zobaczyła Matthew Arnotta. Odwrócił się, gdy usłyszał jej kroki.

— Mosami. Miło cię widzieć. Co tu robisz? — zapytał jak zawsze z nutą sarkazmu w głosie.

— Nie przejmuj się. Nie przeszkodzę wam w spokojnej nocy. Wpadłam na drinka.

— Wyglądała na spłoszoną. — I właśnie sobie przypomniałam, że od dwóch minut mam być na Hampstead. — Ucałowała Carle w oba



policzki. — Dzięki za drinka, Carla. Przepraszam, że tak uciekam. Cześć, Matthew. Uciekła, zanim ktokolwiek zdążył zrobić jakąś uwagę na temat jej rumieńców.

— Do diabła, nie sędzę, żebym była stworzona do takiej roboty. — M osami wróciła do domu i dzwoniła do Sary, chroniąc się w sanktuarium swojego łóżka.

Sara jęknęła.

— Och, Mosami, przepraszam cię. Naprawdę, nie powinnam cię prosić o podobne rzeczy.

— Nie bądź głupia. To mnie podnieca, tak samo jak ciebie. Wszystko wydawało mi się zabawne, coś w rodzaju niewinnego włamywania się przez okno. Miałam okazję przeżyć niesamowite emocje. Ale później przyszło przykre olśnienie.

— Wiem. Ja też to przechodzę.

— No dobrze. Jestem pewna, że powód jest słuszny. Mam nadzieję, pomyślała Sara. O dziesiątej Sara jechała swoim BMW do City. Ulice Square Mile były opustoszałe. Światła w bankach wciąż się świeciły tylko ze względów bezpieczeństwa.

Podczas boomu w latach osiemdziesiątych siedziałyby tu ciągle grupy finansistów i prawników ślęczących nad pracą nawet w weekend, ale w dzisiejszych, mniej lukratywnych i bardziej cywilizowanych czasach, należało to do rzadkości.

Niekiedy maklerzy przychodzili do pracy w niedzielę w nocy, żeby dokonać operacji na otwieranych o tej porze rynkach na Dalekim Wschodzie, więc Sara nie miała pewności, czy na parkiecie nikogo nie zastanie, ale istniała spora szansa, że jednak będzie pusto. A zresztą, potrzebowała tylko dostać się do biurka Arnotta i do gabinetu Dantego Scarpirato, a to nie powinno sprawić jej trudności.

Zaparkowała samochód na drodze prowadzącej do garaży, znajdujących się pod budynkiem ICB. Wróciła do głównego wejścia i nacisnęła dzwonek umieszczony na marmurowej fasadzie. Poczowała, że przyspiesza jej puls i podskakuje poziom adrenaliny. Pojawił się strażnik. Sara podniosła swoją wejściówkę, aby mógł ją sprawdzić. Strażnik rzucił okiem przez szybę i usatysfakcjonowany, otworzył drzwi i wpuścił dziewczynę. Wiedziała, jak się należy zachować. Podeszła za nim do biurka w recepcji, aby wpisać się do księgi wejść i wyjść.

— Czy to pani samochód stoi na podjeździe?

— Tak.

Musiał go zobaczyć na monitorach.

— Mógłbym mieć taki sam. Jest piękny, prawda?

— Moja duma i radość — uśmiechnęła się szeroko Sara.

— Ale wie pani, że tu nie wolno parkować? Sara znowu się uśmiechnęła.

— Wiem. Ale będę tylko chwilkę, obiecuję. Dziesięć minut?

— Dobrze, niech pani idzie. — Krzyknął za jej plecami. — Co się dzieje? Ciężko wytrzymać bez pracy?

Sara odwróciła się i wzruszyła ramionami. .

— Tak, coś w tym rodzaju. Parę transakcji z Tokio i znowu jestem wolna.

Odwzajemnił uśmiech, niezbyt pewny, jak to rozumieć, i patrzył, jak podchodziła do wind, stukając wysokimi obcasami o wypolerowaną podłogę.

Winda czekała z zapraszająco otwartymi drzwiami. Sara weszła do środka i wjechała na parkiet. Wsadziła swoją wejściówkę do czytnika magnetycznego i ciężkie szklane drzwi otworzyły się z kliknięciem. Gdzieś palily się światła, ale większa część sali tonęła w mroku.

Sara cicho przeszła przez parkiet. Zegary wiszące u sufitu wyglądały jak wielkie obserwujące ją oczy. Zatrzymała się przy swoim biurku, usiadła, otworzyła torebkę i wyjęła z niej jeden z rozgałęziaczy. Odepchnęła krzesło do tyłu i schyliła się, zaglądając pod biurko. Była tam płatanina kabli i potrójne rozgałęziacze z wtyczkami. Wyciągnęła je, wsadziła do swojego rozgałęziacza i wetknęła go w gniazdko. Wyprostowała się, wstała, wyjęła drugi rozgałęziacz z torebki, szybko rozejrzała się dookoła i ruszyła w kierunku biura Dantego. Było tam ciemno i oczy Sary potrzebowały chwili, aby przyzwyczaić się do mroku. Przyjrzała się ścianie za jego biurkiem. W rogu było podwójne gniazdko z wtyczką do lampki z jednej strony i do komputera z drugiej. Sara wsadziła wtyczkę od lampki do nowego rozgałęziacza i rozgałęziacz do ściany. Uśmiechnęła się, patrząc na swoją pracę, po czym żwawo wróciła do swojego biurka. Wzięła torbę, rozejrzała się jeszcze raz i już miała wyjść, gdy nagle zamarła. Naprzeciw niej, z drugiej strony parkietu, szli Matthew Arnott i Karl Heinz Kessler, dyrektor wykonawczy ICB. Spojrzeli na nią zaskoczeni. Sara uśmiechnęła się, mając nadzieję że nie zauważyli, że była w szoku.

— Co tu robisz? — Arnott zignorował jej uśmiech i patrzył na nią natarczywie.

Szybko myśląc, Sara sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła leżący na wierzchu komplet dodatkowych kluczy do domu, który przykleiła tam plastrem, na wypadek gdyby swój klucz zatrzasnęła w środku. Wołała się zabezpieczyć, żeby umknąć takiej nieprzyjemnej sytuacji. Zamachała kluczami w powietrzu.

— Zapomniałam, kluczy. — Zaśmiała się niezadowolona z siebie. — Głupio, co?

— Tak, całkiem głupio.

Kessler obserwował ją w milczeniu. Sara zwróciła się do niego.

— My się nie znamy. Jestem Sara Jensen, nowy makler. Kessler potrząsnął jej wyciągniętą dłonią.

— Tak. Słyszałem o pani. — Uśmiechnął się chłodno. Sara odwróciła się do Arnotta i uśmiechnęła znowu, patrząc w jego wrogą twarz, jak gdyby oczekiwała teraz jego wyjaśnienia. Przez parę sekund nie odzywał się, po czym wyrzucił z siebie rozdrażniony.

— Karl Heinz chce zrobić dużą transakcję z Tokio. Poprosił mnie, żebym był przy tym.

Sara kiwnęła głową.

— To bardzo ładnie z twojej strony. — Wysłała uśmiech Kesslerowi. — Cóż, dobranoc, ja uciekam.

Obserwowali, jak idzie przez parkiet i znika w drzwiach. Kessler zwrócił się do Arnotta.

— Wierzysz jej?

Arnott podrapał się w brodę.

— Daj spokój, zatrzasnęła się na zewnątrz. Wszystkim się to zdarza. Ja też tu trzymam zapasowe klucze... Popadasz w paranoję.

Kessler rzucił Arnottowi złowrogie spojrzenie.

— Obserwuj ją. Okay?

Sara zjechała windą na parter, wpisała, że wychodzi, i życzyła strażnikowi dobrej nocy. Podeszła do samochodu, wsiadła i trzęsącymi się rękami zapaliła papierosa.

## Rozdział 14

Poniedziałek, pierwszy lipca. Ministrowie finansów i prezesi banków centralnych Grupy Siedmiu Najbardziej Uprzemysłowionych Krajów Świata siedzieli na obitych brązową skórą krzesłach z wysokimi oparciami wokół owalnego, dębowego, błyszczącego stołu na trzynastym piętrze potężnego budynku Bundesbanku we Frankfurcie. Pomieszczenie znajdowało się na najwyższym piętrze, było wysokie, wyłożone drewnianą boazerią i udekorowane na obydwu końcach abstrakcyjnymi, kolorowymi gobelinami, dziełami Maxa Ernsta. Pięćdziesiąt metrów poniżej leżało mnóstwo banknotów i niewielka ilość złota, przechowywana w uzbrojonych piwnicach Bundesbanku. Bundesbank był wyjątkiem wśród centralnych banków, które przechowywały ogromne ilości złota. W swoich pomieszczeniach trzymał tylko część zasobów. W piwnicach we Frankfurcie znajdowało się około osiemdziesięciu ton złota, czyli nieco ponad dwa procent całości. Resztę trzymano w piwnicach innych banków centralnych — Federalnego Banku Rezerw w Nowym Jorku, Banku Anglii i znacznie mniej w Banku Francji. Strażnicy, którzy patrolowali Bundesbank, musieli zapewnić bezpieczeństwo personelowi i jednocześnie pilnować skarbcza. Dzisiaj ich liczbę powiększono — dodatkowi ochroniarze strzegli kilkunastu mężczyzn spotykających się na trzynastym piętrze.

Tu, w sali obrad Bundesbanku znajdujący się nawzajem doskonale bankowcy i politycy siedzieli zastawieni solidnymi, szklanymi popielniczkami i butelkami z napojami. Śmiali się, gawędzili w oczekiwaniu. Anthony Barrington zajął miejsce obok zajmującego to samo stanowisko w Banku Francji Jean Claude de la Barobisiere. Starzy znajomi rozmawiali ciepło, starając się rozładować narastające napięcie. Po dwóch minutach *Herr Mueller*, prezes Bundesbanku z wojowniczą miną poprosił zebranych o uwagę.

Przedstawiciele Francji, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Japonii i Kanady pochylili się do przodu w swoich krzesłach z wyrazem najwyższego zaciekawienia. Po tygodniu niepewności dowiedzą się, po co

zwołano to spotkanie. Prezes Banku Włoch, Giancarlo Catania, desperacko potrzebujący nikotyny, siedział wyprostowany jak struna, przeklinając w myślach zakaz palenia. Jego złe przecucia spowodowane natarczywością Fieriego dwa dni temu zwiększyły się pod wpływem wyrazu twarzy *Herr Muellera*.

Potężny Niemiec, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu z ilorazem inteligencji wynoszącym 150 punktów, oparł przedramiona na wypolerowanym stole, pochylił się i spojrzał na zebranych. Lustrował wszystkich po kolei wzrokiem, niczym polujący jastrząb, brodę wysunął do przodu w wyrazie nie ukrywanej bojowniczności.

Zakończył swój przegląd i jeszcze parę chwil milczał. Wreszcie przemówił.

Podziękował im za przybycie, mimo że z tak małym wyprzedzeniem zostali powiadomieni; wyraził nadzieję, że nie było to zbyt kłopotliwe, ale co podkreślił, spotkanie okazało się konieczne. Westchnął ciężko, jak człowiek dźwigający na barkach ogromną odpowiedzialność, a jego głos zdawał się obniżyć o oktawę.

— Wszyscy znamy siłę plotki na rynkach finansowych i wiemy, jakie szkody może ona powodować. — Głowy otaczające go pokiwały poważnie. — Cóż, dotarła do mnie plotka w najwyższym stopniu niebezpieczna. — Położył dłonie na stole i zdawał się oglądać paznokcie. — Wszyscy znamy angielskiego finansistę Richarda Zendera, odnoszącego niezwykle sukcesy handlowe na rynkach międzynarodowej wymiany walutowej. Paru dziennikarzy znalazło dowody, przynajmniej tak im się wydaje, na dwa fakty. Po pierwsze: Zender jest niezwykle skuteczny na rynkach walutowych; po drugie: ma bardzo bliskie kontakty z kilkoma ministrami finansów i prezesami banków centralnych, włączając w to mnie. Teraz owi dziennikarze pracujący dla brytyjskiej gazety łączą te dwa fakty i chociaż na razie nic nie napisali, mogą to zrobić wkrótce. Dostrzegają coś podejrzanego w znajomościach Zendera i twierdzą, że być może Zender jest za blisko polityki. — Mueller przerwał i rozejrzał się dookoła po trzynastu twarzach obserwujących go w pełnym napięcia milczeniu. — Jestem pewien, że nie muszę nikomu tłumaczyć, czym to grozi. — Przerwał znowu i nieoczekiwanie uśmiechnął się szeroko. — Teraz wiem, że te pogłoski zostały spreparowane. Ci dziennikarze to krętacze. Rozmawiałem z Anthonym Barringtonem i obydwaj doszliśmy do wniosku, iż należy wyjaśnić tę sytuację. Chcę przez to powiedzieć, że trzeba zachować ostrożność, być może należy oziębic trochę stosunki z Zenderem. Bo ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy, to atmosfera skandalu. Nawet jeżeli tak jak ja, jesteśmy absolutnie niewinni. — Głowy zgromadzone wokół stołu pokiwały zgodnie z pewną ulgą. Mueller kontynuował: — Inną sprawą, oczywiście, jest fakt, że Zender to bardzo użyteczny człowiek. Wielki filantrop; na różne akcje charytatywne przeznaczył już ponad sto milionów dolarów. Nie chcemy, aby dziennikarze go niepokoili. Jest całkowicie niewinny.

Po prostu tak się zdarzyło, że jest genialny. — Wzruszył ramionami. — Ale wiecie, dziennikarze to stworzenia zawistne, szczególnie dziennikarze brytyjscy. Zawzięli się na Zendera. Więc bądźmy ostrożni. Zarówno dla jego, jak i naszego dobra. A przy okazji, ponieważ jesteśmy tu wszyscy razem, możemy również zrobić coś konstruktywnego.

Spotkanie skończyło się pół godziny później ustaleniem nowej polityki. Szterling był niedoceniony, przy wzroście gospodarczym, jaki nastąpił w Wielkiej Brytanii; rynki reagowały zbyt pesymistycznie. Trzeba by, zasugerował *Herr* Mueller, nadać rynkom trochę rozpędu w odpowiednim kierunku. G7 zgodziło się zatem rozpocząć po południu ograniczone działania na rzecz wzmocnienia pozycji szterlinga.

Wszyscy uznali, że taka polityka jest rozsądna. Barrington był szczególnie zadowolony z ożywienia swojej waluty. Nie pojawiły się głosy sprzeciwu. Nikt nie miał ochoty dyskutować. Wszyscy myśleli o perspektywie finansowego skandalu i zadawali sobie pytanie, ile w tym prawdy, jeśli ktoś w ogóle był winny, to kto. A może rzeczywiście, jak sugerował Mueller, to sprawka złośliwych dziennikarzy i nieprawdziwych plotek. Każdy, kto znał osobiście Zendera, a przy stole siedziało sześć takich osób, próbował sobie przypomnieć, czy w przeszłości nie popełnił jakiejś niedyskrecji. Problem polegał na tym, że dziennikarze mogli wszystko przekreślić. Trochę błota, a takie ogromne szkody: zrujnowane kariery, dziesiątki lat w życiorysach obrócone wniwecz. Wszyscy obrzucali się nawzajem krótkimi spojrzeniami, mając nadzieję, że jeśli istniał problem, dotyczył nie ich samych, tylko kolegów.

Spotkanie zostało zamknięte; politycy i bankowcy wyszli; szybkobieżne windy ruszyły na parter. Czarne kuloodporne limuzyny czekały już z zapalonymi silnikami, wyrzucając w powietrze kłęby spalin. Za przyciemnionymi szybami zgasły przeznaczone dla mediów dyżurne uśmiechy.

Anthony Barrington czekał w sali konferencyjnej na trzynastym piętrze, czekał, aż wszyscy wyjdą. *Herr* Mueller został razem z nim. Gdy wszyscy wyszli, Mueller zajął miejsce obok Barringtona.

— Myślisz, że to połknęli? Barrington się uśmiechnął.

— Tak sądzę. Spójrzmy prawdzie w oczy. Szterling jest niedoceniony.

— Po lunchu rozpoczniemy interwencję. To da naszemu kapusiowi, jeśli on w ogóle istnieje, wystarczająco dużo czasu, nie sądzisz?

— Czasu powinno wystarczyć. I jeśli istnieje, wypłynie na powierzchnię.

— Dobrze. Zostawiam to tobie. A co z biednym Zenderem? Teraz wszyscy będą myśleli, że jest w coś zamieszany.

Barrington uśmiechnął się zagadkowo.

— I najprawdopodobniej jest, tak jak ci mówiłem. Nie mogę tego udowodnić, zresztą szczególnie mi na tym nie zależy. W każdym razie on

ostatnio zanadto się panoszy, czyniąc przy każdej okazji te swoje wynurzenia na temat polityki ekonomicznej. Uważa się za wyrocznie. Wszyscy go słuchają, może poruszać rynkami tylko otwierając usta. — Barrington potrząsnął głową. — Nie. Zender zrobił się zbyt ważny, zarobił trochę za dużo pieniędzy naszym kosztem. Nie mogę powiedzieć, że bardzo mnie zmartwi, jeśli się trochę wystraszy. — Barrington wstał. — W każdym razie, dziękuję za pomoc w całej tej sprawie. Mueller zamachał rękami na znak protestu.

— Dotyczy to nas wszystkich. Tak czy nie? Musimy coś z tym zrobić.

— Musimy. Chciałbym się jeszcze z kimś szybko porozumieć telefonicznie, zanim wyjdę. Te aparaty są bezpieczne, prawda? — Barrington wskazał telefony na stole konferencyjnym.

— Oczywiście — powiedział Mueller lekko urażony. — Proszę, skorzystaj. — Zebrał swoje papiery i odwrócił się do wyjścia. — Pożegnam się już, prezesie. — Wymienili uścisk dłoni. Barrington patrzył za Muellerem schodzącym po spiralnych schodach na dziesiąte piętro, do swojego biura. Kiedy został sam, zadzwonił do Jamesa Bartropa w Londynie.

— Wszystko przygotowane. Mam nadzieję, że złapiemy parę ptaszków. Dziś po południu zaczynamy działać na rynku.

— Doskonale. Mam nadzieję, że ta twoja dziewczyna ma oczy i uszy otwarte. Giancarlo Catania obserwował włoskiego ministra finansów, który wychodził na lunch z francuskim ministrem finansów. Pomachał im na do widzenia, po czym usiadł zgarbiony na tylnym siedzeniu swojej limuzyny, czując się jak zwierzę w potrzasku.

Pięć minut później, gdy jego samochód zatrzymał się przed nieładnym, wielopiętrowym hotelem, Catania wyskoczył i ruszył do wejścia pewien swojej pozycji. Odźwierny, który usłudnie otworzył mu drzwi, zobaczył człowieka, któremu nie zależy na opinii świata.

Catania przedelfilował przez marmurowy hol w poszukiwaniu budki telefonicznej. Po tym co usłyszał dziś od *Herr* Muellera, nie miał zaufania do telefonu w swoim pokoju, a było mało prawdopodobne, aby każda z dwudziestu budek, które znalazł w hotelu, miała podsłuch. W każdym razie musiał zaryzykować. Fieri czekał na jego telefon, pulchnymi dłońmi nerwowo gmerał przy aparacie. Będzie mówił, jak zwykle, krótko i bez przedstawiania się, poda tylko konieczną informację i zapewni Fieriego, że wszystko jest w porządku. Schylił głowę, wchodząc do budki, i wystukał prywatny numer Fieriego.

Fieri siedział samotnie w swoim chłodnym biurze. Denerwował się, a ukradziony obraz Matisse'a, spoglądający na niego z wyłożonej drewnianą boazerią ściany, nie dawał mu dzisiaj ukojenia. Telefon wreszcie zadzwonił. Sięgnął po słuchawkę. Słuchał pochłonięty, od czasu do czasu

chrząkając. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał bardziej szorstko niż zwykle, ale pobrzmiwały w nim nutki zadowolenia.

— Dasz mi dokładny raport, kiedy wrócisz, he? — Zabrzmiało to raczej jak polecenie niż prośba.

Catania przytaknął i zakończył rozmowę. Fieri w żaden sposób nie może się dowiedzieć, czego naprawdę dotyczyło spotkanie. Nie było na świecie takiej siły, która zmusiłaby go do przekazania Fieriemu tej pogłoski. Sytuacja jest pod kontrolą, bo plotki o Zenderze nie dotyczyły go osobiście. Dzięki Bogu, nawet nie znał Zendera. Teraz jego umysł się uspokoił, ale kiedy siedział za lśniącym stołem na konferencji, nie przyszło mu do głowy, że kto wie, czy sprawa Zendera nie jest tylko wybiegiem, ukrytym ostrzeżeniem dotyczącym właśnie jego. Ale nawet gdyby o tym wiedział, niewiele mógłby zrobić. Nie mógłby się wycofać. Nie potrafiłby po prostu uśmiechnąć się i powiedzieć: „przepraszam, obiecuję, że więcej tego nie zrobię” i z wdziękiem odejść na emeryturę. Żadna ze stron nie pozwoliłaby mu na to. Mógł jedynie kontynuować to, co zaczął, i udawać, że wszystko jest w porządku. To było dla niego najlepsze rozwiązanie. Wymyślił taki plan, że przechytrzy ich wszystkich. To jest możliwe. Teraz jednak jeszcze jedna szybka anonimowa rozmowa telefoniczna.

Trzy minuty później wrócił do swojego pokoju i zadzwonił do żony. Mówił do niej z uczuciem, pewien, że jego głos brzmi beztrosko, zupełnie normalnie. Powiedział jej, że jutro wraca. Zobaczą się na obiedzie. Usiadł na łóżku i uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze wiszącym naprzeciw. Niech *Herr* Mueller odtworzy to sobie z podsłuchu.

Fieri grubym palcem przycisnął widełki telefonu, kończąc rozmowę i w poszukiwaniu natchnienia spojrzął na Matisse'a. To, co mówił Catania, brzmiało wiarygodnie. Zebranie było w gruncie rzeczy niewinne, zwołane w celu wyciągnięcia angielskiej gospodarki z zastoju. Ale cała ta tajemniczość. To wydawało się dziwne. Termin spotkań G7 normalnie ogłaszano wcześniej w prasie. Ministrowie i bankowcy zwykle lubili pozować do fotografii jako oblatujący świat, pracowicie załatwiający ważne sprawy ludzie, ale tym razem nie było wcześniej żadnej informacji w mediach. I mógłby się założyć, że nie pojawi się również po fakcie.

Fieri nie mógł się zdecydować, podejrzewać coś czy nie. Spotkanie G7 utrzymywano w tajemnicy, ale poza tym nie przyniosło nic nadzwyczajnego. Nie miało sensu zastanawianie się, czy ktoś jest na tropie Catanii. Ale taka możliwość zawsze istniała: przypadkowe słowo, banalny błąd, czy nawet otwarta zdrada. Nie czuł się usatysfakcjonowany. Jego wątpliwości nie dały się oddalić przez logikę, i uzmysłowił sobie, że miał powody być podejrzliwy. Nie mógł pozwolić Catanii, aby ten został zdemaskowany. Byłaby to szkoda



nie do naprawienia. Dla organizacja'i i dla niego osobiście. Postanowił przyjrzeć się uważnie Catanii, ale tymczasem istniała możliwość zarobienia pieniędzy, chciwość przewyższała jego niejasne przeczucia. Włączył monitor Reutera i zadzwonił do swojego maklera, Giuseppe Calvadoro.

— Giuseppe. To ja... Tak, u mnie w porządku. A u ciebie...? Dobrze. W porządku, potrzebuję szterlingi, tak, telegraficznie, och, nie wiem, pięćset milionów, tak szybko, jak to możliwe, natychmiast. Ale rozbij je, tak, na dziesięć głównych rachunków, i zadzwoń do mnie, jak tylko to załatwisz... Tak. Będę. — Fieri odłożył słuchawkę i patrzył w monitory, bez reszty się zatracił w pomnażaniu pieniędzy. Antonio Fieri był o pięć minut szybszy od Carli Vitale, która siedziała na kanapie, pałac papierosa za papierosem, podczas gdy on rozmawiał ze swoim maklerem w Mediolanie.

Kiedy telefon wreszcie zadzwonił aż podskoczyła. Podniosła słuchawkę, przedstawiła się i słuchała ze skupieniem, które zakłóciło symetrię jej twarzy.

Pożegnała się oschle, przerwała połączenie i wystukała numer telefonu.

Maklerzy w ICB plątali się po parkiecie, czekając, aż coś się wydarzy. Trzymali swoją pozycję już dwa robocze dni. Dzisiaj był trzeci i do tej pory nie pojawiły się żadne oznaki, że szterling ma tendencję zwyżkową. Jeśli coś się wkrótce nie wydarzy, ich pełne oczekiwania podniecenie zamieni się w zwątpienie. Potem zostanie zrealizowany jeden z trzech możliwych scenariuszy: kompletnie stracą wiarę w swoją pozycję lub będą usiłowali przekonać siebie i w miarę możliwości rynek, że mieli rację zwiększając pozycję lub postarają się utrzymać pozycję z każdą godziną bardziej narażając swoje nerwy.

Zżerający niepokój zmniejszającej się pewności siebie nie był im obcy, to uczucie przerażało maklerów. Mogło objawiać się paralizem, bądź maniakalną aktywnością, rzadko rozważną lub przynoszącą zysk. Każdy makler na swój własny sposób próbował uwolnić się od wątpliwości. Dante Scarpinato siedział w swoim gabinecie bez ruchu z kamienną twarzą, bez przerwy paląc.

Matthew Arnott tkwił nieruchomo przy swoim biurku i trzymając w dłoni sznur od słuchawki telefonicznej, nieświadomie nim machał. Simon Wilson bez przerwy paplał. Sara Jensen gapiała się w monitory. Cały czas widziała i czuła oczy Arnotta śledzące każdy jej ruch. Obserwowała jego odbicie w swoim monitorze, gdy patrzył na nią, marszcząc brwi, jak gdyby chciał odczytać myśli dziewczyny. Sarę doprowadzało to do szału, ale skoncentrowała się na skaczących zielonych cyfrach i udawała, że nic nie zauważa. Żadne z nich nie wspomniało spotkania wczoraj

w nocy: niebezpieczny grunt najlepiej omijać. Obydwoje zastanawiali się, co znaczy milczenie drugiego.

Pięć po dwunastej rozbłysła pierwsza linia na tablicy rozdzielczej telefonu. Trzy palce ruszyły w kierunku guzika. Sara była pierwsza. Z drugiej strony linii usłyszała podniecony, wysoki kobiecy głos z wyraźnym włoskim akcentem. Poprosiła o rozmowę z Matthew Arnottem. Sara przełączyła rozmowę na „hold” i odwróciła się na swoim krześle do Arnotta siedzącego pół metra od niej.

— Do ciebie.

Chwycił słuchawkę i wcisnął pierwszą linię. Powiedział dwa słowa „Tak” i „Okay”, po czym włożył marynarkę i ruszył do wyjścia. Głos Dantego zatrzymał go w drodze.

— Hej, dokąd to idziemy? Na wypadek gdybyś zapomniał, przypomnę ci, że trzymamy tu pozycję trzystu milionów. Nikt nie idzie na lunch, dopóki nie pozwolę. Arnott niemal zasztyletował go wzrokiem.

— A kto mówił o lunchu? Scarpirato wyszedł ze swojego gabinetu.

— Cóż, jeżeli stałeś się nagle dobrze wychowany i wkładasz marynarkę w budynku, co zdarza ci się po raz pierwszy, to wnioskuje, że wychodzisz na lunch.

Arnott uśmiechnął się chytrze.

— Stałem się dobrze wychowany, noszę marynarkę w budynku, nie idę na lunch, idę do łazienki. Zadowolony? — Wyszedł. Scarpirato zaś groźnie utkwiał wzrok w jego plecach.

— Głupia wymówka — mruknął Scarpirato do pustego biurka. — Chciał wyjść na lunch, nigdy nie nosi marynarki w środku.

Sara wstała od biurka i podeszła do ekspresu do kawy. Przeczytała parę wiadomości przypiętych na tablicy z lewej strony ekspresu. Spędziła tam kilka minut, uciekając od naelektryzowanej atmosfery przy biurku. Właśnie miała zamiar wrócić do biurka z parującym cappuccino, gdy zobaczyła Arnotta wchodzącego z powrotem do sali. Zauważyła, że wraca okrężną drogą. Skierował się w prawo, ż dała od swego biurka i wszedł do sali konferencyjnej. Podeszła za nim i zobaczyła, że siedzi przy biurku z telefonem przy uchu. Wróciła do swojego biurka, usiadła i zaczęła sączyć kawę. Z sali konferencyjnej Arnott zadzwonił do czterech różnych maklerów. Od każdego kupił po sto milionów funtów w zamian za dolary. Jego głos był niski, a usta dotykały słuchawki. Czuł się bezpieczny za zamkniętymi drzwiami. Nikt go nie mógł słyszeć.

Trzy minuty później Sara zobaczyła Arnotta idącego w kierunku gabinetu Dantego Scarpirato, pewnie poszedł się z nim rozmówić. Nie był typem, który pozwoliłby na publiczne robienie z siebie szmaty. Sara obserwowała biuro, oczekując podniesionych głosów i nerwowych gestów.

Nic się nie wydarzyło. Arnott i Scarpirato rozmawiali spokojnie z pochylonymi głowami. Arnott wrócił do biurka, a za nim wolno podążał Scarpirato. Pochylił się nad biurkiem pomiędzy Sarą i Arnottem, którzy nie odrywali od niego wzroku. Wilson siedział naprzeciw, bawiąc się krawatem.

— Chcę zwiększyć pozycję. Kupcie kolejne dwa razy po sto milionów szterlingów. Simon, ty weź pięćdziesiąt. Zróbcie to teraz. — Sara oparła się na krześle i położyła ręce na biodrach.

— Czy masz zamiar powiedzieć nam dlaczego, czy mamy niewolniczo wykonywać twoje rozkazy? — Takie polecenia irytowały ją. Nie płacono jej za wykonywanie czyichś poleceń, a poza tym — pomyślała — chciałaby dostać podwyżkę. Odwrócił się gwałtownie i spojrzał na nią z zadziwiającą intensywnością.

— Rób, co mówię, Saro Jensen. Już o tym rozmawialiśmy. Nie muszę się przed tobą tłumaczyć.

— Oczywiście, że nie musisz, Dante. — Uśmiechnęła się słodko. — Idź po prostu i zapal kolejne cygaro. Nie przejmuj się mną. Wypełnię polecenie w sekundę. — Zanim zdążył odpowiedzieć, wcisnęła bezpośrednią linię do Banku Paryża i zapytała Johnriy'ego McDermotta.

— Jaki masz kurs telegraficzny?

— 1,4555. 65 — odpowiedział.

— Wezmę sto funtów po sześćdziesiąt pięć.

— Zrobione.

— Zrobione.

Sara kupiła sto milionów funtów, wypisała bilet, postemplowała datownikiem i wrzuciła na tacę gotowych operacji. Potem z nieprzejednanym wyrazem twarzy chwyciła torebkę, oznajmiła, że wychodzi na lunch, i poprosiła, żeby ktoś ją zastąpił. Spodziewała się steku przekleństw od Arnotta. Zamiast tego potulnie to zaakceptował. Dobrze, powiedział, zastąpi ją dzisiaj. To dziwne — pomyślała Sara z podejrzliwością w drodze do Pig and Poke.

## Rozdział 15

Kiedy godzinę później Sara wracała z lunchu z zaróżowionymi od szampana policzkami, usłyszała, że ktoś wykrzykuje na parkiecie jej imię.

— Linia druga — oznajmił Simon Wilson, gdy pospiesznie znalazła się przy biurku.

— Jakiś Szwab.

Sara obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i wcisnęła linię drugą. To był Manfred Arbingen. Przeszedł od razu do rzeczy.

— Czy wiedziałaś, że dziś odbyło się spotkanie G7? — zapytał, nie posiadając się z radości.

Sara roześmiała się.

— Nie, nie wiedziałam. To dziwne, następne jest zapowiedziane za dwa tygodnie.

— Bardzo dziwne. Nie zaplanowane, nie zapowiedziane. Wiem o tym tylko dlatego, że umówiłem się z przyjacielem z Bundesbanku na lunch. Byłem samochodem, zamierzaliśmy ruszyć się gdzieś dalej. Ale do rzeczy, gdy jechałem tam, o mało nie zostałem staranowany przez kawalkadę limuzyn. Sześć aut z przyciemnionymi szybami, dużymi antenami, wiesz. Nie byłem pewien, kto to jest, więc zapytałem strażników i oni mi szepnęli, że to ministrowie finansów i prezesi banków centralnych G7.

— Myślisz, że co tam robili? Arbingen roześmiał się.

— A jak sądzisz?

— Cóż, nie mogło chodzić o politykę. Sprawa polityczna zaczekałaby do zaplanowanego spotkania. Musiało chodzić o coś w rodzaju interwen-qi. — Przerwała, przez chwilę rozważając. — Ale to niezupełnie usprawiedliwia nagłe zwoływanie dodatkowego zebrania. Podobne sprawy ustala się przez telefon, chyba, że to naprawdę coś poważnego, kontrowersyjnego, ale nic prawdopodobnego nie potrafię wymyślić. Żadna z walut nie wychodzi poza linię.

— Rzeczywiście nie — zgodził się Arbingen.

— To samo w sprawie kursów. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby wykonywali jakieś dramatyczne ruchy.

— Nic z tego nie rozumiem, to jest pewne. Przypuszczam, że wszyscy musimy poczekać. Dowiemy się, prędzej czy później.

Sara podziękowała Arbingenowi za wiadomości, przerwała rozmowę i spokojnie odłożyła słuchawkę.

Prędzej czy później — to nie była wystarczająca odpowiedź na giełdzie. To trzeba wiedzieć natychmiast. Trzeba się ustawić w dobrej pozycji, zanim ktoś inny wyprzedzi reakcje rynku. Umysł Sary zaczął pracować gorączkowo.

Wstała i podeszła do automatu do kawy ukrytego w małej wnęcie na skraju sali maklerskiej, obok korytarza. Wnówka była jasna i odosobniona, więc chodziło się tam poplotkować lub tak jak teraz, jeśli się chciało pomyśleć spokojnie. Ciekawość jest na parkiecie chorobliwa, a maklerzy przyzwyczajeni są do czytania sekretów, rodzących się w głowach kolegów, i bezlitosnego wykorzystywania ich. Sara nie chciała dzielić się z kolegami swoimi myślami. Trudno jest myśleć logicznie, gdy przynajmniej dwie pary okrągłych jak monety oczu bez przerwy obserwują każdy twój ruch.

Sara patrzyła na automat do kawy, przeciągając chwilę decyzji, który guzik wcisnąć, w końcu przycisnęła 146: kawa z mlekiem, spieniona, średniej mocy, jeden kawałek cukru. Maszyna zaburczała i prychnęła, plastikowy kubeczek wpadł na miejsce i parujący płyn wypełnił go do krawędzi z głośnym pryśnięciem.

Sara piła ostrożnie i zastanawiała się, patrząc na doniczki z roślinami ustawione na podłodze atrium. W ubiegły czwartek Scarpirato decyduje się kupować z tygodniowym wyprzedzeniem szterlingi za dolary, sprzedaje dolary, kupuje szterlingi: godny podziwu, ale bardzo ryzykowny ruch. Cztery dni później odbywa się, owiane ogromną tajemnicą, pewne spotkanie, które może doprowadzić do opłacalności tej pozycji. Bo w tej chwili właściwie nie ma wątpliwości, że szterling zacznie się umacniać. Przypadek? — pomyślała Sara.

Handel z wykorzystaniem tajnych informacji był jedną z najszybszych znanych w City dróg zarabiania ogromnych pieniędzy. To wyjaśniłoby spektakularne dochody, jakie osiągał Scarpirato. Była to również jedna z najtrudniejszych do wykrycia i udowodnienia form defraudacji. Śledzenie przepływu informacji przypominało próbę złapania rtęci.

Sara sięgnęła po papierosa z paczki znajdującej się w kieszeni bluzki. Zaciągnęła się głęboko. Jeśli Scarpirato handlował dzięki tajnym informacjom dotyczącym działań interwencyjnych G7, oznaczałoby to, że musi mieć bardzo wysoko postawionego informatora. Polityka walutowa G7 jest jednym z najbardziej strzeżonych sekretów. Z powodu zagrożenia przeciekami decyzje rzadko są zapisywane na papierze. O wszystkich przedsięwzięciach dyskutują i uzgadniają je ministrowie finansów, prezesi banków centralnych i premierzy państw członkowskich, a następnie

wprowadzane są w życie przez banki centralne, a konkretnie przez ich departamenty handlowe. Sara uważała jednak za nieprawdopodobne, aby jakieś przecieki pochodziły z tych departamentów. Maklerzy otrzymywaliby wiadomości w ostatniej minucie. Mieliby o wiele mniej czasu, aby informację wykorzystać, niż ich zwierzchnicy, ministrowie i prezesi banków. No i maklerzy bardziej by się narażali. Wszystkie ich rozmowy są nagrywane na taśmy. Każde wykroczenie byłoby zbyt oczywiste. Sara miała pewność, że przeciek nie pochodzi z departamentów realizacji, tylko z osnutych mgłą tajemnicy wyższych stopni w hierarchii. Nerwowo zaciągnęła się papierosem. A jeśli jej teoria jest słuszna i jakiś polityk lub prezes banku centralnego tkwi w środku organizacji zbijającej miliardy funtów. Aż trudno to sobie wyobrazić. Dla maklera rynku walut, mającego dostęp do dużych sum pieniędzy i za przykrywkę rutynowe operacje na rynku, posiadanie swojego informatora w G7 było jak posiadanie klucza do centralnych piwnic w Forcie Knox. To porównanie uderzyło Sarę jak obuchem. Jeśli istniała taka organizacja, jej udziałowcy nie dadzą sobie odebrać wysokich stanowisk i pieniędzy bez zacieklej walki.

Gwałtownym ruchem Sara zatopiła papierosa w resztkę kawy i wrzuciła kubeczek do kosza. Odwróciła się i poszła w kierunku łazienki. Zatrzasnęła się w kabinie, zamknęła sedes i usiadła na nim. Pochyliła się do przodu w zamyśleniu z brodą opartą na rękach. Siedziała tak może przez dziesięć minut, zanim zimna marmurowa podłoga nie zmroziła jej stóp przez podeszwy cienkich skórzanych pantofli, a silny podmuch wentylacji nie wywołał gęsiej skórki na ramionach. Poczuła, jak z nerwów kurczy się jej żołądek.

Decyzję już podjęła, mimo że rozsądek próbował jej podsuwać jeszcze inne rozwiązania, jak gdyby miała jakiś wybór.

Wstała i energicznie roztarła ramiona. Może to wszystko jest tylko wynikiem wybujałej wyobraźni. Nie pierwszy to raz, ale musi iść śladem swoich podejrzeń, zanim się nie okażą fałszywe lub się nie potwierdzą. Skutkami będzie się martwić później.

Gdy wróciła do biurka, zdziwiła się, że nie drży cała z podniecenia, ale odczuwa lekkomyślną radość. To przywołało z jej pamięci Alexa. I słowa, jakich używał, starając się opisać uczucie, które go ogarnia, kiedy wspina się na ostre skalne zbocze, mając pod sobą parę tysięcy metrów przepaści. Powiedział, że jego odwaga wzrasta, gdy ma się zmierzyć ze szczególnie ryzykownym urwiskiem. Sara roześmiała się sama z siebie. Alex na swój delikatny sposób wyśmiałby to porównanie. Za każdym razem, gdy krok po kroku wchodził na skaliste zbocze wczepiony w nie palcami rąk, ryzykował życiem. Siedzenie za biurkiem w środku Londynu było w porównaniu z tym nieznośnie bezpieczne.

Sara podeszła do biurka.

— Myślę, że przyłączę się do zabawy.

Arnott wyprostował się, porzucając swą niedbałą pozę. Wilson uśmiechnął się, jak gdyby usłyszał dowcip. Sara patrzyła ponuro. Mogła sobie pozwolić na dysponowanie swoimi pieniędzmi. Mogła też pozwolić sobie na ryzyko, bo była pewna, że w tym przypadku jest ono minimalne. Na parkiecie nazywano to „bezmózgowiem”.

Sara zdecydowała się wejść na rynek i zająć pozycję. Miała kapitał w wysokości dwustu tysięcy funtów. To umożliwiło jej handel maksimum trzema milionami funtów. Różnicę wyrówna pożyczonymi pieniędzmi. Jeżeli zacznie tracić pieniądze, doprowadzi transakcję do momentu, aż straty osiągną wysokość dwustu tysięcy funtów. Później będzie zmuszona zamknąć pozycję, a dwieście tysięcy funtów zostanie odpisane z jej prywatnego rachunku, aby pokryć straty. Ale Sara czuła, że nie poniesie strat, że jej kapitał jest bezpieczny. Zadzwoiła do Johnny'ego McDermotta. Zazwyczaj ktoś taki, jak McDermott, wykonujący zlecenia dużych instytucji, nie przyjąłby operacji z konta osobistego, ale dla Sary robił wyjątek. McDermott zaczynał swoją karierę, obsługując konta osobiste. I Sara była jedną z jego ówczesnych klientek. Gdy McDermott zmieniał banki i zaczął pracować przy operacjach dużych instytucji, porzucił większość swoich prywatnych klientów, ale Sara pozostała. Departamenty realizacji w ich bankach nie były zachwycone tą współpracą: mogło to wyglądać na stosunek kazirodczy, ale w końcu pogodzili się z tym. Zaakceptowali argument, że i Sara, i Johnny przynoszą firmie ogromne zyski i w związku z tym zasługują na szczególne względy. Poza tym Sara i Johnny lubili współpracować, bawiło ich to, urozmaicało czas i co najważniejsze, przynosiło zyski. Zasłużyli na odrobinę swobody.

Czasami, gdy rynki były spokojne, spędzali całe godziny przy telefonie rozmawiając i żartując. Ale równie dobrze potrafili być konkretni i lakoniczni, jeśli sytuacja tego wymagała. — Johnny, jaki masz telegraficzny?

— 1,4560. 70.

— Biorę trzy szterlingi po siedemdziesiąt, konto osobiste.

— Zrobione. Chyba trochę szarżujesz, co?

— Nie martw się, Johnny, wiem, co robię.

— Mam nadzieję.

To była największa operacja, jaką Sara przeprowadziła w życiu. Setki razy operowała wielokrotnie większymi sumami w Finlays, ale tamte pieniądze nie należały do niej, więc kiedy to robiła, czuła się zupełnie inaczej. Nie angażowało ją to emocjonalnie tak bardzo, pieniądze były tylko serią cyfr, które poruszały się na monitorze w jedną lub w drugą stronę. Czuła podniecenie, żal, kiedy pozycje nie przynosiły zysku, ale nie było to bezpośrednio, świdrujące wrzenie najgłębszych emocji.

Sara wypisała bilet operacji, podstemplowała go datownikiem, wrzuciła na tacę operacji do realizacji i zapaliła papierosa. Czuła cudowny dreszcz

hazardzisty. Jeśli coś pójdzie źle, jej kapitał zostanie zmieciony, a razem z nim zniknie poczucie bezpieczeństwa. Ale jeśli pójdzie dobrze, zarobi dziesiątki tysięcy dolarów. I na własnej skórze odczuje potwierdzenie swoich podejrzeń. Nie będzie to dowód na to, że Scarpirato ma dostęp do zastrzeżonych informacji, ale umocni jej podejrzania. Oparła się na krzesło, uniosła twarz i głośno westchnęła. Arnott przyglądał się jej dziwnie. Parę minut po tym, jak Sara dokonała operacji, na rynki weszły banki centralne G7 i równocześnie zaczęły skupować szterlingi i sprzedawać dolary. Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy po wszystkich giełdach na całej ziemi: ktoś gdzieś skupował szterlingi w ogromnych ilościach. Najpierw duże banki i fundusze walutowe zaczęły kupować na swoje własne rachunki, potem dołączyli się mniejsi nabywcy.

O 14.15 czasu londyńskiego, dziesięć minut po operacji Sary, szterling ruszył w górę. Sara obserwowała zielone, migające cyfry, które, dzięki jej szampańskiemu lunchowi tańczyły bardziej niż zwykle. Zaciśnęła oczy i poczuła pierwsze dreszcze podniecenia. Szterling rósł małymi skokami z minuty na minutę. Obserwowała ten proces skoncentrowana, nie dopuszczając żadnych innych myśli, obserwowała rynek, mówiła do rynku, czuła jak rośnie. Z każdym punktem, czyli setną częścią centa, o jaki szterling wzrósł, jej dochód wzrastał o trzysta dolarów. A dochód ICB o pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Cała ich grupa obserwowała i wyczekiwała. Dante Scarpirato opuścił sanktuarium swego gabinetu, zajął swoje miejsce obok Arnotta i patrzył w ekrany. Kontrolowane podniecenie napinało mięśnie jego twarzy, gdy szterling wzrastał o kolejne punkty. Około trzeciej było już prawie trzy czwarte centa przeciw dolarowi i siedzieli na zysku ponad czterech milionów dolarów. Zapomnieli o animozjach, razem skakali z radości. Byli zgodni, że jeszcze za wcześnie, aby zejść z pozycji i podjąć dochody. Trend nasilał się, z minuty na minutę szterling poruszał się coraz większymi skokami.

Około 15.20 funt wzrósł wobec dolara już o pełnego centa. Nikt, z kim rozmawiali na rynku, nie wiedział, jaka była tego przyczyna. Nie wprowadzono nowych kursów, ale ktoś gdzieś kupował funty w ogromnych ilościach. Wszędzie polecenie brzmiało tak samo: kupuj szterlingi. Huczało od plotek. Sara wierzyła tylko jednej. Banki centralne pod przewodnictwem Bundesbanku kupowały szterlingi. Było dokładnie tak, jak oczekiwała. Odwróciła się na swoim krzesle, patrząc na profile Arnotta i Dantego Scarpirato. Triumfowali. Najwyraźniej nie była jedyną osobą, której sytuacja nie zaskoczyła.

Gdy jej podejrzania zostały potwierdzone przez cyfry na stojących przed nią monitorach, ogarnęła ją mieszanina strachu i podniecenia.

O trzeciej trzydziści szterling wzrósł o jeden i jedną czwartą centa w stosunku do dolara. Jej zysk wynosił 37 500 dolarów; duży jak na



standardy prywatnych kont, ale malutki w stosunku do zysku ICB. Sara szybko dokonała kalkulacji: prawie siedem milionów dolarów.

Przyglądała się Arnottowi i Wilsonowi. Kipieli od wewnętrznego napięcia. Zyski były wystarczająco duże, astronomiczne, jak na czyjaśkolwiek księgę rachunkową. To szaleństwo liczyć na więcej. Rynki walutowe są najbardziej kapryśnymi rynkami na świecie. Gdyby premier dostał ataku serca, szterling natychmiast spadłby w reakcji na sytuację niepewności, która by nastąpiła. Sto innych rzeczy mogłoby się wydarzyć. Możliwości były nieskończone, a od skutków nie dałoby się uciec.

Musieli zacząć sprzedawać, zejść z pozycji i wziąć zyski teraz.

Sara zatkała uszy, aby nie słyszeć hałasu panującego dookoła, i tkwiła w próżni koncentracji. Ciągle czekała.

Scarpirato usiadł, dym z cygara unosił się do sufitu, wzrok utkwił w ekranach.

Wyglądało to prawie tak, jak gdyby hipnotyzował rynek, aby ten szedł w górę.

Wilson i Arnott zjednoczeni przeciwko niemu namawiali go, żeby już zamykał pozycję. Uciszył ich podniesioną dłonią; jak król, który ucisza tłumy. Sara patrzyła nic nie mówiąc. O szesnastej zdecydowała, że nadszedł czas sprzedawania.

Zadzwoiła do McDermotta.

— W jakiej pozycji masz telegraficzny?

— Dziewięćdziesiąt pięć, zero pięć. — Skrót dla 1,4695. 1,4705. Sprzedała, wzbogacona o prawie czterdzieści tysięcy dolarów w ciągu paru godzin.

Pierwszy raz czuła smak brudnych pieniędzy. Przeanalizowała to uczucie: było jakieś śliskie, nierealne. Miała wrażenie, że zostawiła dawną siebie gdzieś z tyłu. Kolejny Rubikon został przekroczony. Uśmierciła siebie. Dokonała przestępstwa w imię prawa. Obrazy z przeszłości opadły ją znowu. Odpędziła je.

Scarpirato obserwował, jak Sara schodzi z pozycji i po chwili ustąpił. Odwrócił się do Arnotta, Wilsona i Sary, po czym polecił, aby zamykali wszystkie pozycje.

Rzucili się na swoje aparaty telefoniczne jak atakujące grzechotniki. Dwie minuty później wszystko było sprzedane, pozycja zamknięta, zysk wynosił 6 800 000 dolarów.

Wypisali bilety i wrócili na miejsca wyczerpani, ale uśmiechając się do siebie w euforii. Sara pozwoliła ponieść się nastrojowi. To było prawie erotyczne doznanie. Czuła zawrót głowy, tryumf. Wyłączyli monitory i poszli uczcić to do Corney & Barrow na Old Broad Street.

Na Via Appia Attica odbywała się inna uroczystość. Antonio Fieri odłożył słuchawkę. Zarobił ponad 6 milionów dolarów. Oparł się na siedzeniu, położył ręce na wzdętym żołądku i zawołał Maura, swego asystenta, jak sam go utytułował. Mauro pojawił się po paru sekundach, wysłuchał poleceń i odszedł, po czym po dwóch minutach pojawił się znowu w towarzystwie signory Fieri, z butelką schłodzonego szampana i dwoma kieliszkami.

Fieri napełnił je. Wraz z żoną wzniesli toast za siebie nawzajem, kochająca się włoska para. Państwo Fieri byli małżeństwem od trzydziestu jeden lat, niezmiennie sobie wierni. Antonio miał wystarczająco dużo innych radości, aby czuć się szczęśliwym. Nie tolerował niewierności. Poza wszystkim innym, kochanki miały zbyt dużo wad: wymagające i zawsze niedyskretne. Były luksusem, na który ani on, ani żaden z jego zastępców nie mogli sobie pozwolić.

Sara siedziała przy małym narożnym stoliku w Corney & Barrow, bawiąc się podstawką kieliszka od szampana. Arnott i Wilson dawno wyszli. Ścisnęła nóżkę kieliszka między palcami i obserwowała wznoszące się nieprzerwanie bąbelki. Wiedziała, że Scarpirato nie odrywa od niej wzroku. Podniosła oczy, spotkały się z jego spojrzeniem. Patrzyli na siebie, grając w tę samą grę, żadne nie chciało ustąpić. Zastanawiała się, kim jest ten siedzący naprzeciw niej mężczyzna. Ani klasycznie piękny, ani czarujący; brakowało mu poczucia humoru, i robił wrażenie bezwzględniego. Był inteligentny, to chyba wszystko, co można powiedzieć na jego obronę i, przyznała Sara, dobrze ubrany. Nie przywiązywała do tego wagi, a nawet żywiła niechęć do mężczyzn zbyt dobrze ubranych, szczególnie jeśli wiązało się to z urodą. Ale tkwiło w nim coś, co działało na nią jak magnes. Być może to ona sama wytwarzała w sobie to podniecenie. Eksperyment, ryzyko, niebezpieczeństwo, wyzwanie, miała wszystkie potrzebne składniki. Podniecało ją, kiedy podejmowała ryzyko, jak zawsze. To, jaka jest druga strona, było prawie nieważne, pod warunkiem, że nie trafił się ktoś z przeciwnego bieguna. Pociągał ją taki typ, nie wiedziała dlaczego, nie miała teraz ochoty się nad tym zastanawiać. Myślała, że przy Johnie Carterze, a teraz przy Eddiem, ta strona jej natury wyczerpała się, sądziła, że z tego wyrosła, ale gdy siedziała patrząc na Dantego ze wszystkimi zmysłami w napięciu, stare emocje wypełniły ją znowu, zaciemniając wszystko, poza pożądaniem.

Odezwał się w końcu.

— Masz ochotę na kolację?

Jej oczy spoczęły na zegarku. Była 21.30, cztery butelki na cztery osoby, a ona uczciwie wypila swoją działkę. Tak, powinna coś zjeść. Niemal wybuchnęła głośnym śmiechem. Kogo próbowała oszukać tym pretekstem?

— Tak, mam ochotę.

Wstał, położył na stoliku cztery banknoty po pięćdziesiąt funtów, dotknął delikatnie jej ramienia i poprowadził przez bar.

Dwadzieścia minut później siedziała przy innym narożnym stoliku w restauracji LTncontro, przy Pimlico Road. Jadła niewiele, przesuwał tylko jedzenie po talerzu.

— Czy zawsze dostajesz to, czego chcesz?

Roześmiał się.

— Nie zawsze, ale w ważnych sprawach tak.

— A czy zawsze wiesz... czy masz czasem wątpliwości, że ci się nie uda? Zamyślił się.

— To zależy od ciebie. Nie sądzisz?

— Myślę — odparła Sara, unikając odpowiedzi — że jesteś bezwzględny, kierujesz się nie wiem czym, i jak na zawołanie umiesz wyłączyć emocje.

Roześmiał się znowu.

— Tak. Ludzie tego nie lubią. Może wiesz dlaczego? Sara wykrzywiła się w grymasie wymuszonego uśmiechu.

— Nie lubią tego, ponieważ burzy to ich iluzję, że są dla ciebie w jakiś sposób ważni. To im uzmysławia, jak bardzo są krótkotrwali i że nic po sobie nie pozostawiają.

Pochylił się nad stołem.

— I o to mnie oskarżają?

Był arogancki i nieustępliwy. Ale w jego ciemnych oczach widziała pożądanie, szczelinę w hermetycznej osłonie. To wystarczyło. Sara przejechała dłońmi do góry i w dół po wnętrzu swoich nagich ud, wywołując pełen drżenia szok. Czowała, jak traci samokontrolę. Jej żołądek skurczył się tak, że nie mogła już nic przełknąć. Oderwała od niego oczy, spojrzała na pary siedzące przy sąsiednich stolikach, usiłowała skupić się na nich, słuchać ich rozmów, ale każdy jej zmysł był przy nim.

Widział to, poprosił o rachunek. Stah' na ulicy, czekając na taksówkę. Kilka ich minęło, pozwolili im odjechać. Potem wyciągnął rękę i zatrzymał jedną z nich. Siedziała, naciskając biodrem na drzwi taksówki, popatrzyła na Dantego, potem za okno, rozdarta. Obserwował ją z uśmiechem.

Jego mieszkanie było mroczne, nawet gdy zapalił światła. Panował tam zapach, którego nie potrafiła zidentyfikować, przesycający, wypełniający jej zmysły. Być może był to zapach cygar, koniaku i czegoś jeszcze; nie wiedziała czego. Wskazał jej kanapę. Usiadła. Czowała się, jakby powstrzymywała oddech. Siedziała napięta, przygotowując się na odparcie ataku.

Popatrzył na nią, po czym zniknął w kuchni. Wrócił z dwiema szklankami wódki. Ścianki były oblodzone i pokruszone bryłki lodu wirowały na powierzchni płynu. Postawił je na stole i usiadł obok niej. Wzięła szklankę, zimno szczypało ją w palce, napiła się trochę. Płyn spływając palił jej gardło. Pogrzebała w torebce, szukając papierosów, wyciągnęła jednego i włożyła go do ust. Na stole leżała zapalniczka. Dante podał jej ogień. Wypaliła papierosa prawie od razu, bez przerw na oddech, trzymała go w ustach jak broń. W końcu zgasiła niedopałek i odwróciła się do Dantego.

W jednej chwili pochylił się nad Sarą, poczuła jego usta na swoich, przyciągnął ją do siebie. Trzęsącymi się rękami dotykał ciała dziewczyny

przez ubranie. Obydwoje wstali przyciśnięci do siebie. Poprowadził ją z powrotem przez pokój do holu i na schody. Poruszali się w ciemności. Poczuli drzwi pod plecami. Otworzyły się. Po paru krokach opadli na miękką powierzchnię łóżka. Leżała na plecach. Podciągnął jej spódnicę do talii, rozrywając podszewkę, potem zatopił swoje usta w jej ustach, smakując. Okrywał Sarę delikatnymi pocałunkami, zanim w końcu kochał się z nią z namiętnością, która ją oszołomiła. Ale najbardziej zaszokowały i wstrząsnęły Sarą słowa Dantego. Słowa bezradności, pożądania. Gdy maska opadła, ukazała się pustka. Widziała wcześniej pożądanie, ale nigdy takie jak to, bezwstydne, desperackie w swej tęsknocie. Trzymając jego twarz w swoich dłoniach, zaczęła mówić to, na co czekał. A on uśmiechnął się w mroku, w wyrazie tryumfu i lęku.

## Rozdział 16

Anthony Barrington siedział w swoim biurze. Snop porannego słońca wpadał przez otwarte okno. Ciszę odliczało niskie tykanie zegara z wahadłem, który stał w rogu przy drzwiach. Barrington napisał do połowy przemówienie, które miał wygłosić w najbliższy poniedziałek po lunchu w Instytucie Administracji Publicznej, gdy zadzwonił telefon. Dokończył zdanie i rozdrażniony podniósł słuchawkę.

— James Bartrop — oznajmiła jego sekretarka.

— W porządku, odbiorę — powiedział prezes. Bartrop od razu przeszedł do sedna sprawy.

— Otrzymałem dziś rano wiadomości od swojego szwajcarskiego przyjaciela. Rachunek 5376 X200 znowu był aktywny. Transakcji na pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów dokonano dwadzieścia minut po zakończeniu spotkania G7 i rachunek wyczyszczono pod koniec dnia z ogromnym zyskiem.

Barrington wzruszył ramionami.

— Pięćdziesiąt milionów funtów szterlingów to dla mafii drobniaki nie warte zachodu. Musiałbym się zastanowić.

— To tylko jedno konto, prezesie, mogło być dziesięć innych kont, wykorzystujących tę samą informację.

— To zawsze jest możliwe.

— A co z dziewczyną? Czy już na coś trafiła? Barrington poczuł przyływ irytacji.

— Dajmy jej trochę czasu. Jest tam dopiero od dwóch tygodni. Bartrop nie był usatysfakcjonowany.

— Ale wczoraj tam najprawdopodobniej siedziała. Jeśli coś się dzieje w ICB, a jestem przekonany, że się dzieje, powinna już o czymś wiedzieć, a przynajmniej mieć jakieś podejrzenia.

— Jestem pewien, że poinformuje mnie o tym z chwilą, gdy takie podejrzenia się pojawią. Ale na razie musimy być po prostu cierpliwi.

Sara siedziała nieruchomo przy biurku. Siedzenie dziś w pracy wydawało jej się koszmarem. Tylko alkohol poprawiłby jej koncentrację. Ale nie podejmowali dzisiaj żadnych działań, świętowali ciągle wczorajszy ogromny dochód. Dzisiaj mieli dzień wolny, nazywany „inbank holiday”. Wilson czytał *Sporting Life*, Arnott wyszedł na czterogodzinny lunch, Scarpirato spędził większość czasu na spotkaniach poza biurem. Unikał jej wzroku. Raz, gdy go mijala, na jego twarzy odmalowała się świadomość współdziałania w zbrodni, ale to wszystko.

Sara poszła do siłowni. Wzięła godzinę aerobiku; wróciło jej trochę energii.

Popływała, żeby rozluźnić bolące mięśnie, po czym przeszła przez saunę, jacuzzi i parówkę. W końcu poddała się masażowi. Emma, kosmetyczka, prowadziła z nią uprzejmą rozmowę o niczym i było to bardzo przyjemne. Kiedy Sara wróciła do biura, minęła 16.30 i nie zastała już Dantego. Wilson przygotowywał się do wyjścia, podpity Arnott rozmawiał przez telefon. Sara pomachała kolegom na do widzenia, z uczuciem ulgi odwróciła się i wymaszerowała.

W domu pojawiła się pół godziny później. Spokój, jaki tam panował, rozpraszał Sarę. Całodniowy hałas odbijał się echem w jej głowie. Głosy i emocje wzbierały, nie mając ujścia; mieszanina winy, podniecenia, wyrzutów sumienia i strachu. W pracy nie miała czasu zastanowić się nad chaosem, jaki Scarpirato wywołał w jej ciele i umyśle. Siedziała, patrząc przez okno, po raz pierwszy od lat czując, że przestaje siebie kontrolować. Rozbłysły wszystkie sygnały ostrzegawcze. Świeciły już wczoraj w nocy, ale ku własnemu przerażeniu zignorowała je. Gdy siedziała w winiarni z Dantem, czuła się tak, jak gdyby decyzja została podjęta poza jej świadomością. Nagle wszystko stało się jasne. Sara nie mogła sobie przypomnieć niczego, co dało temu początek, żadnego spojrzenia, żadnego słowa. Jej pożądanie pojawiło się nagle i było nieustępliwe, nie dawało się pokonać. Odwróciła się od okna, żeby wziąć butelkę whisky.

Telefoniczna sekretarka mrugała do niej wściekle, gdy przechodziła obok.

Zignorowała ją dziś rano, kiedy wpadła do domu jak burza: prysznic, ubranie, i wybiegła znowu. Teraz zatrzymała się, położyła na kanapie i patrzyła na telefon. Wcisnęła guzik, taśma z furkotem przewinęła się, ustawiła, i zaczęła odgrywać wiadomości.

Były cztery wiadomości od Jacoba o narastającej intensywności, ostatnia zdradzała prawdziwe zaniepokojenie. Sara zapaliła papierosa i wystukała numer Jacoba.

Słysząc było, że brakuje mu oddechu, gdy odpowiadał, jak gdyby biegł do telefonu.

— Czy odebrałaś moje wiadomości?

— Tak, wszystkie cztery.

— Nie, dzwoniłem do ciebie do biura, raz rano, dwa razy po południu, zostawiłem wiadomości. — Jego głos wyrażał mieszaninę troski, poruszenia i podniecenia.

— To dziwne. Nikt mi ich nie przekazał, ale to był trochę śmieszny dzień.

— Założę się, że tak — głos Jacoba brzmiał szorstko. — Posłuchaj, myślę, że powinnaś tu wpaść, mam coś dla ciebie.

Sara poczuła falę podniecenia. Wyprostowała się, złe samopoczucie i zmęczenie nagle zniknęły.

— Już wychodzę.

— Zjesz obiad, prawda?

Sara nagle poczuła głód. Nie jadła nic konkretnego od dwudziestu czterech godzin.

— Z przyjemnością.

— Och, przy okazji, byłem u ciebie wyjąć wczorajsze kasy z twojego DATa i włożyłem nowe. Pomyślałem, że nie będziesz miała czasu zrobić tego wszystkiego.

— Och, dzięki Jacob. Obawiam się, że istotnie nie miałabym czasu. Nieważne, zobaczymy się wkrótce. — Odłożyła słuchawkę, weszła do sypialni, przebrała się w dżinsy i podkoszulek, wzięła torbę, klucze i ruszyła do drzwi. Kolorowy trójkąt wystawał spod brązowej koperty z rachunkiem, leżącej pod drzwiami, którą do tej pory udało się jej zignorować. Kopertę odepchnęła na bok, a podniosła pocztówkę. Był to widok gór: niebezpiecznie wysokie, ostre szczyty szarego granitu, rozcinające kobaltowoniebieskie niebo, szczyty okolone smugami mgły. Sara odwróciła pocztówkę na drugą stronę. Przeczytała, że to widok Kanczendzangi, pierwszej góry w himalajskiej odysei Alexa i Eddiego. Kiedy dostanie tę kartkę, pisał Eddie, prawdopodobnie dotrą już do bazy. Sara odwróciła kartkę znowu i spojrzała na obrazek. Był tak czysty i spokojny. Poczucie winy wywołało w niej mdłości.

Zatrzasnęła za sobą drzwi domu i poszła do swojego BMW, zaparkowanego parę kroków dalej. W pół godziny znalazła się na Ro-thendck Road.

Jacob powitał ją w drzwiach. Wyglądał na zdenerwowanego. Zaprosił ją do swojego gabinetu, gdzie na blacie starego stołu z różanego drzewa leżał odtwarzacz do kaset DAT.

— Masz ochotę na filiżankę herbaty, kochanie? — W jego twarzy odbijało się zatroskanie. Sara była świadoma swojej bladości i małego zadrapania nad ustami, które wyglądało jak kleks atramentu.

— Mhm, poproszę.

Jacob powędrował do kuchni. Sara spojrzała na magnetofon, po czym zwróciła swoją uwagę na Rubina, który wszedł przez drzwi i właśnie łąsił się do jej nóg. Podniosła kota, usiadła na ogromnym fotelu w kwieciste

wzory, i głaskała jego czarne, błyszczące futerko. Rubin wkrótce zaczął mruczeć z rozkoszy pokazując i chowając pazurki i wtulając się w jej kolana.

Sarze zdawało się, że minęły wieki, zanim Jacob wrócił z imbrykiem, filiżankami, cukrem i mlekiem; wszystko z pięknej, chińskiej porcelany ustawione na srebrnej tacy. Umieścił tacę obok magnetofonu i z ceremoniałem nalał herbaty. Wywołało to w niej przelotne wspomnienia dawno zapomnianego rytuału z dzieciństwa, kiedy Jacob podawał jej i Alexowi herbatę każdego popołudnia po powrocie ze szkoły. Powiedziała Jacobowi o pocztówce. Przez chwilę rozmawiali o Alexie i Eddiem, zastanawiając się, gdzie teraz mogą być. Każde słowo boleśnie drażyło jej świadomość. Potem odstawili filiżanki i obydwójce zajęli się magnetofonem.

— Mój przyjaciel przysłał wczorajsze i dzisiejsze taśmy. Nie ma na nich zbyt wiele — powiedział Jacob. — Mnóstwo z tego nie ma znaczenia. Zanotowałem, gdzie są interesujące fragmenty, spisałem cyfry z licznika.

Sara uśmiechnęła się. Zdążyła zapomnieć, jak skuteczny i systematyczny potrafi być Jacob.

Jacob wskazał głową na magnetofon.

— To zostało nagrane z pluskwy Carli w sobotę w nocy. — Uśmiechnął się i wcisnął „Start”.

Z magnetofonu zaczął wydobywać się głos Matthew Arnotta.

— Więc jutro jest kolejne spotkanie? — Potem nastąpiło delikatne brzęknięcie noży i widelców, jakby siadali do obiadu.

— Mhm — odparła Carla z pełnymi ustami.

— To dziwne, że nie zostało wcześniej ogłoszone. — Kontynuował Arnott. — Jesteś pewna, że nie powiedział ci, dlaczego zostało zwołane?

— Słuchaj, Matthew. — Carla była rozdrażniona. — Już ci to mówiłam sto razy. Zadzwoniłam do niego w zeszły piątek i usłyszałam, że spotkanie odbędzie się w poniedziałek, zwołali je Niemcy i nie wiadomo, czego ma dotyczyć. *Herr Mueller*, czy jak mu tam, zastrzegł, że nie chce

o tym rozmawiać przez telefon, ale istnieje potrzeba, aby przyjechał. To wszystko, co powiedział, słowo w słowo, okay?

Na parę chwil zapadła cisza, słychać było tylko brzękanie sztućców, po czym Arnott odezwał się z pełnymi ustami:

— Cóż, musisz przyznać, że to brzmi trochę dziwnie. Zwykle ogłaszają wszystko publicznie, z wyprzedzeniem, chyba że dzieje się jakaś katastrofa

I muszą zwołać spotkanie doraźnie. — Następna chwila ciszy, po czym Arnott kontynuował. — Jak to brzmiało? Był zdenerwowany, czy coś podobnego?

Krótki wybuch śmiechu Carli.

— Brzmiało to jak zwykle: dawał mi do zrozumienia, że mnie nienawidzi. A czego oczekiwałaś?

Pytanie zawisło w powietrzu.



Sara wyobraziła sobie Arnotta, jak po swojemu, ekspresyjnie wzrusza ramionami. Zapadła dłuższa cisza.

— Miłość, nienawiść to mniej więcej to samo. — Jego głos zawahał się, trochę drażniąc i trochę wyrażając zazdrość. — W każdym razie jestem trochę zaniepokojony, to wszystko. Mam nadzieję że to nie ma nic wspólnego z nami. — Jego głos był zamyślony, pytający. Nawet z kasety Sara wyczuła napięcie, które zapanowało. Znowu podejrzliwy głos Carli:

— Co masz na myśli?

Zapadła kolejna chwila ciszy, po czym Arnott odpowiedział spokojnym, rozważnym tonem, jak gdyby starał się dobierać słowa.

— Cóż, mam nadzieję, że nikt go nie podejrzewa. Jeśli tak by było, wszystko doprowadziłoby do nas, prawda?

Głos Carli brzmiał podejrzliwie.

— On chyba nic nie powie, jak myślisz? Wszystko by się wtedy wydało: o nim i o mnie. Zona by go rzuciła, a on tego boi się najbardziej. — Jej głos stał się łagodny.

— Żadne z nas też nic nie powie, więc czym się zamartwiasz?

— To ty się zamartwiasz.

W odpowiedzi Carla złośliwie prychnęła. Arnott jej przerwał.

— Słuchaj, nie chcę się kłócić, ale zdarzyło się ostatnio parę rzeczy. Głos Carli brzmiał podejrzliwie.

— Na przykład co?

Arnott się zawahał, być może bał się śmieszności.

— Wiesz, ta dziewczyna, Sara Jensen, zaczęła pracować u nas parę tygodni temu. Jest bardzo bystra. Niemalże czuję, jak mnie obserwuje. Coś w niej mnie niepokoi.

— Więc sądzisz, że obserwuje cię przez dwa tygodnie, wszystkiego się domyśla i dzwoni do swego przyjaciela *Herr* Muellera. Nie bądź śmieszny.

Arnott dziwnie zakaszłał, potem zapadła cisza. W końcu Arnott odezwał się znowu.

— Słuchaj, muszę iść do biura, zobaczymy się później.

Jacob wcisnął guzik „Stop” i odwrócił się do Sary. Obydwoje unieśli brwi w wyrazie wzajemnego zaintrygowania, po czym Jacob wpatrzony w licznik kasety wcisnął przewijanie do przodu.

— To było wczoraj — oznajmił, wciskając guzik „Start” — o dwunastej w południe. Usłyszeli krótkie: „Halo”, głos poprosił Carłę, po czym upewniwszy się, że to ona, powiedział coś szybko i krótko po włosku. Jacob spojrział na Sarę, zakłopotany.

— Myślałem, że to może być ważne. Uczylaś się trochę włoskiego, w Perugii, zdaje się?

Sara skinęła głową.

— Miałam wtedy dwadzieścia lat, ale trochę mi zostało w pamięci.

Wysłuchała się w niski, agresywnie brzmiący męski głos z taśmy. Zwróciła się do Jacoba.

— To bardzo ważne. Nasz Włoch mówi Carli, że ma kupować szterlingi za dolary, jak najszybciej.

Spojrzeli na siebie w milczeniu, po czym Jacob odwrócił się z powrotem do urządzenia i włączył następną rozmowę, również telefoniczną: od Carli do ICB. Sara podskoczyła i spłonęła ze wstydu; usłyszała własny głos płynący z taśmy, gdy przekazywała telefon od Carli Arnottowi. Po czym Carla powiedziała dwa słowa.

— Musimy porozmawiać.

Arnott odparł: „Okay” i odłożył słuchawkę. Dwie minuty później Carla zadzwoniła kolejny raz. Po krótkim sygnale ktoś podniósł słuchawkę, ale ktokolwiek to był, nie powiedział ani słowa. Zaledwie wysłuchał instrukcji Carli.

— Kupuj szterlingi — powiedziała. — Teraz.

— Ta rozmowa została nagrana siedem minut po dwunastej — zwrócił jej uwagę Jacob. — Potem, piętnaście minut po dwunastej z pluskwy Dantego Scarpirato mamy nagraną rozmowę między nim i Arnottem.

Włączył „Start”. Arnott oznajmił, że sądzi, iż należy powiększyć pozycję szterlinga. Scarpirato zapytał go, czy jest pewien. Bardzo pewien, odpowiedział Arnott.

Ostatnia rozmowa, którą odtworzył Jacob, została nagrana o 21.30 tego samego wieczora. Arnott i Carla oblewali sukces. Było dużo śmiechu i brzękania kieliszków. Zarobili, oznajmił Arnott, pięć milionów dolarów. Milion i ćwierć dla każdego — powiedziała Carla z radością.

Jacob wyłączył magnetofon. Spojrzał na Sarę.

— Cóż, to wszystko. Polowaliśmy na płotki, a złapaliśmy rekina. — Sara kiwnęła głową. Przez moment milczeli. Sara rozejrzała się po pokoju i zatrzymała wzrok na Jacobie.

— Niezupelnie wiem, co z tym zrobić. — Roześmiała się nerwowo. — Co zrobimy z naszym rekinem?

Jacob spojrział na nią uważnie i wzruszył ramionami. Sięgnął pod biurko, wyciągnął z szuflady butelkę whisky i dwa małe kieliszki. Nalał prawie do pełna. Sączyli głęboko zamyśleni. Sara przerwała ciszę:

— Wszystko pasuje. Wczoraj koło dwunastej odebrałam telefon do Arnotta.

Musiała to być Carla. Arnott prawie nic nie mówi, po czym wkłada marynarkę i chce wyjść. Rozgorzała o to kłótnia. Scarpirato chciał wiedzieć, dokąd tamten się wybiera. Odpowiedział, że do WC. Scarpirato spostrzegł, że Arnott ma na sobie marynarkę, i zauważył, iż to dziwne, że włożył ją, będąc na parkiecie, gdzie wszyscy handlowcy chodzą w samych koszulkach. Założę się, że w marynarce miał telefon komórkowy. Jest znacznie bezpieczniejszy, niż telefony firmowe, z których każdą rozmowę się rejestruje. To dziwne, że Scarpirato zatrzymał go. Ale możliwe, że Arnott postanowił podjąć większe środki bezpieczeństwa z mojego powodu.

Być może, zanim się pojawiłam, wymykał się do łazienki z telefonem komórkowym w rękę, lub nawet przyjmował informacje przez telefony ICB. W każdym razie Arnott znika w łazience. Mniej więcej o tej porze, co zgadza się z twoimi taśmami, Carla dzwoni do kogoś i mówi, aby kupować szterlingi, prawdopodobnie do Arnotta na jego telefon komórkowy w łazience. Po czym widzę Arnotta, kiedy wchodzi do sali konferencyjnej i korzysta tam z telefonu. Oczywiście boi się, żebym go nie podsłuchiwała. Prawdopodobnie wykonuje nielegalne operacje na konto swoje, Carli, Scarpirato i czwartej osoby, której nie znamy, ponieważ twoje ostatnie nagranie świadczy o tym, że zysk dzielony jest na cztery części, po czym Arnott i Scarpirato rozmawiają w gabinecie tego ostatniego. Arnott mówi, żeby kupować szterlingi, razem podchodzą do biurka i Scarpirato poleca nam zwiększyć pozycję szterlinga. Przerwała i prawie się roześmiała.

— Po lunchu dzwoni mój stary przyjaciel Manfred Arbingen i mówi mi, że odbyło się spotkanie G7 w Bundesbanku. Konwersacja po włosku była nagrana piętnaście minut po tym, jak Arbingen powiedział mi, że miało miejsce spotkanie G7. Wszystko jasne, prawda? — Sara spojrzała na swoje dłonie. — Doskonały pomysł. Ujawnianie zastrzeżonej informacji na najwyższym szczeblu, gdzie jest to prawie nie do pomyślenia. Żeby potwierdzić swoją hipotezę, sama otworzyłam pozycję, trzy miliony szterlingów. Usiadłam i czekałam, a szterling oczywiście wzrastał, więc zamknęłam pozycję. Zarobiłam 37 500 dolarów. Firma zarobiła 6,8 miliona dolarów, a Scarpirato i jego banda następne 5 milionów. — Wypiła duży łyk whisky. — To wszystko działo się na moich oczach. Byłam w samym środku, ale wciąż wydaje mi się to nierealne. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Jacob usiadł w fotelu i popatrzył na nią poważnie.

— Ani ja. Ale są zarobione pieniądze. Innego dowodu nie trzeba. A ty zyskałaś przecież prawie czterdzieści tysięcy. To powinno cię trochę rozchmurzyć. — Uśmiechnął się. — Świetna robota. Zuch z ciebie.

Sara się roześmiała.

— Nigdy ci nie dorównam, Jacob.

Ich niepokój na chwilę rozproszył się w śmiechu. Jacob znowu napełnił kieliszki.

— Tak więc wiemy już, kto otrzymuje informacje, oprócz naszego tajemniczego czwartego udziałowca, ale nie wiemy, kto jest jej źródłem.

Sara odstawiła swój kieliszek.

— Mógłby to być włoski minister finansów, prezes Banku Włoch lub ktoś, kto dostał od nich informację. Ale też możliwe, że to Francuzi lub Japończycy mają przeciek, ale ich pośrednik zdążył skontaktować się z jakimś Włochem, chociaż w to wątpię. Gdybym miała na kogoś postawić, byłby to albo włoski minister finansów, albo prezes Banku Włoch.

— Byłoby dobrze — powiedział Jacob — pooglądać trochę wiadomości z włoskiej telewizji i porównać głosy. — Przez chwilę milczał, po czym uśmiechnął się do Sary. — Mam przyjaciela w Mediolanie. Poproszę go, żeby nagrał trochę wiadomości i jakichś podobnych programów. Zobaczymy, może uda nam się kogoś rozpoznać.

Sara uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

— Ktokolwiek to jest, wydaje się jasne, że Carla miała z nim romans. Wygląda na to, że teraz go szantażuje. Jak myślisz?

— Tak. To wygląda na szantaż.

— Więc on dostarcza jej informacji. Ona zaś informuje Matthew Arnotta; Arnott mówi Dantemu Scarpirato, budują pozycję na rynku i zarabiają pięć milionów. — Sara zmarszczyła czoło. — A zysk dzielą na cztery: Carla, Arnott, Scarpirato. Ale kto jest czwarty?

Jacob potrząsnął głową.

— To mnie gryzie. Sara była zaintrygowana.

— Jakiś tajemniczy cwaniak, który nie brudzi sobie rąk. Musimy się tego dowiedzieć. Zdobyć dowód przeciw Dantemu Scarpirato; odkryć, kim jest ten Włoch. Ten materiał jest doskonały, ale zbyt przypadkowy. Nasza teoria opiera się w dużej mierze na domysłach. Nie mogę udowodnić, że ktoś zdradził tajną informację, ani że Dante Scarpirato jest we wszystko zamieszany. To co mamy, nie jest konkretne, ale dobre na początek. Jutro napiszę raport, dziś nie mogę jasno myśleć. A potem zadzwonię do Barringtona.

Jacob kiwnął głową. Obserwował, jak Sara odpływa w swój własny świat. Siedziała bez ruchu, wyglądając przez okno. Przyglądała się różom w ogrodzie. Wczoraj w nocy popełniła błąd. Nie pozwoli, aby to się powtórzyło. Wiedziała, że przedłużenie romansu stanie się dla niej całkowicie destrukcyjne. Sara była przekonana, że Dante na jej miejscu nie miałby skrupułów z zerwaniem. Zrobiłby to z uśmiechem.

Jacob wyjął wtyczkę od magnetofonu z gniazdka i poszedł do kuchni. Sara podażyła za nim. Kolacja była gotowa. Usiedli przy stole w kuchni, obydwój w stanie szoku. Aby zapomnieć o niesamowitości tego, co odkryli, Jacob zaczął opowiadać o starych czasach, wspominać swoje psoty. Sara ucieszona zmianą nastroju zaśmiewała się, aż rozboleły ją mięśnie brzucha. Zanim wyszła, zapytała, czy mógłby dla niej zdobyć jeszcze jedną pluskwę. Rzucił jej przeciągłe, podejrzliwe spojrzenie, i odparł, że tak, oczywiście. Zmęczona do nieprzytomności, pojechała do domu i od razu, a była godzina dziesiąta, położyła się spać.

## Rozdział 17

Środa rano. Godzina siódma trzydzieści. Sara przeszła przez parkiet w ICB, niosąc cappuccino i w małej, białej, papierowej torebce z uszkami tosta. Piana z cappuccino wylewała się przez pokrywkę plastikowego kubeczka. Sara usiadła za biurkiem, postawiła cappuccino, i zaczęła jeść tosta. To był codzienny, poranny rytuał.

Bezpieczny, niezmienny, odbywający się w ciszy.

Parę sekund później miejsce przy niej zajął Matthew Arnott. Skinęła głową w jego kierunku, po czym powróciła do swojego tosta i poplamionego masłem *Financial Times*. Nie chciała na niego patrzeć, bała się, że jeśli spojrzy jej w oczy, wyczyta z nich wszystko, czego się o nim dowiedziała. Przyszedł Simon Wilson, paplający wciąż w euforii po poniedziałkowym sukcesie. Sara skończyła tosta i zapaliła papierosa.

— Boże, czuję się fatalnie — jęknął Wilson. — Byłem wczoraj w nocy w dyskotecę „Ministry of Sound”, do czwartej rano.

Arnott się roześmiał.

— Wciąż opijasz sukces? Wilson kiwnął głową.

— A ty nie?

Arnott uśmiechnął się głupkowato.

— Wolę nieco bardziej wyrafinowane przyjemności. Sara omal nie przegryzła papierosa z wrażenia.

— Więc co proponuje Pan Superwyrafinowany? — nie wytrzymała i wtrąciła się do rozmowy.

Arnott odwrócił się do niej. Wytrzymała jego spojrzenie pewna, że wszystko, co wyczyta z jej oczu, to pogarda.

— Planuję pojechać na weekend do Positano. W towarzystwie swojej dziewczyny. Sara wzruszyła ramionami.

— Positano w lipcu. Przypuszczam, że może ci nie starczyć pieniędzy.

Poza tym za dużo ludzi. Maj i czerwiec są pod tym względem o wiele lepsze. Tak uważam.

Wilson roześmiał się lekceważąco. Arnott odwrócił się do swoich monitorów i mruknął pod nosem.

— Cholerni komedianci.

Positano — pomyślała Sara. Co tam będzie robił z Carłą? Spotkanie z tajemniczym Mastermindem?

Sara obserwowała Arnotta tego dnia uważnie, śledziła go kątem oka, kiedy tylko sądziła, że on tego nie widzi. Rozczarowała ją. Tak spektakularne przestępstwo popełnione przez taką miernotę. Scarpirato był przynajmniej bardziej przekonującym przestępcą. A tajemniczy Mastermind? Jaki mógł być? Sara zastanowiła się, patrząc dookoła. Usiłowała wyobrazić sobie jego portret psychologiczny, ale nie udało się jej. Kontur obrazu, który stworzyła w umyśle, był pusty. Nie mogła się skoncentrować. Patrzyła rozproszona na swoje monitory. Nikt z całej trójki tego dnia nie handlował. Nie chciało im się jeszcze. Odrętwienie po poniedziałkowym sukcesie ciągle jeszcze trwało. Sara wyszła o czwartej.

W domu przebrała się i usiadła, aby pisać raport dla Barringtona. Nie wyobrażała sobie, że potrafiłaby wyrazić swoje odkrycia mówiąc. Pisanie w jakiś sposób dystansowało ją, jak gdyby była osobiście nie zaangażowanym w sprawę dziennikarzem, na zimno piszącym artykuł na ten temat. Kończyła pisanie, kiedy zadzwonił telefon. To był Dante.

— Muszę się z tobą zobaczyć — jego głos był jak szorstka pieśczoła. Przebiegł ją dreszcz. Minęła godzina 17.30. Słońce wciąż stało wysoko i upał docierał do jej ciała przez dzinsy. Przez chwilę milczała, po czym odpowiedziała automatycznie: — Okay, wpadnę do ciebie.

Wsiadła do swojego BMW i ruszyła. Włączyła magnetofon i słuchała taśmy Soul II Soul „Volume Two”. Pozwoliła ciężkiemu bitowi popłynąć przez jej ciało.

Prowadziła, ale czuła się jak z automatycznym pilotem.

Pojawił się w drzwiach uśmiechnięty. Cofnął się, by pozwolić jej przejść. Minęli hol. Żadne z nich się nie odzywało. Poprowadził ją przez dom na zewnątrz, na taras na dachu. Przyniósł dwie szklanki białego wina i postawił je na drewnianym piknikowym stoliku. Sara usiadła na ławce naprzeciw niego i podniosła szklankę do ust. Pijąc patrzyła mu w oczy.

Miał na sobie niebieskie dzinsy i biały podkoszulek z krótkimi rękawami. Pierwszy raz widziała go ubranego inaczej niż w garnitur. Patrzyła na mocne, czarne włosy pokrywające jego ramiona, na opaloną skórę. Sięgnęła przez stół, żeby złapać go za rękę, oplatając swoje palce wokół jego nadgarstka.

Rozmowa nie kleiła się, była bezładna. Po chwili ujął jej dłoń w swoje ręce. Żadne z nich nie mogło dłużej czekać. Poprowadził ją za sobą przez

dom do sypialni, chłodnej z zaciągniętymi zasłonami, i całując gorąco pchnął na łóżko. V

Odpiął i ściągnął jej dzinsy. Nie miała nic pod spodem. Przez chwilę po prostu patrzył na Sarę, po czym pochylił się i zaczął całować jej twarz. Dłonie dziewczyny były zaciśnięte na jego rękach.

Sara leżała naga do połowy przykryta Imanym prześcieradłem. Chłodne powietrze wczesnego poranka i nieśmiałe słońce wpadało przez ciężkie zasłony budząc ją. Była za kwadrans szósta. Dzień panował już od ponad godziny, obudzone ptaki śpiewały w parku. Leżała spokojnie przez dłuższą chwilę, jak ofiara groźnego wypadku, oceniająca obrażenia, zanim się poruszy. Oczyszczająca rozkosz ostatniej nocy minęła, zastąpiona bólem i pustką. Sara wiedziała doskonale, że próba uwolnienia skończy się jeszcze większym pożądaniem. Szukanie ukojenia u źródła niepokoju było próżnym wysiłkiem, ale takim, który mimo wszystko się powtarza. Leżąc zaledwie parę centymetrów od Dantego w jego olbrzymim łóżku, Sara potrafiła obiektywnie przeanalizować sytuację. Widziała wyraźnie bezsensowność i destrukcyjność związku z tym mężczyzną. Ale równie wyraźnie widziała bezskuteczność prób przerwania go. Rozłąka w końcu nadejdzie, i to wkrótce, wyczuwała to. Zaczeka do tego momentu. Uwolniła się od części winy, kiedy uzmysłowiła sobie bezskuteczność prób porzucenia Dantego.

Akceptując siłę, z jaką ją pociągał, zastanawiała się nad jej źródłem. Nie był to pierwszy niebezpieczny i destrukcyjny mężczyzna w jej życiu. Kiedy zaczęła spotykać się z Johnem Carterem, swoim pierwszym spokojnym facetem, miała nadzieję, że raz na zawsze wyzbyła się pociągu do niebezpiecznych mężczyzn. Potem, kiedy pojawił się Eddie, zyskał a pewnośc, że tak się stało. Ale razem z Dantem nastąpił nawrót. I był to nawrót w najbardziej ekstremalnej formie, z jaką się kiedykolwiek spotkała. Kto wie, może to jej finałowy eksperyment: katharsis. Uczepiła się tej myśli. Tak, trzeba mu pozwolić, żeby ją oczyścił. Używał jej dla swoich egoistycznych celów, ale ona także go wykorzystywała. Oczywiście był jej łupem w jeszcze innej sprawie. Uspokojona tą myślą, wyslizgnęła się cicho z jego łóżka, ubrała się i wyszła.

Później tego samego dnia Sara wręczyła swój raport Barringtonowi. O godzinie 12.30, tuż przed jego lunchem z goszczącą grupą niemieckich bankowców.

Siedziała w jego biurze, przy wysokim zegarze z wahadłem, który subtelnie tykał. Mogła prezesowi poświęcić tylko dziesięć minut, przetrzymywał ją.

— Odkryłam parę interesujących rzeczy, opisałam je wszystkie i mam jeszcze to. — Wręczyła mu kasetę, na którą Jacob nagrał powiązane ze

sprawą dialogi. — Nie jest to dowód sądowy, ale daje jasność, że popełnia się przestępstwo i to dosyć poważne.

Oczy Barringtona rozszerzyły się z nie ukrywanym zdziwieniem, gdy relacjonowała mu całą historię. Więc pułapka, którą on i *Herr Mueller* zastawili, zadziałała. Nie wspomniał o tym Sarze. Jego oczy zwięzły się badawczo, gdy skończyła. Usiłował przemyśleć wszystko w ciszy, która zapadła.

Przyglądał się kobiecie siedzącej przed nim i niejasno przeczuwał jakąś katastrofę. Odpędził szybko te myśli. Przeszkadzały mu tylko. Wybrał ją, dał jej rekomendacje, a ona doszła w krótkim czasie do spektakularnych rezultatów. Takie były fakty; na nich powinien się skoncentrować. Zaskoczyła go użyciem urządzeń podsłuchowych, ale teraz już wiedział, czego się po niej spodziewać, wszystko skończy się dobrze. Dał jej tylko wskazówki; udowodniła, że jest pomysłowa, zrobiła więcej, niż oczekiwał. Jego początkowe wrażenie mogło wziąć się stąd, że jej nie docenił. Uśmiechnął się do niej nad biurkiem.

— To zupełnie wyjątkowe, Saro. Świetnie się spisałaś. Sprawa jest niepokojąca. Bardzo niepokojąca, ale świetnie, że pani to odkryła. — Nie zrobił żadnych uwag na temat jej metod. Sara czuła, że świadomie omija ten temat.

— Przeczytam raport, wysłucham taśm i odezwę się do pani. Ale proszę nie przestawać działać. — Spojrzał na zegarek. Sara zrozumiała ten gest i wstała do wyjścia.

— Będzie pan potrzebował czegoś, co się nazywa magnetofonem cyfrowym, aby wysłuchać taśm — uśmiechnęła się. — Ale jestem pewna, że sobie pan poradzi. Barrington wytrzymał jej wzrok ułamek sekundy dłużej, niż to było konieczne. W jej twarzy nie dostrzegł podstępny, ale nie mógł powstrzymać wrażenia, że w jakiś sposób go prowokowała. Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce. Stojąc w drzwiach, patrzył za nią, gdy opuściła jego gabinet i szła długim korytarzem. Potem zamknął drzwi.

Ogarnęły go mieszane uczucia: podniecenie, niepokój i podejrzliwość. Nie lubił nagłych objawień i niespodzianek. Należały do jego ryzyka zawodowego. Musiał je więc obrócić na swoją korzyść.

O godzinie 12.45 sekretarka Barringtona, Ethel, oznajmiła, że niemieccy bankierzy już przybyli i oczekują go. Barrington przeszedł przez salony do swojej jadalni. Uśmiechnął się promiennie i otworzył drzwi. Wysoki, opanowany, spokojny i pewny siebie; imponująca postawa, czarujący gospodarz, ale jego umysł bez przerwy umykał od gości do taśm i Sary Jensen.

To był szybki lunch. O 14.30 Barrington uścisnął dłonie, pożegnał się i szybkim krokiem wrócił do swego gabinetu. Krótko rozmawiał z Ethel, poprosił, aby przez najbliższe pół godziny nikt mu nie przeszkadzał i aby poszukała mu magnetofonu cyfrowego. Po dziesięciu minutach delikatnie zapukała do jego drzwi, weszła z magnetofonem i cicho się wycofała.



Barrington włożył kasetę do magnetofonu, wcisnął „Start”, usiadł i zaczął słuchać. Sara uprzedziła go, że nagrała taśmy tak, że wszystkie istotne informacje znajdowały się na jednej kasecie. Oczywiście zrobił to Jacob, ale fakt, że go zaangażowała, Sara zachowała dla siebie. Nie sądziła, żeby Barrington to zaaprobował, a poza tym wołała, żeby Jacob pozostał w cieniu, na wypadek, gdyby coś poszło źle.

Barrington słuchał w milczeniu przez piętnaście minut, od czasu do czasu zatrzymując i słuchając powtórnie Arnotta i Clary Vitale zdradzających się ze swoimi tajemnicami. Potem wyłączył magnetofon i przeczytał raport Sary. Zgadzał się z nią we wszystkim. I chociaż Scarpirato nie był nigdzie bezpośrednio wspomniany, wszystko wskazywało na to, że jest trzecim członkiem organizacji. Ale trzeba znaleźć jeszcze jakiś niezbity dowód, zanim będzie można rozpocząć działanie przeciwko niemu. Sara Jensen musi kontynuować swoje dochodzenie, aż zdobędzie ten dowód i odkryje tożsamość czwartej osoby.

Prezes zadzwonił do Ethel i poprosił, aby połączyła go z Jamesem Bartropem. Ale Bartrop był w tej chwili nieosiągalny. Barrington zaklął pod nosem. Chciał pochwalić się swoimi odkryciami.

Do rozmowy doszło w końcu wieczorem. Barrington był w swoim mieszkaniu nad bankiem z żoną, Irenę, ciesząc się spokojnym wieczorem w domowym zaciszu.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno, prezesie. Krótka wizyta na kontynent. Właśnie wróciłem.

— W porządku. Dzwoniłem, ponieważ nasza dziewczyna dotarła do całkiem interesujących spraw. Zdaje się, że mieliśmy rację. Coś się tam dzieje, dokładnie w tym miejscu, które podejrzewaliśmy. Napisała o tym w raporcie, przyniosła też poważny dowód. Nieoficjalny, ale pierwszej klasy.

Bartrop poczuł, jak przyspiesza mu puls.

— Jakiego to rodzaju dowód? Jak go zdobyła? Barrington przez ułamek sekundy się wahał. — Prywatne rozmowy, rozmowy telefoniczne. Nagrała je.

Oczy Bartropa się rozszerzyły. Przez moment podekscytowany milczał, ale po chwili jego normalne zmęczenie powróciło.

— Pełna inicjatywy ta pańska dziewczyna.

— Na to wygląda, prawda?

— Robił jej pan jakieś aluzje, że może to robić? — Było to bardziej twierdzenie niż pytanie. — Bardzo niewyraźne. Dałem jej wolną rękę. Sama miała zdecydować, jakie środki będą jej odpowiadały.

— Wygląda na to, że poczuła się jak ryba w wodzie.

— Na to wygląda.

— Czy wie pan, skąd wzięła sprzęt?

— Zachowajmy spokój, panie Bartrop. Nie pytałem jej o to. Im mniej o tym wiem, tym lepiej. Sam pan rozumie.

Bartrop zmarszczył czoło.

— Mam do pana wysłać kogoś po te rzeczy? Wolałbym przyjrzeć się temu od razu. Barrington nagle poczuł się zaniepokojony, ale opanował to uczucie.

— Jasne. Ale to ja wyślę do pana jednego z moich ludzi. Na jaki adres? Barrington zapisywał adres ze zdziwieniem. Chelsea Square. Większość domów była tam warta ponad milion funtów. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić Bartropa jako posiadacza takich pieniędzy.

Bartrop czekał w swoim domu. Dookoła panowała cisza prawie doskonała, słyszał tylko rytmiczne mruczenie kota, Pstrąga, śpiącego mu na kolanach.

Pochłonięty myślami siedział przy biurku w gabinecie ze szklaneczką bardzo starej, świetnej słodowej wódki. Od czasu do czasu słyszał niewyraźny pomruk rozmowy dochodzący z ogrodu; dwóch ochroniarzy umilało sobie czas pogawędką. Chronili go od półtora roku. Niemiła sprawa, ale konieczna po jego długotrwałym i niebezpiecznym tajnym pobycie w Kolumbii, gdzie wpadł na trop kartelu z Medellin. Szanse, że jego nazwisko trafiło na ich czarną listę, były ogromne. Nie mieli pewności, ale istniało takie ryzyko, a przyjaciele chcieli je zminimalizować, stąd ta ochrona, bez przerwy, gdziekolwiek się ruszył. Ci ludzie długo pamiętali, ale on też.

Po półgodzinie usłyszał podjeżdżający samochód, po czym ktoś zadzwonił do jego drzwi. Postawił Pstrąga na podłogę, podszedł do drzwi i spojrział przez wizjer. Na schodach stał Munro, w rękę miał jakąś paczkę. Otworzył drzwi.

— Z Banku Anglii, proszę pana.

Bartrop skinął głową, wziął paczkę i wrócił do gabinetu. Rozerwał brązową kopertę, wyciągnął raport i zaczął czytać.

Potem wysłuchał taśmy. Jego myśli krążyły wokół Fieriego. Był pewien, że jest na jego tropie i że Sara Jensen, chociaż o tym nie wie, też jest na właściwym tropie. — Uśmiechnął się do siebie zadowolony. To dobry początek. Potwierdziła istnienie spisku. Anonimowy czwarty uczestnik to prawdopodobnie Fieri. A jeśli tak, zabawa dopiero się zacznie.

Zadzwonił do Barringtona.

— Ten materiał jest doskonały. Jakby powiedzieli nasi bracia, Amerykanie, ta dziewczyna to kopalnia złota. Poproś ją, żeby szła dalej tym tropem, ale ostrożnie i cicho. Potrzebujemy potwierdzenia, kto jest trzecią i czwartą osobą w spisku.

Trzecia to prawdopodobnie Scarpirato, ale nie wiemy tego na pewno. Nie miała jakichś sugestii co do czwartego?

— Nie, nie miała.

— Jeśli znajdzie się okazja, mógłby pan ją zapytać, skąd wzięła sprzęt. Wiem, że jest pan wrażliwy na tym punkcie, ale może nadarzy się okazja. Może nawet sama to wyjaśni.

— Zrobię, co będę mógł — chrząknął Barrington.

Powinienem zgodzić się na zastępstwo, pomyślał Barrington. Jeśli nie wiceprezes, to może przynajmniej znalazłby się ktoś bardziej chętny do ubrudzenia sobie rąk. Wiedział, że teraz już jest za późno na zmiany.

— Ach, i ostatnia rzecz — przypomniał sobie Bartrop. — Dziś jest czwartek. To wszystko wydarzyło się w poniedziałek. Dlaczego tyle czasu minęło, zanim materiały dotarły do nas?

— Dostałem je dziś rano. Co robiła z tym do tej pory, nie wiem. Myślę, że byłoby z naszej strony niezręcznie, biorąc pod uwagę znaczenie jej odkrycia, mieć do niej pretensje o takie opóźnienie.

— To nie pretensja, prezesie. Tylko ciekawość.

W momencie, gdy Bartrop czytał raport, Sara, pięć minut drogi od niego, leżała w wannie, w gorącej kąpieli, z oknem w łazience szeroko otwartym, w swoim domu przy Carlyle Square. Ciepłe powietrze wpadało do środka, sprawiając, że para, która unosiła się z pachnącej wody, wirowała. Sara wlała do kąpieli pół butelki olejku z geranium i lawendy przeznaczonego do uspokajającej i odprężającej kąpieli. Na brzegu wanny paliła się świeczka, jej płomień migotał w przeciągu, tworząc ruchome cienie na ścianach.

Próbowała przestać o tym myśleć. Jej potrójna rola zaczynała rozdzierać ją na kawałki: pracownik, szpieg i kochanka, wszystkie trzy wykluczały się nawzajem. Dwie, być może, były do pogodzenia. Sara zastanawiała się, jak długo potrafi kontynuować swoją grę.

Romans z Dantem rozbił jej wszystkie plany. Teraz musi się ograniczać do reakcji na wydarzenia. Leżała w półmroku, obserwując cienie migoczącej świeczki, jej ciało naprężało się w gorącej wodzie.

Spojrzała na zegarek, wodoodporny firmy Swatch. Była jedenasta w nocy. Czowała się wyczerpana. Wyszła z wanny, wytarła się szybko i wciąż wilgotna wskoczyła do łóżka. Wyłączyła telefon. Nie zamieniła z Dantem ani słowa przez cały dzień. Nie zamierzała do niego dzwonić i czuła, że on nie zadzwoni do niej. Postanowiła, że nie będzie się tym przejmować, przynajmniej dziś w nocy.

## Rozdział 18

Sara obudziła się niespokojna i pełna złych przeczuć. Ciężkim krokiem doszła do pracy. Około południa zadzwonił do niej Jacob. Jego tajemniczy ton powiększył tylko jej niepokój. Chciał się z nią zobaczyć po pracy. Czy mógłby wpaść? Tak, oczywiście, powiedziała Sara. Patrzyła zamyślona na ekrany, nic nie widząc.

Usłyszała głos Dantego. Podniosła wzrok. Scarpirato stał kilkanaście centymetrów od niej. Rozmawiał z Arnottem o pozycji, którą otworzył. Dał mu kilka instrukcji i odwrócił się, by odejść. Mimochodem obrzucił ją spojrzeniem. W jego wzroku wyczytała pożądanie, ale stłumione; również wyraz tryumfu; poczuła się dziwnie. Wrócił do swojego biura i zapalił cygaro. Skupiła się z powrotem na monitorach i wbrew swoim zasadom zajęła się nowymi operacjami.

Lekkomyślne operacje prawie zawsze przynoszą straty. Kiedy pod koniec dnia skonstatowała, że jest trzydzieści tysięcy funtów do tyłu, prawie jej ulżyło, bo potwierdziła się słuszność reguł, których się trzymała. Zdała raport ze swojej straty uradowanemu Arnottowi i wyszła do domu.

Ruch na Lower Thames Street nie ustawał. Sara zaczęła i rzuciła się biegiem w przerwę między dwiema ciężarówkami. Przeszła do Cheapside i złapała taksówkę. Kiedy przyjechała do domu, Jacob już czekał, wchodząc dzięki własnym kluczom. Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu, gdy Sara pojawiła się w salonie, ale linie wokół oczu zdradzały jakieś zmartwienie. Zrobiła herbatę. Pili i rozmawiali. Po jakimś czasie Jacob zaczął mówić wolniej, czekając na naturalną przerwę w ich pogawędce.

Przejechał dłońmi po gęstych siwych włosach. Sara siedziała i czekała. Twarz Jacoba zaczerwieniła się lekko.

— Mam więcej materiałów na kasetach. Ten facet, Scarpirato, ma dziewczynę. Spędził z nią ostatnią noc, jak zrozumiałem, i zabierają w ten weekend na południe Francji. — Jacob wykonał nieokreślony ruch dłonią w powietrzu. — Oczywiście, nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie. Po prostu myślałem, że powinienem ci powiedzieć. To wszystko. — Mówił

szybko dalej, uwalniając ją od konieczności zareagowania. — Poza tym przesłuchałem wszystkie twoje taśmy od Carli. Nie ma na nich nic ciekawego. Siedział zamyślony, patrząc, jak Sara przygląda się swoim stopom. Nie spojrzawszy na niego, wstała, podeszła do rzędu butelek ustawionych na stole i nalała dwie duże szklanki whisky. W milczeniu podała mu jedną, podeszła do okna i stanęła odwrócona do niego tyłem, patrzyła przez okno.

Trzema łykami opróżniła zawartość szklanki, parząc sobie gardło. Znalazła ukojenie w tym uczuciu. Stała bez ruchu, minuty mijały.

Nie mogła nawet mieć nadziei na przeanalizowanie swoich uczuć lub ich zracjonalizowanie — cierpienie, poniżenie i świadomość zdrady. To było najgorsze — zdrada. Napełniła ją gniewem i obrzydzeniem. Myślała o sobie, że zdradziła, ale jej zdrada przez to, co zrobił Scarpirato, tylko pogorszyła zbrodnię wobec Eddiego... Stała, wyglądając przez okno, z jedną ręką zaciśniętą na szklance, drugą zwisającą bezwładnie wzdłuż ciała.

Przed nią rozpościerały się ogrody Carlyle Square, promieniujące w późnopołudniowym słońcu. Pani Jardine stała w ogrodzie, pilnując dzieci, które bawiły się na trawie. Ta scena rozgrywała się przed oczami Sary. Obserwowała ją wypełniona uczuciem oderwania, jak gdyby oglądała telewizję. Jacob podniósł się delikatnie ze swego krzesła i położył rękę na jej ramieniu.

— Lepiej już pójść. Spotykam się z paroma chłopakami dziś wieczór. Zadzwoń jutro. W porządku?

Sara położyła dłoń na jego ręce.

— Cześć, Jacob. Baw się dobrze wieczorem. — Patrzyła, jak wychodzi z pokoju, po czym wróciła do swojej kontemplacji placu. Drzwi zatrzasnęły się za wychodzącym Jacobem, a potem zapanowała cisza.

W poniedziałek rano o 7.30, punktualnie, Sara Jensen pojawiła się na parkiecie ICB, przeszła przez salę. Jak zwykle kilka par oczu śledziło jej wejście, ale dziś rano aprobujące spojrzenia nie były nagradzane słonecznym uśmiechem lub radosnym powitaniem. Patrząc prosto przed siebie, Sara, jakby zdalnie kierowana, podeszła do swojego biurka. Usiadła przy Arnotcie, skinąwszy głową w jego kierunku.

Obserwował ją z ukosa. Mimo swojej niewrażliwości na niuanse ludzkiego zachowania, natychmiast zauważył w niej jakąś zmianę. Uczynił niezręczną próbę konwersacji.

— Jak się dziś miewasz?

Sara odwróciła się do niego i na moment opadła mu szczeka. Poczuł, jak gdyby z jej twarzy zdjęto maskę. Gdyby dostrzegł pustkę, nie czułby się tak zszokowany. Zobaczył pogardę, nie udawaną i nie ukrywaną. Odwrócił się szybko do swoich komputerów. Ona włączyła swoje i zaczęła stukać w klawisze, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Pojawił się Scarpirato i zawołał ich na poranne zebranie. Arnott zwlekając poszedł po kawę z automatu. Sara wstała, Scarpirato zrobił jej przejście obok, po czym ruszył za nią do sali konferencyjnej. Gdy zajął miejsce przy stole naprzeciw, spotkał się z jej wzrokiem i aż cofnął się przerażony. W oczach Sary zobaczył pogardę. Usta wykrzywiła w obrzydzeniu. Jak zaczarowany, obserwował tę twarz, po chwili zamrugał powiekami i odwrócił wzrok. Gdy spojrzął na nią znowu parę sekund później, jej twarz nic nie wyrażała. Arnott pojawił się ze swoją kawą, rozluźniając napięcie. Wilson, zawsze ostatni, przybiegł za nim. Zasedli przy stole. Arnott wyjął papierosa z paczki leżącej przed Sarą i uśmiechnął się, zamiast podziękować. Ona też z trudem się uśmiechnęła.

Scarpirato odchrząknął i zaczął mówić swoim zwykłym staccato. Nakreślił proponowane plany operacji na resztę tygodnia. Sara słuchała, nie zabierała głosu. Parę minut później opuścili salę. Sara zajęła swoje miejsce przy biurku, podniosła słuchawkę i skupiła się na pracy.

Tkwiła przy biurku cały dzień. Wilson przyniósł jej na lunch kanapkę z Birley'sa. Siedziała zgarbiona, aż minęło popołudnie.

Jej koncentracja była absolutna. Robiła operacje prawie nieprzerwanie, nurkowała i wypływała na rynkach, budowała pozycję i zamykała ją, zarabiając parę tysięcy funtów, i zaczynała od nowa. Przez osiem godzin żyła i oddychała rynkiem i zarobiła sześćdziesiąt tysięcy funtów. Zdała raport ze swoich poczynań Arnottowi i wyszła. Do domu pojechała taksówką. Osiągnęła ponurą satysfakcję i doznała ulgi. Wiedziała, że równowaga jest jeszcze daleko, ale przynajmniej dążyła w dobrym kierunku.

Gdy stała w progu frontowych drzwi, usłyszała dzwoniący telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. Dzwonił Scarpirato. Nieoczekiwany, niechciany.

Chwyciła słuchawkę i po chwili zapytała.

— Czego chcesz?

Roześmiał się w sposób, który teraz rozpoznała jako wybieg, omal nie rzuciła słuchawki z obrzydzeniem.

— Chciałbym wiedzieć, co się dzieje. Dlaczego tak na mnie patrzyłaś? Co za przestępstwo twoim zdaniem popełniłem? — Głos był niewinny, pełen urażenia. Sara oddychała powoli i głęboko. Nie mogła z nim walczyć otwarcie. Bo skąd miałyby się dowiedzieć o jego niewierności? Ale nadzwyczajność jego kłamstw, radosna niemoralność wydawały się jej zbyt potworne, aby je mogła zignorować. Nic nie można osiągnąć z konfrontacji z oszustem, który zdawał się sam wierzyć w swoje fantazje, z psychopatycznym kłamcą. Po raz pierwszy, odkrywając naturę tego człowieka, Sara poczuła się uwolniona, znalazła oderwanie, którego szukała. Przepłynęła przez nią fala ulgi.

— Chcę, żebyś przyszła, teraz. Chcę się z tobą zobaczyć. Wyjaśnić to głupstwo.

Jego przekomarzanie się sugerowało, że nic się nie wydarzyło, że każdy ślad przykrości mógłby się ulotnić w jego ramionach. Sara się roześmiała. Teraz nie tkwiło w tym żadne niebezpieczeństwo. Teraz kierowała nią, jak oceniła, tylko ciekawość. Był szalony, nienormalny. Gdyby przyjrzała się temu dokładniej, przeanalizowała, mogłoby jej to bardzo pomóc. Odłożyła słuchawkę i wzięła kluczyki do samochodu.

O siódmej wieczorem w ICB parkiet był prawie pusty. Matthew Arnott już miał wychodzić; zatrzymał go dzwoniący telefon. Podniósł słuchawkę zirytowany.

— Arnott?

— Tak?

— Karl Heinz. Czy możesz wpaść do mojego biura?

Matthew Arnott przeszedł przez parkiet i po schodach przeciwpożarowych wspiał się cztery piętra wyżej, na siódme piętro, gdzie miał swoje biuro Karl Heinz Kessler, dyrektor wykonawczy ICB.

Kessler był sam. Jego sekretarka poszła już do domu. Arnott zatrzymał się na sekundę, zanim wszedł do środka. Kessler podniósł wzrok, zauważył go i zaprosił do środka. Arnott usiadł z drugiej strony szklanego biurka Kesslera. Kessler uśmiechnął się.

— Twój przyjaciel przekazał nam dobre wiadomości. Bardzo dochodowe. — Uśmiech nagle zbladł. — Musisz się jednak o nie troszczyć.

Sięgnął pod biurko i wyciągnął teczkę. Otworzył ją na biurku i wyjął coś, co wyglądało jak małe przenośne radio z anteną.

— To małe przedsięwzięcie ochronne dla ciebie. Wykrywa podsłuchy. Chciałbym, żebyś się z tym przeszedł dookoła, w domu, u Carli, nawet przy biurku w pracy. Arnott wziął do ręki radio.

— Dlaczego? Nic złego się nie dzieje, prawda? Kessler się roześmiał.

— Nic. To po prostu sprawa profilaktyki. Nasi ochroniarze zalecili regularne przeczesywanie najważniejszych biur i sal konferencyjnych. Dali mi tę małą rzecz. Pomyślałem, że my też moglibyśmy tego użyć.

— Jak to działa?

— Bardzo prosto. To przeszukuje duże pasma na odbiorniku o szerokiej skali częstotliwości; tak jak radio, tylko że bardziej czułe. Włączasz, chodzisz dookoła i przekrećasz gałkę dostrajającą. Masz w uchu słuchawkę i jeśli usłyszysz jakieś dźwięki, to wracasz i wiesz, że zbierasz sygnały nadawane z miejscowej pluskwy. Są tu też świecące diody. — Wskazał na tablicę rozdzielczą. — Liczba światełek wzrasta, gdy zbliżasz się do źródła sygnału. Im więcej świateł, tym bliżej jesteś pluskwy. Sprytne, prawda?

Arnott kiwnął głową. Z wielu względów nie podzielał entuzjazmu Kesslera.

— Wydaje się proste. Uruchomię to.

Kessler kiwnął głową. Przy okazji, jak tam ta dziewczyna, Sara Jensen? Arnott wzruszył ramionami.

— Wciąż jest suką pierwszej klasy. Kessler się roześmiał.

— Nie przejmowałbym się nią.

Arnott wziął wykrywacz pluskiew ze sobą do biura. Czuł się trochę zaskoczony i zakłopotany. Zastanawiał się, czy było w tym coś więcej oprócz przezorności Kesslera. Czy coś wisiało w powietrzu, czy to tylko wrodzona, niemiecka ostrożność?

Włączył radio, włożył słuchawkę do prawego ucha i zaczął kręcić gałką dostrajającą, czując się trochę głupio. Nagle pojawiły się błyski na tablicy rozdzielczej, i to nie jeden, ale cała kolumna.

— O kurwa! — mruknął do siebie Arnott. Zamarł, gdy to słowo wróciło do niego przez słuchawki. Poczul suchość w ustach. Wpadł w panikę. W pobliżu był podsłuch. Po paru minutach trafił na rozgałęziacz. Wyjął go trzęsącymi się rękami i schował do walizki. Przez pół godziny siedział sparaliżowany przy biurku. Myślał o tym, żeby zadzwonić do Kesslera, ale nie mógł się zmusić do wykręcenia numeru. W głowie czuł zupełny chaos. Po chwili mechanicznie wstał, wyszedł i na Lower Thames Street złapał taksówkę. Pół godziny później przybył do mieszkania Carli Vitale. Z jego twarzy natychmiast wyczytała, że dzieje się coś złego. Głos Arnotta był pełen agresji i przerażenia.

— Moje biurko było na podsłuchu. Kessler dał mi wykrywacz pluskiew.

Powiedział, że to profilaktycznie. Włączyłem go i znalazłem to. — Wyciągnął ze swojej teczki rozgałęziacz.

Carla zbladła.

— Powiedziałeś mi?

— Jeszcze nie.

Carla patrzyła na niego zaszokowana.

— Co masz zamiar zrobić?

Arnott spojrział na nią wzrokiem pełnym paniki.

— Nie wiem. — Wyjął wykrywacz, włączył go i zaczął krążyć po pokoju. Odkrycie, że Carla też była podsłuchiwana, zajęło mu zaledwie trzy minuty.

— Chcę znać każdą osobę, która była w tym mieszkaniu w ciągu ostatnich paru miesięcy — powiedział Arnott z obłędem w oczach.

Carla odwróciła do niego twarz i z rękami na biodrach krzyknęła do niego.

— Och, na rany Chrystusa, nie pamiętam.



Arnott podszedł do niej i popchnął do tyłu, na kanapę.

— Dobrze, zacznijmy od tych ostatnich i będziemy się cofać. — Usiadł naprzeciw niej. Spojrzał groźnie. — I żadnych kłamstw.

Przeszyła go nienawistnym spojrzeniem.

— Moja sprzątaczką Maria. Moja przyjaciółka Angelica. Mój przyjaciel Mauro. Kolejna przyjaciółka, Mosami. Kuzynka...

— Chwileczkę. — Przerwał jej Arnott. — Mosami jak?

— Matsumoto. Poznałeś ją. Ale co ona...

— Ona jest przyjaciółką Sary Jensen. Słyszałem, jak Sara dzwoniła do niej parę dni temu. — Arnott chwycił Carlę i postawił ją na nogi. Ścisnął ją za ręce i krzyknął w twarz.

— To ta pieprzona suka Sara Jensen. Podśluchuje mnie w ICB, a Mosami w twoim mieszkaniu. O Chryste! Carlo. — Puścił ją i przejechał dłońmi po włosach.

Carla sięgnęła po butelkę whisky i dwie szklanki ze stołu na drinki. Nalała do połowy whisky i dopełniła szklanki wodą, jedną podała Arnottowi i posadziła go obok siebie na kanapie. Przez chwilę obydwójce w milczeniu sączyli alkohol. Carla znowu napełniła szklanki.

— Ale dlaczego? Dlaczego Sara Jensen i Mosami miałyby chcieć nas podsłuchiwać?

Wściekłość Arnotta obudziła się znowu. Usiłował się kontrolować, mówił powoli, jakby z oporem. — Skąd mam wiedzieć?

— Więc co zamierzasz zrobić? — Wysoki głos Carli zaczynał doprowadzać go do szału. Chwycił ją za ramię i postawił na nogi.

— Iść i zobaczyć się z Sarą Jensen i Mosami Matsumoto. Oto co zamierzam. — Znalazł książkę telefoniczną i wyszukał adres Sary.

Wjechał swoim mercedesem na Carlyle Square. Zaparkował nierówno przy krawężniku, wyciągnął Carlę ze środka i zaczął stukać w drzwi Sary Jensen. Po dziesięciu minutach poddał się wreszcie. To musi poczekać do jutra. Dopadnie sukę w biurze. Zwrócił się do Carli.

— Gdzie mieszka Mosami?

— Przy Hay's Mews — odpowiedziała słabym głosem. Arnott skręcił w King's Road i ruszył w kierunku Mayfair. Dziesięć minut później zakłócił ciszę piskiem hamulców. Gwałtownie otworzył drzwi, zatrzasnął je z siłą, która zatrzęsła całym samochodem, poszedł dookoła do drzwi z drugiej strony i wyciągnął Carlę na zewnątrz. Prawie ją zaniósł do domu Mosami, podtrzymując dziewczynę jedną ręką, a drugą uderzając w drzwi. Whisky zaczynała działać.

W środku chłodnego, kremowego wnętrza Mosami siedziała na sofie, czytając książkę i słuchając Dziesiątej Symfonii Mahlera. Spojrzała zaniepokojona na drzwi, stukanie było wyraźne, pomimo muzyki. Wstała, weszła do holu, zatrzymała się przed wejściowymi drzwiami i wyjrzała

przez wizjer. Zobaczyła bladego z wściekłości Arnotta, krzyczącego, żeby go wpuścić, i Carlę, najwyraźniej pijanych. Żołądek skurczył się jej ze strachu. Przez chwilę stała w milczeniu. Arnott wciąż walił i krzyczał, aby go wpuściła. Nie było sensu się ukrywać. Mógł usłyszeć muzykę; wiedział, że jest w środku, jeśli będzie chciał, wejdzie prędzej czy później. Lepiej prędzej. A poza tym, powiedziała sobie, nie mógł mieć żadnych dowodów. Zachowa spokój, będzie kłamać. Potrafiła kłamać bardzo dobrze. Wyprostowała się, otworzyła drzwi i przyjrzała się Arnottowi z wyniosłym gniewem.

— Czy wiesz, co robisz?

Arnott popchnął ją do domu. Krzyknęła. Poszedł za nią do sypialni i popchnął ją na sofę. Usiadł naprzeciw i zarzucił ją pytaniami. Carla schowała się w tle, oparta o ścianę.

— Wiesz, dlaczego tu jesteśmy. — Zaczął jeszcze spokojnie. Mosami spojrzała na niego z wściekłością.

— Nie mam bladego pojęcia. Wdzieracie się do środka, twoja dziewczyna jest pijana, a ty oszalały, wrzeszczysz i zachowujesz się jak cham. Mam nadzieję, że masz wystarczający powód.

Arnott mówił bardzo powoli i ostrożnie.

— Ty i Sara Jensen i wasze pluskwy. Siedzicie w tym razem. Chcę wiedzieć dlaczego.

Mosami się roześmiała.

— Bierzesz za dużo kokainy, Arnott. Masz odlot.

Arnott patrzył na nią przez parę sekund, po czym bardzo powoli wstał, podszedł do niej, chwycił ją za ramię i postawił na nogi, po czym prawą zaciśniętą w pięść ręką uderzył ją w twarz. Zatoczyła się do tyłu. Pozwolił jej upaść, po czym podniósł i jeszcze raz tak samo uderzył. Carla obserwowała wszystko bez ruchu. Arnott przerwał na chwilę, powtórzył swoje pytania i jeszcze raz użył pięści.

Po półgodzinie Mosami, plując krwią w chusteczkę, zaczęła mówić.

— To pomysł Sary. Była przerażona. Myślała, że jesteś zazdrosny o jej sukcesy i zrobisz wszystko, żeby wylano ją z pracy. Chciała się zabezpieczyć, znaleźć na ciebie jakiegoś haka. Chciała podsłuchiwać Carlę, myślała że w ten sposób uda jej się coś znaleźć.

Arnott był tak wściekły, że nie mógł myśleć logicznie, ale słysząc to zdziwił się.

— Więc to wszystko? Zazdrość? Mosami kiwnęła głową.

— Więc jesteście tylko dwie? Nie jest w to zamieszana policja? Mosami z trudem łapała oddech.

— Policja? Nie. To nie ma nic wspólnego z policją. Nikt o tym nie wie. Tylko ja i Sara.

Arnott podszedł do niej i wykręcił jej rękę. — Więc lepiej, żeby tak było. Mosami patrzyła, jak wychodzą, po czym bezsilnie opadła na kanapę. Arnott z Carlą wsiedli do samochodu i odjechali. Arnott poczuł smutną satysfakcję. Cały czas miał rację. Nienawidził tej suki od pierwszego dnia. Nigdy jej nie ufał. Była za bystra. I zawistna. A teraz czeka ją zasłużona kara. Uśmiechnął się w oczekiwaniu. Nie będzie żadnej katastrofy, kontrolował sytuację, mógł ograniczyć straty; odkrycia Sary Jensen i Mosami Matsumoto muszą pozostać w tajemnicy. Będą trzymały buzie zamknięte na kłódkę, w swoim interesie. Już on tego dopilnuje. Odwiózł Carlę do domu przy Onslow Square, wciągnął ją po schodach do mieszkania i ułożył na łóżku. Włączył leżącą obok na stoliku automatyczną sekretarkę i zabronił jej rozmawiać z kimkolwiek, oprócz niego, po czym wyczerpany ruszył do własnego domu przy Holland Park. Jego wściekłość zmniejszyła się dopiero, gdy poczuł strach ściskający mu żołądek. Położył się do łóżka i leżał, patrząc w sufit. Tuż przed wschodem słońca w końcu udało mu się zasnąć.

## Rozdział 19

Wmilczących godzinach przed wschodem słońca Sara leżała w łóżku Dantego. Gdyby nie uliczna lampa, świecąca przez lekko rozchylone zasłony, byłoby zupełnie ciemno. W półmroku widziała niewyraźnie zarysowany profil, ale nie wyraz twarzy. Sara mogła ukryć się w ciemności, zadawać pytania, słuchać odpowiedzi, bez lęku, że coś ją zdradzi, przynajmniej nie ponad to, co zdradzała sama jej obecność. A jeśli ona nie rozumiała przyczyny tego faktu, mogła być pewna, że on też tego nie rozumie.

Rozmawiali. Rozmawiali godzinami. Swoimi słowami i pytaniami trzymała dystans. Wziął jej twarz w swoje ręce.

— Saro, kochanie. Powiedz mi. O co ci chodzi? Co jest nie tak? Odsunęła głowę w ciemnościach.

— Wszystko jest w porządku, Dante, po prostu chciałabym zrozumieć parę rzeczy, to wszystko.

Roześmiał się cicho.

— Co tu jest do rozumienia? Kocham cię, potrzebuję cię. — Przerwał, aby ją pocałować. — Co jeszcze ma być?

Odwróciła wzrok i starała się nie rozplakać.

— Och, jest dużo więcej, Dante. Wzruszył ramionami. Poczula ten ruch.

— Konwenanse. O tym mówisz, prawda? — Roześmiał się lekceważąco. Sara poczuła zbliżający się atak złości. — Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Co byś zrobiła z tymi wszystkimi pułapkami poświęcenia? Dlaczego miałabyś spotykać się ze mną codziennie? Wiąże nas coś silniejszego, niż ludzi przebywających ze sobą stale. Jedna godzina z tobą to wszystko, czego potrzebuję.

Sara uśmiechnęła się, mimo że to, co mówił, sprawiało jej ból.

— Och, Dante, ty rzeczywiście w to wierzysz? Tu i teraz, to jest prawda, ale za parę godzin przestanie nią być. Myślisz, że jesteś silny i twardy, a ty jesteś po prostu romantykiem. W ziemskim życiu sam

stwarzasz swoją tragedię, ból i stratę. Ale za każdym razem, gdy się to zdarza, zabija to część ciebie, prawda? Niszczy twoją możliwość odczuwania. Wierzę, że następnym razem ból musi być silniejszy. Ty to akceptujesz. Twój wybór. Ale co z twoimi ofiarami? Przez chwilę milczeli. Po czym się odezwał:

— Skąd tyle o mnie wiesz? Te rzeczy nie zdarzają się bez obopólnej zgody, prawda? Dlaczego tu jesteś, jeśli nie chcesz się stać potencjalną ofiarą?

Roześmiała się.

— Właśnie nią byłam. Spełniamy nawzajem swoje potrzeby, ale ja już tak dłużej nie mogę, Dante. Wycierpiałam już swoje. Teraz zastanawiam się, jak sobie z tym poradzę. Ale poradzę sobie, wiem na pewno. Zawsze sobie radzę. Jesteś dla mnie doświadczeniem bez znaczenia. Możesz mi ofiarować tylko ból. Nie sądzę jednak, żebym potrzebowała go więcej.

Przejechał palcem po jej twarzy.

— Ale na razie tu jestem. — Przysunął się do niej. Uśmiechnęła się w ciemności.

— Przytul mnie, Dante. Niczego więcej nie potrzebuję.

Oplótł ją ramionami i przycisnął do siebie. Poczował wilgoć jej łez na swojej skórze, głaskał jej włosy i uspokajał, aż zasnęła. Leżał, nie śpiąc przez większość nocy, trzymając ją cichą i spokojną w ramionach.

Sara obudziła się następnego ranka z uczuciem, że pęka jej głowa. Wyślizgnęła się z łóżka i poszła do łazienki napić się wody. Spojrzała w lustro. Oczy miała zmęczone i spuchnięte, cerę niezdrową.

Gdy wróciła do łóżka, zadzwonił budzik, Scarpinato obudził się, wyciągnął długie szczupłe ramię i wyłączył go. Patrzył, jak Sara kładzie się z powrotem do łóżka.

— Dobrze spałaś?

— Nie wiem. Chyba tak. Ale teraz czuję się okropnie. — Zatrzęsa się. — Będę miała migrenę. Wołałabym się nie ruszać.

— Więc lepiej, jeśli ja wstanę i przygotuję się do wyjścia. A ty zostań tu, aż poczujesz się lepiej. Potem idź do domu i porządnie wypocznij. — Uśmiechnął się dobrodusznie. — Do moich kompetencji jako twojego szefa należy również to, że mogę dać ci wolny dzień.

— Dzięki, przyjmuję go.

Sięgnął do szuflady stolika przy łóżku i wyciągnął paczkę tabletek przeciwbólowych.

— Weź kilka — podał jej szklanekę wody, a ona połknęła tabletki, po czym padła na poduszki, usiłując zasnąć, podczas gdy on brał prysznic i się ubierał. Dwadzieścia minut później pocałował ją na do widzenia.

— Co mam zrobić z alarmem? — Zapytała, gdy wychodził. — Nie chcę go uruchomić przez przypadek.

— Nie martw się, nie włączę go. Moja gospodyni pojawi się o jedenastej. Ona go włączy wychodząc.

Sara spała godzinę, po czym obudziła się nagle. Usiadła powoli. Tabletki działały, migrena prawie minęła. Czuła się słaba, gdy wstała i zaczęła się ubierać.

Myślała o Danem. Ostatniej nocy i dziś rano był taki czuły, taki kochający, poznała go z zupełnie innej strony. Złapała się na tym, że zastanawia się, czy rzeczywiście należy on do spisku Carli.

To, co wiedziała o nim wcześniej, wskazywało, że pod wieloma względami jest idealnym przestępcą: amoralny, ambitny, niestały, inteligentny i przebiegły. Ale czy mógłby uczestniczyć w tak ciężkim przestępstwie? Wspomniała mu o pracy, o Arnotcie, wymieniła Carlę Vitale, ale nie wykazał żadnego zażenowania, niezręczności czy próby przemilczenia, a do tej pory udawało się jej rozpoznać, kiedy kłamie. Teraz zaczęła sobie uświadamiać, że mógłby być niewinny, ale jeśli tak, to w takim razie, kim są dwie nie zidentyfikowane osoby, o których mówili Carla i Arnott? Znowu rozboleła ją głowa. Sama nie wiedząc po co, zaczęła przeszukiwać jego dom, najpierw powierzchownie, potem ze wzrastającym przekonaniem.

Zaczęła od jego garderoby, długiego wąskiego pokoju z błękitnym dywanem i rzędami mahoniowych szaf. Otworzyła przypadkowe drzwi i odkryła szereg jaskrawych sukienek i całą kolekcję eleganckich butów na wysokich obcasach. Potwierdzało to tylko to, czego się spodziewała, a jednak zadrzała. Jej twarz przybrała, wyraz determinacji, zamknęła drzwi i kontynuowała przeszukiwanie. W szufladzie biurka w jego gabinecie znalazła kilka fotografii w srebrnych ramkach przedstawiających niską, ładną blondynkę stojącą obok Dantego. Ona uśmiechała się i patrzyła na niego, on spoglądał w obiektyw aparatu. Sara przypatrywała się tej jego minie wyrażającej pewność siebie i zwycięstwo, minie, którą widziała u niego wiele razy. Więc o to chodzi. Patrzyła na zdjęcie przez długą chwilę, po czym zamknęła je z powrotem w szufladzie.

W sypialni na najwyższym piętrze domu znalazła sejf, ukryty pod obrazem przedstawiającym szalejącą małpę; nad wyraz trafnie, pomyślała Sara. Przekonana, że alarm, jak zapewnił ją Scarpirato, jest wyłączony, zaczęła rozpracowywać zamek. Był to standardowy zamek z kombinacją cyfr, sprzed mniej więcej dwudziestu lat, na szczęście dużo mniej skomplikowany niż obecne wersje; dokładnie taki sam model, jaki Sara nauczyła się otwierać w domu Jacoba. Przyłożyła ucho do tarczy pokrętła, skupiła się i przekręciła. Lata na parkiecie wyostrzyły jej słuch i koncentrację; czasami hałas i krzyki innych maklerów, dzwoniące telefony, nadawane przez głośniki informacje i pracujące maszyny stwarzają taki harmider, że nie można usłyszeć głosu

w słuchawce telefonicznej. Lata praktyki w niedopuszczaniu do siebie tej kakofonii i umiejętności skoncentrowania się na szepcie teraz się na coś przydały.

Po dziesięciu minutach i kilku nieudanych próbach drzwi sejfu otworzyły się z kliknięciem. Wnętrze miało około pół metra kwadratowego powierzchni. W środku leżał stos odpieczętowanych, brązowych kopert formatu A4. Otworzyła koperty i przejrzała ich zawartość: były to świadectwa udziałowe i wyciągi z kilku kont w szwajcarskim banku. Ostatni wyciąg stanu konta z czerwca wykazywał depozyt wynoszący niewiele ponad pół miliona dolarów. Dla bankowca na takim stanowisku, w wieku trzydziestu kilku lat to rozsądna suma, nawet trochę skromna. Te udziały, kalkulowała Sara, są warte kolejne dwa miliony dolarów. Scarpirato był bogaty, owszem, ale nie podejrzanie bogaty, więc jeżeli nie posiadał innych, tajnych rachunków lub ukrytych aktywów, nie wyglądało na to, by był trzecią osobą w kółku szantażystów Arnotta i Clary Vitale.

Jego ciche konferencje z Arnottem wyglądały podejrzanie, ale mogły okazać się normalnymi konwersacjami maklerskimi wypowiedzianymi w naturalny na giełdzie, konspiracyjny sposób. Scarpirato przyjmował rady Arnotta co do swoich operacji, ale nie było w tym nic podejrzanego. A jeśli chodzi o wyjątkowo wysokie zarobki jego ekipy, można by wytłumaczyć je po prostu jego talentem.

Atmosfera parkietu przeszkadza w jasnej ocenie sytuacji; bardzo łatwo jest stracić kontakt z rzeczywistością. Egotyzm Dantego i jego próżność sprawiły, że trudno było uwierzyć w jego niewinność. Ale najprawdopodobniej nie był przestępcą, chyba że jako nieświadomy pomocnik Arnotta.

Sara włożyła koperty na miejsce, zamknęła sejf i kilka razy przekreśliła tarczą, aby zatrzeć ślad. Przeszła przez dom, rozglądając się dookoła, jak gdyby wszystko widziała po raz pierwszy. Dziesięć minut po jej wyjściu pojawiła się sprzątaczką. Matthew Arnott siedział przy swoim biurku, paląc jednego papierosa za drugim. Od czasu do czasu odwracał się i patrzył na puste biurko obok. Ta dziwka, M osami, musiała ostrzec Sarę Jensen. Pewnie, wiedząc co zrobił z Mosami, gdzie się ukryła. Nie zamierzał być tak brutalny, w rzeczywistości nie miał wyboru, gdy zaczął bić Mosami, nie mógł się już opanować. Słyszał głucho trzaśnięcie, gdy uderzył ją pięścią w zębra, ale nie przestawał. Kiedy siedział przy swoim biurku, jego wściekłość zmniejszyła się, poczuł przebłysk świadomości, który szybko się rozwiął. Złamane zębra i pokaleczona twarz zagoją się niedługo.

Ale nieobecność Sary bardzo go martwiła. Chciał z nią porozmawiać,

usłyszeć wytłumaczenie z jej ust i mieć pewność, że będzie je trzymać zamknięte na kłódkę. Przez chwilę wziął pod uwagę ewentualność, że może jednak ma jakieś powiązania z policją, ale szybko ją wykluczył. Nie, jest po prostu chciwym maklerem. Spiskująca, mała suka szantażystka.

Światło zabłysło trzy razy na jego tablicy rozdzielczej, po czym telefon zadzwonił głośno, wyrrywając go z zamyślenia. Wilson podniósł słuchawkę pierwszy.

— Linia pierwsza, Matthew. To Carla.

Arnott rozmawiał krótko, po czym włożył marynarkę i ruszył przez parkiet. Wszedł do męskiej toalety, dyskretnie sprawdził, czy jest sam, i zamknął się w kabinie.

Wyciągnął z marynarki swój telefon komórkowy i zaczekał, aż się zapali światełko. Parę sekund później wcisnął guzik: „mówić” i słuchał.

— Właśnie otrzymałam telefon. Mówi, żeby kupować liry. W dużych ilościach. Już.

— Głos Carli zdradzał podniecenie i zmieszanie.

— Kurwa — mruknął Arnott pod nosem. Informacja nadchodziła w najgorszym momencie. Przerażony, zastanawiał się, co robić. Musieli działać dalej. Zaniechanie operacji mogłoby się wydawać podejrzane.

— Okay, zrobię to — odpowiedział szeptem. — Wszystko będzie w porządku. Nie martw się.

Carla prychnęła.

— Lepiej, żeby tak się stało.

Arnott wyłączył telefon i wrócił do swojego biurka. Wszystko będzie w porządku, przekonywał sam siebie. Musiał tylko znaleźć Sarę Jensen i wziąć ją pod kontrolę, dla dobra ich wszystkich.

Rozejrzał się dookoła. Wilsona nie było w pobliżu. Scarpinato siedział w swoim gabinecie. Nikogo w pobliżu, kto mógłby podsłuchać. Arnott wystukał numer do swojego maklera i sprzedał z miejsca osiem pakietów po pięćdziesiąt milionów dolarów każdy, w zamian za liry. Taką samą operację przeprowadził z ośmioma różnymi maklerami na prywatny rachunek, po czym zrobił kolejną operację za sto milionów dolarów na konto firmy. Wypisał bilety, wrzucił je na tacę dokonanych operacji i całą swoją uwagę poświęcił ekranom.

W klimatyzowanym biurze w Rzymie, Fieri odłożył słuchawkę, uśmiechając się z zadowolenia. Właśnie porozumiał się z Catanią. Ich telefoniczne rozmowy zawsze były lakoniczne, zaszyfrowane, ale wiadomość dostał wystarczająco jasną: kupuj liry. Teraz. W dużych ilościach.

Wystukał numer do Calvadora, swojego maklera. Kupuj liry, powiedział mu.

Natychmiast. Za trzysta milionów dolarów, rozdzielone jak zwykle. Calvadoro przyjął zlecenie. Fieri odłożył słuchawkę i popatrzył w dal.

Obawy dotyczące Catanii okazały się bezpodstawne. Kazał obserwować



go dzień i noc, a poprzez zaufanych obserwatorów postanowił sprawdzić też jego pozycję w rządzie. Po tygodniu przyszły odpowiedzi: Catania jest czysty. Nikt go o nic nie podejrzewa. Taki dzień pewnie kiedyś nadejdzie, rozumował Fieri, ale do tego czasu Catania wciąż pozostaje jego kurą znoszącą złote jajka i w pełni go wykorzystana. Nadał więc rozmowie serdeczny ton. Był naprawdę zadowolony z niego, jako ze swojego człowieka.

Catania, siedzący w swoim biurze w Banku Włoch na Via Nazionale, zrozumiał to i kamień spadł mu z serca. Bał się, że Fieri już mu nie ufa. Wcześniej wyczuł pewien dystans. Ale teraz wiedział, że się mylił. Jego tajemnice pozostawały bezpieczne. Nikt nie ma pojęcia o jego układach z Fierim czy Carlą Vitale. Podejrzenia prezesa Bundesbanku, *Herr* Muellera, były pisane palcem na wodzie. Jego zmartwienia przestały istnieć. Catania oparł się wygodnie w fotelu, zapalił cygaro i odetchnął z ulgą.

Tysiąc pięćset kilometrów stamtąd Sara Jensen szła do siebie z domu Dantego Scarpinato, starając się uporządkować myśli. Gdy wróciła na Carlyle Square, podeszła do automatycznej sekretarki i włączyła ją, aby odsłuchać wiadomości. Zaczęła się rozbierać, gdy maszyna przewinęła taśmę, przygotowując się do odtwarzania. Nagle Sara zamarła. Usłyszała głos Mosami, pełen bólu i wahania, jak gdyby nie mogła złapać oddechu.

— Saro, tu Mosami. Upewnij się, że jesteś sama, gdy odsłuchujesz tę wiadomość. — Nastąpiła długa przerwa, po czym Mosami kontynuowała. — Słuchaj, muszę cię ostrzec. Arnott dowiedział się o urządzeniach, tym w pracy i w domu Carli. Przyszedł do mnie wczoraj wieczorem. Udawałam, że nic nie wiem. Wtedy mnie pobił. — Jej głos był płaski, pozbawiony jakichkolwiek emocji. — Musiałam mu powiedzieć. Przepraszam. Wyjawiłam mu, że zrobiłaś to, bo myślałaś, że stara się, aby wylano cię z pracy, i chciałaś znaleźć na niego jakiegoś haka, żeby się bronić. — Prawie się roześmiała i dodała. — To przecież prawda, czyż nie?

Sara wiedziała, że było to powiedziane na wypadek, gdyby ktoś inny wysłuchał taśmy. Nagranie się skończyło.

Sara natychmiast wystukała numer Mosami. Nie było odpowiedzi. Stała pozbawiona energii przez gniew, poczucie winy i strach. Wbiła paznokcie prawej ręki w opuszki palców lewej tak mocno, że zostały głębokie, czerwone ślady. Wyjęła papierosa z paczki leżącej na stoliku. Usiadła i zapaliła. Oddychała głęboko, usiłując uspokoić oddech. Teraz mogło jej pomóc tylko logiczne myślenie. Musiała rozprawić się z Arnottem i w tym samym czasie kontynuować swoje zadanie. Gdyby był sposób zrobienia jednego i drugiego równocześnie...

Godzinę później Sara weszła spokojnie do sali maklerskiej. Miała wystarczająco dużo czasu, aby się uspokoić i zaplanować odpowiedź,

która, jak miała nadzieję, będzie wystarczająco przekonująca. Jeśli rozegra to rozsądnie, ma szansę włamania się do samego środka tej małej, brudnej organizacji Arnotta, odkrycia tożsamości trzeciego i czwartego członka (teraz wiedziała, że Scarpirato do nich nie należał). Mogła też zdobyć więcej, aż w nadmiarze dowodów dla Barringtona. Ale musiała na jakiś czas pohamować żądzę zemsty i odegrać jeszcze jedną rolę. Wzięła parę głębokich oddechów i wśliznęła się na siedzenie obok Arnotta.

Spojrzał na nią zdziwiony i fala wściekłości znowu przepłynęła po jego twarzy. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, uśmiechnęła się do niego, sugerując, że wie o wszystkim.

— Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy, nie sądzisz? Może pójdziemy na spacer? — Wstała i spokojnie ruszyła przez parkiet. Arnott spojrzał na jej plecy i powędrował za nią. Scarpirato z wyrazem zdumienia na twarzy obserwował ze swego biura, jak znikają za drzwiami.

Szli nad Tamizą, obok zielonej, żelaznej balustrady ciągnącej się wzdłuż szerokiego brukowanego deptaka. Za nimi wznosił się budynek ICB. Metr poniżej cicho płynęła rzeka. Minął ich holownik, głęboko zanurzony w wirującej, brązowej wodzie. Ciągnął za sobą ogromny ładunek cegieł. Mewy krzycząc gniewnie, krążyły za nim wznosząc się i opadając.

Deptak był usiany parami patrzącymi sobie głęboko w oczy, szepczącymi i śmiejącymi się, wykradającymi się na pół godziny z pracy. Kilka osób rzuciło krótkie spojrzenia na przystojnego bankowca i piękną kobietę idącą obok. Na jego twarzy malowało się napięcie, ona wyglądała na odprężoną i skorą do żartów; sprawiali wrażenie kłócącej się pary kochanków. Przewaga leżała niezaprzeczalnie po stronie kobiety.

Arnott spojrzał na Sarę nieustępliwe, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, żeby lepiej była grzeczna. Sara spokojnie paliła papierosa, parę razy zaciągnęła się głęboko i strząsała popiół do ciemnej wody. Zniecierpliwiony jej milczeniem odezwał się w końcu:

— O co ci, do cholery, chodzi?

Sara patrzyła na rzekę, jeszcze parę razy się zaciągnęła i odwróciła do niego twarz. Uśmiechała się, ale jej twarz wyrażała napięcie, oczy były lodowato zimne.

— Chciałabym, żeby coś się działo.

Arnott wznosił oczy do nieba, zbliżył się do niej i złapał jej nagie przedramię jak w kleszcze.

— Ty głupia dziwko. Po prostu nie masz pojęcia, w co się pakujesz, rozumiesz?

Sara zrobiła krok do przodu i z całej siły nadepnęła obcasem prawego buta na jego lewą nogę. Arnott zamierzył się, jakby chciał ją uderzyć, ale coś w wyrazie jej twarzy powstrzymało go. Uwolnił rękę Sary, a ona się cofnęła.

— To ty nie rozumiesz. Ja jestem świadoma, w co się pakuję. Urocze,

małe kółeczko szantażystów. Proponuję wam swój udział. — Oparła się o balustradę i zaczęła obcasem o najniższą barierkę. —Przyznaję, że nie miałam pojęcia, że na coś takiego wpadnę. Przypuszczałam, że twoja przyjaciółka, Carla, potrafi cię skompromitować... i że będę mogła tego użyć w celu kontrolowania cię. — Zrobiła pauzę, obserwując wściekłość płonącą w jego oczach. — Myślę, że dowiedziałeś się tego wczoraj w rozmowie z moją przyjaciółką. Ale ja przypadkiem wpadłam na twoje małe, brudne machlojki. — Arnott zaczął coś bełkotać. Podniosła rękę przerywając mu. — Nie przejmuj się. Nie mam zamiaru nikomu o tym mówić. Poza tym komu miałabym powiedzieć? Nie stawia mnie to w szczególnie dobrym świetle. — Mówiła normalnym, naturalnym głosem, z ustami w półuśmiechu. Zauważyła, że napięcie powoli go opuszcza. Kontynuowała powoli, spokojnym głosem.

— Chcę tylko dostępu do informacji. Niczego więcej. Ty mi go dasz, a ja zamknę kompromitujące taśmy w bezpiecznej skrzynce depozytowej. Zostaną tam na dobre. I nikt o nich nigdy nie usłyszy, chyba że coś mi się przytrafi. Wtedy trafią do Inspektora Generalnego, Maynarda z Departamentu Defraudacji. — O Maynardzie czytała wczoraj w *Evening Standard*. Jego nazwisko dorzuciła dla większego efektu.

Arnott spojrział na nią piorunującym wzrokiem, chwilę milczał. Gdy przemówił, jego głos był dobitny i zdecydowany.

— Chcesz, żeby coś się działo? Okay. Dostaniesz, czego chcesz. Catania właśnie się z nami skontaktował. Powiedział, żeby kupować liry, w dużych ilościach. Teraz. Sara zaciągnęła się papierosem, obserwowała, jak spala się do samego filtra, i wrzuciła go do rzeki. Spojrzała na ciemną toń i przeniosła wzrok na Tower Bridge, majaczący smutno w oddali. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

— Chodźmy więc.

Przeszli przez parkiet, Arnott dwa kroki za nią, jak gdyby pilnując, żeby mu nie uciekła. Sara zajęła swoje miejsce, podniosła słuchawkę

1 wcisnęła linię BdP. Arnott włączył tę samą linię na swojej tablicy rozdzielczej, podniósł słuchawkę i słuchał. Parę sekund później Johnny McDermott pojawił się na Unii.

— Sara Jensen, moja niespełniona miłość. Co słychać?

— W porządku, Johnny. — Była zwięzła i oficjalna. — Jak stoi dolar w stosunku do lira, duże ilości?

Johnny spojrział na ekran i sprawdził kurs. Dolar/lir. Nie była to jedna z jej zwykłych operacji. Co się dzieje?

— Osiemdziesiąt siedem sześćdziesiąt, osiemdziesiąt dziewięć dziesięć — rzucił, co było skrótem od liczb: 1687,60. 1689,10.

— Dam ci pięćdziesiąt milionów dolarów po osiemdziesiąt siedem sześćdziesiąt.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Była to duża, pojedyncza operacja w jednej z drugorzędnych walut. Tego rodzaju propozycje niepokoiły maklerów. Ledwo wyczuwalne zdenerwowanie pojawiło się w głosie McDermotta, gdy odpowiadał.

— Okay. Zrobione. Sprzedajesz pięćdziesiąt milionów dolarów po osiemdziesiąt siedem sześćdziesiąt. — Zaczął wystukiwać szczegóły na komputerze.

— To będzie dla mnie, Johnny. W Cordillon et Cie. Na drugim końcu linii nastąpił wybuch.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? Sara przerwała mu.

— Po prostu zrób to, Johnny.

Zapadła cisza pełna napięcia, po czym Johnny wydukał zduszone „Okay” i mruknął jeszcze pod nosem, że porozmawia z nią później.

Przerwał połączenie i przejechał dłońmi po włosach. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Nikt. Jego koledzy zajęci byli sobą, krzycząc do siebie albo wydzierając się do słuchawek telefonicznych. Patrzył w ekran. — Pieprzony lirze, lepiej zacznij rosnać, bo inaczej wszyscy znajdziemy się w niezłym gównie.

— O co tu chodziło? — zapytał Arnott. — Dlaczego był taki wkurzony? Sara uśmiechnęła się.

— Nie sądzisz, że pięćdziesiąt milionów dolarów to raczej spore ryzyko, jak na operację z prywatnego konta? To dziesięć razy więcej niż mój limit. Mój kapitał wynosi tylko dwieście tysięcy funtów.

Arnott zbladł.

— Co ty, do cholery, wyprawiasz? To będzie musiało przejść przez nasz Departament Kontroli. Oni się tam potwornie wkurzą.

Uśmiechnęła się chłodno.

— Tylko jeśli coś zauważą. Ode mnie zależy, czy wyślę im kopię biletu.

— Więc zamierzasz nikogo o tym nie informować? Sara skinęła głową.

— A co z McDermottem? Co on robi?

— Sądzę, że zrobi wszystko, żeby nikt nie zwrócił uwagi na tę operację. Zrobi dziś pewnie ponad czterdzieści operacji. Nie ma powodu, aby ta różniła się czymś od innych.

— Ale jeśli nasz Departament Kontroli mimo wszystko coś znajdzie? Sara uśmiechnęła się do niego słodko.

— Cóż, wtedy ktoś będzie musiał przelać wystarczającą ilość pieniędzy na moje konto, aby zrealizować operację.

— Nie sądzisz chyba, że ja to zrobię? Jesteś szalona. Roześmiała się.

— Nie masz wyboru. Nie zależy ci chyba na tym, żeby ci z Departamentu Kontroli zwrócili się do mnie z masą kłopotliwych pytań? A poza tym, to prawie tak, jak gdyby tobie groziła utrata pieniędzy, jeśli

oczywiście Catania nie podał złej informacji, a to jest chyba mało prawdopodobne, czyż nie?

Trzęsąc się w środku, odwróciła oczy z powrotem do ekranów, patrzyła i czekała. Johnny McDermott nie odrywał wzroku od monitorów i cicho przeklął Sarę Jensen. Dokonała operacji dzięki temu, że wprowadziła go w błąd. Był przekonany, że chodzi o operację ICB, dokonywaną ich pieniędzmi, popartą ich ogromnym kapitałem rezerw. Już wywołał na ekranie szczegóły, a wtedy ona mu powiedziała, że to z jej prywatnego konta. Nie powinien tego robić. Z jakichś jednak przyczyn to zrobił. Może z powodu przyjaźni i czegoś w tonie jej głosu. W każdym razie teraz było za późno, aby wszystko odwołać. Miał tylko nadzieję, że jego dział realizacji nic nie zauważy, i że lir zacznie rosnać. Wtedy Sara będzie mogła zamknąć pozycję, zarabiając ładną sumkę i spłacając wszystko. Gdyby lir spadł, jej dwieście tysięcy funtów kapitału zniknęłoby w jedną sekundę i nigdy nie byłaby w stanie spłacić operacji. Wtedy wszystko się zawali. On zostanie wylany, ona też i najprawdopodobniej na samym wylaniu się nie skończy. Wizje sądów ogłaszających bankructwo i rozpraw z tytułu wykroczeń bankowych wypełniły jego myśli.

Piętnaście minut później u dołu ekranu Bloomberga pojawił się pasek z informacją: Włochy podnoszą dyskontowy kurs lira o jeden procent. Sara i Arnott przeczytali to z szerokimi uśmiechami. McDermott z przerażeniem i ulgą. Jego nozdrza wypełnił bezbłędnie wyczuwany zapach brudnych pieniędzy. Ale przynajmniej Sara Jensen będzie mogła zapłacić za swoją operację i przy odrobinie szczęścia nikt się o niczym nie dowie.

W minutę po tym, jak ukazało się ogłoszenie kurs dolar/lir wzrósł do 1620,20. 1621,70, wzrost wartości lira sięgał blisko cztery procent. Po dziesięciu minutach lir wzrósł znowu, a kurs wynosił 1603,80. 1604,50. Zysk z prywatnego rachunku Arnotta dochodził w porywach do dwudziestu jeden milionów dolarów. Sięgnął więc po telefon, zamknął prywatną i firmową pozycję i przejął zysk.

Nielegalny dochód Sary zatrzymał się na poziomie nieco ponad dwa i pół miliona dolarów. Wciąż miała otwartą pozycję. Czowała prawie niekontrolowane drżenie całego ciała. Na jej plecach pojawiły się kropelki potu. Czowała się jak w delirium. Patrzyła na swoje ekrany, pochłonięta dreszczem emocji. Skrupuły, jakie miała tydzień temu przy swojej pierwszej nielegalnej operacji, znikły bez śladu.

Minęło dziesięć minut. Za każdą sekundą przedłużania pozycji strach ścisnął jej żołądek. Lir mógł nagle i nieoczekiwanie spaść, tak samo jak nagle wzrósł parę minut temu. Kolejny skandal polityczny, zabójstwo na

tle politycznym sprawią, że spadnie on z hukiem, zmiecie cały jej kapitał i wyciągnie na światło dzienne defraudację. Powinna zejść z pozycji już teraz, ale nie potrafiła. Patrzyła w ekran jak zakłęta, przedłużając śmiertelną grę z sekundy na sekundę.

Drżenie było niemalże paraliżujące, prawie seksualne. Przez piętnaście minut Sara siedziała nieruchomo, utrzymując otwartą pozycję. W końcu, nie mogła już dłużej wytrzymać. Wcisnęła linię BdP. McDermott podniósł słuchawkę natychmiast.

— Dolar/lir, Johnny.

— 1585,40. 1586,90.

— Biorę pięćdziesiąt dolarów. — Sara zamknęła pozycję i zebrała ponad trzy miliony dolarów.

— Zrobione. — W jego głosie usłyszała mieszaninę przerażenia i ulgi. McDermott wykonał operację z kliniczną precyzją, po czym przerwał połączenie. Zadzwoi do niej do domu, wyjaśni to z nią dziś wieczorem, bez taśm rejestrujących każde słowo. Dowie się, co, do cholery, się dzieje. Zarejestrował skończoną operację i jak burza wyszedł z sali i udał się do Pig & Poke.

Sara oparła się na krześle i głośno odetchnęła. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się łapczywie. Arnott przyglądał się jej uważnie. To pieprzona wariatka. Przez wszystkie lata na parkiecie nigdy nie widział nikogo, kto ryzykowałby tak, jak ona. Catania dał cynk, ale to nie była w stu procentach pewna informacja; zawsze istniała możliwość, że coś może pójść źle. Hazard, jakiego się dopuściła, przerażał. Zdawała się znajdować w nim przyjemność. Gdyby coś poszło źle, gdyby lir spadł, nie byłaby w stanie zrealizować operacji. Podjęto by dochodzenie, a ich przestępcza organizacja zostałaby odkryta. Doprowadziłaby do tego, że wszyscy by wpadli, łącznie z nią samą.

Arnott nagle poczuł się źle. Sięgnął po papierosa, zapalił go trzęsącą się ręką i głęboko odetchnął. Nikotyna zaczęła krążyć w jego krwi. Oddychał ciężko, poczuł się spokojniejszy. Spojrzał na Sarę. Siedziała zupełnie opanowana, patrząc na swoje ekrany. Pieprzona chora psychicznie. Ale teraz jest po jego stronie. Ta myśl dodała mu odrobinę otuchy. Była to najlepsza ze złych możliwości. Odwrócił się do niej i uśmiechnął się niepewnie.

— Jesteś pieprzoną wariatką, wiesz o tym? Uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały chłodne.

— Ile zarobiłeś, Arnott?

Jego oczy błysnęły, gdy odpowiadał.

— Dwadzieścia milionów.

Sara cicho gwizdnęła. Arnott uśmiechnął się i dodał.

— Soros w Czarną Środę zarobił miliard.

— Tak, ale legalnie.

— Tak, no cóż... pomyśl tylko, ile powinien w takim razie zarobić nielegalnie. — A ty, ile zarobiłaś?

Sara wolała zachować dyskrecję.

— Nie pora o tym mówić.

Arnott spojrział na swój zegarek. Była trzynasta. Chciał uciec z parkietu, zadzwonić do Carli i uczcić dzisiejszy zysk. Dostał nagłego ataku klaustrofobii. Wstał.

— Wychodzę na lunch.

— Wypij za mnie kieliszek szampana.

Wypadł zdenerwowany. Może i jest współpracownikiem, ale poza tym nic się nie zmieniło. Wciąż jest pieprzoną suką.

Scarpirato wyszedł ze swojego gabinetu. Wilson siedział dwa biurka dalej, rozmawiając z jedną z dziewcząt z departamentu realizacji. Nie było nikogo w zasięgu słuchu.

— Jak twoja migrena?

Sara spojrzała na niego z roztargnieniem.

— Och, przeszła, dziękuję. — Uśmiechnął się, spoglądając na nią z góry. Podniosła wzrok ku twarzy Dantego, ale nie mogła wytrzymać jego spojrzenia.

Przeszukiwanie jego rzeczy było zdradą. Złamany głos Mosami ciągle brzmiał w jej głowie. Czowała mdłości po nielegalnych operacjach. Tego już za wiele. Nie chciała nawet myśleć o nim. Patrzyła pustym wzrokiem na dane na ekranie. Scarpirato stał nad nią, obserwował w milczeniu przez parę sekund, po czym wrócił do swojego gabinetu.

Sara patrzyła, jak odchodzi. Po chwili zawołała Wilsona.

— Hej, Simon, nie mógłbyś mnie dzisiaj zastąpić, bardzo cię proszę? Uśmiechnął się do niej zza biurka.

— W porządku, ale jutro twoja kolej.

— Nie ma sprawy. — Podniosła torbę i pospiesznie wyszła z budynku, na Lower Thames Street złapała taksówkę i pojechała na Mayfair.

Jej niepokój o Mosami rozbijał się o barierę nierealności, która ją otaczała.

Dzwoniła do Mosami cały ranek, ale odzywała się tylko sekretarka. Sara była pewna, że Mosami tam jest, tylko nie chce rozmawiać. Dwadzieścia minut później stała przed domem na Hay's Mews, przyciskając dzwonek. Po paru minutach z domofonu popłynął zniekształcony głos Mosami. Sara odezwała się i drzwi zabrzęczały, aby ją wpuścić.

Sara pchnęła drzwi i przez hol weszła po schodach do sypialni, gdzie Mosami leżała w łóżku, oparta na wąskiej poduszce, przykryta jasno-błękitnym kaszmirowym kocem. Uśmiechała się do Sary. Delikatne rysy jej twarzy i gładka, jasna cera nie istniały. W tym miejscu widniały przerażające opuchlizny i czarne siniaki. Drabinka szwów biegła od jej

lewego oka do połowy policzka. Ledwie widoczne białka oczu pokryte były siateczką czerwonych żyłek. Ładnie wykrojone usta spuchły jak balony, brakowało dwóch zębów.

Mosami wyciągnęła szczupłe ramię w kierunku Sary i wskazała fotel obok. Sara podeszła sztywno i usiadła. Patrzyła na swoją przyjaciółkę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Jej krew pulsowała z wściekłością, i poczuła kropelki potu na plecach. Łzy spływały jej po twarzy. Pozwoliła im płynąć, głośno łkając.

— Boże, Mosami, przepraszam. Nie miałam pojęcia, że to się tak może skończyć. Nigdy bym cię w to nie wciągnęła, gdybym...

Mosami przerwała jej.

— Stało się. Nie mogłaś tego przewidzieć. — Oddychała ciężko, robiąc przerwę po każdym zdaniu. — Jeśli o mnie chodzi, to już po wszystkim. Lekarz przyszedł wczoraj w nocy i dziś rano znowu. Pozszywał mnie, za sześć tygodni to wszystko zniknie — wskazała na twarz — a zębra się zrosną. Nie pójdę na policję. Mam przecucie, że tak jest lepiej. — Uśmiechnęła się do Sary. Mosami zgadła, że stawką było coś więcej, niż sprawy biurowe, ale z rozsądku nie chciała wiedzieć nic więcej. Wyczuła też chyba, że Sara nie chciała w to mieszać policji.

Sara uśmiechnęła się do przyjaciółki i pogłaskała ją po lśniących, czarnych włosach. Mosami ciężko westchnęła, z jedną ręką leżącą na klatce piersiowej, jak gdyby próbowała podtrzymać zębra.

— Nie martw się, Saro. Matthew Arnott i jego mała pomocnica dostaną to, na co zasłużyli. W taki czy inny sposób. Jestem tego pewna.

Sara wzięła rękę Mosami i ścisnęła delikatnie.

— Możesz na to liczyć.



## Rozdział 20

Sara spędziła popołudnie starając się unikać Arnotta. Kiedy tylko był w zasięgu jej wzroku, miała ochotę rzucić się na niego z paznokciami. Spędziła więc godzinę w bibliotece schowana między stertami czasopism, udając, że czyta *The Economist*. Kiedy wróciła do sali maklerskiej, krążyła od biurka do biurka, gawędząc leniwie, paląc papierosy, pijąc nieskończone ilości kawy. Około szesnastej nie mogła już wytrzymać. Musiała wyjść, zanim zawiodłyby ją słabe nerwy. Podeszła do swojego biurka, wyłączyła ekrany, wzięła torebkę, pożegnała się najsympatyczniej, jak tylko potrafiła, i odwróciła się do wyjścia. W swoim pośpiechu omal nie zderzyła się z Karlem Heinzem Kesslerem, dyrektorem wykonawczym ICB, który uczynił jeden ze swoich rzadkich wypadów na parkiet. Rzuciła mu ostre: „Przepraszam”, po czym ominęła go i wyszła. Spojrzał na plecy Sary i zerknął na zegarek.

— Nie wiedziałem, że tu się wychodzi już o czwartej — powiedział do Arnotta.

— Tak, ona nie przestrzega żadnych zasad.

Kessler milczał przez chwilę, badawczo obserwując Arnotta.

— Dlaczego jej tak bardzo nie lubisz? To wygląda prawie tak jakbyś się jej bał.

— Och, nie bądź śmieszny. Jest męcząca, to wszystko. Siedzenie przy niej osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu... Każdemu popsułoby humor. — Arnott westchnął ciężko i wzruszył ramionami, mając nadzieję, że wygląda to na gest obojętności.

— W każdym razie nie przyszedłem tu, aby mówić o niej — syknął Kessler zniżonym głosem. — Bardzo mnie zaintrygował ruch dzisiejszych kursów.

Myślałem, że moglibyśmy o tym chwilę porozmawiać. Jutro wieczorem.

Powiedzmy o dziewiętnastej trzydzieści w Mark's Club.

Arnott skinął głową.

Sara znalazła się w domu około 16.30 i od razu zadzwoniła do Jacoba. Przyszedł do niej godzinę później. Zauważył zmartwioną, poważną minę Sary i posadził ją przy stole w kuchni.

— Zdemaskowano cię, prawda?

— Skąd wiesz?

— Po prostu. Mój przyjaciel zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem. Powiedział, że jedna z pluskiew przestała nadawać. Oczywiście, istniało bardziej niewinne wytłumaczenie: sprzątaczką mogła wyciągnąć ją niechcący z sieci. Miałem nadzieję, że zdarzyło się coś takiego, zanim nie zobaczyłem twojej twarzy. Więc co dokładnie się stało?

Sara spojrzała przez stół na Jacoba, na jego dobrą, spokojną twarz. Chciała dostrzec w nim ślady paniki; wpadał w panikę, kiedy chodziło

o drobiazgi, w poważnych sytuacjach był zawsze spokojny.

— Arnott znalazł pluskwy w swoim biurku i w mieszkaniu Carli. Pobił Mosami. Jej twarz jest spuchnięta i pokaleczona, wygląda jak poduszczyk na igły; złamał jej dwa żebra.

Jacob zadrżał, Sara mówiła dalej:

— Próbowałam przekonać Arnotta, że musiałam coś zrobić. Myślę, że mi uwierzył.

— Roześmiała się ponuro. — Włochy podniosły dzisiaj dyskontowy kurs lira o jeden punkt. Arnott dostał cynk od Catanii.

1 wiesz co? On najwyraźniej myślał, że wiem więcej, niż naprawdę wiedziałam.

Pozwolił sobie na wymienienie nazwiska Catanii. Powiedział: „Catania mówi, żeby kupować liry”. Więc kupiłam pięćdziesiąt milionów dla siebie, sprzedałam i zarobiłam trzy miliony. — Wzruszyła ramionami. — Mam więc wytłumaczenie, że działałam w dobrej wierze. Myślę, że Arnotta już przekonałam. Pozostaje jeszcze kwestia, czy powie o mnie numerowi trzy i cztery, a jeśli tak, to czy oni też mi zaufają. Myślałam, że numer trzy to Scarpirato, ale teraz jestem przekonana, że to nie on. Jeśli jednak wytrwam trochę dłużej, jestem pewna, że będę miała szansę się dowiedzieć, kto to jest. Przerazenie wdarło na spokojną dotąd twarz Jacoba.

— Ci ludzie są nieobliczalni, Saro. Nie jestem pewien, czy powinnaś to kontynuować. — Mówił powoli, drżącym głosem, w którym słychać było mieszaninę gniewu i strachu. Bał się o nią i o Mosami.

Pozostała nieugięta.

— Muszę. Zwłaszcza ze względu na Mosami. I nie martw się. Arnott połknął haczyk. W każdym razie myśli, że jestem po jego stronie. Poza tym powiedziałam mu, że jeśli coś mi się przytrafi, taśmy zostaną wysłane do Departamentu Defraudacji. Zbladł. Naprawdę mi wierzy, więc sprzątnie nie mnie.

Jacob się rozłościł. — Nie żartuj sobie.

Sara uśmiechnęła się do siebie. Nie żartowała.

Jacob zaczął czuć, że traci grunt pod nogami. Był starym człowiekiem

na emeryturze. Myślał, że zostawił to wszystko za sobą już dawno. Westchnął głęboko.

— Słuchaj, Saro. Mam nadzieję, że twój Barrington wie, co się, u diabła, dzieje, bo ja nie wiem. Jak sądzisz, jak on zareaguje na to wszystko?

Sara patrzyła beznamiętnie na ścianę; zastanawiała się chwilę.

— Zobaczmy. — Przejrzała swój notes, podeszła do telefonu i wystukała numer Barringtona. Siedziała, wsłuchując się w sygnał, czekając, aż podniesie słuchawkę.

— Prezesie, tu Sara Jensen.

Głos bez skazy, jowialny z okrągłymi słówkami odpowiedział gładko:

— Dobry wieczór, Saro. Jak się masz?

— Dziękuję, dobrze, prezesie. Dzwonię, żeby wyjaśnić panu obecną sytuację.

Zdarzyło się kilka ciekawych spraw, pozytywnych i negatywnych. Zainstalowałam podsłuchy w mieszkaniu Carli Vitale i w ICB. Arnott je odkrył i dowiedział się, że to ja. Chciał, żebym mu się z tego wytłumaczyła. Wyjaśniłam mu, że założyłam mu pluskwy, ponieważ obawiałam się, że chce doprowadzić, abym została wyrzucona z pracy, i potrzebowałam znaleźć coś na niego, żeby móc go szantażować.

Powiedziałam mu, że wiem wszystko o jego machlojkach. Półknął to. Zaczął mówić. Dowiedziałam się, że źródłem informacji jest Catania.

Przerwała. Po drugiej stronie linii zapadła długa cisza. Barrington w końcu przemówił:

— To dosyć niezwykle, Saro. — Był zamyślony, mówił jakby z oddalenia. Potem stał się bardziej oficjalny, szorstki. — Widzi pani, mam teraz spotkanie. Oddzwonię do ciebie później, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Sara spojrzała na podłogę.

— Dobrze. Do widzenia. — Odłożyła słuchawkę, usiadła i zapaliła papierosa.

Spojrzała na Jacoba.

— Możliwe, że masz rację. Powiedział, że musi iść na spotkanie i że zadzwoni do mnie później. Brzmiało to prawie tak, jak gdyby grał na zwłokę. Mam wrażenie, że stracił grunt pod nogami. Ale jeśli nie on kontroluje sytuację, to kto?

Jacob potrząsnął głową.

— À propos, nie powiedziałaś mi o swojej nielegalnej operacji...

— Nie powiedziałaś? Nie wydawało mi się, że to odpowiednia chwila.

Anthony Barrington patrzył na stary zegar z wahadłem, który stał w kącie jego biura. Teraz potwierdziły się jego obawy dotyczące Sary Jensen. Była niebezpiecznie niezależna, jak koń, który poniósł. A on siedział w siodle. Wynajął ją, ale jak sobie powtarzał, to Bartrop był za nią odpowiedzialny. To on wymyślił całą tę sprawę.

Teraz mógłby wszystko przejąć. Zadzwonił do Ethel.

— Połącz mnie, proszę, z Jamesem Bartropem.

Barrington od razu przeszedł do rzeczy.

— Zdarzyło się parę spraw, panie Bartrop. Dobra nowina: Sara zidentyfikowała Catanię jako źródło informacji. Ale jest i zła; zdemaskowano ją. Matthew Arnott znalazł pluskwy i przeprowadził konfrontację. W jakiś sposób przekonała go, że jak powiedziała: „chciała znaleźć coś na niego”. Twierdzi, że nabrał się na to. Ale ja nie wiem. Czuję się trochę niezręcznie. Nie jestem pewien, czy należy całą sprawę kontynuować. To się staje zagmatwane, potencjalnie niebezpieczne. Nie ma tu nic spokojnego i czystego, jak pan zapowiadał. Zastanawiam się, czy nie nadszedł czas, żeby zawiadomić o niej kogoś jeszcze, Wydział Specjalny czy może MI 5. W gruncie rzeczy, czy nie należy to, w jakimś stopniu, do zakresu ich działalności? Bartrop słuchał nie przerywając, po czym odezwał się wyćwiczonym, opanowanym głosem.

— Widzi pan, prezesie, sprawa przybiera lepszy obrót, niż śmiałem przypuszczać. Nie postrzegam tego jako problemu; to prawdziwy uśmiech losu. Nie moglibyśmy wszystkiego lepiej zaplanować. Sara Jensen jest teraz w samym centrum wydarzeń. Ma wszelkie szanse, aby odkryć całą organizację, od City do mafii. Udowodniła, że jest świetnym agentem. Jeśli twierdzi, że przekonała Arnotta, pewnie tak jest. Czas pokaże. Chodzi o to, prezesie, żeby członkowie organizacji nie zwinęli interesu, a wraz z nimi nie zniknęły wszystkie dowody defraudacji. To jest teraz pańskie i moje najważniejsze zadanie. Pozostaje pytanie, kto powinien tą sytuacją się zajmować? Na początku zdecydowaliśmy, że my. Moim zdaniem nic się nie zmieniło. Wprowadzenie do sprawy kogoś jeszcze, powiedzmy „Piątki” czy Wydziału Specjalnego, tylko skomplikowałoby sprawę. Ich czynności nieuchronnie obciążałoby pańską sferę odpowiedzialności. Zapanowałby potworny zamęt. Nasz wpływ na wydarzenia zmniejszyłby się, ryzyko zwiększyło, a odpowiedzialność pozostałaby taka sama. Byłby to jeden wszechogarniający bałagan. Przy czym, oczywiście, nie możemy zapominać o Sarze Jensen. Wezmę pełną odpowiedzialność za jej bezpieczeństwo, ale nadal będę musiał pozostać w cieniu. Nie sądzę, aby dobrze przyjęła jakieś zmiany. Lepiej zostanmy przy naszym starym planie, bo inaczej mogłaby się czuć wprowadzona w błąd i narobić kłopotów. Barrington westchnął ciężko.

— Rozumiem, do czego pan zmierza, panie Bartrop, ale nie będę ukrywał, że jest mi to trochę nie na rękę.

— Rozumiem, panie prezesie, ale nie ma idealnego sposobu, aby prowadzić tę sprawę, jakiegoś rozwiązania nie wymagającego kosztów. Uczciwie wierzę, że wybraliśmy najlepszy sposób. Niech pan spojrzy na rezultaty, jakie do tej pory osiągnęliśmy. Musi pan przyznać, że nie mogliśmy przewidzieć, że odkryjemy tak dużo w tak krótkim czasie.

— Rzeczywiście. Przyznaję. — Barrington spojrzął za okno na zieleń podwórza. Przez chwilę się nie odzywał.

— W porządku, panie Bartrop. Kontynuujmy to. Będę utrzymywał kontakt z Sarą Jensen, ale pan bierze za nią całkowitą odpowiedzialność.

— Z największą radością.

— Napisze pan też coś do kartoteki, dobrze? Było to polecenie, a nie prośba.

— Coś w rodzaju listu gwarancyjnego, czy tak by pan to nazwał w terminologii bankowej?

— Tak, można to tak nazwać.

— Dobrze. Przyślę go za kilka dni.

Bartrop odłożył słuchawkę z ulgą. Rozprostował nogi i podszedł do okna.

Uśmiechnął się do swojego odbicia na szkle. Był zaintrygowany. Z każdym dniem jego poważanie dla Barringtona zmniejszało się, podczas gdy w stosunku do Sary Jensen zaczął żywić ostrożny, mimowolny szacunek. Okazała się bardzo utalentowana; trochę dzika, nieprzewidywalna, ale cenna, jeśli się umiało nią właściwie pokierować.

Barrington nie za bardzo się do tego wszystkiego nadawał. To było jasne. Nie miał jednak innego wyjścia, musiał z nim współpracować. Wszystko, co zbliżało go do Antonia Fieri, było tego warte.

To szalony, ryzykowny plan. Barrington kierowałby Sarą, a ona doprowadziłaby Bartropa do Fieriego. Każdą demaskatorską informację, którą zdobędzie Sara, gdy nadejdzie odpowiednia pora, „Szóstka” przekaże włoskim władzom. Bartrop ukryje tożsamość Sary; wystąpi w tej sprawie jako anonimowy informator, poza tym ktoś mógłby zakwestionować jej metody zdobywania informacji. Fieriego i współników zaaresztują i postawią przed sądem. A Bartrop osiągnie swój najważniejszy cel: wraz z usunięciem Fieriego, jego sieć narkotykowa zostanie rozerwana, i przy okazji wyjdzie na jaw cała masa innych nielegalnych działań. „Przyjaciół” się nagrodzi za odegranie głównej roli w doprowadzeniu do upadku Fieriego. Wkrótce zaczęłyby napływać liczne gratulacje i wyrazy uznania. To będzie jego sukces i wszystkie wyrazy uznania spłyną na niego. Bardzo tego potrzebował. Zdarzały się one zbyt rzadko, aby się nimi z kimkolwiek dzielić.

To był jego plan gry. Ale wiedział, że musi zachować ostrożność. Wiele zależało od współpracy z Barringtonem i jego zdolności kontrolowania Sary Jensen. Ważne jest również to, aby szczegóły tej operacji pozostały tajemnicą.

Siła operacji stała się pod wieloma względami również jej słabością: Sara Jensen była genialna, ze świetnym skutkiem spenetrowała ICB i odkryła organizację Catanii — ale okazała się również nieprzewidywalna i niebezpiecznie inteligentna. Barrington był idealnym „kontrolerem” i osobą firmującą akcję z uwagi na jego pozycję, ale wykazywał tendencje do chwiejności, gdy się znajdował w trudnej sytuacji. Miał zbyt wiele do stracenia, jeśli operacja się nie powiedzie.

Bartrop musi mocno trzymać Barringtona, a przez niego Sarę Jensen. Nie przedstawiało to wielkich trudności. Barrington zaszedł już za daleko, aby się wycofać. Miał za dużo do stracenia. Współpraca leżała teraz w jego interesie. A Sara Jensen... cóż, trudne kobiety to dla niego nic nowego. Pokieruje nią, zawsze znajdzie się na to sposób.

Anthony Barrington nie był zadowolony, ale poczuł ulgę. Nie mógł się już wycofać z tego przedsięwzięcia. Postanowił ograniczyć się do kontynuowania roli nadzorcy Sary, choć była to rola, która stawała się dla niego na co dzień kłopotliwa. Ale przynajmniej Bartrop wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za tę dziewczynę. A on, Barrington, stanie się tylko łącznikiem przekazującym instrukcje Bartropa Sarze i zarządzającym jej dochodzeniem. Jeśli coś po drodze pójdzie źle, to nie będzie to jego problem. Upewniony zadzwonił do Sary.

Zdawał się spieszyć. Mówił prawie bez żadnej przerwy.

— Przepraszam, Saro. Jedno nieszczęsne spotkanie za drugim. Ale do rzeczy.

Świetna robota. Trochę zamieszania, ale wybrnęłaś z tego świetnie. Masz doskonałą pozycję, dzięki twojemu szybkiemu reagowaniu. Wykorzystaj sytuację. Zobacz, co jeszcze uda ci się odkryć.

O dziwo, po radosnym tonie na początku, w jego głosie znowu pojawiła się poprzednia szorstkość. Sara poczuła się, jak gdyby znalazła się w środku dwóch tajemnic: kto jest trzecim i czwartym członkiem organizacji informowanej przez Catanie? I kto, jeśli ktoś w ogóle, sterował Barringtonem? Zobaczyła go tej nocy we śnie, jako podskakującą marionetkę kierowaną niewidzialną dłonią.

O 7.15 następnego ranka Matthew Arnott zaparkował swojego mercedesa na podziemnym parkingu pod budynkiem ICB, zatrzasnął za sobą drzwi i klatką schodową wyszedł na poziom ulicy. Metalowe okucia jego butów stuknęły o beton. Przebiegł na drugą stronę Lower Thames Street, do Fish Street Hill i skręcił w lewo w Cannon Street. Zatrzymał się przy Birley's, by zamówić swoje śniadanie na wynos, po czym pospieszył do kiosku na East Cheap po marlboro. Kupił dwie paczki, łamiąc swoje zasady. Próbował pozostać przy dwudziestu sztukach dziennie. Ale to będzie długi i ciężki dzień, a on potrzebuje balsamu nikotyny. Gdy pojawił się w biurze, Sara Jensen siedziała już za swoim biurkiem, studiując ekrany z papierosem w dłoni. Skinęła mu szybko głową i odwróciła twarz z powrotem do ekranów. Większość dnia spędził próbując ją ignorować. Ku jego uldze, zostawiła go w spokoju. Wydawała się zajęta pracą.

Siedział i palił, zastanawiając się, co powie Karlowi Heinzowi Kess-lerowi dziś wieczorem. Mógłby wyjawić prawdę; to spowodowałoby wybuch, był tego pewien. Albo mógł skłamać; ukryć wszystko. Prędzej czy później i tak wszystko się wyda. Tego też był pewien.

Okolo siedemnastej zaczęło mu huczeć w głowie. Nikotyna krążyła w jego krwi, a palce lekko się trzęsły. Miał jeszcze dwie i pół godziny. Skierował się do biblioteki i przez półtorej godziny przerzucał gazety. Potem wrócił na parkiet i usiadł przy biurku realizacji, które stało tyłem do miejsc Sary, jego i Wilsona. Ekran i stosy raportów tworzyły ścianę między dwoma rzędami biurk, sprawiając, że pracownicy z jednej strony byli niewidoczni dla tych z drugiej strony.

Tu, w dziale realizacji, atrakcję stanowiły gry komputerowe młodego pracownika, Andreasa Ruddinga. Arnott, jak większość maklerów, nałogowo grywał w szybkie komputerowe gry zręcznościowe. Ale uważał, że granie psuje mu jego image — kogoś lepszego, niż cała reszta stada. Próbował więc to robić dyskretnie.

Rozejrzał się dookoła. Przy biurku nikogo nie było. Parkiet wyludniony. Arnott wpisał swoje hasło w komputerze Ruddinga i zaczął grać.

W połowie gry usłyszał głosy z drugiej strony biurka. Spojrzał przez szczelinę między dwoma stosami raportów i zobaczył Dantego, który wychodził ze swojego gabinetu razem z Sarą Jensen. Wyłączył dźwięk i przysłuchiwał się ich rozmowie, sam nie słyszany i nie widziany.

— Słuchaj, nie możesz po prostu oczekiwać, że będę siedział i udawał, że nic się nie stało. Muszę wiedzieć, o co chodzi. Zdecydować, co mam robić.

— Och, Dante, skąd tyle pytań?

— Daj mi więc kilka odpowiedzi, Saro. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje. No już. Powiedz mi o wszystkim. Teraz.

— Gszej, na miłość boską.

— Nikogo tu nie ma. Więc...

— Okay, powiem ci. Ale nie tu. Wyjdźmy na zewnątrz. Chodźmy gdzieś na drinka.

Arnott zamarł. Patrzył na szalone błyski na ekranie przed nim. Sara Jensen wiedziała, Mosami Matsumoto wiedziała i teraz jeszcze Scarpirato. Wszystko wymykało mu się z rąk. Będzie musiał powiedzieć Kesslerowi i ponieść wszystkie konsekwencje. Ze skurczem żołądka czekał, aż Scarpirato i Sara Jensen znikną mu z oczu, podniósł słuchawkę i wystukał numer Kesslera. Kessler podniósł słuchawkę po trzecim sygnale.

— Karl Heinz? Tu Matthew. Muszę się z panem natychmiast spotkać.

— Co jest tak pilne? Mam tu jeszcze trochę pracy, parę osób. To nie jest najlepszy moment. Czy nie można z tym pół godziny poczekać?

— Nie. Nie można.

Głos Kesslera był ostry i spotęgował w Arnocie strach.

— Schodzę na dół.

Minutę później pojawił się na parkiecie. Skinął na Arnotta, który poszedł za nim do gabinetu Dantego.

— No więc?

Arnott opowiedział mu wszystko od początku do końca. Kessler patrzył na niego w milczeniu. W końcu się odezwał.

— Więc trzy osoby wiedzą: Sara Jensen, Mosami Matsumoto i Scarpirato.

Arnott przełknął ślinę.

— Tak. Ale Sara Jensen też w tym siedzi. Dokonała... Kessler wydał z siebie jęk dezaprobaty.

— Co masz na myśli, mówiąc, że ona w tym siedzi? Dokonała operacji, złamała swoje limity, złamała wewnętrzne reguły. Mogłaby powiedzieć, że widziała, jak ty kupujesz liry, pomyślała, że to dobry pomysł, i zrobiła to samo. To nie jest przestępstwem, ty idioto. Ona nie ma nic do stracenia, nie rozumiesz tego?

Arnott oglądał czubki swoich butów. Kessler patrzył prosto przed siebie, po czym wstał, chcąc wyjść.

— No cóż, stało się. Jedyne, co możesz zrobić, to trzymać usta zamknięte na kłódkę i informować mnie natychmiast, jeśli coś jeszcze się wydarzy. Ja będę musiał powiedzieć o wszystkim Catanii.

— Jak myślisz, co on zrobi? — zapytał Arnott drżącym głosem.

— Coś zrobi. Cokolwiek. Skąd, do cholery, mam wiedzieć? — rzucił Kessler. — Ma więcej do stracenia niż ktokolwiek z nas. Jest przecież zarówno informatorem, jak i uczestnikiem. Ile ma na swoim rachunku?

— Właśnie dorzuciliśmy mu kolejne osiem milionów dolarów — powiedział Arnott. — Jest tam już pewnie około trzydziestu. Dla kogoś, kto to odkryje, wystarczy, aby wysnuć wniosek, że jest on pełnym i dobrowolnym uczestnikiem naszego spisku.

— Chyba powinieneś mi podziękować za moją zapobiegliwość. — Kessler spojrzał na Arnotta z nie ukrywaną nienawiścią i pogardą.

Arnott wstał niepewnie. Wziął swoją teczkę i zaczął się żegnać. Nagle Kessler spojrzał na niego z przerażeniem.

— Sprawdziłeś to biuro, prawda? Arnott zmarszczył czoło.

— Co masz na myśli pytając, czy sprawdziłem?

Na czole Kesslera pojawiła się pulsująca żyła. Wyglądało to tak, jakby zaraz miał eksplodować.

— Wykrywaczem pluskiew. Arnott poczuł się słabo.

— Nie, nie sprawdziłem. Myślałem, że chodzi jej o mnie. Dlaczego miałbym sprawdzać gabinet Dantego?

— Masz to przy sobie? — Kessler mówił bardzo cicho, z udawanym spokojem.

Arnott sięgnął do swojej teczki. Kessler wziął od niego wykrywacz i włączył go, włożył słuchawkę i zaczął ustawiać częstotliwość. Po paru sekundach pojawiły się migające światełka.



— Jesteśmy na podsłuchu — powiedział Kessler i usłyszał swój głos wracający do niego przez słuchawkę.

Trzysta jardów dalej, w Pig & Poke Dante i Sara siedzieli przy narożnym stoliku i rozmawiali.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego nie chcesz się już ze mną spotykać. — Dante pochylił się do przodu na swoim krześle, jego zwykły spokój zastąpiło zakłopotanie. Sara wyglądała na cierpiącą.

— W porządku. Powiem ci. Niewierność. Ty masz dziewczynę, a ja mam chłopaka. Nie ma sensu zaprzeczać. Widziałam cię z nią. — Sara blefowała. Scarpirato musiał bywać w jakichś publicznych miejscach ze swoją dziewczyną w ciągu paru ostatnich tygodni. Bacznie przyglądała się jego twarzy. Milczał. — Słuchaj, Dante, mógłbyś się przyznać. Między nami skończone. Mój chłopak wyjechał. Wraca jutro. — Bóg jeden wie, jak bardzo chciała, żeby to była prawda.

— Nie ma żadnej nadziei?

Sara delikatnie dotknęła jego policzka.

— Nie, mój kochany. Nie ma nadziei. Uśmiechnął się do niej smutno. Wziął ją za rękę.

— Przyjaciele? Uścisnęła jego dłoń.

— Przyjaciele.

W czasie, gdy Sara i Dante pili razem w Pig & Poke, Karl Heinz Kessler siedział na tylnym siedzeniu swojego czarnego mercedesa, a jego kierowca, Leonard, przedzierał się powoli przez korki wzdłuż Lower Thames Street. Kessler nie odzywał się, pogrążony w myślach i spięty. Samochód powoli wypełzał z Londynu. Dwie godziny później Kessler był w Berkshire, i zbliżał się do Lambourn, serca angielskich wyścigów konnych. Mercedes jechał wąskimi, wiejskimi drogami, przecinającymi łąki, na których pasły się „emerytowane” konie wyścigowe i kucyki. Samochód zwolnił przed wysoką, żelazną bramą, zjeżdżając z drogi. Przecisnął się na długi podjazd po obu stronach wysadzany kasztanowcami. Podjazd miał dokładnie kilometr długości. Na jego końcu otoczony płaskimi polami stał wysoki, biały dom.

Podjechali przed wejście. Kessler wyskoczył z samochodu, zanim kierowca zdążył otworzyć mu drzwi, rzucił mu „dobranoc” i poszedł w kierunku domu.

Jego gospodyni, Janet, pojawiła się w drzwiach i wpuściła go. Powitał ją szorstko i po odbijającej echo jego kroków kamiennej posadzce poszedł do biblioteki. Usiadł w starym fotelu przed wygasłym kominkiem i zaczął analizować fakty. Sara Jensen, Mosami Matsumoto i Scarpirato wiedzieli. Catania miał najwięcej do stracenia w przypadku odkrycia ich działań.

Jego żona dowiedziałaby się, że miał kochankę i odeszłaby od niego. Nie byłby w stanie przekonać kogokolwiek, że został w to wrobiony. Układ z szantażem Kessler wymyślił tak genialnie, aby Catania wyglądał jak dobrowolny uczestnik grupy wykorzystującej zastrzeżone informacje; otrzymywał jedną czwartą zysków z nielegalnych operacji. Pieniądze wpłacał Arnott na jedno z tajnych kont Catanii w banku. Policyjne dochodzenie wystarczająco łatwo odkryłoby istnienie tego rachunku. Konto otwarto w banku w Szwajcarii. Dawno już minęły czasy absolutnych sekretów bankowych. Trudno byłoby przekonać funkcjonariuszy, którzy odkryliby rachunek Catanii pękający od milionów dolarów, że nie on stworzył cały ten system. Jego kariera polityczna zostałaby w jednej chwili zrujnowana. Straciłby żonę, dzieci, pieniądze i prawdopodobnie wolność. Kessler wziął telefon ze stolika obok. Postawił go sobie na kolanach. Sięgnął ręką do kieszeni płaszcza i wyciągnął cienki granatowy notes z adresami. Otworzył go na literze „c” i wystukał numer. To był problem Catanii. Niech sam go rozwiązuje. Giancarlo Catania jadł obiad z Donatellą, gdy zadzwonił Kessler. Ella, jego gospodyni, delikatnie zastukała do drzwi jadalni i weszła. Oznajmiła, że dzwoni signor Kessler. I że to pilne.

Catania groźnie spojrzał na Elle, przeprosił Donatellę, wstał i poszedł do swojego gabinetu. Catania podniósł słuchawkę i zapytał burkliwie:

— Co jest tak ważne, że nie może poczekać, aż skończy jeść obiad? — Mówił z dziwnym, włoskoamerykańskim akcentem. Angielskiego nauczył się z amerykańskich filmów. Kessler studiował zaś w najlepszych niemieckich szkołach. Jego angielszczyzna była czysta, może z niewielką domieszką obcego akcentu i amerykanizmy Catanii działały mu na nerwy.

— Mamy problem. Poważny problem. Nasza gra już nie jest tajemnicą. Wie o niej troje ludzi: Sara Jensen, Mosami Matsumoto i Dante Scarpinato. Wiedzą o wszystkim. Nic się nie uchowało.

Catania rzucił wiązanekę gardłowych, włoskich przekleństw.

— W jaki sposób?

— Banalnie prosty. Podśłuch.

— I wy nie sprawdziliście tego?

— Nie, nie sprawdziliśmy.

— Kto to zrobił?

— Sara Jensen. Pracuje razem z Arnottem. Była zazdrosna o jego pozycję w firmie. Chciała coś na niego znaleźć.

— I ty w to wierzysz?

— Tak. Wierzę. Działa na własną rękę, jeśli tym się martwisz. Sama wykonała ogromną nielegalną operację. Jest po prostu kolejnym chciwym, małym bankowcem. — Podobnie jak ty — powiedział Catania.

— Podobnie jak ja — zgodził się Kessler.

Catania zacisnęła dłoń na słuchawce tak mocno, że zrobiła się mokra. Wiedziało troje ludzi. Jak długo to potrwa, zanim dotrze do władz, do mafii, do Antonia Fieriego? Obydwaj mężczyźni pomyśleli o konsekwencjach tego odkrycia. W przypadku Kesslera kompromitacja, więzienie, konfiskata nielegalnej fortuny. Była ona ukryta na różnych rachunkach na całym świecie, ale jeśli władze wykażą wystarczającą determinację, znajdą wszystko.

Dla Catanii istniała tylko jedna konsekwencja tego odkrycia: śmierć. Mafia zabije Catanię, zanim zdąży ich wydać. Znał wiele sekretów mafii i mógłby próbować wymienić je za nietykalność. Nie pozwoliliby mu żyć, żeby nie zaczął mówić. Fieri już coś podejrzewał. Prezes Bundesbanku też. Krążyły plotki. Catania patrzył w sufit. Podjął decyzję. Nie miał nic do stracenia.

— Zajmę się tym — powiedział Kesslerowi.

## Rozdział 21

Gdy zadzwonił telefon, tleniona blondynka leżała nago w łóżku owinięta wokół drugiego, szczupłego kobiecego ciała, oglądając jakiś film na wideo. Wyciągnęła silne, muskularne nogi spod prześcieradeł, owinęła się czerwonym, jedwabnym szlafrokiem i zeszła po paru stopniach do biblioteki. Telefon przy jej łóżku nie dzwonił. Służył do rozmów prywatnych. Telefon w bibliotece służył do spraw zawodowych. Usiadła na krześle obitym ciemnoczerwoną skórą i podniosła słuchawkę.

— *Prontol*

To był mężczyzna, Włoch, o szorstkim głosie. Chciał się z nią zobaczyć. Miał interes do omówienia.

— Kim pan jest? Jak się pan nazywa?

— To nieważne. Jestem przyjacielem Antonia Fieriego. Czy to wystarczy?

— Na początek, tak. — Fieri był jednym z niewielu ludzi, którzy mieli jej zawodowy numer telefonu. Każdy, kto tu dzwonił, musiał mieć jego błogosławieństwo.

— Proszę nic więcej nie mówić. Chce pan się spotkać w miejscu neutralnym i dyskretnym. Może Hassler?

Hassler to piękny, stary hotel wychodzący na Hiszpańskie Schody w centrum Rzymu.

— Byłoby świetnie. Czy pasuje pani jutro o czternastej?

— Zobaczą, czy uda mi się zrobić rezerwację. Oddzwonię do pana i podam numer pokoju. Będzie pan wtedy mógł iść prosto, bez pytania w recepcji.

Milczał.

— Jaki jest pański numer telefonu?

Podyktował jej swój numer i odłożył słuchawkę. Numer zapisała w swoim kalendarzu. Oddzwoniła po pięciu minutach.

— Pokój 151. Widzimy się jutro o czternastej. — Odłożyła słuchawkę, zgasiła światło i siedziała w ciemności, patrząc przez okno na mroczne

niebo. Kto to był? Głos brzmiał jakby znajomo. I czego mógł chcieć? Uśmiechnęła się do swojego odbicia w ciemnej szybie.

Czekała już na niego, gdy pojawił się z piętnastominutowym opóźnieniem. Chłodna blondynka. Średniego wzrostu, około metra sześćdziesięciu, ale mocno zbudowana. Spojrzał na jej wyrobione łydki, mięśnie rozszerzały się nad ładnymi kostkami.

Stała przy oknie wyprostowana z piersią do przodu; pełna życia i pewności siebie. Nigdy nie spotkał jej przedtem, ale wiedział o niej wszystko.

Miała fatalną reputację. Antonio Fieri mówił o niej z ogromnym szacunkiem, bardzo żałował, że odeszła na emeryturę. Od czasu do czasu ulegała jego namowom i brała zlecenia, mimo że porzuciła już ten interes. Ale to był bardzo strzeżony sekret dzielony tylko przez nich dwoje; Catania tego nie wiedział.

Znano ją jako Christine Villiers, amerykańską statystkę. Nie było to ani prawdziwe imię, ani prawdziwe zajęcie, ale doskonała przykrywka. Kilka lat temu Catania zdobył jej numer telefonu i zapisał go na wszelki wypadek. Błogosławiona zapobiegliwość.

Teraz stała przed nim. Gotowa do akcji i oczekująca propozycji. Spojrzał na nią z uznaniem. Uśmiechnęła się. Poznała go od razu.

— Co mogę dla pana zrobić, panie prezesie?

— Dużo zapłacę. Dwa razy tyle, ile dostajesz zwykle. Skinęła głową.

— Znakomicie.

— Chcę zabić trzy osoby.

O wpół do czwartej Christine wróciła do swojego mieszkania na Passeggiata di Ripetta, eleganckiej, wysadżanej drzewami ulicy. Zamknęła za sobą drzwi, wyłączyła prywatny telefon i zaczęła planować.

W Londynie, parę godzin później, Jacob siedział w salonie Sary, czekając na jej powrót z pracy.

Wróciła o 19.10. Jacob uśmiechnął się do niej zatroskany.

— Gdzie byłaś? Sara się zdziwiła.

— W siłowni. Przez godzinę ćwiczyłam. Boże, potrzebowałam tego. Miałam potworny dzień. Arnott wciąż dziwnie mi się przygląda. Nie arogancko czy wrogo, jak zwykle. Wyglądał na przestraszonego. —Przyjrzała się zmartwionej twarzy Jacoba. — Hej, co się dzieje?

Jacob podszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

— Słuchaj, Saro. Cała sprawa jest zupełnie spalona.

— O czym ty mówisz?

— Mam trochę materiałów na kasetach. Karl Heinz Kessler i Arnott

rozmawiali ze sobą wczoraj wieczorem w gabinecie Dantego Scarpirato. Scarpirato jest niewinny, Kessler jest trzecią osobą, a Catania czwartą. Kessler i Arnott założyli w szwajcarskim banku rachunek dla Catanii. Wpłacali na niego jedną czwartą zysków, aby stał się dobrowolnym członkiem spisku. To kolejny sposób, aby mieć go pod kontrolą. Sara chwyciła torbę sportową, którą wciąż miała na ramieniu.

— Boże, Jacob, tego już za wiele. Wiedziałam, że Arnott i Kessler są zaprzyjaźnieni, ale myślałam, że Arnott jest po prostu popychadłem Kesslera. Wydawało mi się, że Kessler jest ponad to wszystko, rozumiesz; szanowany szef wykonawczy jednego z najważniejszych banków inwestycyjnych. Zastanawiałam się nad tym raz czy dwa, ale wykluczyłam taką możliwość. Jakoś nie mieściło mi się to w głowie. — Zamilkła.

— Nie wiesz jeszcze najgorszego — kontynuował Jacob. — Arnott powiedział Kesslerowi o tobie i Mosami. Myśli, że Scarpirato też wie. I odkryli pluskwę. Więc gra skończona. Podwójne odkrycie. Kessler powiedział, że zamierza poinformować o wszystkim Catanię i że on będzie musiał „coś zrobić”.

Sara upuściła swoją sportową torbę na podłogę i usiadła na kanapie. Pogrzebała w torbie, szukając papierosów i zapaliła trzęsącymi się dłońmi.

— Nie sądzę, abym mogła to ciągnąć.

Zadzwoiła do prezesa do jego biura i do mieszkania w banku. Nikt nie podnosił słuchawki.

Tego samego wieczoru samolot linii Alitalia, lot numer AZ 286 z Rzymu wylądował z piskiem opon na londyńskim Heathrow. Było to ostatnie połączenie tego dnia i samolot pękał w szwach. Dwoje pasażerów, którzy zarezerwowali bilety dziś po południu, znalazło wolne miejsca tylko w business class. Wysiedli z samolotu i przeszli kontrolę paszportową. Obydwoje podróżowali na fałszywych paszportach. Jeśli nawet byli zdenerwowani, nie dali tego po sobie poznać; mieli najlepiej podrobione dokumenty, jakie można kupić.

Uśmiechnęli się do kobiety z kontroli paszportowej, gdy przeglądała ich dokumenty. Przepuściła podróżnych skinieniem głowy. Ruszyli po swoje bagaże. Żaden obserwator nie podejrzewałby, że podróżują razem. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, oprócz umiejętności zabijania.

Przeszli przez kontrolę celną i ruszyli do postoju taksówek. Każde z nich wsiadło do innej. Mężczyzna, Gianni Carudo, pojechał do hotelu w centrum Londynu, przy Park Lane. Kobieta, Christine Villiers, zatrzymała się w swoim domu przy St Leonard's Terrace na Chelsea.

Trzeci członek grupy, Daniel Corda, mieszkał tutaj, w Londynie, przez całe trzydzieści lat swojego życia. Był angielskim kontaktem Christine. Chociaż wynajmowała dom w Londynie, na stałe mieszkała w Rzymie i potrzebowała kogoś doskonale znającego Londyn. Zadzwoiła do

Cordy, by powiedzieć mu, że właśnie przybyli i zaczynają realizację zlecenia. Poprosiła, żeby przyszedł do jej domu o północy, wtedy objaśni cały plan. W ciszy swoich pokoiw Christine Villiers, Carudo i Corda myśleli o swoich zleceniach. Christine Villiers miała zabić Dantego Scarpirato. Nie zabijała kobiet. Do tego wynajmowała mężczyzn. Gianni Carudo zajęłby się Sarą Jensen, a Daniel Mosami Matsumoto. Christine potrzebowała ich również dlatego, że zlecenie było pilne. Catania powiedział jej, że cele muszą zostać zlikwidowane natychmiast. Miała nadzieję zrobić to w czasie weekendu. Dwa dni zajęłoby obserwowanie ofiar, zbadanie, jak mieszkają, i zaplanowanie całej strategii. Normalnie powinni mieć na to przynajmniej tydzień, ale takie mieli zlecenie, a poza tym umieli działać szybko. Robili to już wcześniej.

Parę godzin później w ciemnościach parnej, londyńskiej nocy troje zabójców wyslizgnęło się na ulicę, aby odetchnąć wieczornym powietrzem i poszukać pierwszych śladów swoich ofiar.

Gdy Jacob wyszedł, Sara nie spała, czytając do wczesnych godzin rannych. Siedziała na kanapie w salonie z książką w dłoni i szklanką whisky przy boku. Nie mogła zasnąć. Co jakiś czas odkładała książkę i chodziła po pokoju. Zasłony były rozsunięte. Stała w jasnym świetle. Nie miała pojęcia, że czyjeś ciemne oczy śledzą każdy jej ruch.

Obserwował ją ukryty w krzakach na skraju ogrodu Gianni Carudo. Jest piękna. To będzie prawdziwa przyjemność. Wróci tu jutro późno w nocy ze swoim nożem i wyrwie ją ze snu. Obserwował, dopóki nie zgasła światła. Domyślił się, że sypialnia musi być z drugiej strony. Wymknął się cicho.

Sara obudziła się następnego ranka wyczerpana. Zmusiła się, aby pójść do pracy. W czasie porannej narady siedziała naprzeciw Dantego Scarpirato. Wymienili porozumiewawcze uśmiechy. Źle go oceniła; był niewinny i teraz po ich rozmowie we środę wieczorem czuła, że mogłaby się z nim spotykać bez żadnego stresu. Gdy usiadła naprzeciw, po drugiej stronie stołu konferencyjnego, uśmiechał się do niej. Znajdowała się w odległości pół metra od niego, piękna, ale niedostępna. Opadły go wspomnienia. Odpędził je. W ten sposób było łatwiej. Rozejrzał się dookoła, weszli Arnott i Wilson. Arnott przyglądał mu się jakoś dziwnie. Wzruszył ramionami i rozpoczął spotkanie.

Arnott siedział, czekając w napięciu. Miał wrażenie, że Scarpirato zachowuje się zwodniczo normalnie. Wydawał mu się nawet zadowolony. Czekając na odpowiednią chwilę, pomyślał Arnott. Pewnie dlatego on i Sara zdawali się tacy skupieni. Prawdopodobnie obgadali wszystkie sprawy podczas tego wyjścia na drinka we środę wieczorem. Męczyła go niepewność, co Kessler i Catania mają zamiar z tym zrobić.

Sara została sama w sali konferencyjnej po zakończeniu spotkania.

Zamknęła za nimi drzwi i natychmiast zadzwoniła do mieszkania prezesa. Wciąż nikt nie odpowiadał. Zadzwoniła do jego biura. Nie było nikogo. W końcu o ósmej telefon odebrała sekretarka.

— Czy mogę rozmawiać z prezesem? Mówi Sara Jensen. Głos, który jej odpowiedział, był zimny i oficjalny.

— Przykro mi, prezes wyjechał za granicę z oficjalną wizytą. Sara nie chciała robić paniki.

— To pilne, muszę z nim rozmawiać.

— Jeśli prezes zadzwoni, może pani być pewna, że przekażę mu wiadomość o panie telefonie.

— A może ja mogłabym sama zadzwonić do prezesa? Kobieta się roześmiała. Słysząc było w jej głosie lekkie oburzenie.

— Tak jak pani powiedziałam, panno Jensen, jeśli prezes zadzwoni, powiem mu, że pani dzwoniła.

Sara się przestraszyła.

— Obawiam się, że pani nie rozumie. Muszę natychmiast rozmawiać z prezesem. Teraz głos był bardziej zirytowany.

— Proszę mnie posłuchać, panno Jensen. Prezes jest w Nowym Jorku. Jest tam teraz środek nocy. Czy to się pani podoba, czy nie, będzie musiała pani poczekać.

Sara odłożyła słuchawkę. Przejechała dłońmi po nagich ramionach. Nagle poczuła się bardzo samotna.

Ranek minął spokojnie. Rynki były uśpione. Sara czytała gazety i usiłowała nie myśleć o prezesie. Arnott siedział z lewej strony, wciąż rzucając jej dziwne spojrzenia, ale czuła się zbyt zmęczona, by z nim rozmawiać.

Biura Cordillon et Cie znajdowały się przy brukowanej ulicy w samym sercu starej Genewy, w budynku, który kiedyś był domem prywatnym. Jediną oznaką, że mieści się tu bank, jest mała brązowa płytką z wygrawerowaną literą „C”. Tylko zorientowani wiedzieli, że za kremową fasadą kryje się jeden z pierwszych szwajcarskich, prywatnych banków.

Większość wewnątrz, szczególnie w części widocznej dla klientów, umeblowana jest jak prywatne mieszkanie, z cennymi obrazami, eleganckimi pokojami przyjęć i przytulnymi gabinetami. Nowoczesna strona banku została starannie ukryta.

Komputery, faksy, ogromny ekran maklerski są zamknięte w pracowniach na wyższych piętrach. Wielu młodych menedżerów, księgowych i urzędników siedzi tam przed klawiaturami komputerów, bazgrze w dziwnych księgach rachunkowych i zajmuje się miliardami funtów z tajemniczych źródeł. Jeszcze jedną oznaką nowoczesności są tam wiszące na ścianie cztery zegary pokazujące czas w Genewie, Londynie, Nowym Jorku i Tokio.



Peter Jaeggli, dwudziestoosmioletni średniej rangi kierownik księgowy, spojrział na zegar wskazujący czas genewski. Dwunasta. Pora na kolejną filiżankę świeżo zmielonej kawy. Przeszedł przez pokój do małej kuchni na zapleczu i przygotował bardzo mocną, kolumbijską kawę. Podszedł ostrożnie do swojego biurka, popijając po drodze, zajął swoje miejsce i wrócił do dokumentów na biurku. Były tam kopie przeznaczone do archiwizacji całej serii telegraficznych przekazów gotówkowych. Jaeggli zmarszczył czoło i pokręcił głową, jak gdyby nie chciał uwierzyć zamazanym, czarnym wydrukowi. Słowa, cyfry, instrukcje zamigotały mu przed oczami. Szybko dokonał w pamięci obliczeń. Bilans netto tych przelewów wskazywał zysk trzech milionów dolarów wpłaconych na rachunek numer LS 236190X. Operacja została dokonana dzień wcześniej, we czwartek, dwa dni po tym, jak dokonano transakcji. Z powodu wielkości i nietypowości przelewów pieniężnych, zostały one przekazane przez młodszego urzędnika pod uwagę Jaeggliemu.

Jaeggli spróbował kawy i popatrzył w sufit. Musi istnieć jakieś niewinne wyjaśnienie. Być może błąd. Nie wolno mu pochopnie wyciągać wniosków. Najpierw trzeba zapytać. Ocenic fakty, a działać później. To było wszystko, co mógł zrobić. Zaczekał, aż współpracownicy z sąsiednich biur oddalą się albo zajmą się rozmowami telefonicznymi, i szybko wystukał numer.

Simon Wilson krzyknął do Sary przez parkiet.

— Jakiś Szwab. Druga linia.

Sara wróciła i podniosła słuchawkę.

— Sara? Tu Peter Jaeggli. Musimy porozmawiać — powiedział grobowym głosem. Sara od razu uświadomiła sobie, w jakiej sprawie dzwoni. Jej nielegalna operacja, opierająca się na sumach większych, niż poprzednio miała na swoim rachunku, przynosząca trzy miliony dolarów zysku. Cordillon poradziłby sobie z przepływającymi pieniędzmi, więc nie powinna być bez pokrycia, ale mimo wszystko jej zachowanie w stosunku do banku, w którym trzymała pieniądze, nie było w porządku, nie wspominając o narzucających się podejrzaniach. Nic dziwnego, że głos Jaeggliego brzmiał tak poważnie. Chociaż bankowcy szwajcarscy byli tradycyjnie krótkowzroczni, jeśli nie wręcz ślepi na podejrzane wpłaty. Ale Sara podejrzewała, że jej wpłata omijała zbyt wiele przepisów, aby ją przeoczyć.

— Tak, Peter. Chyba powinniśmy.

— Proponuję, żebyś przyjechała do Genewy najszybciej jak możesz. Jest taki lot...

Sara przerwała mu.

— Co? Mam przyjechać do Genewy. To wygląda jak melodramat, nie sądzisz? Jego głos zdradzał napięcie.

— Nie w tych okolicznościach. Nie prosiłbym cię o to, gdybym nie musiał. Sara trzymała telefon z daleka od siebie i patrzyła na swoje biurko zaskoczona. Znała Jaeggliego od ośmiu lat. Razem kończyli Cambridge. Odwiedzała go w Genewie z Alexem, jeździli na nartach i chodzili razem po Alpach. Nigdy przedtem nie słyszała takiego tonu w jego głosie. Poczula się przygnębiona i dezorientowana.

— Słuchaj, Peter. Przyjechałabym, gdyby nie skomplikowana sytuacja tutaj. Naprawdę, nie mogę się stąd ruszyć.

Jego głos był nieustępliwy.

— Przykro mi, Saro. Muszę nalegać. Zrozumiesz, kiedy się zobaczymy. Sara spojrzała zamyślona na sufit. W końcu przemówiła.

— W porządku, Peter, przyjadę.

— Jest lot SwissAir o 15.05 z Heathrow. Odbiorę cię na lotnisku.

O 13.30 Gianni Carudo wślizgnął się na Carlyle Square. Miał na sobie dzinsy, drelichową marynarkę, białą koszulkę z krótkim rękawkiem, adidas i czapkę z daszkiem — pospolity ubiór gwarantujący na King's Road zupełną anonimowość. Szedł w kierunku domu Sary. Nie za szybko ani nie za wolno. Nie było w nim nic, co by mogło wzbudzić podejrzenia. Spojrzał do góry na puste okna. Nie było jej w domu od paru godzin. Powiedziano mu, że kończy pracę między szesnastą a dziewiętnastą. W tym czasie pokreśli się dookoła, obejrzy jej dom od frontu i z tyłu, zapozna się z rozkładem. Później będzie obserwował z odległości, zobaczy, jak wchodzi do domu, sprawdzi, czy nie ma jakichś gości. Brał pod uwagę możliwość, że może gdzieś wyjść na wieczór lub wróci, przebierze się i znowu wyjdzie. Ale prędzej czy później wróci, a on na nią zaczeka. Był gotowy do akcji już teraz; piętnastocentymetrowy nóż miał przymocowany do łydki pod dzinsami. Ale noc jest najlepsza. Lepiej się to robi w ciemności. Gdy szedł, w jego kieszeni brzęczały klucze. Miał wybór najlepszych wytrychów dostępnych na rynku. Pozwolą mu dostać się do jej domu w parę sekund.

Przeszedł przez skwer i znalazł się na Old Church Street. Na jakiś czas zniknie w tłumie na King's Road i powtórzy swój obchód później. Nie było to konieczne, ale lubił sprawdzić, jak żyje ofiara, nawiązać z nią kontakt, choćby nikły; zaznaczyć swoją obecność.

Wślizgnął się do budki telefonicznej na King's Road. Wyobraził sobie jej twarz i jego puls przyspieszył.

Sara wyjaśniła Dantemu, że musi wziąć wolne popołudnie — pilna sprawa osobista.

— W porządku — uśmiechnął się. — Tak czy inaczej wątpię, abyś dużo zrobiła w piątek po południu.

Sara odetchnęła i wróciła do swojego biurka, wzięła torebkę i już miała wychodzić, gdy zawołał ją Wilson.

— Zaczekaj. Jest do ciebie telefon. Brzmi jak Włoch. Linia pierwsza. Sara sięgnęła po słuchawkę i podniosła ją zirytowana.

— Halo! Halo! — Ale nikt nie odpowiadał.

Ukryty w budce telefonicznej Gianni Carudo uśmiechnął się do siebie. Tak jak przypuszczał, Sara Jensen była w swoim biurze. To przecież dla niej normalny dzień. Skąd miałyby wiedzieć, że ostatni w jej życiu. Carudo poczuł perwersyjną przyjemność.

Sara rzuciła słuchawkę zirytowana. Jakiś idiota zawsze dzwoni, kiedy się spieszysz. Chwyliła torebkę i szybko wyszła, zanim ten ktoś zadzwoni znowu.

Złapała taksówkę na Lower Thames Street i poprosiła taksówkarza, żeby szybko ją zawiózł na Carlyle Square, gdzie miał poczekać na nią pięć minut, zanim zawiezie ją na Heathrow. Kiwnął głową gorliwie; to dobry kurs. Co najmniej czterdzieści funtów — przewidywał.

Pół godziny później wjechał na Carlyle Square i znalazł miejsce do parkowania za rogiem domu Sary. Sara wybiegła, żeby wziąć paszport, spakować parę rzeczy i zadzwonić do Jacoba, zostawić mu wiadomość, że wyjeżdża.

Taksówkarz zaparkował i wyłączył silnik. Siedział w samochodzie, oglądając ogród pełen jaskrawych kwiatów. Zobaczył młodego mężczyznę w czapce z daszkiem idącego w jego kierunku. Było w nim coś nieprzyjemnego, miał jakieś niepokojące spojrzenie. Z ulgą zauważył, że mężczyzna skręca w King's Road i znika mu z oczu. Usłyszał stukanie w okno i podskoczył przerażony. Młoda kobieta wróciła, ściskając małą walizkę. Wsiadła do taksówki.

— Proszę na terminal drugi.

Ruszył i wjechał na King's Road. Sara pograżyła się w lekturze *Evening Standard*, który ktoś zostawił na tylnym siedzeniu.<sup>1</sup>

Minęli mężczyznę w czapce z daszkiem. Patrzył prosto przed siebie. Nie zauważył pięknej kobiety przejeżdżającej w taksówce zaledwie metr od niego.

Samolot linii SwissAir, rejs numer 833, wylądował na genewskim lotnisku o 17.35. Peter Jæggl czekał w hali przylotów, tak jak obiecał. Przywitał się z Sarą bardzo oficjalnie i zaprowadził ją do swojego samochodu, metalicznego alfa romeo spyder z opuszczonym dachem. W Genewie było ciepłe, orzeźwiające, późne popołudnie. Jechali w milczeniu, wiatr rozrzucał włosy Sary na jej twarzy, zanim nie zwolnili, aby wlec się w wieczornych godzinach szczytu. Pół godziny później wjechali na małą, brukowaną boczną uliczkę w starej części Genewy, pół mili od biura Petera. Zaparkował ostrożnie wjeżdżając zwróconym tyłem w wąską przestrzeń. Uśmiechnął się lekko, zadowolony z manewru. Wciąż nic nie mówiąc, zaprowadził Sarę do swojego apartamentu na pierwszym piętrze. Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka. Jego ruchy były niezręczne, gwałtowne. Obowiązki gospodarza i przyjaciela

kłóciły się z obowiązkami zawodowymi. Przyniósł jej whisky, sobie też nalał sporo i usiadł obok Sary na kanapie.

Bawił się swoją szklanką. Oboje odczuwali niezręczność sytuacji. Sara nie próbowała zaczynać normalnej towarzyskiej rozmowy. Cokolwiek musi powiedzieć, niech powie i niech będzie po wszystkim. Może wtedy porozmawiają normalnie, jak starzy przyjaciele.

Odchrząknął.

— Czuję się trochę niezręcznie, Saro... — Spojrzał na nią. Wyglądał na zawstydzonego; przepraszaający, ale zdecydowany.

Uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami, z góry go rozgrzeszając.

— Chodzi o te trzy miliony, które ostatnio zarobiłaś na rynku wymiany walutowej. Muszę zdać z tego raport swoim zwierzchnikom. I muszę zadać ci parę pytań o to, jak je zarobiłaś.

Sara prawie niezauważalnie westchnęła, oparła się na kanapie i studiowała twarz Jaeggliego, szukając wyjaśnienia w jego oczach.

To było niezwykle. Spodziewała się, że będzie mogła dysponować pieniędzmi, wpłacając i wypłacając je ze swojego rachunku, tak jak miała ochotę, bez potrzeby tłumaczenia się z tego menedżerowi jej rachunku. Od niego oczekiwała, aby opiekował się jej rachunkiem, sprawdzał, czy wpłaty i przelewy były właściwie zapisywane, płacił procent za lokatę, kiedy nadchodzi termin, i realizował normalny, bankowy zakres usług. A on zachowywał się jak funkcjonariusz, który narusza jej finansową niezależność. Poczwała falę gniewu. Napila się duży łyk whisky i poczuła, jak gniew opada. Usiłowała myśleć spokojnie i racjonalnie, ale wzrastający niepokój nie pozwalał jej się skupić.

Orientowała się, że władze miały prawo zadawać pytania bądź grzebać w rachunkach szwajcarskich banków tylko wtedy, kiedy jakiś rachunek był podejrzany o ukrywanie pieniędzy pochodzących z handlu narkotykami lub innego równie poważnego procederu. Jaeggli zachowywał się teraz bardziej jak policjant niż menedżer jej rachunku. Ktoś więc musiał podejrzewać, że jej trzy miliony zostały uzyskane nielegalnie. I nie chodziło tu o to, że uzyskała je za pomocą nielegalnych środków, co przechodzi na tak wielu szwajcarskich rachunkach bez pytania, ale na drodze poważnej działalności przestępczej. Jej umysł zaczął pracować. — Myślę, że lepiej będzie, jeśli powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi — odezwała się.

Teraz z kolei Jaeggli się zdziwił. Sara miała zdecydowany i nieprzejednany wyraz twarzy. — Nie wolno mi o tym nikomu mówić. Nie powinienem nawet zapraszać cię tutaj. — Z pewnością. Ale zaprosiłeś. Nie dowiesz się ode mnie niczego, zanim nie powiesz mi, o co chodzi. Więc równie dobrze ty możesz zacząć.

Jaeggli przez chwilę milczał, po czym zaczął wyjaśniać.

— Miało to miejsce około dwóch miesięcy temu. Główny dyrektor,

Hen Hoffman, wezwał mnie do swojego gabinetu i powiedział, że angielskie i niemieckie władze chcą, aby Cordillon przeprowadził parę dochodzeń na ich rzecz. Poprosił mnie, abym monitorował rachunki moich klientów pod kątem dużych ruchów gotówki związanych z pewnymi datami. Nie wyjaśnił mi znaczenia tych dat i nie powiedział o podstawie dochodzeń, ale po paru tygodniach zdawało mi się, że władzom chodziło

O duże przepływy gotówki po znaczących wydarzeniach ekonomicznych, takich jak zmiany kursów walut czy interwencje G7 na rynkach walutowych. — Jaeggli przerwał, by odetchnąć.

— Potem trafiłem na twoje trzy miliony zarobione w dwa dni po podniesieniu przez Bank Włoch dyskontowego kursu lira o jeden procent.

Jaeggli westchnął ciężko, jak gdyby uwolniony od jakiegoś ciężaru. Wstał, podszedł do małego stolika i wziął z niego czarną paczkę papierosów davidoff. Przeszedł przez pokój i poczęstował Sarę. Obydwoje zapalili,

i zaciągnęli się głęboko.

Umysł Sary nie przestawał pracować. Implikacje tego, co powiedział Jaeggli, były bardzo niepokojące. Angielskie władze podejrzewały, że istnieje przeciek w G7 i że ktoś gdzieś dokonuje operacji na rynkach walutowych, używając utajnionych informacji. Bank Anglii musi o tym wiedzieć. Anthony Barrington również. Ale nic jej nie powiedział, nie zrobił najmniejszej aluzji do czegoś, co miało podstawowe znaczenie dla jej dochodzenia. Dlaczego? Sara usiłowała to zrozumieć.

Jeśli wiedział, ale informacje zatrzymał dla siebie, to nie miało to sensu. Ale jeśli nie miał pojęcia wtedy o ICB, Arnotcie i Carli Vitale, mógł mieć pewność, że ktoś używa tajnych informacji niezależnie od machlojek w ICB. Ta myśl uderzyła Sarę jak obuchem w głowę. Musiało istnieć więcej niż jedno kółko korzystające przy operacjach z informacjami z G7. Barrington podejrzewał, że ICB to druga odnoga przecieku, o którym już wiedział, że ma miejsce. Ale dlaczego jej o tym nie napomknął? Nie ufał jej, czy były jakieś inne powody, aby trzymać ją w nieświadomości? Zwróciła się do Jaeggliego. — Te władze. Czy szukały kogoś konkretnego, wskazały jakieś szczególne rachunki, które masz sprawdzać? Jaeggli patrzył na czubki swoich butów. Na chwilę podniósł wzrok i zaczął mówić powoli, jakby się ociągając. Łamał wszystkie zasady poufności, zdradzając jej to, w ogóle przeprowadzając z nią tę rozmowę.

— Cóż, rozmawiałem tylko z Hoffmanem, a on był bardzo ostrożny. Nakierował mnie na pewne rachunki. Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę, że znam nazwiska niektórych posiadaczy tych rachunków. Były utajnione, po prostu cyfry, żadnych nazwisk. W każdym razie pewnego dnia, parę miesięcy przedtem, zanim cała sprawa się zaczęła, widziałem na jego biurku kartotekę pewnego rachunku, potem zabrał ją na spotkanie z jakimś klientem. Zobaczyłem również tego klienta.

Poznałem jego twarz.

Znałem go z gazet, nazywa się Antonio Fieri. Później poproszono mnie, abym monitorował również jego rachunki.

Sara nie zareagowała. Nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego nazwiska.

— Mówi się o nim, że jest szefem mafii — dodał Jaeggli. Obserwował twarz Sary. Znieruchomiała, zupełnie jakby włożono na nią maskę. Pod nią zobaczył panikę, konsternację i przerażenie. Potem przyszła wściekłość, najpierw słaba i drżąca, potem rosnąca, aż jej umysł opanował zupełny chaos.

— Czy teraz powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? — Głos Jaeggliego dochodził do niej jakby z bardzo daleka.

Sara patrzyła na niego, jakby była nieobecna, potem nieco dawnego ciepła wróciło na jej twarz.

— Mogę ci tylko powiedzieć, że ja też pracuję dla rządu. Przyjrzał się jej uważnie. Coś w tonie głosu Sary sprawiło, że jej uwierzył.

— Te pieniądze, które zarobiłam, też należą do sprawy. Lepiej będzie, jeżeli nie zwrócisz na to czyjejkolwiek uwagi. Wiem, że proszę cię o bardzo dużo... — Obserwowała go bacznie w milczeniu, które zapadło po jej słowach. Czekwała, wstrzymując oddech. Nie była pewna, dlaczego uznała za konieczne nie wspominać nikomu o tych trzech milionach. Ten sam instynkt, który powstrzymał ją przed poinformowaniem o tym Barringtona, znowu krzychał: „Zachowaj to w tajemnicy!” Jaeggli wyciągnął przed siebie ręce i spoglądał na swoje palce.

— W porządku. Nic nie powiem. Jeśli nie zwrócę na to niczyjej uwagi, powinno przejść nie zauważone. Ale, Saro...

— Hmm?

— Na twoim miejscu więcej bym tego nie robił.

Zdawała się być gdzieś daleko. Dolał jej whisky. Sączyła ją w ciszy. Przysunął się do niej bliżej i odgarnął jej włosy.

— A teraz, skoro już tu jesteś, spróbuj zapomnieć o całej sprawie. Dlaczego nie miałabyś zostać na weekend? Możemy pojechać w góry i trochę połazić.

Sara odwróciła się do niego z uśmiechem. Poczuł, że wraca na ziemię z bardzo daleka.

— To cudowny pomysł.

Lot SwissAir z Genewy na londyńskie Heathrow wystartował o 20.05 w niedzielny wieczór. Sara siedziała z zapiętymi pasami i patrzyła przez okno, a samolot wzbijał się pod chmury. W oddali wynurzała się sylwetka Alp.

Spędziła cudowny weekend z Peterem. Chodzili po górach, jedli, pili, jak za dawnych czasów razem z Alexem. Na chwilę udało jej się odsunąć wszystkie przerażające lęki.

Spojrzała przez okno na sterczące szczyty i pomyślała o swoim bracie i chłopaku tysiące kilometrów stąd, wysoko na dachu świata. Zastanawiała się, jak im idzie, czy za nią tęsknią. Znowu poczuła w sercu ukłucie samotności i strachu.

Przyleciała na Heathrow o 20.45 miejscowego czasu. Przeszła przez odprawę celną i skierowała się do telefonów. Znalazła wolny, wrzuciła pięćdziesiąt pensów i zadzwoniła do Dantego. Odpowiedział po trzecim sygnale.

— Dante? Tu Sara.

— Nareszcie się pojawiłaś. Jak twoja pilna sprawa osobista?

— Dante, posłuchaj, czy mogę wpaść? Muszę z kimś porozmawiać. Jesteś sam, prawda?

Roześmiał się.

— Tak. Jestem sam. Przyjeżdżaj.

## Rozdział 22

Gianni Carudo zaklął cicho. Sary Jensen nie było w domu, oczywiście musiała wyjechać gdzieś na weekend. Nie miał wątpliwości. Nic nie widać ani nie słysząc. Światła zgaszone, włączona automatyczna sekretarka. Słuchał jej głosu nagranych na sekretarkę. Był to ładny głos, mocny i pewny siebie. Podobały mu się takie głosy. Dzwonił co pół godziny. Wciąż cisza. Po jakimś czasie znienawidził ten głos. Ale kiedyś wróci, najprawdopodobniej dziś wieczorem, a kiedy się pojawi, on będzie na nią czekał. Powoli budziło się w nim zniecierpliwienie i złość.

Christine Villiers poczuła pierwszy dreszcz podniecenia promieniujący w dół od kręgosłupa. Obserwowała dom przez cały weekend. W końcu dziewczyna wyszła. Scarpirato został teraz sam. Była pewna. Rozejrzała się dookoła. Na ulicy spokojnie. Uśmiechnęła się i poszła w kierunku jego drzwi.

W środku Scarpirato właśnie nalał sobie wódki i zapalił cygaro. Siedział, czekając na Sarę Jensen. Nie był zaskoczony jej telefonem. Wiedział, że wróci do niego prędzej czy później.

Usłyszał ciche stukanie do drzwi. Wszedł do holu i otworzył drzwi. Na schodach stała zupełnie nieznajoma osoba. Spojrzał na nią zdziwiony.

— Tak?

Była piękną blondynką średniego wzrostu z długimi włosami ściągniętymi w koński ogon, który wystawał z tyłu baseballowej czapki. Miała trójkątną twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi, prostym nosem i rzeźbionym podbródkiem. Była to mocna twarz, bez uśmiechu. Jej oczy wydawały się zimne, też bez uśmiechu. Ubranie — obcisłe dzinsy i podkoszulek — sprawiało, że wyglądała młodziej, niż sugerowała jej twarz. Powiedziała, że nazywała się Gabrielle, jest przyjaciółką Sary i musi z nim pomówić.



Miał słabość do blondynek. Pozwolił jej wejść. Drzwi się zatrzasnęły. Poprowadził ją długim korytarzem.

Było świetnie. Długi, ciemny korytarz. Żadnych okien, grube ściany. Christine sięgnęła do swojej torebki i wyjęła ruger mark 11 kaliber 22. Był to automatyczny pistolet z zamontowanym tłumikiem. Obydwie stopy postawiła mocno na ziemi, wzięła pistolet w obydwie ręce, odbezpieczyła i wycelowwała w czaszkę trzy kroki przed nią. Dante odwrócił się w momencie, gdy pociągała za spust. Słowa zamarły na jego ustach. Cygaro wypadło mu z ręki i potoczyło się po schodach. Wtopiło się w dywan, żarząc się w ciemności. Nitki w dywanie zaczęły się topić z gorąca. Za parę minut ogień zajmie wszystko.

Christine spojrzała na pistolet. Umieściła go ostrożnie w małej pikowanej torebce. Będzie musiała się go teraz pozbyć. Ale dzięki panu Dantemu Scarpirato kupi sobie całe mnóstwo nowych.

Sprawdziła ubranie. Żadnych śladów krwi. Stała wystarczająco daleko. Ściana za nim była zbryzgana, ale jej krew nie dosięgła. Wyszła z wdziękiem z domu i zamknęła za sobą drzwi.

Ruszyła King's Road i wmieszała się w wieczorny tłum. Kilka razy skręciła i po dwudziestu minutach była w domu. Przeprowadziła dwie krótkie rozmowy telefoniczne. Jedną w interesach, drugą dla przyjemności. Uśmiechnęła się na myśl o wieczorze. Spotka się dziś w nocy z Nicole.

Taksówka pędziła autostradą A4 do centrum Londynu. Silnik wydawał z siebie wysoki dźwięk, wywołując w uszach Sary brzęczenie. Hałas się zmniejszył, gdy taksówka zjechała z Cromwell Road na Earls Court Road i zwolniła w tłumie samochodów i przechodniów przekraczających ulicę.

Sara wyrzała przez okno na beztroski tłum na zewnątrz. Za pięć minut będzie w domu. Najpierw się przebierze, weźmie prysznic, a potem pójdzie zobaczyć się z Dantem. Zapadła się w siedzeniu i myślała o tym, co powiedział jej Jaeggli. Słowo „mafia” odbijało się echem w jej głowie, przyprawiając ją o mdłości.

Catania i Carla Vitale są Włochami. Czy mają jakieś powiązania z mafią? Przy takiej liczbie skandali łączących mafię, rząd i wielkich biznesmenów we Włoszech byłoby to niemal dziwne, gdyby mafia nie maczała w tym palców.

Za dużo niewiadomych. Wszystko razem zdawało się nierealne i niewiarygodne. Sara chciała zamknąć oczy. Nie dopuszczać nic do świadomości. Poczula, że chce jechać prosto do domu Dantego.

Powiedziała taksówkarzowi, że zmienia decyzję. Podała mu adres Dantego. Oparła się i zamknęła oczy.

Parę minut później, kiedy je otworzyła, zobaczyła scenę chaosu. Taksówkarz wjechał na skrzyżowanie King's Road i Wellington Square. Ulica została otoczona kordonem policji, wypełniona policyjnymi samo-

chodami i wozami straży pożarnej. Sara widziała, że jakiś dom stoi w płomieniach. Dym kłębił się nad drzwiami i w środku. Ogień pojawiał się gdzieś w końcowej części skweru. Nie mogła dojrzeć gdzie. Strach skurczył jej żołądek. Nie musiała się przyglądać, żeby wiedzieć. Oficer policji podszedł do taksówki i zajrzał do niej przez okno.

— Czy pani tu mieszka, proszę pani? Starła się, aby jej głos nie drżał.

— Nie, tylko przejeżdżałam, chciałam kogoś odwiedzić, ale to nieistotne. To może poczekać.

Policjant skinął głową i odwrócił się zaabsorbowany kolejnym samochodem, który usiłował wjechać na ulicę. Sara czuła, że przestaje panować nad sobą. Pochyliła się do przodu, aby porozmawiać z kierowcą. Dała mu adres Jacoba i opadła na tylne siedzenie.

Wiedziała, że to płonął dom Dantego i z mrozącą krew z żyłach pewnością czuła, że Dante nie żyje.

Jacob usłyszał samochód zatrzymujący się przed jego domem. Zobaczył Sarę skuloną na tylnym siedzeniu. Wyszedł na zewnątrz, zapłacił taksówkarzowi i zaprowadził ją do domu. Posadził na kanapie, nalał whisky i zapytał delikatnie, ale stanowczo.

— Co się stało?

Sara mówiła mechanicznie, robiąc pauzy między zdaniami.

— Odwiedziłam Petera Jaeggli, spędziłam weekend w Genewie. Chciał wiedzieć wszystko o moich trzech milionach dolarów. Powiedział, że proszono go, aby monitorował rachunki pod kątem podejrzanych ruchów gotówki po interwencjach banków centralnych lub zmianach kursów. Najwyraźniej to angielskie i niemieckie władze potrzebowały tych informacji. Jeden z rachunków, które Jaeggli miał monitorować, należy do kogoś, kto nazywa się Antonio Fieri, ten facet... — przerwała.

Jacob coś wymamrotał. Spojrzał na nią.

— Fieri to mafia — powiedział.

— Wiem. — Starła się opanować oddech. Po paru minutach mogła mówić znowu.

— Dante nie żyje. Właśnie przejeżdżałam tamtędy. Wszędzie wozy strażackie, dom w płomieniach, to był jego dom, Jacob. — Łzy zaczęły płynąć jej po twarzy. Zaczęła się trząść. — Może nic mu nie jest. Nie wiesz tego na pewno.

Potrząsnęła głową. Jacob patrzył w dal, miał twarz bez wyrazu. Wstał sztywno i nalał dwa kolejne drinki. — Musimy z tego jakoś wyjść, Saro. Cała sprawa zaszła za daleko. Z jakichś nie znanych nam powodów została wrzucona w gniazdo węży i jak mi się zdaje, pozostawiona samej sobie. Wokół ciebie dzieje się wiele różnych rzeczy, o których powinnaś wiedzieć wcześniej, a dowiadujesz się o nich przez przypadek, jakby na przekór czyimś planom. Dzieje się coś strasznego. I nie mówię tylko o Kesslerze, Catanii, czy mafii, choć Bóg

jeden wie, jak to jest przerażające. I nawet nie o tym, co przytrafiło się Dantemu, chociaż prawdopodobnie jest cały i zdrowy. To coś jest bliżej nas. Dotyczy Barringtona. Nie sądzisz, że czas najwyższy, aby coś ci wyjaśnił?

Jego głos był uprzejmy, ale nieustępliwy. W oczach czaił się kontrolowany gniew przeciwko temu, kto krył się za tym wszystkim, ktokolwiek to był.

Sara powoli sączyła drinka.

— Właśnie. Mam tkwić w centrum wydarzeń, ale nie mam pojęcia, co się dzieje.

Przez pewien czas byłam zaniepokojona. Teraz jestem przerażona. — Popatrzyła w szklankę. — Zadzwoń do niego teraz. Był w Nowym Jorku. Może wciąż tam jest...

— Jej głos słabł.

Jacob podał jej telefon. Sara wystukała prywatny numer Barringtona. Nikt się nie zgłaszał. Rozłożyła ręce w geście bezradności.

— Jutro spróbuję znowu.

Jacob podszedł do niej i wziął za rękę.

— Lepiej idź spać, słoneczko. Twój pokój jest przygotowany. Gdybyś potrzebowała, piżama leży na wierzchu. — Pocałował ją na dobranoc i patrzył, jak wstaje, bierze swoją szklankę i wyczerpana idzie na górę.

W ciszy swojego pokoju opróżniła szklankę i pogrążyła się w niespokojnym śnie.

Jacob nie kładł się spać do późna w nocy, głaszcząc Rubina, który siedział mu na kolanach. Miał różne własne pomysły i obawy.

Piętnaście kilometrów dalej, po drugiej stronie miasta trwało inne nocne czuwanie. Christine Villiers siedziała sama w swoim domu, czekając na wiadomości.

Odwiedziła ją Nicole, dała jej miłe urozmaicenie przez kilka godzin. Wyszła, zostawiając ją samą tuż po północy. Noc zrobiła się ciemniejsza i cichsza, zdawało się, że wszystkie samochody zjechały z ulic i całe miasto śpi. Christine piła czarną kawę i patrzyła na zegar na ścianie. Ciągnęła za sobą swoją samotność jak; welon. Daniel zadzwonił pierwszy o świcie.

— Wszystko w porządku.

Więc Mosami Matsumoto nie żyje. Scarpirato też. Została jeszcze Sara Jensen.

Poczuła odrobinę żalu, połączoną z troską. Sara Jensen była intrygującą kobietą. I piękną. Miała jej fotografię sfaksowaną przez Kesslera do Catanii i przez Catanię do niej — czarno-biały portret wycięty z artykułu, który Sara napisała do jakiegoś czasopisma. Christine dała kopię Gian-niemu Carudo, a drugą zatrzymała sobie.

Wyjęła ją z zamkniętej szuflady i przyglądała się uważnie. Szkoda. Chciałaby poznać Sarę Jensen, ale za milion funtów lepiej, żeby nie żyła.

Nagle spojrzała na zegarek i zmarszczyła czoło rozdrażniona. Dlaczego Carudo tak długo nie dzwonił? Sara Jensen pewnie była już w domu od

wielu godzin, a Carudo powinien załatwić ją i uciec. Może coś poszło nie tak. Zaczęła się martwić.

Carudo zadzwonił w końcu o siódmej rano. Jego głos zdradzał zdenerwowanie. Ich „gość”, użył ironicznego eufemizmu, nie pojawił się w domu. Czekał całą noc. Co teraz powinien zrobić? Wstrzymać się — powiedziała. Wrócić do hotelu i spróbować jeszcze raz dziś wieczorem. Ich „gość” na pewno został na noc u jakiegoś chłopaka.

Sara obudziła się jak zwykle o szóstej. Leżała na wąskim, jednoosobowym łóżku w gościnnym pokoju Jacoba i patrzyła w sufit. Uczucie duszącego strachu i rozpaczki powróciło natychmiast. Zmusiła się do wstania z łóżka, włączyła radio i poszła wziąć prysznic.

Właśnie nadawano wiadomości, gdy ociekająca wodą, owinęła się ręcznikiem i wskoczyła z powrotem do łóżka. Słowa spikera płynęły monotonicznie, a ona nie zwracała na nie uwagi. Umysł Sary ledwie pracował. Parę kolejnych dźwięków zawisło w powietrzu i wtopiło się w jej serce jak żelazo wypalające piętno. Nie wyjaśniony pożar... ostatniego wieczora... na Chelsea... trzydziestoosmioletni Włoch. Dante Scarpinato. Policja wszczęła dochodzenie w sprawie morderstwa. Wybiegła z pokoju. Wpadła na Jacoba, który wchodził po schodach. Cofnęła się o krok i objęła się ramionami. Stała jęcząc i kiwając się do przodu i do tyłu. Paznokcie wbiła w skórę ramion tak mocno, aż wąskie strużki krwi spłynęły do łokci i skapywały, nie zauważone, na podłogę. Jej twarz wykrzywił grymas bólu. Jacob przyciągnął Sarę do siebie. Jej silne drżenie wstrząsało nim, a koszula została naznaczona strużkami czerwieni. Powoli, walcząc o oddech, Sara przekazała mu wiadomość z radia. Dante nie żył. Jacob kiwnął głową. Słyszał już te wiadomości. Zaczęła płakać ciężkim, urywanym, spazmatycznym szlochem. Płakała, aż zaczęły ją boleć zębra. Jacob trzymał ją, pozwolił Sarze płakać, czekał, aż nagłość szoku się zmniejszy i przyjdą pierwsze oznaki spokoju.

Minęła godzina. Sara siedziała już ubrana przy kuchennym stole naprzeciw Jacoba, trzymając w dłoniach kubek parującej kawy. Między nimi leżała gazeta. Wskazał jej krótki na sześć linijek artykuł na jednej z kolumn. Zaczęła czytać:

— Ostatniej nocy znaleziono martwą kobietę w ekskluzywnym domu przy Hay's Mews na Mayfair. Prawdopodobnie została zamordowana. Policja odmówiła ujawnienia jej nazwiska, zanim rodzina nie zostanie o wszystkim powiadomiona. — Sara zacisnęła dłonie na kubku, aż gorąco oparzyło jej skórę. Spojrzała na siedzącego naprzeciw Jacoba. Na jego twarzy rysowała się surowa pewność. Obydwoje wiedzieli, że to Mosami została zamordowana.

Sara rozejrzała się dookoła, panował tu niezwykle spokój. Filizanki

z chińskiej porcelany, talerze ustawione na półeczce, kredensy pełne pięknego szkła, wychodzone, pokryte werniksem dębowe parkiety; Rubin krążący w rogu kuchni — przed chwilą wszedł z ulicy przez ogród pełen róż. Nie przejął się spazmami, których nie usłyszał.

Jak dużo czasu potrzeba człowiekowi, który zabił Dantego i Mosami, na odszukanie jej i Jacoba i położenie kresu ich życiu.

Sara powoli podniosła się od stołu.

— Będą musieli nas chronić. Barrington, czy ktokolwiek to jest. Chronić nas i aresztować resztę. Pójdę do niego zadzwonić.

Jacob lekko pokiwał głową i popatrzył, jak Sara znika w jego gabinecie. W sypialni podniósł słuchawkę innego telefonu i wystukał trzynastocyfrowy numer. Mówił krótko, odłożył słuchawkę i wykonał jeszcze jeden telefon, tym razem miejscowy. Po pięciu minutach wszystko było zorganizowane.

Sara Jensen zadzwoniła do mieszkania prezesa. Po czterech sygnałach słuchawkę podniosła jakaś kobieta.

Sara kurczowo zacisnęła dłoń na słuchawce. Jej słowa były powolne i przemyślane.

— Chciałabym rozmawiać z prezesem. Zapadła krótka cisza.

— Obawiam się, że prezes jest na spotkaniu. Sara usiłowała trzymać głos na równym poziomie.

— Muszę z nim rozmawiać. Teraz. Kolejna chwila ciszy.

— Zobaczę, co mogę zrobić. Gdyby zechciała pani poczekać... —Pani Barrington złagodniała i przerwała śniadanie męża.

Parę sekund później prezes pojawił się na linii. Sara słuchała głośnego, pewnego siebie głosu. Wypowiadała mechaniczne słowa, niszcząc emocje w zarodku.

— Dante Scarpinato i Mosami Matsumoto nie żyją. Mosami była moją najlepszą przyjaciółką. Pomogła mi w dochodzeniu. Próbowałam dzwonić do pana w piątek i powiedzieć, że Karl Heinz Kessler jest trzecią osobą. Catania czwartą. Zaplątana jest w to mafia. Podejrzewam, że próbują mnie zabić. Musi pan coś zrobić. Musi mi pan dać ochronę, dla mnie i mojego przyjaciela. Musicie aresztować Arnotta, Clare Vitale i Kesslera, natychmiast. Macie wystarczająco dużo dowodów. To nie są tylko finansowe machlojki. Teraz to już morderstwa. Musi pan porozmawiać z Włochami, niech aresztują Catanię. Jest też ktoś o nazwisku Fieri, również siedzi w tym po uszy.

Barrington w szoku mocniej chwycił słuchawkę.

— O Boże, Saro. To przerażające. — Zamilkł. Po paru sekundach odezwał się znowu głosem sztucznie pewnym siebie. — Oczywiście,

będziemy cię chronić. Zorganizuję to natychmiast. Zostań tam, gdzie jesteś. Teraz daj mi swój numer telefonu. Sara wyrecytowała numer Jacoba.

— Oddzwonię do ciebie za chwilę.

Sara odłożyła słuchawkę i poszła do kuchni zaczekać na Jacoba.

Teraz była pewna, że to nie dla prezesa Banku Anglii pracuje, ale dla kogoś zupełnie innego, kogoś nad nim, do kogo tamten zwracał się o radę i instrukcje. Mogła sobie wyobrazić, jak teraz dyskutują, podejmują decyzje, co z nią zrobić. Potem Barrington oddzwoni, przekazując jej zlecenia tamtego, jak gdyby to były jego własne decyzje.

Wyobraziła sobie niewidzialną rękę, która nim porusza. Bała się, ale przede wszystkim czuła się teraz oszukana i to potęgowało jej wściekłość.

Wzięła się w garść. Prezes oddzwoni. Zaczeka na jego telefon. Pozwoli mu mieć wątpliwości jeszcze jakiś czas. Musiał istnieć jakiś ważny powód, rozsądne wytłumaczenie tego wszystkiego. Trzymała się tej myśli w nadziei, że nagle razem z Jacobem zostaną w cudowny sposób uratowani. Wtedy wszystko się wyjaśni. Kessler i reszta spiskowców zostaną aresztowani, jej rola się skończy, a ona i Jacob będą bezpieczni.

Miała jednak niejasne przeczucie, że tak się nie stanie.

James Bartrop przyjął wiadomości z opanowaniem. Wiedział już o zamordowaniu Dantego Scarpirato i Mosami Matsumoto. Przemyślał właśnie plan awaryjny, gdy zadzwonił Barrington. Jego instrukcje były proste.

— Proszę jej powiedzieć, żeby siedziała na miejscu, zapewnić, że zaraz ktoś po nią przyjedzie. Ja wszystko zorganizuję.

Barrington nie chciał się kłócić ani w ogóle rozmawiać o tym koszmarze. Sara Jensen musiała natychmiast dostać ochronę i to zostanie załatwione. Bartrop się tym zajmie. Wzajemne oskarżanie się można zacząć, kiedy ona będzie już bezpieczna. To była katastrofa: chaos, zabici ludzie, i to z jakiego powodu... Nigdy nie powinien się w to mieszać. Pomyślał o policji, trudnych pytaniach i zastanawiał się, w jaki sposób Bartrop nad wszystkim zapanuje.

Z całą pewnością sprawa się wyda; będą przesłuchania, opinia publiczna... Jeszcze żaden prezes Banku Anglii nie został zmuszony do ustąpienia ze stanowiska, a Bartrop, co zadziwiające, nie był wcale załamany. Spokojny, opanowany, czuł jedynie ciekawość i podniecenie.

Oddzwonił do Sary. Natychmiast podniosła słuchawkę.

— Wszystko zorganizowane, Saro. Powiedz mi tylko, gdzie jesteś. Wysłałam ludzi, którzy cię z stamtąd zabiorą.

— Kiedy? Kogo? Jak ich poznam? Kiedy przyjeżdżają? Muszą zjawić się tu natychmiast. — Maska spokoju opadła i słowa płynęły potokiem strachu i braku zaufania.

— Będą u ciebie tak szybko, jak to możliwe, Saro. Daj mi tylko swój adres, a oni zaraz wyjadą.

Wyczerpana i pełna przerażenia wyrzuciła z siebie adres Jacoba i odłożyła słuchawkę.

Jacob w tym momencie wszedł do pokoju.

— Co się dzieje? Komu dajesz mój adres? Sara usiadła wystraszona tonem głosu Jacoba.

— Prezesowi. Wysyła po nas ludzi. Zabiorą nas stąd.

Jacob siedział naprzeciw niej, jego łagodne oczy przybrały wyraz nieustępliwości. Wysłuchiwał jej, nieufny.

— Powiedziano ci, żebyś weszła w to wszystko bez żadnej ochrony; i ostrzeżono, że jeśli ktoś cię przyłapie, nikt nie będzie mógł ci pomóc. A ty odkrywasz, i to nie dzięki nim, że wszystkim kieruje nie jakiś wiarołomny Włoch, ale prezes Banku Włoch i szef mafii. Twój znajomy i twoja najlepsza przyjaciółka zostali zamordowani, a ty siedzisz w moim domu i czekasz, żeby zabrali cię ludzie, których nawet nie znasz i którzy ostrzegali cię od razu, że ci nie pomogą. — Zobaczył w jej oczach łzy, nerwowo zagryzała usta, przeciągnęła dłonią po policzku, starając się zetrzeć krople.

Krzyknęła do niego zdenerwowana:

— Więc co mam robić? Nie wiem, co na to poradzić, komu zaufać. Jacob wstał, usiadł znowu i powiedział delikatnie, ale z naciskiem:

— Słuchaj, mam paru przyjaciół, którzy zaopiekują się nami do czasu, aż dowiemy się, co naprawdę się dzieje. Jest oczywiste, że nie pracujesz dla prezesa Banku Anglii. Wszystko to nie podlega jego kompetencjom. Jest prawdopodobnie figurantem. Wygląda mi to na MI 5, a oni z jakichś przyczyn utrzymują przed tobą wszystko w tajemnicy, używając ciebie jako przynęty. — Podniósł dłoń, żeby nie dopuścić do kłótni. — Moi przyjaciele będą tu za dziesięć minut. Podwiozą nas na lotnisko. Masz swój paszport. Za dwie godziny może nas tu nie być, krótki lot i znajdziemy się bezpieczni w miejscu, gdzie nikt nas nie odszuka. — No już, Saro, powiedz, czy naprawdę im wierzysz?

Patrzyła w ciemne oczy, które znała tak dobrze. Wyglądały teraz tak inaczej, obco w swojej determinacji. Ale miał rację. Barrington zawiódł ją już pierwszego dnia, a Dante i Mosami w wyniku tego nie żyją.

— Okay — podjęła decyzję. — Jadę.

W Century House James Bartrop zapisał adres, który Barrington mu przed chwilą podał i rzucił mu krótkie: „Do widzenia”. Zadzwoił do swojej sekretarki, Moiry, i poprosił, by połączyła go z szefem MI 6, czyli panem C, jak nazywano człowieka na tym stanowisku, i żeby poprosiła Milesa Forshawa. C pojawił się na linii. Bartrop mówił krótko.

— Mamy problem z Gorgoną. — Wszystkim niezależnym agentom nadaje się pseudonimy. — Jej najlepsza przyjaciółka i kolega z pracy zostali zamordowani. Wie dużo więcej. Odkryła coś o Fierim. Przywożę ją tu razem z przyjacielem, którego nazwiska nie znam.

— Mieszane szczęście ma ta operacja — powiedział C. — Dobre informacje, ale za bardzo wysoką cenę. Nie jestem zupełnie pewien twojego agenta, ale już jest za późno. Muszę zawiadomić doradcę Biura Spraw Zagranicznych. Może z tym iść do podsekretarza, ostrzec go przed kłopotami. Skontaktowałeś się z Oddziałem Specjalnym?

— Tak.

— To dobrze. Ratuj, co się da, Bartrop.

Bartrop odłożył słuchawkę. Forshaw przyszedł parę sekund później.

— Wyślij paru ludzi na Golders Green. — Podał mu adres Jacoba. — Przywieź tu Gorgonę i osobę, która z nią jest. Zróbcie to cicho. Nikt nie może zauważyć niczego niestosownego. Ustaw w okolicy obserwatorów. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Weź Oddział Specjalny. Powiedz, żeby zabrali każdego, kto będzie wyglądał podejrzanie. Nigdy nic nie wiadomo. Możemy dostać któregoś z płatnych morderców Fieriego. — Myślisz że to on?

— A któż by inny?

Piętnaście minut później grupa agentów MI 6, obserwatorów oraz dwaj oficerowie Grupy Specjalnej byli w drodze na Golders Green.

W czasie, gdy Bartrop rozmawiał z Milesem Forshawem, Christine Villiers dzwoniła do Giancarlo Catanii w Rzymie. Przeczytała mu wycinki z gazet dotyczące Dantego Scarpirata i Mosami Matsumoto. Zaklął okropnie i polecił natychmiast dopaść Sarę Jensen. Podwoił stawkę. Co, u licha — Christine zastanawiała się po raz setny — więc Sara Jensen jest aż tak niebezpieczna, a jej milczenie aż tak cenne? Poczula, obok podniecenia swoim zadaniem, przeszywającą ciekawość. Zdecydowała wziąć sprawy we własne ręce. Nie miała czasu powiadamiać Gianniego Carudo. Znajdzie i zabije Sarę Jensen sama.

Przeprowadziła wywiad w ICB. Rozmawiała z mężczyzną o trzęsącym się głosie z działu wymiany walutowej. Nie, Sara Jensen nie przyszła dzisiaj do pracy, jak jej powiedział. Odłożyła słuchawkę i zaczęła, aby się zastanowić. W zamyśleniu dotknęła ust. Podeszła do swojego sejfu, wyjęła pęk kluczy i poszła na górę do sypialni. Otworzyła szafkę i wyciągnęła kolekcję peruk oraz duże metalowe pudło z przyborami do charakteryzacji. Blond peruka, którą włożyła dla Dantego Scarpirato, spoczywała na wierzchu. Poprzebierała i znalazła inną, o długich ciemnobrązowych włosach, powoli włożyła ją na swoje krótkie blond włosy. Szarpnęła mocno, upewniając się, czy dobrze się trzyma, po czym otworzyła pudełko do makijażu i wyjęła cztery małe waciki, jakich dentyści używają po szczególnie poważnym wierceniu, czy



wyrwaniu zęba do zatamowania krwi. Włożyła po dwa waciki wysoko w usta pod każdy z policzków. Jej odbicie w lustrze było odmienione. Kanciasta blondynka stała się słodką, pyzată brunetką, podobną do wiewiórki, o pełnym uśmiechu i rumianych policzkach.

Podniosła swoją torebkę z pistoletem kaliber 22 w środku. Wyciągnęła broń. Później odda ją Danielowi, aby się jej pozbył. Wróciła do sejfu i wymieniła pistolet na inny model, browninga, ulubioną broń agentów wywiadu. Nie chciała, aby między dwoma zabójstwami istniał jakikolwiek związek. Zamknęła sejf i poszła do drzwi.

Dziesięć minut później stała przed domem Sary, dzwoniąc do drzwi z bardzo zmartwioną miną. Głos, który usłyszała za sobą, przestraszył ją tak, że aż podskoczyła. Pani Jardine stała na chodniku z dwojgiem swoich małych dzieci.

— Jeśli szuka pani Sary Jensen, nie ma jej w domu. Jest w pracy. Christine wyglądała na poruszoną i zmartwioną.

— I to jest właśnie problem — powiedziała. — Nie ma jej w pracy i tu też jej nie ma.

— Wyglądała na bezradną, jakby się miała zaraz rozplakać. — Muszę ją odnaleźć. Chodzi o jej brata, Alexa. Miał okropny wypadek w górach. Jego stan jest poważny. Muszę jej powiedzieć... na pewno będzie chciała natychmiast tam polecieć.

Christine mówiła w panice, bliska hysterii. W środku była śmiertelnie spokojna i w sekrecie triumfowała. Informacje, których udzielił jej Catania, były pierwszej klasy. Ta kobieta wierzyła w każde jej słowo.

Pani Jardine zasłoniła ręką usta w geście przerażenia.

— O Boże! Biedna dziewczyna. Tak, oczywiście, będzie chciała tam pojechać, ale... Christine przerwała jej.

— Muszę ją znaleźć. Czy ma pani jakiś pomysł, gdzie mogłaby teraz być?

Pani Jardine skupiła się w ciszy.

— Cóż, nie wiem. — Po chwili dodała. — Nic mi nie przychodzi do głowy. —

Nagle jej twarz rozjaśniła się. — Jacob. Jacob Goldsmith. Jest jej przyjacielem. Kimś w rodzaju wujka, opiekuje się nią, gdy jest chora. Mieszka na Golders Green, jak sądzę. Nie mam adresu, ale pewnie jest w książce telefonicznej. — Bezradnie wzruszyła ramionami. — Warto spróbować, nie sądzi pani?

Christine opanowała uśmiech.

— O tak. Na pewno. — Szybko podziękowała i pobiegła do budki telefonicznej na King's Road. Pani Jardine patrzyła za nią. Jaka rozsądna młoda kobieta, pomyślała. Christine wykręciła numer 142. Kobieta w informacji mogła podać jej numer telefonu do Jacoba Goldsmitha na Golders Green, ale adresu nie miała. Poradziła, aby Christine poszukała w książce tele-

fonicznej, w której są adresy. Christine pobiegła do kiosku po drugiej stronie ulicy. Tak, mieli książkę telefoniczną, jeżeli zaczeka chwilę, pójda poszukać. Pięć minut później sprzedawczyni wróciła. Christine pochyliła się nad książką. Znalazła dwóch J. Goldsmithów na Golders Green. Zapisała numery telefonów i adresy obydwu, krzyknęła przez ramię „dziękuję” i wybiegła na King's Road, gdzie złapała taksówkę i pojechała pod pierwszy adres: Rothevick Road. Christine podziękowała taksówkarzowi, zanim dojechali na miejsce. Wsiadła i poszła spokojnie za róg. W momencie, gdy tylko skręciła w spokojną, wysadzoną drzewami ulicę, już wiedziała, że coś jest nie tak. Furgonetka Pogotowia Gazowego stała zaparkowana naprzeciw numeru 24, ale nie było śladu kabli ani pracowników. Potem pojawił się starszy mężczyzna, około siedemdziesiątki, idący powoli w jej kierunku, mrużący coś pod nosem. Jego spojrzenie było zwyczajne, ale instynkt ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. Jakiś kot przebiegł jej drogę. W przeblasku natchnienia zobaczyła swoją ucieczkę. Wzięła na ręce kota i głośno powiedziała. — Och, Tacha, jesteś, ty niedobre stworzenie. — Uśmiechnęła się do mężczyzny, gdy się zbliżał, i spojrzała na kota. — Zawsze próbuje uciec, kiedy pora iść do weterynarza, tak jak gdyby wiedziała... — Christine odwróciła się, kot chciał się jej wyrwać, wbijając pazurki przez cienką bawełnę podkoszulka aż do ciała. Udało jej się powstrzymać krzyk bólu i zawróciła, wychodząc z ulicy. Przeszła około czterystu metrów, i kiedy była pewna, że nikt na nią nie patrzy, wypuściła kota, zatrzymała taksówkę i pojechała z powrotem na Chelsea. Staruszek patrzył za nią i mrużał coś pod nosem jeszcze przez chwilę. Mikrofon w marynarce przekazywał jego słowa do obserwatorów w furgonetce. — Nic takiego. Jakaś żydowsko-amerykańska księżniczka zgubiła swojego kota. Christine zatopiła się w siedzeniu taksówki. Wiedziała, że instynkt jej nie myli. To nie był jakiś niewinny staruszek, ale obserwator z policji. W furgonetce prawdopodobnie aż roiło się od policjantów. Policja dostała się do Sary Jensen przed nią. Fatalnie. Zrobiła wszystko, co mogła. Nadszedł czas wyjazdu i powrotu do Włoch. Dostanie dwa miliony za zabicie Dantego Scarpinato i Mosami Matsumoto. Da po czterysta tysięcy Danielowi i Gianniemu. Sara Jensen pozostanie problemem Catanii. Obserwatorzy czekali. Cały dom był w zasięgu ich wzroku, od frontu i z tyłu. Nikt nie mógł się dostać lub wydostać bez ich wiedzy. Ale, jak na razie, nic nie zauważyli. Nawet śladu ruchu w domu. Po półgodzinie zaczęli się denerwować. Jeden z dwóch agentów w furgonetce zadzwonił

do Forshawa, a ten skontaktował się z Bartropem. Zgodzili się, że jeśli nic się nie zmieni w ciągu następnej półgodziny, powinni wejść do środka i sprawdzić. Na razie mieli siedzieć i czekać.

Czterdzieści minut później zdali raport Bartropowi. Dom był pusty. Sara Jensen i jej tajemniczy przyjaciel uciekli.

Pięć minut później do wszystkich lotnisk i portów trafiła informacja. Paszporty kobiet podobnych do Sary były dokładnie sprawdzane, ale Sara Jensen zniknęła bez śladu.

## Rozdział 23

Cessna unosiła się dziesięć tysięcy metrów nad kanałem La Manche, kiedy wiadomość została sfaksowana z dowództwa MI 6 do Oddziału Specjalnego na lotnisku Heathrow. Sara Jensen siedziała w głębokim fotelu z pasami beztrzesko odrzuconymi na bok. Zatopiona była w poduszki, paliła papierosa za papierosem, w lewej ręce trzymała szklankę whisky. Oczy miała zamknięte, tylko od czasu do czasu na krótko je otwierała, żeby zgasić papierosa i zapalić kolejnego lub dolać sobie whisky.

Jacob odpiął swój pas bezpieczeństwa, wstał trochę niepewnie i przeszedł przez wąski korytarz. Delikatnie dotknął jej ramienia. Zapytał, czy wszystko w porządku. Okazało się, że go nie usłyszała. Nie otwierała oczu. Przez chwilę patrzył na nią, potem usiadł na swoim miejscu i wrócił do nocnych rozmyślań, z twarzą zmarszczoną w koncentracji.

Zabierał ją w bezpieczne miejsce, ale nie będzie to ucieczka doskonała. Jak długo mógł ją chronić? Jaką musieliby podjąć walkę, aby wyjść z tego bagna, którego nawet nie widzieli?

Sara pozostanie przez jakiś czas bezpieczna, ale musi żyć w próżni, bez możliwości rozpoczęcia wszystkiego od nowa, zregenerowania sił. Mogłaby spróbować zapomnieć o zamordowanych, ale jak miała żyć dalej? Pozostało jej tylko jedno — bezsilność.

Wiedział, że musi się jej udać stworzyć jakiś plan, odzyskać wpływ na wydarzenia. Inaczej utonie w bagnie nicości.

Samolot trząsał, wchodząc w turbulencje. Sara otworzyła oczy, wypila duży łyk whisky i spojrzała za okno. Na dole zobaczyła równinę otoczoną odległymi górami, niewyraźnymi, w promieniach świecącego nad nimi słońca. Zobaczyła lotnisko i pas startowy. Samolot zaczął podchodzić do lądowania.

Po paru minutach zatrzymał się przed małym budynkiem terminalu. Pilot w mundurze pokazał się z przodu samolotu. Uśmiechnął się i zapytał Sarę, czy podobał jej się lot. Usłyszała swój głos przychodzący z daleka, oderwany od niej, jak gdyby należał do kogoś innego.

— Tak, dziękuję — powiedziała spokojnie i uprzejmie, a potem znowu zapadła w milczenie. Mężczyzna uśmiechnął się, po czym zaprosił ją dalej. Wstała niepewnie. Mięśnie nóg były jak z waty, nieposłuszne jej woli. Poczowała wszechogarniające zmęczenie. Z grymasem na twarzy zmusiła się, by podejść do mężczyzny w mundurze. Jacob dreptał za nią. Wyglądała jak skrzywdzone dziecko. Stała w drzwiach, które właśnie otworzyły się z tyłu małej kabiny pilota. Kapitan wyskoczył na asfalt i przywitał się z innym mężczyzną na zewnątrz. Tamten miał ciemne włosy i skórę, nosił niebieski kombinezon. Uśmiechnął się do dwojga podróżnych, po czym powiedział:

— Witamy w Maroku. — Maroko. Sara wykazała lekkie zaciekawienie, następnie zeszła po trzech stopniach na asfalt, w eksplozję upału.

Śniady mężczyzna wziął ich walizki i zaprowadził Sarę i Jacoba do budynku terminalu. Podłogi były tu wyłożone białymi i szarymi twardymi płytkami. Odgłos kroków zdawał się Sarze nieznośny. Rozejrzała się dookoła. Wszędzie nic nie mówiące arabskie napisy. Kiedyś takie literki bawiły ją. Teraz zdawały się złowieszcze. Wszędzie roило się od ludzi: uśmiechający się mężczyźni z denkami, wygiętymi wąsami, kobiety trzymające w rękach coś, co wyglądało jak skrzynki na narzędzia. Zdała sobie sprawę, że to są pudełka na kosmetyki. Cztery, pięć, sześć takich skrzynek krążyło dookoła w rękach właścidelek o zbyt mocnym makijażu. Spojrzała na odbicie swojej twarzy w ścianie ze szkła i szybko odwróciła wzrok. Pilot poprowadził ich w kierunku stanowiska odprawy celnej. Uściskał im dłonie i pożegnał się. Pokazali swoje paszporty, minęli salę przy-' lotów i wyszli na zewnątrz, na jasny plac, gdzie znajdował się postój dężarówek.

Sara zmrużyła oczy, gdy słońce oślepiło ją. Co tu robiła? Odwróciła się do Jacoba, który wziął ją za ramię, wykrzykując słowa powitania do mężczyzny, zbliżającego się do nich i skierował się w jego stronę.

Mężczyźni padli sobie w objęda. Jacob zwrócił się do Sary z uśmiechem i przedstawił go jako Jacka Kohla. Kohl patrzył na dziewczynę z uśmiechem i zadekawieniem. Był niski, szczupły i opalony z regularnym kółkiem łysiny na głowie. Sara spojrzała w jego brązowe iskrzące się, pełne witalność oczy i złapała się na tym, że również się uśmiecha. Kohl rozpromienił się jeszcze bardziej.

— Witamy w Marakeszu. — Wziął walizki i zaprowadził ich do lśniącego, białego mercedesa.

Sara rozejrzała się dookoła i poczuła się, jakby przyjechała na wakacje. To powitanie, słońce, upał. Zastanawiała się znowu, co tu robi. Pomyślała o pracy. ICB. Listach wysyłanych do niej. Desperacko starając się wziąć w garść, wsiadła do samochodu.

Siedzenia były skórzane. W środku działała klimatyzacja. Chłód sprawił, że poczuła się, jakby ktoś wylał na nią szklanekę zimnej wody.

Dostała dreszczy i gęsia skórka pojawiła się na jej nagich ramionach. Wyrzała przez okno i łzy znowu popłynęły strużkami po policzkach.

Jacob, siedząc za Sarą, obserwował ją kątem oka. Zobaczył łzy i poczuł ulgę. Nie było to spazmatyczne łkanie, jak przed paroma godzinami, ale łzy akceptacji, rezygnacji.

Jack usiadł za kierownicą, zapiął pasy i wyjechał z parkingu na asfaltową jezdnię. Po paru minutach skręcił w zakurzoną drogę, wyprzedzając rowerzystów na rozklekotanych starych rowerach i bryczki, dągnięte przez wychudzone kucyki. Sara zamknęła oczy, próbowała zasnąć.

Jakiś czas później obudził ją ruch samochodu biorącego ostry zakręt na górskich serpentynach. Wspinali się między wysokimi wzniesieniami. Jodły i kaktusy miejscami rosły wzdłuż drogi. Widziała ścianę zakurzonej ziemi koloru ochry po jednej stronie i strome urwiska po drugiej. Jack prowadził pewnie. Od czasu do czasu musiał zjeżdżać na bok, wdkając się w ściany ziemi, aby pozwolić przejechać jakiemuś TIR-owi.

Po godzinie jazdy zwolnił, ostro skręcił w prawo i zatrzymał samochód przed wysoką żelazną bramą pomalowaną na białe. Sięgnął po mały czarny przedmiot leżący na tablicy rozdzielczej i skrzydła bramy się rozwarły. Dodał gazu na podejździe wysadzonym po bokach jaskrawymi kwiatami, tworzącymi czerwono-pomarańczowo-różowo-żółto-zielony pas dągnący się przez pół mili.

Sara spojrzała na kwiaty i odwróciła się, chdła zobaczyć zamykającą się za nimi bramę. Zastanawiała się, skąd pochodzi woda potrzebna dla całej tej zieleni.

Otworzyła okno i wdychała gorące, wonne powietrze.

Samochód zwolnił znowu i wjechał pod szeroki łuk przed dużym domem. Dom miał kilka pięter i był zbudowany z tutejszego kamienia i gliny koloru demnej ochry. Okiennice, z demnego drewna ręcznie rzeźbione w przepiękne, ażurowe wzory, zakrywały okna. Kwiaty i rośliny wypełniały całą przestrzeń dookoła domu.

Jack wysiadł i otworzył Sarze drzwi. Wyszła na zewnątrz i zatrzymała się przed kilkoma schodkami prowadzącymi do domu. Jakiś mężczyzna i kobieta ukazali się na szczyde schodów i szybko zeszli, żeby zabrać bagaże.

— Angelo i Mariella — oznajmił Jack, wskazując parę głową. — Pracują dla mnie już dwadzieścia lat. Najpierw w Hiszpanii, a kiedy przeprowadziłem się tu, przyjechali ze mną.

Uśmiechnęli się do Sary i Jacoba, po czym zniknęli na szczyde schodów.

Odwróciła się, aby spojrzeć na widok roztaczający się przed nią. Tarasy schodziły w dół poniżej podjazdu, każdy pokryty kwiatami i krzewami, które wylewały się na kamienne sdeżki. Poniżej tarasów był na pół dziki ogród z wysokimi palmami, rzucającymi krótkie denie w popołudniowym słońcu i znowu, jak wszędzie, przepych kwiatów.

Dookoła ogrodu, daleko stąd, biegł wysoki kamienny mur pokryty zielenią i kwiatami. Wśród pnączy leżały ukryte zwoje kolczastego drutu. Na horyzoncie widniały góry porośnięte zielonymi, karłowatymi drzewami. Sara odwróciła się do Jacka.

— Gdzie my jesteśmy?

— W Ouirjane, u stóp gór Atlas.

— Tu jest pięknie. Odwzajemnił jej uśmiech.

— Kiedy już się zadomowisz i trochę odpoczniesz, wybierzemy się na wycieczkę. Lekko skinęła głową. Wziął ją za ramię i poprowadził w kierunku domu. Ogarnęło ją znużenie i pozwoliła mu się prowadzić.

Cała trójka weszła do domu. Znaleźli się w ogromnym, chłodnym holu o wysokości dziesięciu metrów ze schodami po obu stronach. Na dalekim końcu holu znajdowało się podwórze wypełnione kwiatami i fontannami.

Jack poprowadził Sarę na górę schodami po prawej stronie. Szła przez długi, chłodny, ocieniony korytarz z oknami. Powietrze łagodnie wpływało przez misterne okiennice, zamknięte, aby powstrzymać palące słońce. Jack zatrzymał się przed ciemnymi drzwiami z różanego drzewa, popchnął je

i zaprosił Sarę do środka.

— Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, po prostu zadzwoń po Mariellę. Jest pod wewnętrznym 5. Ja pod 1, a Jacob będzie pod 4. Uśmiechnął się i odwrócił do wyjścia. Jacob uściśnął jej dłoń.

— Do zobaczenia niebawem. — Odwzajemniła uścisk i popatrzyła za nim. Drzwi zamknęły się z kliknięciem, a potem zapadła cisza.

Sara oglądała pokój. Salon, ogromny i chłodny, z drewnianymi podłogami i perskimi chodnikami. Książki w szafach za szkłem; na ścianach obrazy i fotografie. Sara podeszła bliżej, żeby się im przyjrzeć. Góry, kwiaty, morze, portrety anonimowych ludzi. Sarę ciekawiło, kim byli. Lekko zmrużyła oczy w półmroku; światło wpadające przez okiennice miało kolor sepii.

Przeszła do sypialni. Francuskie okna stały otworem i mogła przez nie wyjść na taras pełen kwiatów. Muślinowe firanki powiewały na lekkim wietrze. Łóżko było odkryte, ukazując pościel z białego lnu, przygotowaną, jak gdyby ktoś wiedział o jej ogromnym zmęczeniu. Nęciło aż nadto. Zrzuciła ubrania na krzesło i wpełzła pod świeże prześcieradła. Upragniony sen przyszedł prawie natychmiast.

Jacob z Jackiem siedzieli w bibliotece, popijając whisky.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za zorganizowanie całego planu i w ogóle wszystkiego.

— Phi. To nic takiego. A poza tym, przez te wszystkie lata, które się znamy, nie poprosiłeś mnie jeszcze o nic. Zwracam ci uwagę, że mam wobec ciebie parę długów...

Jacob się roześmiał. Jeśli patrzeć na to w ten sposób, Jack miał rację.

Jego przyjaciel był od niego dziesięć lat młodszy i pracował przy nim jako uczeń, od niego nauczył się wszystkiego, co umiał. Dawno temu, ale nie na tyle dobrze, by uniknąć paru guzów. Zwracał się parę razy do Jacoba z prośbą o alibi lub pomoc w pozbyciu się pewnych gorących przedmiotów, z którymi sam nie dawał sobie rady. Jacob roześmiał się znowu na te wspomnienia. Spojrzał dookoła.

— Świetnie sobie radzisz, miło to widzieć. Prześcignąłeś swojego nauczyciela dawno temu.

Jack wzruszył ramionami i zaprotestował.

— Byłem po prostu mniej roztropny. Poza tym, mógłbyś mieć coś takiego jak to, gdybyś tylko zmusił się do opuszczenia twego ukochanego Golders Green.

Oczy Jacoba zrobiły się okrągłe z oburzenia.

— Po co mi to? Mam tam wszystko, czego potrzebuję. A jeśli o tym mowa, nigdy nie potrzebowałem spokojnej przystani w przyjaznym kraju bez prawa ekstradycji. Teraz mina Jacka wyraziła udawane oburzenie.

— Hej, ja też nie. Kupiłem to jako zabezpieczenie, na wszelki wypadek. Potem zdecydowałem, że podoba mi się bardziej niż Golders Green, co wcale nie jest dziwne. — Jego twarz nagle stała się poważna. — A poza tym spokojne przystanie od czasu do czasu się przydają. — Przerwał niezdecydowany. — Nie musisz mi niczego wyjaśniać, jeśli nie masz ochoty... I cokolwiek powiesz, jesteś mile widzianym gościem tak długo, jak zechcesz. Ale może mógłbym w czymś pomóc, gdybym wiedział więcej.

Jacob zmarszczył brwi, przez chwilę patrzył na swoje dłonie, po czym podniósł wzrok, by spojrzeć przyjacielowi w oczy.

— To długa historia. Połowy jej sam nawet nie znam. To, co wiem, jest dosyć powikłane. Dziewczyna znalazła się w katastrofalnej sytuacji, biedne dziecko. Sprzątnięto dwoje jej przyjaciół. Podejrzewa, że zabójcy szukają również jej. I ma rację. Prawdopodobnie jest paru porządnych facetów po jej stronie, ale nie ufam im. Mam przeczucie, że została wystawiona. Jak i dlaczego, nie wiem. Dzieje się coś bardzo dziwnego i pomyślałem, że dopóki nie dowiemy się co, lepiej będzie wydostać się stamtąd, zniknąć na jakiś czas. Prawdę mówiąc, jeszcze nie wiem, co zrobimy, ale przynajmniej tu jest bezpiecznie. — Szybko powstrzymał słowa. Zamierzał dodać „przez chwilę”. Spojrzał na pytającą twarz Jacka. Nie miał wyboru, musiał mu opowiedzieć całą historię.

James Bartrop siedział sam w swoim gabinecie, obracając ołówek między palcami. Jego oczy błyszczały, poruszając się wraz z myślami. Usta układały mu się w półuśmiech rozbudzonej ciekawości.

Sara Jensen zniknęła; dwóch jej przyjaciół zostało zamordowanych: wydarzenia równie przerażające, co obiecujące. Koszty tej operacji



wywołałyby polityczne trzęsienie ziemi. Bartrop lub pan C w jego imieniu, zostaną poddani dężkim przesłuchaniom przez Sekretariat Spraw Zagranicznych, prokuratora generalnego i możliwe, że nawet premiera. Z dwoma zabitymi obywatelami obcej narodowości miał złą pozycję, ale jeśli morderstwa doprowadzą do Fieriego, a on mógłby to udowodnić, sytuacja nie będzie beznadziejna. Te morderstwa w jakiś straszny sposób podnosiły go na duchu, wydawały się nawet obiecujące. Wyrachowane i profesjonalnie wykonane zabójstwa na zlecenie, jednoznacznie wskazywały na mafię, na Fieriego. Sara Jensen według Barringtona wymieniła nazwisko Fieriego i Bartrop był teraz przekonany o jego udziale w całej sprawie.

Wszystko, co zbliżało go do Fieriego, traktował jak premię, więc te morderstwa wywołały w nim dziwną mieszaninę przerażenia i podniecenia. Usiłował wyrzucić z siebie przerażenie. Zmarli pozostaną zmarłymi. Nic już nie mógł dla nich zrobić. Przez moment wyobraził sobie Sarę Jensen pogrążoną w żalu i strachu. Poczł wyrzuty sumienia. Ale w końcu ona nie była zupełnie niewinna. Przekroczyła granicę, podjęła niebezpieczną inicjatywę, prowokowała los. Skusiła mordercę. Ale wtedy nie mogła jeszcze o niczym wiedzieć, a on wiedział, i tu leżało źródło jego poczucia winy. Była nowicjuską, nadużył jej, coś poszło źle, została odkryta i teraz walczyła o swoje życie. Było to krwawe, pogmatwane, ale obiecujące.

Sara Jensen musiała odkryć połączenie z mafią, może w jakiś sposób powiązane z Catanią, po czym sama została odkryta. Teraz mafia zabijała wszystkich podejrzanych o to, że dziewczyna mogła im coś powiedzieć. Musiał się do niej dostać przed nimi i dowiedzieć się tego, co odkryła. Grupy agentów za granicą zostały zawiadomione, aby wszcząć intensywne poszukiwania Sary. Interpol, FBI i Urzędy Celne na całej ziemi monitorowały lotniska i porty.

Znajdzie ją wcześniej czy później. A wtedy zacznie się naprawdę delikatna praca. Nie pozwoli się bowiem Sarze wycofać i nie będzie jej chronił, ale pozostawi pod silnym, choć dyskretnym nadzorem i przy odrobinie szczęścia i sporej dozie sprytu złapie zabójców, którzy pójdą jej śladem. Będzie ryzykował życie dziewczyny, ale to rozsądne ryzyko, usprawiedliwione potencjalnymi zyskami. I jeśli zabójcy wskażą Fieriego, cała sprawa się opłaca.

Mojra przerwała jego myśli.

— Pan C prosi na słowo.

Bartrop wstał i udał się do biura szefa piętro wyżej. Sekretarka C zaprosiła go skinieniem głowy do środka. Zajął miejsce przy dębowym biurku.

— Jakie wieści?

— Obawiam się, że Sara Jensen zniknęła.

— I co teraz? Czy masz jakąś inną przynętę?

— Arnott i Clara Vitale tutaj, Catania we Włoszech. Zorganizuję

obserwację całej trójki. Już rozmawiałem z Włochami. Będziemy również obserwować dom Sary Jensen. — Przerwał, jak gdyby się zastanawiając. — Nie sądzę, abyśmy coś uzyskali, gdyby Oddział kogoś aresztował. Wdąż mało wiemy. Obserwacja to nasza największa szansa odkrycia całej historii i zdobycia czegoś na Fieriego, jeśli jest w to zamieszany, zgodzisz się ze mną?

C przerwał, podrapał się w brodę.

— To brzmi rozsądnie. A teraz co z Włochami? Rozmawiałeś tylko z naszymi ludźmi?

— Na razie tak. Najlepiej samemu trzymać wszystko pod kontrolą. Zbyt duże ryzyko, że mafia ma wtyczkę we włoskich Służbach Specjalnych. Mogliby zepsuć całą operację. Z czasem i tak będziemy musieli ich w to włączyć. Ale wolałbym odsunąć ten moment jak najdalej, jeśli nie masz nic przedwko temu.

— Nie, nie mam. Zgadzam się z tobą. Na razie nie będziemy ich w to mieszać. Masz paru wścibskich dziennikarzy. I Interpol. Co zamierzasz im powiedzieć?

— Oddział Specjalny poradzi sobie z Interpolem. Ich linia jest taka, że traktują to jako sprawę kryminalną. Na użytek opinii publicznej Sara Jensen jest przestępcą. C uśmiechnął się lekko.

— Okay, James. Przynieś mi kopie wszystkich istotnych akt. Będę musiał porozmawiać z Komitetem.

Komitet, o którym wspominał, to Stały Komitet Sekretarzy do Spraw Bezpieczeństwa. Dyskutowano w nim priorytety ogólne, budżety, potencjalne polityczne kryzysy i skandale. Działalność Catanii zaliczała się do dwóch ostatnich kategorii. Komisja Sekretarzy i komisje Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Zagranicznych w ramach Komitetu rozważą wszystko, co powie im C, i zdecydują, czy warto zwracać na to uwagę ministra spraw zagranicznych lub premiera.

— Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, James. To wszystko jest trochę śliskie. W najlepszym razie, jeśli nie będziemy uważać, dojdzie do obdęda środków. Nie muszę d mówić, co to znaczy, prawda? Im wcześniej znajdziesz Sarę Jensen, tym lepiej.

## Rozdział 24

Sara obudziła się z głębokiego snu. Otworzyła oczy i zobaczyła obcy sufit. Powoli wszystko sobie przypominała. Dante, Mosami, Jacob, Maroko, Jack. Sięgnęła po zegarek leżący na stoliku przy łóżku. Siódma rano. Boże, spała od wczorajszego popołudnia. Ogarnęła ją rozpacz. Spać. Przespać całe dni, tygodnie, miesiące. Już to przechodziła. Jej ciało się wyłączy, umysł będzie szukał zapomnienia.

Nagle wstała, przebiegając dziko oczami po pokoju. Otrząsnęła się ze wspomnień.

Nigdy więcej, nigdy więcej, proszę. Nie poradziłaby sobie z tym po raz drugi.

Panika ustąpiła pod wpływem następnego wspomnienia. Kiedyś udało jej się znaleźć rozwiązanie. Zajęło jej to całe lata, ale się udało. Uda się i teraz. Tylko nie dopuści do tego, aby to trwało lata. Nie pozwoli, bo sama zginie. Wyciągnęła nogi z łóżka, postawiła stopy na ziemi i, czując lekkie zawroty głowy, wstała.

Przeszła po dywanie do łazienki, ogromnego pomieszczenia przylegającego do sypialni. Zimny marmur chłodził jej stopy. Marmurowe podłogi, marmurowe ściany, wszystko białe jak w mauzoleum, poza trzema rozsuwanymi oknami z drewnianymi okiennicami w ręcznie wycinane, ażurowe wzory, od podłogi aż po sufit wzdłuż jednej ze ścian. Ogromne jacuzzi było wpuszczone głęboko w podłogę na środku pomieszczenia. Pod jedną ze ścian znajdował się prysznic, sauna i parówka.

Sara weszła pod prysznic, ustawiła wskaźnik temperatury na zero i odkręciła wodę na maksimum. Objęła się ramionami, a potoki zamarzającej wody spływały po niej, mocząc jej włosy i zalewając oczy.

Wyszła spod prysznica, wytarła się do sucha i z niesmakiem włożyła na siebie wczorajsze ubranie. Uczesowała włosy i wyszła przez francuskie okno w końcu sypialni na chłodne powietrze poranka.

Ogród był opuszczoną oazą, jeśli nie liczyć ptaków, które śpiewały dookoła i z trzepotem skrzydeł zrywały się do lotu ze ścieżki, którą szła. Wszędzie małymi kanałami wydrążonymi w ogrodzie przepływała woda. Sara znalazła ogromny staw z karpami strzeżony przez parę kamiennych

kotów. Patrzyła, jak tłuste, złociste ciała ryb leniwie poruszają się w wodzie.

Ciekawe, czy tym kotom udaje się odstraszać czaple, czy może ptaki wykradają ryby i objadają się nimi. Wróciła do domu, ciesząc się samotnością.

Usłyszała delikatne stukanie filiżanek, spojrzała w dół i zobaczyła Jacka siedzącego na jednym z niższych tarasów i jedzącego śniadanie. Podeszła do niego. Zauważyła ją i uśmiechnął się promiennie.

— Co robisz tak wcześnie? Myślałem, że jestem jedyną osobą, która wstaje o tak zwariowanych porach.

— Jest zbyt pięknie, aby leżeć w łóżku. Jack wskazał ręką na stół.

— No, skoro już wstałaś, to co powiesz na śniadanie?

Sara spojrzała na szereg croissantów, pocięte na plasterki owoce mango i papai i ogromny dzbanek soku pomarańczowego. W powietrzu unosił się zapach świeżo parzonej kawy. Usiadła naprzeciw Jacka.

— O niczym innym nie marzę.

Jack nacisnął dzwonek. Parę sekund później stawił się Angelo, a za nim szedł Jacob, lekko zgarbiony i jeszcze rozespany.

— Angelo, proszę o jeszcze dwa śniadania. Ach, i przy okazji, co z ubraniami?

— Wszystko w porządku, panie Jack. Mariella skończy szyć za jakąś godzinę.

— Świetnie. Proszę je zostawić w pokoju panienki.

Sara zauważyła, że nie używał jej imienia. Jacob powiedział mu wszystko, jak się domyślała. Teraz ukrywali jej tożsamość.

— Co za ubrania? — zapytała.

— Cóż, nie możesz chodzić w tym przez cały czas, prawda? Mariella przerobiła dla ciebie parę swoich rzeczy. Trochę proste, ale jestem pewien że i tak będziesz wyglądać w nich pięknie. To lepsze, niż jechać na zakupy do Marakeszu.

Sara zamrugnęła oczami po drugiej stronie stołu. Niewiarygodna wprost przezorność. Miała więc siedzieć tu ukryta, nie zostawiając żadnych śladów w świecie zewnętrznym, jak gdyby w ogóle nie istniała. Poczowała falę gniewu, a po niej przyszedł strach. Wyobraziła sobie szukających jej zbirów spacerujących wśród tłumów i zadających ludziom pytania.

Przyjrzała się nieznajomemu po drugiej stronie stołu. Ciekawe, ile wie. Zamartwiało ją to przez chwilę, ale szybko przestała się bać z tego powodu. Jacob nie przywiózłby jej tutaj, gdyby nie ufał całkowicie Jackowi. Ona też musi mu zaufać. Jacob dopiero w tej chwili doczłapał do stołu. Miał na sobie kapelusz „panama”, który zdjął i wywijał nim z dworskim ukłonem.

— Dzień dobry, moje słoneczko. Jak się spało? Smacznie?

Sara uśmiechnęła się, wzruszyła ją dzielna próba Jacoba, by ukryć zmartwienia.

— Tak, dziękuję. Musiałam spać dobre piętnaście godzin.

— Dobrze, i o to chodzi. — Odwrócił się do Jacka i uśmiechnął do niego szeroko. — Pożyczyłem sobie twój kapelusz. Wybrałem się na spacer, a nie chciałem sobie usmażyć mózgu, czy też tego, co z niego zostało.

— Ostrożności nigdy za wiele.

— Niemi nie mów o cholernej ostrożności. — Jacob spojrział na niego z udawanym oburzeniem i zwrócił się do Sary. — Mówię ci, wszędzie, gdzie byłem, obserwowały mnie oczy, wiesz, te małe, czerwone, błyskające światełka. Zrobiłem ten błąd i poszedłem wzdłuż muru, przyjemnie ocienionego. To jest jakaś cholerna forteca, pięciometrowy mur, druty, kamery, nie można by nawet zrobić siusiu w krzakach, bo pewnie by się włączył jakiś alarm...

Sara i Jack roześmiali się głośno.

— Dobrze, że nie zrobiłeś. W ogrodzie nie dzieje się nic, o czym bym nie wiedział. Mam najlepsze kamery na podczerwień, w ciągu dnia światła alarmowe i czujniki, całe mnóstwo. No i mam Yapa. — Jak za zawołanie pojawił się dziki yorkshire terrier, drepcząc śladami obcasów Marielli, która właśnie się pokazała się z dwoma kolejnymi śniadaniami.

Mariella postawiła tacę, krzyknęła na Yapa, który skakał dookoła w porannym podnieceniu, i z powrotem zniknęła w domu. Yap popatrzył za nią, a potem ruszył obwąchać Sarę. Pochyliła się, zmierzwiła mu sierść na szyi i zaczęła do niego mówić. Po chwili, całkowicie rozbrojony, leżał, wijąc się na podłodze i pokazując biały brzusek do podrapania.

— Zrobiłaś coś niezwykłego. — Roześmiał się Jack. — Zazwyczaj inaczej reaguje na obcych. Musiałem go nawet trochę podszkolić; gryzie bardzo mocno.

— Słusznie, Yap. — Sara wyprostowała się i uśmiechnęła do nich. Jacob, jak zwykle dyskretnie zapewnił ją o tym, że jest bezpieczna, i sprawił, że zapomniała o strachu. Również Jack, szybko orientując się w tej grze, przyłączył się ze swoim niezbyt nachalnym poparciem.

Wciąż odczuwała lęk, jakby był czymś realnym, przygniatającym jej ciało, ale przynajmniej dzięki ich zapewnieniom mogła o nim nie myśleć.

I wciąż potrafiła się śmiać. To ją zdziwiło. To był dobry początek. Nagle wyrwała się z zamyślenia. Jack znowu coś mówił.

— Mariella idzie dziś po zakupy trochę później. Wiesz, żywność, owoce. Jeżeli czegoś potrzebujesz, powiedz jej lub mnie, a ja jej przekażę.

Sara nie mogąc wymyślić, czego mogłaby potrzebować, potrząsnęła głową, po chwili jednak przypomniała sobie.

— Tak, jedna rzecz: jeśli to możliwe, to gazety. Chciałabym wiedzieć, czy coś...

— Ależ oczywiście — powiedział Jack. — Angelo zwykle idzie po nie około pierwszej. Przychodzą około trzeciej, więc on wybiera się trochę

wcześniej, i spotyka się z przyjaciółmi w kafejce, na drinka. Myśli, że o tym nie wiem. Ha! Powinien zdawać sobie sprawę, że wiem o wszystkim, co się tu dzieje.

O czwartej Angelo wrócił ze stosem angielskich i włoskich gazet.

— Byłeś na drinku? U kolegów wszystko w porządku? — zaśmiał się Jack.

— Dziękuję, w porządku, panie Jack. — Angelo roześmiał się z tego dowcipu, który był tak stary, jak oni sami. Przyniósł gazety na ocieniony stół na tarasie na tyłach domu i rozłożył je jak talie kart. Jack podziękował mu i poprosił, aby poszedł powiedzieć panience, że są już gazety.

Parę minut później pojawiła się Sara z Jacobem. Sara przebrała się w jeden ze strojów przygotowanych przez Mariellę, długą, białą, lnianą spódnicę i luźną bluzkę. Jack przyjrzał się jej. Z włosami związanymi z tyłu, z bladą twarzą i bez makijażu wyglądała jak dziewczynka przystępująca do bierzmowania. Ale gdy podeszła bliżej, złudzenie się rozwiało. W miejsce świetlistej niewinności pojawił się bagaż doświadczenia

I ciężar tragedii. Jej twarz wydawała się skupiona i napięta, ramiona obwisłe, zmęczone, chód ciężki. Ale, co dziwne, nie był to obraz porażki. Głowę trzymała wysoko, a w oczach płonęło wyzwanie."

Razem z Jacobem usiedli przy stole i cała trójka zaczęła czytać. Sara wzięła *Corriere della sera*, *La Stampa* i *The Times*. Jack przeglądał *Daily Mail* i *Guardian*, Jacob *Independent* i *Daily Telegraph*. Siedzieli w milczeniu. Cała trójka czytała uważnie, wszyscy szukali tych samych wiadomości. Ale nic nie było.

Żadnego nagłówka, żadnego akapitu, nigdzie najmniejszej wzmianki o aresztowaniu Karla Heinza Kesslera, Matthew Arnotta czy Carli Vitale. Już parę sekund po otwarciu gazet wiedzieli, że Catania nie został aresztowany; taką informację włoskie gazety umieściłyby najtłustszym drukiem na pierwszej stronie; nie można by było jej nie zauważyć. Ale mimo to, przyglądali się każdej linijce. Po półgodzinie stosy zgniecionych stron leżały na ziemi dookoła stolika.

— Mieli dwadzieścia cztery godziny. Nawet więcej. Dlaczego nic nie zrobili? — Sara przyglądała się ich twarzom, szukając odpowiedzi w zmartwionych oczach, które na nią patrzyły. Obydwaj mężczyźni milczeli, po czym Jacob zauważył:

— Mogli ich aresztować. Nie wiem, o której gazety zamykają skład, ale może nie zdążyły z informacją w dzisiejszych wydaniach.

— Tak. No właśnie — powiedziała Sara, kurczowo trzymając się tej nadziei. — Jeśli aresztowali ich wczoraj w nocy, to do jutra nic w gazetach nie będzie. Lepiej obejrzyjmy wiadomości. Może tam coś usłyszymy.

Oglądali Sky News na ogromnym ekranie w zaciemnionym pokoju. Cisza. Sara wyłączyła telewizor i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju.

— O Boże, nie mogę tego znieść. Co się dzieje? Dlaczego ich jeszcze nie aresztowali? — Płaczliwym głosem rzucała pytania, na które żadne z nich nie mogło znać odpowiedzi. Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

— To nie takie proste. Może jest w to zamieszana policja i wiele innych osób. Każdy będzie miał własne plany. Mogą mieć jakieś powody, żeby wstrzymywać informację — powiedział Jack.

— Jakieś powody! — krzyknęła Sara. — Dwoje ludzi nie żyje. Trzeba czegoś więcej?

— Mogą chcieć ich śledzić, zobaczyć, dokąd ich zaprowadzą. — Jacob poparł Jacka.

— W gruncie rzeczy wciąż jeszcze wielu rzeczy nie wiedzą. To by miało sens.

— O tak, poza faktem, że morderca Mosami i Dantego wciąż jest na wolności i poszukuje mnie. — Sara zamilkła, po czym odezwała się z błyskiem w oczach. — Coś mi przyszło do głowy...

Obydwaj mężczyźni wyprostowali się w swoich krzesłach i zapytali jednym głosem. — Co?

— Barrington nie ma jeszcze taśm. Tych, które mówią, że Kessler i Catania są trzecim i czwartym członkiem spisku. Powiedziałam mu o tym przez telefon, ale to nie to samo, co dowód rzeczowy. Te taśmy dostarczą mu potrzebnego dowodu. Masz je ze sobą, prawda, Jacob? Zdaje się, że widziałam, jak wrzucasz je do walizki. Jacob kiwnął głową.

— Więc przygotuję kopie tych taśm. Moglibyśmy wysłać mu je pocztą kurierską. Potem zobaczymy, co się stanie. Jeśli ich aresztują, zaufam mu. Jeśli nie, będzie dla mnie skończony.

Jack i Jacob poruszyli się niepewnie na swoich siedzeniach. Sara miała rację, ale niechętnie się z nią zgadzali. Wyglądało to tak, jak gdyby robiła test Barringtonowi, żywiąc przy tym nadzieję, że on go nie zda. Zachowywała się tak, jak gdyby miała jakiś inny, ukryty plan, dla którego szukała usprawiedliwienia.

— I co wtedy zrobisz? — zapytał Jacob. Sara tylko się uśmiechnęła.

Paczka od Sary Jensen trafiła na biurko prezesa następnego dnia. Angelo przyleciał z nią do Londynu pierwszym lotem tego dnia i nadał pocztą kurierską, zapłacił za przesyłkę poleconą i poprosił, aby poczekał dwie godziny, zanim ją dostarczą, po czym złapał najbliższy lot do Marakeszu. Kiedy paczka trafiła na biurko Barringtona, Angelo był już w połowie drogi, nad Hiszpanią. Paczka miała odręczny dopisek niebieskim atramentem: „Prywatne i poufne. Może być otwarte tylko przez adresata”. Barrington rozerwał papier. Wypadła kartka w kremowym kolorze.

Zaczął czytać:

Szanowny Panie Prezesie!

Załączona taśma poprze moje zeznania. Teraz, gdy ma Pan te informacje, ufam, że przekaże je Pan odpowiednim władzom (kimkolwiek one są) i winni zostaną aresztowani. Po przesłuchaniu taśm, zrozumie Pan, że dopóki ci ludzie są wciąż na wolności, obawy o moje bezpieczeństwo są uzasadnione. Wierzę, że podejmie Pan działania z należnym pośpiechem. Do tego czasu zostanę w miejscu, gdzie się obecnie znajduję, i gdzie nic mi nie grozi.

Z poważaniem, Sara Jensen

Barrington zadzwonił do Ethel.

— Proszę wstrzymać wszystkie rozmowy, aż do odwołania. — Podniecony, wyciągnął z szuflady magnetofon i włożył do niego kasetę.

Słuchał przez pół godziny, po czym wyłączył magnetofon i siedział w ciszy, pogrążając się w myślach. Sara Jensen, dzięki Bogu, żyła, ale jej pojawienie się, chociaż nie bezpośrednio, było mu co najmniej nie na rękę. Miał już nadzieję, że może zacznie się uwalniać od tego całego zamieszania, ale jej ostatnie odkrycia jeszcze bardziej go uwikłały. Catania wprawdzie jest członkiem przestępczej organizacji, ale to nie jego problem, natomiast Karl Heinz Kessler był przecież dyrektorem wykonawczym jednego z najważniejszych banków w City i podlegał jego jurysdykcji. Jeśli wszystko wyszłoby na jaw, nadszarpnęłoby to reputację City i jego własną opinię, jako przełożonego. Miał nadzieję, choć nikłą, że Bartrop mógłby nie dopuścić, aby to trafiło do gazet, że sprawa nie pojawi się w sądzie, a zakończy prywatnym, zakulisowym rozwiązaniem. Ale wiedział też, że morderstwa uczyniły takie rozwiązanie już prawie niemożliwym. Musiałyby teraz manewrować bardzo ostrożnie, jeśli chciałby wyjść z tego z nie naruszoną reputacją i karierą. Siedział głęboko zamyślony przez piętnaście minut. Potem zadzwonił do Bartropa.

— Najlepiej będzie, jeśli pan tu przyjdzie — powiedział. — Mam przesyłkę od Sary Jensen.

Bartrop przeczytał list, wysłuchał taśmy i oparł się o krzesło, ze zmartwienia marszcząc czoło.

— Jak pan to widzi? — zapytał Barrington. Bartrop westchnął ciężko.

— Cóż, pod pewnym względem, to dobrze. Ona żyje i daje nam jasny dowód winy Kesslera i Catanii. Powinniśmy z łatwością znaleźć konta, o których mówią Kessler i Arnott, co wyłoży nam Catanię jak na tacy. Ale to wciąż nie prowadzi nas do Fieriego i stawia w trochę niezręcznej sytuacji.

— Co, usiłowanie sprowadzenia jej tutaj? To ma pan na myśli?

— Cóż, niezupełnie. Odnajdziemy ją, ale zdaje się, że ona stawia nam warunek: aresztujecie wszystkich winnych, wtedy się ujawnię. Musi



coś wiedzieć o Fierim i powiązaniu całej sprawy z mafią, więc wtedy nam prawdopodobnie o tym powie. Jeśli aresztujemy wszystkich teraz, nie skorzystamy z możliwości zdobycia pewnej bardzo cennej informacji, w zamian za jakąś nie znaną informację od niej, która w rezultacie mogłaby się okazać niezbyt ważna. Jeśli tak jest, tracimy szanse oskarżania Fieriego. I to jest problem. — Bartrop wyjrzał na dziedziniec.

— Więc co ma pan zamiar zrobić?

— Nie wiem. Pomyślę o tym jeszcze.

— A co mam jej powiedzieć, jeśli zadzwoni?

— Nie sądzę, aby dzwoniła. Jest wystarczająco inteligentna, aby wiedzieć, że ją namierzemy. To następna rzecz, która mnie martwi. Robi aluzje do „odpowiednich władz”. Z pewnością podejrzewa, że za panem jest coś więcej niż to, o czym jej pan powiedział. Prawdopodobnie spreparowała wyjaśniającą wszystko teorię spiskową. Barrington parsknął śmiechem.

— I nie myliłaby się, prawda?

Bartrop spojrział na niego z kwaśną miną i odwrócił się do wyjścia. Zanim zamknął drzwi, dodał przez ramię\

— Gdyby jednak zadzwoniła, niech pan z niej wyciągnie jak najwięcej. Proszę jej powiedzieć, żeby wróciła, a wtedy wszystko załatwimy.

Barrington spiorunował wzrokiem zamknięte drzwi, jak gdyby nosiły one ślad drugiego mężczyzny. Prawie życzył sobie, aby Sara Jensen pozostała w ukryciu, żeby tylko zdenerwować Bartropa.

Spojrzął ponuro na dziedziniec, ale nie znalazł uspokojenia w chłodnej zieleni.

Jedynym pocieszeniem było to, że Bartrop znalazł się w znacznie gorszej sytuacji niż on.

Tego ranka rozmawiał z ministrem finansów, powiedział mu o całej aferze. Minister z kolei rozmawiał z premierem i członkami parlamentu z komisji Spraw

Wewnętrznych i Zagranicznych, którzy przekazali informacje o sprawie członkom Stałego Sekretariatu i Rady Ministrów. Runęła już więc lawina rozmów telefonicznych i nerwowych spotkań w cztery oczy, które miały osiągnąć punkt kulminacyjny tego wieczora, kiedy wszyscy wyżej wymienieni, poza premierem, spotkają się z dyrektorem generalnym, C, Bartropem i prokuratorem generalnym o osiemnastej w biurze Rady Ministrów. Oskarżenia, usprawiedliwienia, wyjaśnienia. Nie musiał w tym uczestniczyć, i w gruncie rzeczy rozsądniej trzymać się od tego z daleka. Ostrzał będzie ciężki. Niech wezmą go na siebie Bartrop i C.

Bartrop siedział na tylnym siedzeniu rovera, gwałtownie usiłując rozluźnić swój krawat. Obserwował korki uliczne, a Munro odwoził go do domu. Było mu gorąco i niewygodnie. Czuł się w krawacie jak w stryczku na szyi.

Nie znosił nie kontrolowanych sytuacji. Przypadek Catanii, który zaczął się tak obiecująco, teraz wymykał mu się z rąk. Najpierw morderstwa, potem zniknięcie Sary Jensen, a teraz to nieszczęsne zebranie, z którego właśnie uciekł.

Spotkanie trwało godzinę. Widział satysfakcję w twarzach zwracających się przeciwko niemu. Jego sytuacja była poważna: dwa morderstwa, których ofiarami padli obywatele obcych państw, ogromna międzynarodowa defraudacja na wysokim politycznym szczeblu i wszechogarniający strach, że wszystko trafi do gazet. Ostatnie odkrycia Sary Jensen, wywołały głośne poruszenie, szybko przysłonięte oburzeniem z powodu jej sposobu postępowania.

— Ukrywanie się. Wysyłanie taśm. Zawołowany szantaż. Ależ ona urządza farsę — wybełkotał minister spraw wewnętrznych.

Dla Bartropa była to jedyna chwila relaksu w całym okropnym spotkaniu.

Ale sytuacja nie była beznadziejna. Zezwolono mu na kontynuowanie dochodzenia. Ostrzeżono jednak, że od tej pory musi postępować zgodnie z procedurą, ostrzeżono go, aby nie podejmował zbędnego ryzyka, i zapewniono, że nic nie dostanie się do gazet. Został też ponaglony, aby znalazł Sarę Jensen tak szybko, jak to możliwe. W tym czasie Oddział Specjalny otrzymał polecenie, aby natychmiast odnaleźć morderców, którzy ulotnili się bez śladu. Mogli jedynie powiedzieć, że morderstwa zostały dokonane przez dwie osoby i że obydwie były profesjonalnymi zabójcami. Nie znaleziono żadnego narzędzia zbrodni, żadnych odcisków palców ani śladów, poza dwoma martwymi ciałami, jedno z przeciętą tętnicą szyjną, drugie z kulą w prawej skroni. Kula została usunięta i poddana analizie kryminalistycznej, która ustaliła, że wystrzelono ją z pistoletu ruger mark 11, którego nigdy nie użyto w zbrodniach notowanych do tej pory. Każdy pistolet zostawia mikroślady na pociskach, które wystrzeliwuje. Na całym świecie przechowywane są fotografie tych śladów i dopasowywane, jak odciski palców. Ale ta broń nie miała żadnej przeszłości.

Nie było świadków. Nikt nie zauważył nic niezwykłego ani podejrzanego.

Zabójstwa dokonane zostały po mistrzowsku.

Samochodem wstrząsnęło, gdy Munro wjechał przed dom, wyskoczył i otworzył drzwi pasażerskie. Bartrop wysiadł, życzył kierowcy dobrej nocy i zniknął w swoim domu. Poszedł do biblioteki i nalał sobie whisky, dopełniając szklanek wodą z dzbanka. Otworzył drzwi szafki, odkrywając cztery rzędy różnych płyt kompaktowych i wybrał Lestera Younga. Usiadł za biurkiem i pozwolił, aby dźwięki jazzu wlały się do pokoju.

Przekręcił gałkę głosu i saksofon wypełnił mu głowę, wypędzając wszystko inne z umysłu. Wypił whisky i nalał sobie następną szklanekę. Obracając nią, słuchał muzyki i patrzył w okno.

Powoli wróciły pomysły, zmartwienia, wspomnienia, obsesje. Rozpoznał je wszystkie, ale były podszyte nieznanym uczuciem, że wszystko to mistyfikacja. Niewidzialność kontraktowych zabójców mógł zrozumieć, ale umiejętnie zniknięcie bez śladu Sary Jensen zaintrygowało go. Była amatorką, ale zachowywała się jak profesjonalistka. Od początku działała, zdał sobie teraz sprawę, z zadziwiającym wyrafinowaniem.

Zastanawiał się, kim był ten jej przyjaciel, o którym wspomniała w swojej rozmowie z Barringtonem. Wkrótce się dowie nie tylko tego. Gdy tylko doszła do niego wiadomość o jej zniknięciu, rozpoczął dokładne badania przeszłości Sary Jensen od dzieciństwa. Oczywiście sprawdzali ją, zanim zgodzili się na propozycję Barringtona, ale teraz Bartrop chciał szczegółów, uznał, że są konieczne. Istniało jakieś brakujące ogniwo w sprawie Sary Jensen, był tego pewien. Ale znajdzie je już wkrótce. Sarę także.

Delikatne stukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. To Mabell.

— Pańska kolacja jest gotowa, proszę pana. Czy mam podawać?

— Tak, dziękuję, Mabell. — Zszedł za gospodynią na dół do jadalni, gdzie stół był zastawiony dla jednej osoby. Bartrop usiadł. Mabell wróciła po chwili z zupą rybną, plackiem pasterskim i sufletem z sera. Wspaniałe jedzenie. Doskonale skomponowane.

Bartrop skończył kolację i wrócił do biblioteki. Parę chwil później zadzwonił Nigel Southport, szef oddziału włoskiego. Zapewnił Bartropa, że obserwatorzy są na miejscu, śledząc z dyskretnej odległości domy Antonia Fieriego i Giancarla Catanii. Poprosił o pomoc grupę wywiadowczą włoskich *carabinieri*. Była to jedyna grupa włoskiego wywiadu, której Bartrop jako tako ufał. Zdając sobie sprawę, że „Przyjaciele” mieli we Włoszech zbyt małe możliwości do odpowiedniego nadzoru dwóch celów, Bartrop dał pozwolenie Southportowi, by zwrócił się do *carabinieri*, którzy bez zbędnych pytań zgodzili się pomóc. Przysługa za przysługę; zaufanie za zaufanie.

## Rozdział 25

Słońce stało już wysoko nad górami Atlas, kiedy Sara, Jacob i Jack spotkali się na kolejny przegląd prasy. Zajęli miejsca wokół drewnianego stołu, pokiwali do siebie głowami i zaczęli czytać. Tak przebiegał codzienny rytuał: nadzieja przy śniadaniu, nerwy przy lunchu, gazety o czwartej, rozczarowanie, unikanie się i szukanie jakiegoś zajęcia przez całe popołudnie i wieczór, aż znowu rano przynosił iskry nadziei, która słabła w ciągu dnia.

Sara próbowała nie myśleć o tym przez następne parę dni. Jack miał stadninę cudownych ogierów berberyjskich, na których Sara jeździła prowadzona przez Angela, w górę, do podnóży szczytów przez parę godzin codziennie rano. Po powrocie błąkała się po ogrodach i długo spała podczas sjesty. Posiłki i nadejście gazet odmierzały upływający czas.

W niedzielę w nocy, kiedy Jack poszedł spać, przerwała narzuconą sobie ciszę. Siedziała z Jacobem. Upili się starym armaniakiem i do późna w nocy dyskutowali. Jacob powtórzył swoje przypuszczenia, że wszystkim musi kierować MI 5.

— W gruncie rzeczy, kim byłeś? Tajnym agentem. A kto może ponosić odpowiedzialność za takie sprawy? Tylko MI 5. — Jacob tłumaczył spokojnie i cierpliwie. — Różne rzeczy trzymali przed tobą w tajemnicy. Na przykład fakt, że jest w to zamieszana mafia i że wiedzieli

o przecieku tajnych informacji. Ale czy powiedzieli ci o tym, czy przynajmniej ostrzegli, że to może być niebezpieczne? Nie. Opowiedzieli ci tylko jakąś bajkę o żelaznym wilku, a ty zgodziłaś się zaangażować w to

1 pracować jako tajny agent dla prezesa Banku Anglii. — Jacob spojrział w niebo i jego głos załamał się z irytacji. — Kto słyszał coś podobnego. — Popatrzył na Sarę. — Nieważne z jakiej przyczyny, ale oszukali cię i wykorzystali. Założę się, o co chcesz, że to wszystko ma coś wspólnego ze Służbami Specjalnymi, wcale nie z prezesem Banku Anglii.

Sara przez chwilę siedziała w milczeniu.

— Nic już nie rozumiem, Jacob. Mogłabym zadzwonić jutro do prezesa i zapytać go, ale jeśli to nawet prawda, nigdy mi o tym nie powie, zgadza się?

Nie po raz pierwszy w ostatnich dniach Sara zastanawiała się, dlaczego została wynajęta przez prezesa. Dlaczego nie użył Biura do Spraw Defraudacji lub bardziej konwencjonalnych środków? Dostała przyzwolenie na wszystko, nigdy nie zakwestionował jej metod. Dopóki przynosiły rezultaty, okazywał zadowolenie. Prowadzenie własnej taktyki było bardzo wygodne, ale pracując dla Barringtona kilka razy złamała prawo. W którym momencie okazało się to niewybaczalne? Co by się stało, gdyby ktoś dowiedział się o jej nielegalnie zarobionych milionach? Status biura Barringtona i pozycja jego samego rozwiąły jej wątpliwości, ale podejrzenia pojawiły się znowu i zaczęły się powiększać jak pęknięcia na ścianie. Sara przestała identyfikować tego człowieka z jego stanowiskiem.

Do tej pory wierzyła, że jest przez niego chroniona, a działania, które podejmuje, są uprawomocnione przez urząd prezesa. Ale teraz nie istniało nic, co potwierdziłoby ich współpracę. Nie istniało nic na piśmie, nie było żadnych świadków.

Sarę ogarnęło rosnące poczucie osamotnienia. Bez sankcji prezesa jest zwykłym przestępcą. A bez jego ochrony była wystawiona na atak, prawie zupełnie bezbronna. Nie może ukrywać się tu z Jackiem i Jacobem do końca życia. To piękne miejsce, ale zaczynała już, niczym w więzieniu, odczuwać klaustrofobię. Walczyła w niej chęć zapomnienia o wszystkim, zniknięcia, ucieczki w Himalaje i przyłączenia się do Eddiego i Alexa, gdzie nikt by jej nigdy nie znalazł, z pragnieniem powrotu do Londynu, konfrontacji z Barringtonem i rozwikłania zagadki, co się naprawdę dzieje.

Wypełniła swoją część układu: odkryła przestępstwo, dostarczyła prezesowi wysokiej jakości dowodów; ale przestępstwo i ci, którzy je popełnili, byli o wiele groźniejsi, niż jej powiedział na początku. Przecież musiał o tym wiedzieć. A teraz doszły morderstwa. Do tej pory dwa. A on wciąż nic nie zrobił. Dlaczego? Pytanie powracało jak echo.

Przypomniała sobie uczucie radosnego podniecenia, gdy prezes poprosił ją, by pracowała dla niego jako tajny agent. Imponowała jej pozycja Barringtona i wabił blask tajemnicy. A jaki był rezultat? Śmierć i rozpad życia, które tak starannie zbudowała.

Uczucie, że została oszukana, do tej pory hamowane i nie dopuszczane do świadomości, zaczęło sączyć się w nią jak trucizna.

Życzyła Jacobowi dobrej nocy i udała się do łóżka, ale przeleżała całą noc bezsennie. Następnego ranka jej wiara w Barringtona roztrzaskała się w drobny mak. Cierpliwość Sary się wyczerpała. I powoli zaczęła pojawiać się wściekłość.

Zjadła śniadanie w swoim pokoju, pospacerowała po ogrodach, potem poszła popływać w basenie, przez cały czas nerwowo analizując sytuację. Wtedy podjęła decyzję, postanowiła rozmówić się z Jacobem i Jackiem. Przez pół godziny kłóciła się z nimi z determinacją.

Przekonali ją, aby zaczekała jeszcze parę dni. Przystąpiła na to niechętnie.

Dwa następne dni spędziła jak w otchłani, starając się nie myśleć, tylko żyć i cieszyć się pięknem otoczenia. Tak jak się spodziewała, w gazetach nic się nie pojawiło.

Trzeciego dnia, we środę, poziom adrenaliny wzrósł i Sara poczuła się chora z niecierpliwości. Nie poszła na śniadanie, lunch zjadła w swoim pokoju, robiła końcowe przygotowania i ostatni raz czekała na gazety.

Trzaśnięcie drzwi samochodu o czwartej ogłosiło powrót Angela. Sara, Jacob i Jack zeszli na dół ze swoich pokoi i zbrali się wokół okrągłego stołu na ocienionym tarasie na tyłach domu. Angelo ułożył stos gazet na środku białego obrusa:

*Financial Times, The Times, Guardian, Independent, Daily Telegraph, Corriere della sera i La Stampa.*

Sara popatrzyła na twarze Jacoba i Jacka. Spojrzeli na nią w sposób, który mówił: „Powodzenia!” i pochylili się nad gazetami. Przeglądali każdą stronę z nadzieją, która stopniowo bladła, rzucali gazety na podłogę, aż stół został pusty.

Sara starła sobie z rąk czern druku, brudząc serwetkę. Jej głos był spokojny.

— Więc to ostatnia szansa? — Przytaknęli jej, kiwając poważnie głowami.

Jack zawołał Angela, który odwrócił się szybko na pięcie i przyniósł telefon. Angelo kupił go parę miesięcy temu na południu Francji. Był zarejestrowany na małą firmę przyjaciela Jacka, niedaleko Villefranche. Przydawał się do rozmów, których Jack wolał, aby nie wiązano z jego domem w Maroku. Do telefonu podłączone było małe urządzenie nagrywające, które rejestrowało wszystkie rozmowy. Jack poprosił Angela

o nagranie rozmowy, która miała się odbyć. Angelo kiwnął głową

i zniknął w głębi domu.

Jack wręczył telefon Sarze. Zerknęła na zegarek. W Londynie była godzina 15.30.

Niech tak będzie, pomyślała, i niech to się wreszcie skończy, żebym nie musiała już o tym myśleć.

Wykręciła prywatny numer prezesa. Odpowiedział po trzech sygnałach. Tak bardzo chciała mu wierzyć. Ułatwiłoby to wiele spraw. Skupiła się, wyrzucała z siebie pytania, aby go przycisnąć do muru.

— Prezesie, tu Sara Jensen. Myślę, że winien mi pan jest pewne wyjaśnienie.

Dlaczego nikogo nie aresztowaliście? — Mówiła szybko i rzeczowo, opanowanym głosem.

— Słuchaj, Saro, dlaczego mi nie powiesz, gdzie jesteś? Przejmiemy cię i umieścimy w bezpiecznym miejscu, a wtedy ci wszystko wyjaśnię.

Sara parsknęła.

— Oczekuje pan, że w to uwierzę? Okłamywał mnie pan konsekwentnie od pierwszego dnia, kiedy mnie pan zatrudnił, a teraz oczekuje pan, że panu zaufam? Jego głos stał się bardziej zdecydowany.

— Słuchaj, Saro. To wszystko zaszło za daleko i... Jej głos przerwał mu z mrozącą jasnością.

— Tak, też tak uważam. Mosami nie żyje, Dante nie żyje, teraz moja kolej, jeśli nie będę uważać. Proszę posłuchać, prezesie, i odpowiedzieć mi na jedno pytanie.

Dlaczego nikogo nie aresztowano?

Jego głos stał się powolny i uważny.

— To nie jest takie proste. Nie możemy zrobić kroku przeciwko żadnej z tych osób, na razie... Jest parę problemów z dowodami.

Cierpliwość Sary się wyczerpała.

— Mówił pan przecież, że nie potrzebujemy dowodów sądowych. Więc jaki jest dokładnie ten problem?

Roześmiał się.

— Cóż, jeśli musisz wiedzieć, ty jesteś teraz problemem. Siedzisz w tym po szyję, prawda, Saro? Dowiedzieliśmy się o twoich trzech milionach dolarów i jest jeszcze jedna, czy dwie rzeczy, które odkryliśmy. To dlatego dałaś mi tylko połowę dowodów, prawda? Nie mogę nic zrobić bez wszystkich faktów, a ty nie chcesz mi ich dostarczyć... Nie możesz oczekiwać, że oprę się na wybranych faktach. Jeśli zrobię krok przeciwko Catanii, będę musiał również wystąpić przeciwko każdemu, kto jest w to zamieszany. W tej chwili chodzi również o ciebie. Jest z tego wyjście, ale musimy porozmawiać. Rozumiesz teraz moje kłopotliwe położenie. Nic nie mogę zrobić, dopóki nie powiesz mi, gdzie jesteś i nie uzupełnisz paru brakujących wiadomości, jeżeli nie chcesz sama zostać oskarżona. Więc myślę, że powinnaś to przemyśleć. Nie jesteś idealnym świadkiem bez skazy.

Sara oniemiała. Przewrzenie i wściekłość sparaliżowały ją. Barrington kontynuował, nagle łagodząc ton, jak gdyby zdał sobie sprawę, że posunął się za daleko.

— Słuchaj, Saro, najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić, to usiąść i przedyskutować całą sprawę spokojnie i rozsądnie. Nie sądzisz?

— Myślę, że na to już jest za późno, prezesie.

Rozłączyła się i usiadła w milczeniu, nie mogąc uwierzyć w jego zdradę. Zmusiła się do spokoju, analizując w myślach słowa Barringtona, szukając jakichś wskazówek. Jakkolwiek by je rozumiała, brak działania nie dawał się wytłumaczyć. Nie mogła rozszyfrować prawdziwych motywów, jakimi się kierował, ani dlaczego tak wytrwale je przed nią ukrywał. A teraz zdecydował się zagrać nieczysto.

Traktowała go od tej chwili jak wroga.

Wiedziała dokładnie, czym ją straszyl. Niech spróbuje, pomyślała

pogardliwie. Nic mi nie może udowodnić. Uśmiechnęła się do siebie. Co za idiota. Znając ją, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że groźby nie zrobią na niej wrażenia. Teraz miała swój dowód. I zrobi z niego użytek.

Z absolutną determinacją powiedziała sobie w myślach: „Cześć prezesie, życzę powodzenia”.

Jacob i Jack obserwowali grę emocji na jej twarzy. Sara powtórzyła im, co powiedział Barrington.

— Myślę, że zaprzepaścił swoją ostatnią szansę, prawda? Milczące kiwanie głowami uruchomiło jej plan awaryjny. Poczowała w ustach gorzkosłodki smak spiskowania.

Sięgnęła na dół do walizki stojącej przy niej, wyciągnęła brązową kopertę i położyła ją na stole adresem do góry. Imię i adres napisała odręcznie grubym czarnym flamastrem.

Szanowny Pan Hilton Scudd *The Times* Virginia Street 1 Londyn E1 9BD

Wszystko było przygotowane. Koperta zawierała Ust Sary, opisujący spiszek Catanii i rolę, jaką ona odegrała oraz dowody. Jacob przywiózł ze sobą wszystkie taśmy oskarżające uczestników spisku. Sara zrobiła kopie, nagrywając wszystkie najważniejsze fragmenty na jedną taśmę. Po jej rozmowie z Barringtonem dodała do listu post scriptum. Po czym wzięła książkę telefoniczną i otworzyła ją na literze s. Wykręciła trzynastocyfrowy numer. Usłyszała sygnał; usiadła, przygotowana na to, że będzie czekać. Po dwunastu sygnałach zagrzemiał głos Hiltona Scudda.

Sara i Hilton byli dobrymi przyjaciółmi od ponad siedmiu lat. Razem skończyli Cambridge, gdzie Hilton wydawał gazetkę uniwersytecką pod pozorem studiowania biochemii. Był energiczny, dobrze wychowany i nadzwyczaj przystojny; około metra osiemdziesięciu pięciu, raczej chudy. Uważał, że mięśnie są dobre dla kierowców ciężarówek. Na głowie miał szopę lśniących czarnych włosów ściętych krótko z tyłu i po bokach, z ekstrawagancką grzywką spadającą na czoło.

Sara przedstawiła się i wysłuchała tyrady o aktualnej sytuacji politycznej Wielkiej Brytanii. Dobrze, że nie włączyła głośnego mówienia. W końcu przez śmiech udało jej się wtrącić.

— Hilton, przymknij się na chwilę. Twoich komentarzy wysłucham kiedy indziej, teraz dzwonię w interesach. Wysyłam ci pocztą kurierską paczkę. Powinna się pojawić na twoim biurku jutro do jedenastej przed południem. Znajdziesz tam kasety i list ode mnie. Możliwe, że wyślę ci więcej materiałów. Może następnego dnia. I pilnuj tego, jak oka w głowie.

Jej twarz spoważniała.

— Słyszałeś o Mosami Matsumoto...? Powinieneś, pisaliście o tym



jakiś tydzień temu. Była moją najlepszą przyjaciółką... A o Daniem Scarpirato? Był moim kolegą z pracy i kochankiem. On też nie żyje. Ci sami ludzie, którzy ich zabili, teraz szukają mnie. Zabijają, aby ochronić swoje tajemnice. Tak, poważne tajemnice. Czekać na taśmy. — Sara zaczęła się niecierpliwić. — Nie pytaj mnie, dlaczego nie poszłam z tym do władz. Poszłam. Oni wiedzą dokładnie, kto za tym wszystkim stoi. Mają dowody, ale nic nie robią. Teraz może mi pomóc tylko prasa. Jeśli roznosisz tajemnice tych ludzi na cały świat, zniknie powód, żeby mnie zabijać, chyba że dla zemsty. Nie mogę ci więcej powiedzieć, Hilton. Przesyłka wszystko wyjaśni. — Słyszała, jak Hilton wstrzymuje oddech. — Nie będziesz mógł do mnie zadzwonić, ale ja będę telefonować regularnie, nie martw się o to. Po prostu wydrukuj historię, tyle, ile możesz, i nie pisz nic o mnie. — W jej głosie pojawiła się niezwykła determinacja. — Opublikuj to szybko.

Hilton Scudd odłożył słuchawkę, czując mrowienie na plecach. Wstał z za metalowego biurka i pobiegł do swojego wydawcy, Clementa Stampa. Stamp był muskularny. Wydawało się, jakby skumulował w sobie wszystkie najlepsze cechy dwu nacji: angielskiej i walijskiej. Miał wyczucie w sprawie plotek, ale potrafił też zachować dyskrecję. Miał szopę niesfornych szarych włosów. Wyglądał, jak jeden z bohaterów kreskówek, który wsadził palce do kontaktu. Brakowało mu tylko sinej twarzy. Sara spotkała go dwa razy i uważała, że to, jakie są jego włosy, jest winą wszystkich niesamowitych historii, o których pisał; były czymś w rodzaju zmagazynowanego szoku. Budził sympatię, inteligentny i uczciwy, ale z nutką pokretności.

Stamp obgryzał długopis BIC, gdy Scudd wszedł do jego gabinetu. Odłożył pogryziony długopis i spojrzał na Scudda, który usiadł na sfatygowanym krześle po drugiej stronie biurka.

— Pamiętasz moją przyjaciółkę z Cambridge, pracuje teraz w City, Sara Jensen?  
Stamp kiwnął głową.

— Trudno zapomnieć.

— Sądzi, że ktoś chce ją zabić. Stamp uniósł brew z powątpiewaniem.

— Kojarzysz tę historię z zeszłego tygodnia, pisaliśmy o Danem Scarpirato i Mosami Matsumoto?

Stamp opuścił brew i pochylił się do przodu na swoim krześle.

— Matsumoto była jej najlepszą przyjaciółką. Scarpirato jej kolegą z pracy i kochankiem.

Stamp wstał z za biurka.

— Co się dzieje, Hilton?

— Sara obiecała nam przesyłkę. Powinna być jutro. Dowód wielkich machlojek; tak powiedziała. Chce, żebyśmy to nagłośnili.

Sara wstała od stołu, podeszła do Jacoba i Jacka, kładąc ręce na ich ramionach.  
— To dobry chłopak, ten Hilton. Zobaczymy, co może zrobić. — Sara spojrzała ponuro. — Najgorsze jest to, że ja naprawdę potrzebuję więcej dowodów. Taśma z prezesem jest dobra, ale nie wystarczy.

Jacob spojrzał na nią z przestrawieniem.

— Nie zamierzasz chyba jej wykorzystać, ze wszystkimi tego konsekwencjami...  
Sara wzruszyła ramionami.

— Szantaż. Tak to się nazywa. Ale próżne groźby. Nic na mnie nie ma. Te trzy miliony, cóż, to fakt, ale nie może mnie oskarżyć bez oskarżania całej reszty, a najwyraźniej on nie chce tego zrobić.

— Ale jeśli twój przyjaciel z *The Times* napisze artykuł i nagłośni całą sprawę, prawdopodobnie nie obejdzie się bez oskarżeń. A ty możesz być w to wciągnięta razem z resztą.

— Nie sądzę, żeby sprawy zaszły aż tak daleko. Poza tym, taśma z moją rozmową z Barringtonem daje mi zabezpieczenie. Wątpię, aby chciał spotkać się ze mną na sali sądowej.

— Ale nie możesz udawać, że ta historia, jeśli trafi na pierwsze strony *The Times*, nie ugodzi w ciebie.

— Tak. Wiem o tym. Ale, naprawdę, nie mam wyboru. Nie ufam Barringtonowi. Chciałabym mieć jakiś wybór, żeby jeszcze raz to przemyśleć, ale... — Wzruszyła ramionami. — Nasza ostatnia rozmowa pozbawiła mnie wszelkich złudzeń. Poza tym nie mogę tu zostać na zawsze. Jediną szansą jest przekazanie całej sprawy prasie, wtedy być może Catania i jego zabójcy z mafii, czy nie wiem skąd, zostaną aresztowani, a ja będę bezpieczna.

Wysłuchawszy jej, smutno pokiwali głowami. Sara popatrzyła na nich i poczuła, że obezwładnia ją nagła fala bezradności. Co się stanie, jeżeli *The Times* nie opublikuje jej historii? Co zrobi wtedy? Kończyły jej się pomysły. A jeśli wmieszane w to były Służby Specjalne? Czy mogą nie dopuścić do publikacji? Czy są w stanie utajnić te informacje lub zrobić coś podobnego? Ale przecież różne informacje w dzisiejszych czasach przeciekały do prasy. Ciekawe, jakie jeszcze historie nigdy nie oglądały światła dziennego, jakie sekrety na zawsze ginęły w ogniu za sprawą oficjalnych czynników. Przeciwko komu — zastanawiała się po raz tysięczny — podjęła walkę.

— Wiecie, czego naprawdę potrzebuję? - Czego? — zapytali jednym głosem.

— Więcej dowodów. To, co mam, jest wciąż niekompletne. Myślę, że *The Times* będzie potrzebował więcej, niż im dałam.

Jack podniósł na nią oczy.

— Na przykład co?

— Kasety wideo...

— Jakie kasety?

— Te użyte do szantażowania Catanii. Na pewno są jednoznaczne. Rozumiesz, Catania i Carla razem w łóżku.

— Czy wiesz, gdzie one się mogą znajdować? — wtrącił się Jack. Sara spojrzała zaintrygowana; zobaczyła błysk w jego oczach.

— Są w mieszkaniu Carli, prawda Jacob?

— Arnott wspomina o nich na taśmach, prawda? Jacob patrzył na nich zaskoczony.

— Rzeczywiście, mówił o nich. — Cała trójka uśmiechnęła się do siebie w milczącej zмовie.

— Jaki jest jej adres? — zapytał Jack.

Jacob wyrecytował go. Był tam parę razy, aby się rozejrzeć po okolicy, zanim zamówił u swego przyjaciela urządzenia podsłuchowe.

— Jak ona wygląda? Lepiej mi powiedz wszystko, co o niej wiesz. Przez parę minut rozmawiali, po czym Jack wstał.

— Idę porozmawiać przez telefon, wybaczcie. Sara i Jacob uśmiechnęli się do siebie.

— Nigdy nie uwierzyłem, że wycofał się z interesu — skomentował Jacob.

— Mamy szczęście, że nie.

— Nie martw się, cieszy się, że ma pretekst. Przestępstwo usprawiedliwione. Tak jest o wiele przyjemniej. — Jacob uśmiechnął się ze szczególną przebiegłością. Nagle pojawił się przy nich Angelo. W rękach trzymał kasetę z nagraniem rozmowy Sary z prezesem. Włożyła ją do brązowej koperty i wręczyła mu z powrotem. Patrzyła, jak wychodzi na pocztę w Marakeszu, z wybrzuszoną kopertą w dłoni. Rozsiani po Onslow Square obserwatorzy widzieli, jak Carla Vitale opuszcza mieszkanie o 17.30. Niosła ze sobą sportową torbę. Przypuszczali, że przez parę najbliższych godzin nie będzie jej w domu. Kilku ruszyło za nią, reszta została na miejscu.

Parę minut po wyjściu Carli starszy gentleman, który mieszkał piętro niżej, wracał, zataczając się lekko ze swojego klubu. Za nim szła siwa kobieta po sześćdziesiątce, w fartuszku; sprzątaczką, dźwigającą duży odkurzacz i ogromną torbę. Starszy pan z galanterią otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

Sprzątaczką, Carol Abrahams, dreptała powoli po schodach, zatrzymując się co jakiś czas, aby odpocząć. Upewniwszy się, że starszy pan bezpiecznie zniknął w swoim mieszkaniu, i że nie ma nikogo więcej w okolicy, zatrzymała się przed wejściem do mieszkania na czwartym piętrze. Zapukała do drzwi i przycisnęła dzwonek, dla pewności. Nikt się nie odezwał. Nikogo nie ma w domu. Sięgnęła do torebki, wyciągnęła pęk

kluczy i zaczęła skrupulatnie rozpracowywać obydwie zamki. Po niecałych dwóch minutach mieszkanie Carli stało przed nią otworem.

Wpadła do środka, wykazując przy tym zaskakującą zręczność. Odkurzacz niosła wysoko w powietrzu tak, aby nie zbierał żadnych paprochów z dywanu. Wyjęła plastikową torbę z wypchanej torebki, położyła ją na podłodze i postawiła na nim odkurzacz. Wszystko to zajęło jej około pięciu sekund. Zaczekała parę minut, modląc się, aby nie włączył się żaden alarm. Mijały sekundy. Cisza. Nic.

Wzięła parę głębokich oddechów, aby się uspokoić, po czym zabrała się do pracy. Jej zadanie było jasne i proste; niemal dziecinnie łatwe. Miała zabrać z mieszkania wszystkie kasety wideo, i nie dotykać niczego innego. Dzięki Bogu, znalazła tam sporo kaset. Cztery wcisnięte pod telewizor, trzy kolejne w sejfie, którego otwarcie zajęło jej mniej niż pięć minut. W sejfie była również szkatułka cennej biżuterii, jakiej Carol nie widziała już dawno. W jasnożółtych gumowych rękawiczkach, jakich używa się do zmywania, a które kupiła dziś rano w „Safeway” za funta i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, przepuściła przez palce tuzin naszyjników. Pokusa była ogromna, ale polecenie brzmiało jasno. Znała je dobrze i nie mogła zlekceważyć. Odłożyła biżuterię na miejsce, wyjęła kasety i wrzuciła je razem z innymi do środka odkurzacza, po czym bardzo szybko wymknęła się z mieszkania. Wracając do roli sprzątaczk, zesłała kuśtykając po schodach i wyszła na chodnik. Zauważyła paru mężczyzn w furgonetce Telekomunikacji Brytyjskiej zaparkowanej przed budynkiem. Przyglądali się jej. Wysłała im piękny, pozbawiony zębów uśmiech i ruszyła ulicą.

Za rogiem otworzyła swój samochód i wsiadła do środka. Odkurzacz położyła na siedzeniu obok i upewniając się, że nikt nie patrzy, otworzyła go, wyciągnęła kasety i przerzuciła je do torby, którą miała przy nogach. Przekręciła klucz w stacyjce i pojechała w kierunku Heathrow. Dwie godziny później siedziała w boeingu 737 w drodze do Marakeszu.

Jack spotkał się z nią na lotnisku. Zaprosił ją do swojego samochodu. Obydwoje usiedli na tylnym siedzeniu i z uśmiechem oczekiwania Carol otworzyła torbę i wręczyła mu swoją zdobycz.

— Znalazłam tam sporo biżuterii — powiedziała z błyskiem w oczach. Jack na chwilę zmarszczył czoło, popatrzył na jej twarz, ale się roześmiał. Carol pracowała dla niego od dwudziestu lat, a była w interesie kolejne dwadzieścia, zanim ją poznał. Nigdy nie potrafiła się oprzeć pokusie zażartowania sobie z niego.

— Nie martw się. — Zachichotała. — Zostawiłam je na swoim miejscu.

— Dobrze zrobiłaś — roześmiał się Jack. — Angelo za parę dni będzie wolny. Załatwi z tobą wszystko, w porządku?

— Lepiej, żeby tak się stało, bo wrócę po tamte świece. Śmiejąc się, pojechali do centrum Marakeszu na aleję Bab Jdid, gdzie

Jack wysadził Carol przed „Mamounia”, największym hotelem w mieście.

— Możliwe, że jutro dostanę paczkę do wysłania. Jest bezpieczna. Żadnego przemytu.

— Lepiej, żeby to cholerstwo było w porządku. Wystarczająco nieprzyjemnie jest jechać taki kawał, a potem, następnego dnia od razu wracać. Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem jakimś pieprzonym mułem bagażowym. — Zachichotała.

Jack roześmiał się głośno, na poły udając, na poły szczerze.

— Zadzwoń jutro.

— Przypuszczam, że chcesz, żebym zaczekała na twój telefon?

— Wątpię, abyś już wstała, kiedy zadzwonię. Upewnij się tylko, czy jesteś w wystarczająco dobrej formie, aby jutro znowu lecieć. Nie zalewaj się za bardzo. — Jack zrobił do niej oczko, zamknął drzwi, nie czekając na jej odpowiedź, i odjechał, wciąż uśmiechając się do siebie.

Lekceważenie zawodu, nawet w żartach, wywoływało u Carol dziką furję. Pomimo jej niepozornego wyglądu, była jednym z najlepszych zawodowych włamywaczy w interesie. Przez ponad czterdzieści lat działalności przestępczej nigdy nie weszła w konflikt z wymiarem sprawiedliwości. Podobnie jak Jack, była półemerytką, ale od czasu do czasu dawała się przekonać do podjęcia jakiegoś dziwnego zlecenia, jeśli pieniądze i klient jej odpowiadały. Dla Jacka zrobiłaby prawie wszystko, a za ćwierć miliona funtów absolutnie wszystko.

Jack wrócił do Ouiriane o pierwszej w nocy. Jacob i Sara nie spali, czekali na niego. Zebrali się wokół niego w bibliotece. Otworzył swoją torbę i promieniejąc, wyciągnął z niej kasety wideo. Uśmiechnął się uradowany.

— Nie jestem pewien, czy nie będą to rodzinne imprezy, ale chyba możemy rzucić na to okiem? — Po czym, jak gdyby zaraził się od Carol, wydał z siebie przebiegły chichot.

Sara i Jacob roześmiali się głośno.

— Cóż, lepiej to sprawdzić. — Sara i Jacob rzucili się na najlepsze miejsce na wprost odtwarzacza wideo. Sara wygrała. Jacob spojrzał z rezygnacją.

— Żadnego poszanowania, co za młodzież. To właśnie największy kłopot... — Wybuchnęli śmiechem. Kiedy pierwsza z kaset ożyła na ekranie przed nimi, śmiech trwał. Carlę i Catanię sfilmowano w wielu kompromitujących pozycjach. Nie można było sobie życzyć lepszego dowodu szantażu.

Jack zrobił kopie tych taśm. Sara napisała krótki list do Hiltona i zakleiła go razem z taśmami wideo w dużej paczce. Angelo zawiezie ją rano do Carol Abrahams. Carol wróci z nią do Londynu i przekaze kurierowi, a ten dostarczy ją do redakcji *The Times*.

Myśli Sary wróciły do scen tak malarsko ujętych na taśmach. Piękne rysy Carli wypełniały ekran; zimna, wyrachowana i uwodzicielska. Sara nie czuła do niej nic, poza niesmakiem. Poruszył ją drugi bohater.

Giancarlo Catania wzbudził w niej nieporównywalną do niczego nienawiść. Obserwowała błyski w jego ciemnych oczach i zrozumiała, że jest zdolny do każdej zbrodni. Na pewno nie brudził rąk bezpośrednio, tylko przez wynajętych zabójców. Sara mogła to sobie z łatwością wyobrazić.

Życzyła dobrej nocy Jacobowi i Jackowi, po czym poszła do swojego pokoju. Wyrzła na otwarty taras i wdychała ciepłe nocne powietrze. Zapach jaśminu wypełnił jej zmysły jak narkotyk. Zadała głowę i spojrzała na gwiazdy, ogromne i błyszczące. Twarz miała wychudzoną — od dłuższego czasu prawie nic nie jadła — ale jej rysy wyrażały determinację. Teraz miała swój cel i ból zaczął się zmniejszać.

## Rozdział 26

Przesyłka poczty kurierskiej wylądowała z głuchym uderzeniem na biurku recepcji redakcji *The Times*. Leroy Grey, jeden z ludzi zajmujących się pocztą, ociężale wyciągnął rękę i podniósł słuchawkę telefonu.

— Hej, Hilton, przesyłka kurierska. Jest u mnie. Tak, przyniosę. Nic wielkiego. Hilton wziął przesyłkę i skierował się z nią do biura Clementa Stampa. Stamp otwierał kopertę; Hilton przez cały czas zaglądał mu przez ramię. Otworzył ją nad biurkiem i potrząsnął tak, że wypadła z niej cała zawartość. Były tam dwie kasety magnetofonowe C90 i napisany na maszynie list.

Papier pogniótł się trochę, więc Stamp wyprostował go na stole. Hilton czytał mu przez ramię. Drogi Hiltonie!

Zrób z tym, co uznasz za stosowne. Możesz oczywiście pokazać wszystko Clementowi; to świetny wydawca. Godzien zaufania. Ale nie dawaj materiałów żadnym prawnikom, bo nigdy nie pozwolą na dopuszczenie ich do druku. Jak obydwoje wiemy, nie mają jaj i wolą prowadzić spokojny żywot. Również nie pokazuj tego policji ani władzom. Sam zrozumiesz, dlaczego nie mam do nich zaufania. Nawet jeśli znajdziesz między nimi porządnego człowieka, prędzej osiwieję, a ty wyłysiejesz, nim cokolwiek zrobią. Tymczasem, jak ci mówiłam, ukrywam się w obawie o swoje życie. Ci sami ludzie, którzy zamordowali Mosami i Dantego, szukają teraz mnie.

Moja rola w tym wszystkim? Byłam tajnym agentem zatrudnionym przez prezesa Banku Anglii. On pracuje dla kogoś jeszcze innego; dla kogo, nie wiem. Możliwe, że dla służb specjalnych. W każdym razie, wykonałam swoje zadanie, wskazałam im winnych i dostarczyłam dowodów, a oni z jakichś powodów nic nie robią; żadnych aresztowań, nic. Aferzyści i zabójcy pozostają na wolności. Moją jedyną nadzieją jest to, że napiszesz o całej sprawie i wskażesz ich. Wtedy nie będą mieli po co mnie zabijać, poza chęcią zemsty.

Ponad stronę zajmował opis defraudacji i lista wszystkich zamieszanych w sprawę. Post scriptum sugerowało, że również mafia może mieć w tym swój udział. Stamp i Scudd wymienili spojrzenia. Oczy im błyszczały. Stamp sięgnął do biurka i wyciągnął magnetofon. Kaset wysłuchali w absolutnej ciszy, po czym Stamp wrzucił taśmy i list z powrotem do koperty i zamknął ją w sejfie wbudowanym w tylną ścianę gabinetu.

Żyły pulsowały mu na skroniach.

— Co za historia: seks, korupcja i morderstwa na szczytach włoskiego rządu, w City, w Banku Anglii i możliwe, że również wywiad maczał w tym palce; wszyscy zamieszani bogaci jak Krezus; i Sara Jensen uciekająca przed nimi.

Hilton przetarł oczy i rzucił pytanie jakby w przestrzeń.

— I co teraz zrobimy?

Clement wstał z krzesła z błyskiem w oku, podszedł do Hiltona i chwycił go mocno za ramię.

— Wydrukujemy tak dużo, jak będziemy mogli. Napiszemy artykuł na przynętę. Zobaczymy, jaka będzie reakcja. Na tym etapie utrzymamy wszystko trochę zawoalowane.

Hilton uśmiechnął się do niego.

— A ty, co zamierzasz zrobić?

— Ja — odpowiedział ze zwykłym uśmiechem — ja zamierzam uwiarygodnić kasety. — Hilton spojrział na niego zdęgotowany.

— Żeby zabezpieczyć własny tyłek — krzyknął Stamp za wychodzącym Hiltonem. Kasety zostały uwiarygodnione, a Hilton był w połowie swojego artykułu, gdy przyszła druga przesyłka.

Została dostarczona przez posłańca na motocyklu, ubranego na czarno, od kasku po buty. Był to bratanek Carol Abrahams.

— Nie do rozpoznania — skomentował później Leroy Grey, który przyjął paczkę i nieczytelny podpis.

Koperta leżała w recepcji godzinę, zanim Leroy wolnym krokiem udał się do biurka Hiltona. Hilton zauważył charakterystyczne pismo i omal nie dostał ataku apopleksji. Chwycił paczkę i wbiegł do biura Stampa, przerywając mu zebranie. Stamp spojrział na twarz Scudda, potem na kopertę i z powrotem na Scudda, po czym poprosił czterech dziennikarzy, którzy zajmowali miejsca wokół stołu, aby się rozeszli. Wynieśli się, rzucając Scuddowi nienawistne spojrzenia.

Hilton usiadł naprzeciw Stampa, rozciął kopertę i odwrócił otwartą nad stołem.

Wypadła z niej kolekcja kaset wideo i kaset magnetofonowych. Scudd sięgnął ręką do środka i wyciągnął list Sary. Był krótki; po prostu patrzcie, słuchajcie i wykorzystajcie. To wszystko.



Stamp zasłonił żaluzje na oszklonych ścianach i drzwiach, wziął jedną z kaset i włożył do odtwarzacza.

Melodyjny kobiecy głos, mówiący po włosku, zapowiedział godzinę, datę i miejsce: 14.45, 26 października 1992, Rzym.

Ekran rozjaśnił się i widok ogólny pokoju przeszedł w ostre zbliżenie. Była to sypialnia, a w niej dwie osoby: prezes Banku Włoch, Giancarlo Catania i nieznana ani Stampowi, ani Scuddowi piękna pod każdym względem brunetka w wieku ponad dwudziestu pięciu lat.

Uprawiali seks. Mocny seks. Stosunek zakończył pierwszą taśmę. Mieli jeszcze cztery taśmy: z Londynu, Nowego Jorku, Genewy i Rijadu. Poza tym była kasetka z serią konwersacji między melodyjnym głosem a Catanią. Pierwsza określała zasady szantażu. Scudd, który mówił co nieco po włosku, tłumaczył. Jeśli Catania nie zechce współpracować, nagrania wideo zostaną pokazane jego żonie. W zamian za trzymanie kaset wideo w sekrecie, Catania zgodził się dostarczać informacji o polityce walutowej G7 i Wspólnoty Europejskiej, takich jak zmiany kursu walut, czy interwencje banków centralnych na rynkach walutowych.

Kolejne konwersacje były krótkie, nerwowe, Catania instruował swoją rozmówczynię, aby kupować szterlingi, dolary, liry, w zależności od sytuacji. Stamp wyłączył magnetofon i migający ekran telewizora. Przejechał dłońmi po swoich kręconych włosach i ciężko westchnął, jak gdyby przytłoczony ciężarem tego, co właśnie zobaczył. Wstał i zaczął przechadzać się po biurze.

— Cholernie piękna historia, ale czy możemy o tym napisać? Efekt polityczny mógłby okazać się nieprzewidywalny. W porządku, we Włoszech są do tego przyzwyczajeni; po prostu kolejny skandal. Ale tu jest trochę inaczej, jakkolwiek by na to patrzeć; ta sprawa cuchnie. Szef jednego z banków centralnych jest oszustem, a prezes Banku Anglii wchodzi w niebezpieczny związek ze służbami specjalnymi. Razem powołują, a potem opuszczają swojego agenta, i możliwe, że później próbują zatuszować całą rzecz. Dowód jest jednoznaczny, ale nie ma żadnych aresztowań. Wygląda na to, że nawet im to wszystko wydaje się niejasne. Nie będzie im zależało na korowodach w sądach. Bardziej w ich stylu byłoby rozwiązanie prywatne, ale jak się temu przyjrzeć, nie doszło nawet do tego: żadnych nagłych rezygnacji „z przyczyn zdrowotnych”; żadnych plotek na temat poszukiwania kandydatów na zastępstwo. Nie widzę w tym sensu, a ty?

Scudd przytaknął głową. Stamp kontynuował.

— Poza tym, co z Sarą Jensen. Barrington mówi o niej, że „siedzi w tym po szyję”, że jest ta sprawa trzech milionów dolarów i nie jest świadkiem bez skazy. Poza tym twierdzi, że dowiedział się o paru innych rzeczach. Jak myślisz, co ona zrobiła?

— Niech mnie diabli, nie wiem.

— Cóż, musiała parę razy złamać prawo, podsłuchując ludzi, zdobywając te kasety wideo, które założył się, że zostały wykradzione.

Stamp usiadł z powrotem za biurkiem.

— Nieważne, cokolwiek zrobiła, jej dwóch przyjaciół nie żyje, a mężczyzna, który powinien ją chronić, raczej zamierza ją zastraszyć.

— A ona prosi nas o pomoc. Do tego się to wszystko sprowadza, prawda? — powiedział Scudd.

Stamp przechylił się do tyłu w swoim krześle i spojrzął na sufit.

— Więc co zamierzamy zrobić? — zapytał Scudd.

— Boże, nie wiem. Chcę o tym pomyśleć przez chwilę. Ale ty nie przerywaj pisania. Usiądź w jednym z pokoiów konferencyjnych, zaszyfruj jakimś hasłem wszystkie kopie. Nikt ich nie będzie oglądał oprócz mnie. Powinienem porozmawiać z prezesem, ale nie jestem pewien, czy nie jest jeszcze za wcześnie. Pokażesz mi swój artykuł, kiedy tylko skończysz. Może to mi podsunie jakiś pomysł. — Stamp westchnął ciężko. — Rzecz polega na tym, że naprawdę nie wiem, czy będziemy w stanie to opublikować. Prawdopodobnie dostaniemy zakaz publikacji, gdy tylko rząd albo Bank Anglii wyczują sprawę. Dlatego nie chcę im jeszcze o niczym mówić. Może uda nam się sprawy posunąć tak daleko, że zakaz publikacji nie będzie miał sensu. Po prostu nie wiem.

— Ale jednak coś zrobimy. Wierzę Sarze, kiedy mówi, że teraz czyhają na jej życie.

— A myślisz, że ja nie wierzę? Mafia i Catania mają wystarczająco dużo powodów, żeby chcieć ją wyeliminować.

— I nikt nie ma zamiaru ruszyć palcem, żeby jej pomóc.

Hilton Scudd wstał, energicznie wyszedł z biura i zamknął się w jednej z sal konferencyjnych na odległym końcu hali. Włączył komputer na biurku stojącym pośrodku pokoju, wprowadził najpierw swoje hasło, a potem sekretne hasło szyfrujące i zaczął rozmyślać pochylony nad klawiaturą. Grzywka opadała mu na oczy. Co parę słów odgarniał ją z czoła ruchem ręki, aby parę sekund później opadła znowu.

Giancarlo Catania rozparł się w swoim krześle z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Kelnerzy sprząтали pozostałości po wyjątkowo dobrym lunchu. *Bresaola* z musztardą i *parmeggiano regiano*, potem *picatta di yitello* a na zakończenie *liramisu*. Wszystko popite butelką *tignorello*. Najlepsze restauracje w Rzymie czułyby się zawstydzone... ale nie dano okazji, aby się o tym dowiedziały.

Znajdowało się tu dwóch znakomitych szefów kuchni, dwóch kelnerów podających w ogromnej, pełnej słońca jadalni, ale to nie była restauracja. Nie wymieniano jej w żadnym informatorze, nie nosiła tabliczki z nazwą na swojej eleganckiej fasadzie. Żaden ciekawski przechodzień nie mógłby zajrzeć do środka. Wszyscy, którzy tam jadal, byli znani właścicielowi. Politycy i urzędnicy publiczni, z którymi Catania

spędzał całe dnie, nigdy tu nie przychodzili, lub jeśli nawet, nigdy by się do tego nie przyznali.

Ogromna willa z różowego kamienia usytuowana przy Via Appia Antica około siedmiu kilometrów od centrum Rzymu pochodziła z 1930 roku. Niska i rozbudowana, z basenem na tyłach, od frontu miała ogromny ogród zapewniający prywatność i chroniący przed oczami ciekawskich. Dom należał do Antonia Fieriego. Co miesiąc właściciel i Catania spożywali lunch w jadalni o niskim suficie z widokiem na ogrody z tyłu domu.

Catania zawsze był zabierany z Banca d'Italia przez jednego z kierowców Fieriego samochodem zapisanym na firmę mającą siedzibę na wyspach Kaimana, na wypadek, gdyby ktoś usiłował iść śladem numerów rejestracyjnych. Catania nie mógł użyć swojego oficjalnego samochodu: każdy, kto go znał, rozpoznałby numery. Samochód Fieriego miał przyciemniane, kuloodporne okna. Kierowca parkował w podziemnym garażu na uboczu domu Fieriego. Catania mógł wejść po schodach do domu bez lęku, że ktoś go zauważy z zewnątrz. To był rytuał, ale dziś nie przyniósł mu przyjemności.

Catania bał się potwornie tego spotkania. Wiedział, że musi zachowywać się normalnie, a jednocześnie przyglądać się Fieriemu, szukając jakiegoś śladu wskazującego na to, że mógłby coś wiedzieć lub podejrzewać o Carli, Dantem Scarpirato, Mosami Matsumoto albo Sarze Jensen; ta lista zdawała się nie mieć końca. Zbyt wiele sekretów prawie niemożliwych do utrzymania.

Fieri miał ogromną sieć wywiadowczą, a on sam był człowiekiem nad wyraz podejrzliwym. Catania wiedział, że jeśli się zdenerwuje, to potwierdzi tym jego podejrzenia. Fieriego bawiło wprawianie ludzi w zakłopotanie, lubił obserwować, sprawdzać, czy mają przed nim coś do ukrycia.

Ale Fieri był dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze, zadowolony z ostatniej operacji G7, która zasilila jego organizację szesnastoma milionami dolarów. Może nie tak dużo w porównaniu z ich całkowitymi wpływami, ale nieźle, jak na przedsięwzięcie pozbawione ryzyka. Przyglądając się Capo, Catania zaczął się rozluźniać. Fieri, zadowolony z interesów, był jowialny i przyjacielski. Nic nie wskazywało na to, że coś wie o sprawie Dantego Scarpirato i Mosami Matsumoto, którzy bezpiecznie zostali wyeliminowani. Została tylko ta dziewczyna, Sara Jensen. Wystraszył ją tak, że nic nie powie z uwagi na śmierć swoich przyjaciół. Gdyby przekazała coś władzom, już dawno zapukano by do jego drzwi. Jak na razie wszystko szło dobrze, ale nie zamierzał ryzykować. Utrzymywał kontrakt na życie Sary Jensen. Christine Villiers dostała polecenie, aby czekać w Londynie na swoją ofiarę. Wcześniej czy później dostanie ją.

W czasie spotkania obawy Catanii malały, a jego pewność siebie rosła. Fieri był tak zadowolony z interesów, że popchnęło go to do niezwykłego aktu hojności.

Powiedział Catanii, że zdeponował dla niego dodatkowy

milion dolarów na jego koncie w szwajcarskim banku. Zwykle Catania dostawał dziesięć procent wpływów, co tym razem dałoby mu 1,6 miliona dolarów. Catania uśmiechnął się. Mając 2,6 milionów dolarów może spłacić Christine Villiers. Był wylewny w swoich podziękowaniach. Fieri przyjął podziękowania z uśmiechem dobrego władcy, po czym wstał, uściskał go i wyszedł na kolejne spotkanie. Catania rozparł się na swoim siedzeniu. Sprawy zdecydowanie przybierały lepszy obrót. Lunch okazał się sukcesem, a jego małe problemy zdawały się być pod kontrolą. Roześmiał się głośno, zerwał się na równe nogi i zawołał kierowcę. Mógł odjeżdżać.

Podczas gdy Catania rozkoszował się swoim dobrym samopoczuciem, Giovanna Cheri, jego młodsza asystentka, paliła papierosa za papierosem i usiłowała odpowiedzieć na dwa telefony równocześnie. Rita, jej szefowa, powinna już dawno wrócić, a nie zostawiać ją samą z tym bałaganem. Wyszła na lunch ze swoim chłopakiem, Galuco, a potem na zakupy na Via Condotti, na pewno nie wróci wcześniej niż za trzy godziny, a może jeszcze później. *Cattiva*. Zawsze tak robiła, gdy Catania zapisywał w swoim kalendarzu „Lunch z signor F”.

Catania rzadko wracał z tych spotkań przed piątą. Giovanna zachodziła w głowę, kim jest tajemniczy signor F. A może to kobieta? Wzruszyła ramionami. Wszyscy mieli kochanki, dlaczego on miałby nie mieć? Jak na swój wiek, wygląda całkiem nieźle. Giovanna przerwała spekulacje i wzięła egzemplarz *Vogue*. Miała dokładnie minutę na czytanie, bo czerwony telefon, używany przez ważniejszych ministrów, znowu zaczął dzwonić.

Był to wydawca *The Times* z Londynu, pan Stamp. Rozmawiała z nim już raz, przypomniawszy sobie. To miły mężczyzna, bardzo uprzejmy. Jej szef mógłby się wiele od niego nauczyć. Co mogła dla niego zrobić? Chciał rozmawiać z prezesem w bardzo ważnych sprawach zawodowych. Czy byłaby możliwość sfaksowania mu numeru telefonu do jej szefa, żeby mógł go złapać później wieczorem?

*Ma certo*. Z przyjemnością. Wzięła numer faxu Stampa i przeczytała mu go dla pewności. Dziesięć minut później fax wylądował na biurku Clementa Stampa.

W drugim kącie pokoju Hilton Scuddy gorączkowo stukał w klawisze. Ustalił hasło dla artykułu, który pisał: plik nazwał mianem „Cambridge”. Tylko osoba, która znała to hasło, mogła mieć dostęp do dokumentu, w tym przypadku był to Clement Stamp i Christopher Fisch, jeden z prawników zatrudnianych przez pismo.

Zazwyczaj wszystkie kopie trafiały do centralnego systemu i każdy z dziennikarzy *The Times* mógł mieć do nich dostęp za pośrednictwem sieci przez własny komputer. Ale dla dobra całej sprawy i Sary Jensen Stamp nie chciał żadnych przecieków.

Każda duża sprawa napełniała go nerwowym podnieceniem, ale tym

razem czuł niepokój i zdenerwowanie. Nie chodziło o samą historię, ale o jego rolę przy opublikowaniu jej, jeśli w ogóle to wydrukują. Mogą uruchomić lawinę, która wymierzyłaby sprawiedliwość. Nie pierwszy to raz, kiedy on lub jego gazeta spełniałyby tę rolę, ale tutaj wszystko jest napiętnowane z trudną do wytrzymania niejednoznacznością; zbyt wiele kłamstw i niedomówień zmieszanych z prawdą, zbyt wiele wątków ubocznych; rzeczywistość jak w krzywym zwierciadle, perspektywa zakłamana po obu stronach. W tym mroku pewne rzeczy były jasne: Sarze Jensen zagrażało poważne niebezpieczeństwo, miała miejsce ogromna defraudacja

I coś jeszcze, coś ciemniejszego i groźniejszego, w czym uczestniczył prezes Banku Anglii i jacyś inni nie zidentyfikowani ludzie, kierujący całą sprawą.

Mógł tylko, zaczynając od rzeczy oczywistych, przejść do obrazu ogólnego, i zobaczyć, jak to się rozwinie. Ciężkim krokiem wyszedł ze swojego biura na spotkanie z Christopherem Fischem, prawnikiem.

Fisch nie był zadowolony. Kąciki ust miał opuszczone w zawodowym wyrazie pesymizmu. Stamp stał za nim i spoglądał na artykuł Hiltona na ekranie. Tekst wyglądał jak pole bitwy. Całe zdania były zaznaczone na czerwono, z powodu zbyt daleko idących spekulacji, do wykreślenia. Tłustym drukiem poniżej Fisch wydrukował swoje poprawki. Stamp wiedział, że Scudd przeczyta te zmiany na swoim monitorze, po czym wpadnie w szał i będzie się kłócił o każdą literę. W większości przypadków będzie musiał ustąpić, co wkurzy go jeszcze bardziej. Stamp wrócił do swojego gabinetu. Fisch i Scudd pozostawali w pełnym napięcia kontakcie. Do barku wysyłano kolejne zamówienia, znikąło jedzenie, wypijane były nieskończone ilości mocnej kawy, a nerwy i temperamenty wrzały.

Do ósmej wieczorem został osiągnięty kompromis. Cała trójka siedziała za biurkiem Stampa, patrząc na artykuł na monitorze. Stamp wpisał nagłówek.

#### ZARZUTY SZANTAŻU NA MILIARDY DOLARÓW W G7.

„Krażą pogłoski o tym, że jeden z wysoko postawionych bankowców któregoś z banków centralnych należących do Grupy Siedmiu Najbardziej

Uprzemysłowionych Krajów Świata uległ szantażowi swojej kochanki i udostępnił szczegóły działalności G7 w sprawie tajnych interwencji walutowych. Twierdzi się, że informacje te zostały później użyte przez osoby współpracujące z kochanką prezesa i wykorzystane w handlu na rynkach wymiany zagranicznej. Miał miejsce proceder wykorzystania tajnych informacji o najwyższym znaczeniu.

Wyzyskiwanie takich informacji nie daje stuprocentowej pewności zysku, ale drastycznie zmniejsza ryzyko. Z takimi informacjami i z kapitałem tylko 250 000 dolarów możliwe byłoby osiągnięcie nielegalnych zysków rzędu dziesiątków milionów dolarów rocznie.

Nasze źródła sugerują, że użyto dużo większych sum do operacji, a nielegalne zyski mogą wynosić ponad 100 milionów dolarów".

Później artykuł opisywał przykłady nadużyć na rynku międzynarodowej wymiany walutowej i na innych rynkach finansowych. Tekst składający się z pięciuset słów miał być umieszczony na pierwszej kolumnie. Z taktyczną uwagą ujawniał tyle, aby nie przekroczyć granic legalności. Zarysowywał tylko sytuację.

Stamp wyobraził sobie powódź telefonów, które rozzwonią się na całym świecie: Scotland Yard, Biuro do Spraw Defraudacji, Departament Handlu i Przemysłu, Federalne Rezerwy... i Bank Anglii, który cały czas miał dowody, ale z jakichś niewiadomych przyczyn nie wykorzystywał ich, w każdym razie, w żaden widoczny sposób. Reperkusje będą ogromne; Sara Jensen dużo za to zapłaci. Jeśli wszystko opublikują, nie ma możliwości, aby wyszła bez szwanku. Stamp patrzył na artykuł przez dłuższą chwilę. Pod wieloma względami byłoby dużo lepiej, gdyby go nigdy nie opublikował.

Uśmiechnął się do zmęczonych współpracowników, sięgnął do kalendarza leżącego na biurku i wyciągnął sfaksowany numer kontaktowy do Giancarla Catanii. We Włoszech była godzina dziewiąta wieczorem. Stamp wystukał numer.

Catania jadł właśnie kolację w domu *dottore* Nicolò Calabрії, swego zastępcy w Banku Włoch. Calabria nienawidził szefa. Sądził, że sam nadawał się o wiele lepiej na stanowisko prezesa. Calabria cierpiał w milczeniu już od trzech lat i jego cierpliwość zaczynała się kończyć. To było bolesne, utrzymywać przyjazne stosunki z parweniuszem, ale taką politykę uważał za konieczną, więc co trzy miesiące zapraszał Catanię na kolację. Jedynym pocieszeniem była żona Catanii i jej poświęcał całą swoją uwagę. Zamknięci w jadalni nie słyszeli dzwonienia telefonu. Dwunastoletnia córka Calabрії, Nicoletta, podniosła słuchawkę w swojej sypialni. Uwielbiała przeszkadzać rodzicom w ich proszonych kolacjach. Wypadła z pokoju, przebiegła przez hol i wtargnęła do jadalni. Utkwiło w niej dwanaście par oczu.

— Papa, to do *governatore* Catanii. Wydawca *The Times* z Londynu. Rozbawione spojrzenia przeniosły się na Catanię.

— *Allora*, co znów nabroiłeś, Giancarlo?

Catania uśmiechnął się i przeprosił. Ciarki przebiegły mu po plecach, ale z uśmiechem odwrócił się i poszedł za Nicolettą do holu. Dziewczynka wskazała mu telefon na stoliku. Catania zignorował jej gest i zaczął się rozglądać.

— Może w gabinecie?

Spore szanse podsłuchania. Nicoletta wskazała drzwi na drugim końcu holu i patrzyła, jak Catania za nimi znika.

Błyszczący czarny telefon na kilka linii stał na stole, znajdującym się pośrodku pokoju. Catania spojrział na niego jak na wroga. Wreszcie podniósł słuchawkę.

— *Prontol*

Wysłuchał wszystkiego w ciszy i zeszywniał. Ścisnął słuchawkę. Niczemu nie zaprzeczał ani nie potwierdzał, tylko słuchał. Wiedział, jaki mieli dowód. Oglądał to wszystko wcześniej, szkoda, że wtedy nie podjął koniecznych kroków. Przeliczył się. Teraz wściekłość, żal i furia dudniły mu w głowie tak, że nie mógł myśleć logicznie.

To musiała być Sara Jensen. Ale dlaczego? Dlaczego gazety, a nie policja?

Potrzebował czasu, aby się zastanowić, potem skomentuje. Poprosił

0 parę godzin. Dali mu godzinę. Wrócił do jadalni.

— Nagląca sprawa w Banku. Proszę o wybaczenie. Popatrzyli na niego ze współczuciem.

— Ależ oczywiście.

Calabria wstał i zapytał, czy mógłby być w czymś pomocny. Catania uśmiechnął się do niego sztywno, wykrztusił „nie, dziękuję” i wyszedł.

Zjechał samochodem z pobocza i ruszył na Grand Prix Via Salaria. Dał swemu kierowcy wolne. Zawsze go podniecało kierowanie szybkimi samochodami, ale stanowisko rzadko mu na to pozwalało, więc korzystał z każdej okazji. Nawet dziś w nocy poczuł to podniecenie. Po piętnastu minutach był w Banca d'Italia. Skinął nocnym strażnikom i wszedł przez cichy hol do windy. Zawiozła go na trzecie piętro, tak samo od piętnastu lat. Czy tak to się wszystko miało zakończyć? Jaka pieprzona strata. Jak niebosko pieprzona strata. Zamknął drzwi w swoim gabinecie i usiadł za biurkiem. Rękami złapał się za głowę.

To nie miało sensu. Carla nic nie mogła zyskać, a wiele stracić, wydając go. To musiała zrobić Sara Jensen. Ale w jaki sposób dostała te kasety wideo i dlaczego z tym poszła do gazet? Co mogła osiągnąć w ten sposób? Mógłby zapłacić morze pieniędzy za milczenie i odwołać polecenie zabicia jej, gdyby tylko zechciała z nim rozmawiać.

Siedział po ciemku, w ciszy patrząc na mroczne okno, wyobrażając sobie realistycznie, jak jego życie rozpada się, jak milczący mężczyźni pewnego dnia przyjdą do niego i jak wytryśnie krew, gdy przeszyją go kule. A Donatella i dzieci? Czy przeżyją? Nagle przyszło olśnienie, pomysł. Pojawiła się przed nim droga wyjścia z kłopotów; jakaś szansa, znikoma, ale prawdziwa. Musiał spróbować; nie miał nic do stracenia. Wyprostował się, oczy mu rozbłyły. Wyjął zgnieciony kawałek papieru z kieszeni z przodu marynarki i wykrecił numer telefonu. Poprosił Clementa Stampa. — Traci pan czas, panie Stamp. Nie wydrukuje pan tego artykułu. To same kłamstwa. I pan o tym wie. — Zrobił przerwę. — A poza tym, biorąc wszystko pod uwagę, lepiej będzie dla pańskiej przyjaciółki, jeśli pan tego nie opublikuje, prawda?

Clement Stamp roześmiał się, nie wierząc własnym uszom.

— Czy pan usiłuje mnie szantażować?

Usłyszał kliknięcie i połączenie zostało przerwane. Stamp patrzył ze złością na słuchawkę, którą ścisnął w dłoni. Był zaszokowany, ale potem poczuł ulgę. Catania jest winny; winny defraudacji i morderstw. Podniósł zdjęcie spalonego domu Dantego Scarpirato, które przysłała im policja, i wpatrywał się w nie. Scudd i Fisch obserwowali go. Minęło sporo czasu, zanim się odezwał.

— Jest winny. Winny, jak diabli. Do niczego się nie przyznał. Powiedział, że to wszystko kłamstwa. Zasugerował, że będzie lepiej dla „mojej przyjaciółki”, jeśli tego nie wydrukujemy.

— Chcesz powiedzieć, że ją zabije, jeśli to wydrukujemy? — zapytał Scudd.

— Tak. I oszczędzi ją, jeśli nie opublikujemy, prawdopodobnie.

Sara zrobiła prawie wszystko, co przyszło jej do głowy, aby skrócić czas oczekiwania. O dziesiątej wieczorem poczuła, że nie wytrzyma dłużej. Wykreśliła domowy numer Hiltona. Odezwała się automatyczna sekretarka. Zadzwoiła do *The Times* i czekała. Zdawało jej się, że minęły całe wieki, zanim odebrał.

— Więc? — Wysłuchiwała go z rosnącą niecierpliwością. — Co masz na myśli mówiąc, że nie wydrukujecie tego?

Hilton trzymał telefon około pół metra od ucha. Po paru chwilach ciszy delikatnie go zbliżył.

— Słuchaj, Saro, jest tu Clement i chce z tobą rozmawiać. Stamp włączył się na linię.

— Witaj, Saro. To wszystko jest mało przyjemne, krótko mówiąc obawiam się, że Catania daje do zrozumienia, że zabije cię, jeśli to wydrukujemy.

— A więc moje życie w zamian za milczenie, czy tak?

— Mniej więcej.

Sara przez chwilę się nie odzywała.

— Nie martwiłabym się o Catanię, Clement. Wpadnie, prędzej czy później.

Roześmiał się.

— Chciałbym mieć tę pewność.

— Będziesz ją miał.

— Co to ma znaczyć?

— Och, optymistyczne spojrzenie na świat, czy coś w tym rodzaju. Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył zadać więcej pytań. Zwróciła się do Jacoba i Jacka. Uśmiechnęła się słabo.

— Prawdopodobnie się domyślacie. Już nie jestem na muszce. Clement rozmawiał z Catanią. Nie ma już na mnie wyroku. Jestem bezpieczna. —



Uśmiechnęła się do Jacoba. — A co ważniejsze, ty jesteś bezpieczny. — Zwróciła się do Jacka. — Ty też. Obydwaj podjęliście ogromne ryzyko, aby mi pomóc... — Uśmiechnęła się znowu. Jeden a potem drugi, wstali i uścisnęli ją. Odwzajemniła uściski, a łzy spływały jej po twarzy.

Christopher Fisch uśmiechnął się pierwszy raz tego dnia. Kolejne rafy ominięte zaledwie o centymetry. Stamp wyjął kasety wideo z Catanią z brązowej koperty, kopertę wyrzucił do kosza, a kasety włożył do czystej koperty. Poprosił Hiltona o list Sary i dyskietkę, na której zapisał swój artykuł. Wszystko to wsunął do koperty razem z kasetami i zamknął w swojej walizce. Jutro przekaże ją do skrzynki depozytowej, oznaczonej tylko numerem, bez żadnych nazwisk. Poleciał Hiltonowi i Fischowi skasować zbiór „Cambridge” na twardych dyskach ich komputerów i obserwował, jak to robią.

Historia została fizycznie zamknięta, schowana w sejfie. Ale wiedział, że tak naprawdę nie można było zamknąć tej puszkii Pandory.

Spojrzał na swój zegarek. Było wpół do dziesiątej wieczorem. Czas położyć gazetę do łóżeczka. Zadzwoił do Briana Smarta, swego zastępcy, polecił mu wypełnić pustą przestrzeń na pierwszej stronie. Nie miał serca robić tego samemu. Życzył dobrej nocy Scuddowi i Fischowi, po czym udał się do Garricka.

Giancarlo Catania siedział w swoim biurze, rozkoszując się uczuciem zwycięstwa. Właśnie wyrwał się z paszczy lwa... Fieri byłby z niego dumny, gdyby mu o tym powiedział. Spojrzał na zegarek. Godzina 22.30. Zdążyłby do Calabrii na kawę. Najpierw musiał jednak zadzwonić do Christine.

Umowa rozwiązana, 300 000 funtów rekompensaty za stracony czas. Co się dzieje? Christine umiejętnie ukryła zdziwienie, podziękowała Catanii i rozłączyła się.

Poczuła ulgę. Nie zależało jej na tym kontrakcie, nie lubiła zabijać kobiet.

Otworzyła swój sejf, wyjęła zdjęcie Sary i przez chwilę mu się przyglądała. Była to niepokojąca twarz, piękna, ale wyniosła. Oczy patrzące w soczewkę aparatu były bystre i mądre, ale pod pewnością siebie krył się jakiś smutek.

Ten zerwany kontrakt nie dawał spokoju Christine. O co szedł handel? Powinnam się spotkać z Sarą Jensen, przyszło jej do głowy.

## Rozdział 27

Sara obudziła się następnego ranka pełna energii i chęci do działania. Wyglądając przez okno, podziwiała piękno odległych gór i poczuła tylko lekki niepokój. Postój w bezpiecznym schronieniu, jakie przez ponad tydzień dawało jej Ouirjane, dobiegał końca. Chciała już wyjechać, znaleźć się w domu, w Londynie, porozmawiać z Barringtonem i poskładać brakujące części układanki.

Teraz mogła bezpiecznie to zrobić. Przy śniadaniu powie o tym Jacobowi i Jackowi i wyjedzie najprędzej, jak to będzie możliwe.

Tak jak się spodziewała, nie chcieli, aby już wyjeżdżała. Była nieugięta. Wyznała im swoje powody, a przynajmniej większość z nich. Bojąc się ich urazić, ograniczyła się do stwierdzenia faktu, że czuła się tu ograniczona płaszczykiem bezpieczeństwa, który nie pozwoli jej walczyć z bólem.

Zapytała Jacoba, czy on zostanie. I dodała, że byłaby spokojniejsza, gdyby pomieszkał tu, aż wszystko się wyjaśni. Wzdragał się na myśl, że Sara będzie wracać sama, ale znał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, iż chce się uniezależnić. Wiedział też, że boi się, by nie poniósł konsekwencji swego udziału w jej działaniach. Przecież to z jego domu uciekła. Nieuchronnie nasuwała się więc konkluzja, że Jacob pomagał Sarze w ucieczce i prawdopodobnie znał powody wyjazdu dziewczyny. Jacob nie dbał o konsekwencje, ale zdawał sobie sprawę, że Barrington mógł użyć jego osoby, by skompromitować Sarę w jakiś sposób. Jacob i Sara zrozumieli swoje intencje, choć nie wypowiedzieli ani słowa, by nie urazić się nawzajem. Jeśli Sara będzie spokojniejsza, kiedy on zostanie tu z Jackiem, może zostać. W Londynie na niewiele jej się przyda, pobędzie więc jeszcze w Maroku.

Zanim Sara wyjechała na lotnisko, wzięła Jacka na stronę. — Zrobiłam kilka dodatkowych kopii wszystkich dowodów i jeden zestaw zabieram ze sobą. Resztę zostawiam tobie i Jacobowi. Wiem, że proszę o dużo, ale jeśli cokolwiek mi się przydarzy, rozumiesz... czy mógłbyś zadbać, aby to wszystko zostało opublikowane. Albo przez

Hiltona, albo kogokolwiek innego. — Uśmiechnęła się. — Nie chcę być melodramatyczna, wiem, że nic się nie wydarzy. To moja mała polisa ubezpieczeniowa. Zadziałała raz; może zadziałać znowu.

Jack uśmiechnął się i szybko, aby Jacob nie usłyszał tego, co byłoby dla niego zbyt bolesne, odpowiedział:

— Jeśli będę musiał coś zrobić, na pewno zrobię. Obydwoje wiemy, że nic się nie stanie, ale na wszelki wypadek dobrze to mieć.

Pojawił się Jacob i chciał wiedzieć, o czym tak szeptali. Sara się roześmiała.

— Ach, ta twoja podejrzliwość. Dziękowałam Jackowi za jego pomoc. Chyba nie ma w tym nic złego, prawda?

Jacob ścisnął jej rękę.

— Nie. Oczywiście, że nie. To krętacz, ale serce ma na swoim miejscu. Jack stuknął go lekko po plecach, po czym zaczął się krzątać dookoła, poganiając wszystkich.

— Ruszcie się. Dość już tego. Ona się spóźni na samolot. Obydwaj mężczyźni odwieźli Sarę na lotnisko. Stali sztywno, niezręcznie przy pożegnaniu. Sara uściskała przyjaciół i zamoczyła ich policzki pocałunkami i łzami. Patrzyli za nią, jak znika w budynku terminalu. Tym razem leciała samolotem rejsowym. Odwrócili się powoli i ruszyli w drogę powrotną.

Sara siedziała wyprostowana, pełna stanowczości. Samolot wystartował i unosił ją do Londynu. Po paru godzinach poczuła odrętwienie. Dopiero gdy znalazła się nad kanałem La Manche, dotarło do niej, że wraca. Myśli, których nie dopuszczała do siebie, będąc tak daleko, spłynęły na nią jak wodospad.

Czuła, jak tonie w bólu, miłości, niemożliwych do spełnienia tęsknotach i rozpacz. Myślała o twarzy Dantego, jego oczach wpatrzonych w nią. Zawsze był w nich jakiś cień śmierci. Mimo to nie potrafiła ich sobie wyobrazić zamkniętych na zawsze. A Mosami, z którą łączyły ją dużo głębsze uczucia. Spokojna, uśmiechnięta twarz, mądrość, bezkompromisowa buntowniczość. Zaczęło jej brakować powietrza.

Samolot z szarpnięciem dotknął pasa startowego na Heathrow. Sara wysiadła, ściskając mocno w rękę dużą torbę. W środku były szminki, szczotka do włosów, perfumy i zwykły zestaw kobiecych przedmiotów osobistych. Znajdowały się tam również kasety wideo i magnetofonowe, kopie dowodów przeciw Catanii i spółce, i przeciw prezesowi.

Przeszła przez kontrolę paszportową, wzięła swój bagaż, walizkę pożyczoną od Jacka, odbyła odprawę celną i znalazła się na zewnątrz w rozgadanej normalności ludzkiego zgielku. Przeciskając się przez tłum, zmierzała w kierunku metra. Stała na peronie, rozglądając się po brązowych twarzach naznaczonych rezygnacją i depresją spowodowaną powrotem z wakacji. Wyobraziła sobie tych ludzi, wracających do pracy:

lekarze, sekretarki, adwokaci, ekspedientki, bankierzy. Ona nie wróci już do ICB. Nigdy nie wróci do normalnej pracy.

Jeszcze za wcześnie, aby próbować analizować uczucia, zrozumieć zmiany, które w niej zaszły, ale pewne oczywiste fakty wylaniały się jak twardy grunt w ruchomym piasku; to była jedna z nich: w przeszłości ukształtowała się na pracownika. A teraz jakby nie pasowała już do tego modelu, i nie interesowało ją odtwarzanie go, nawet gdyby znalazła na to siły. Pułapki normalnego życia już jej nie dotyczyły.

Urzędnik w kontroli paszportowej pamiętał rysopis — wysoka, piękna szatynka — miał ją przed oczami od wielu dni. A gdy zobaczył Sarę, smutną i zadumaną dziewczynę, która posuwała się w jego kierunku w kolejce, był pewien, że to ona. Czekał, a serce biło mu coraz szybciej, aż się zbliżyła. Nie wiedział, o co ją podejrzewano, ale musiała to być jakaś poważna sprawa. Została zaliczona do kategorii o najwyższym stopniu ważności, kategorii zarezerwowanej dla terrorystów i najbardziej poszukiwanych przestępców.

Prawie podskoczył, gdy stanęła przed nim, podając mu swój paszport z uprzejmym uśmiechem. Przejrzał go, czując falę podniecenia. To ona. Sara Jensen. Nie wyglądała na terrorystkę lub przestępcę. Ale przecież ci najgroźniejsi nigdy tak nie wyglądają. Uśmiechnął się, oddał jej paszport i przycisnął guzik pod biurkiem. Parę sekund później pojawił się ktoś na zastępstwo. Pospieszył do wydziału ochrony i zadzwonił pod podany numer do Oddziału Specjalnego, uruchamiając całą sieć, która czekała i wyglądała Sary Jensen.

Bartrop wysłuchał tej wiadomości ogromnie zaskoczony. A więc Sara Jensen pojawiła się znowu, przechadzając się po lotnisku, jak wracający z wakacji turysta. Wyglądała najwyraźniej na zmęczoną i wyczerpaną. Ale nie załamana czy zatrwożoną.

Jej zachowanie i jawny powrót były tajemnicze. Sugerowało to, oprócz innych spraw, że już się nie obawiała o swoje życie. Przy odrobinie szczęścia i szybkiej pracy Oddział Specjalny będzie ją śledzić i odprowadzi z lotniska. Wkrótce ruszy do akcji reszta obserwatorów. Bartrop wszystko precyzyjnie przygotował; na wypadek jej powrotu przewidział kilka różnych wariantów działania. Wkrótce dostanie odpowiedzi na swoje pytania. Pełen ciekawości czekał na kolejne doniesienia wywiadu.

Sara otrząsnęła się z zamyślenia. Na horyzoncie pojawił się pociąg metra. Wsiadła i stanęła w tłumie ramie w ramie, biodro przy biodrze, w ścisłości ostatniego wagonu. Ściśnięte ciała, wilgotne od potu, duszne powietrze, to wszystko rozproszyło jej myśli. Pot zaczął powoli spływać jej po plecach, a włosy stały się wilgotne. W jakiś przewrotny sposób powitała ten dyskomfort z radością.

Wysiadła na South Kensington i przedarła się przez sunący na lunch

tłum. Wychodząc ze stacji metra, znalazła się w oślepiającym słońcu i upale wzmocnionym przez szkło i asfalt.

Trafił się jeden z tych rzadkich lipcowych dni, kiedy Londyn był rozgrzany jak śródziemnomorski kurort. Ulice robiły się miękkie z gorąca, a chodniki pękały na części.

Trzymała torbę w wilgotnej dłoni i szła ulicami, przystając co jakiś czas, aby przełożyć do drugiej ręki torbę i zostawiając za sobą ślady w miękkim asfalcie. Onslow Square, jej dawny chłopak, poranne wkradanie się do domu w ubraniach z poprzedniego dnia; Sydney Street, studio krawieckie Catherina Walker na Chelsea szyjące oficjalne stroje, do pracy; sklep Chelsea Farmers Market, długie plotkarskie lunche z gangiem przyjaciółek, wszystkie na wagarach z pracy; i King's Road ze swoją wyblakłą świetnością i spacerującym, niesamowicie spokojnym tłumem. Z każdym krokiem czuła, jak wracają jej siły.

Schowała się z ulgą pod zielone, liściaste niebo Carlyle Square. Kilka pań wyszło na lunch w butach na wysokich obcasach i w rajstopach, nie zwracając uwagi na słońce. Jakieś psiaki łapały pchły na błyszczącym od upału skwerze. Trudno było sobie wyobrazić scenę przemocy dziejącą się za eleganckimi fasadami tych domów. Gdyby nie spędziła weekendu w Genewie, a wracając nie pojechała prosto do domu Dantego... Co by się stało? Czy zostałaby zabita tu, na Carlyle Square, w swoim domu?

Przekręciła klucz w zamku. Nerwowo łapiąc powietrze, otworzyła drzwi i weszła do środka szybko, zbadła oczami hol.

Był pusty, cały dom zdawał się drzeć, wygrzewając się w słońcu; panowała doskonała cisza.

Spory stos poczty leżał ściśnięty pod ścianą, zmieciony tam przez otwieranie drzwi. Dziwne. Nie czuła oporu, gdy otwierała drzwi. Niejasne uczucie niepokoju chwyciło ją znowu. Postawiła walizkę w holu i weszła na górę do salonu.

Było pusto. Cały dom był pusty. Sprawdziła wszystkie pomieszczenia, pokój po pokoju. Wszędzie panowało słońce i cisza. Wróciła do salonu, usiadła w fotelu, podciągnęła kolana pod brodę i rozplakała się. Siedziała tu nieruchomo przez parę minut, aż zadzwonił telefon. Powoli wstała i poszła go odebrać. Przez parę sekund była cisza, a potem usłyszała szcęk odkładanej słuchawki. Odłożyła słuchawkę i wróciła na fotel. Siedziała tam pół godziny, po czym rozejrzała się dookoła, zeszła na dół, wzięła klucze i wyszła na zewnątrz, szukając hałasu, zgiełku i życia.

Szła wzdłuż King's Road. Oglądała wystawy sklepowe. Zaczęło jej huczeć w głowie. Wstąpiła do apteki, żeby kupić nurofen. Jakaś obca kobieta zbliżyła się do lady. Zwróciła się do Sary szeptem. Miała niski głos i jakby amerykański akcent.

— Nazywam się Christine Villiers. Muszę z panią porozmawiać.

Sara odwróciła się szybko i przyjrzała stojącej obok kobiecie. Miała około metra sześćdziesięciu, była mocno zbudowana. Jej szeroka twarz o wyraźnych rysach z silnie zarysowaną szczęką, trochę rzymskim nosem, wysokimi kośćmi policzkowymi i ogromnymi, szeroko rozstawionymi niebieskimi oczami przykuwała uwagę. Usta miała pełne, pomalowane na czerwono. Bogactwo jej rysów równoważyła prostota fryzury. Długie blond włosy kobieta zebrała w kucyk. Była to niezwykła kombinacja. Cera, kolor oczu i włosów północnoeuropejskie, rysy włoskie. Wyglądała na jakieś trzydzieści lat. Miała na sobie krótką, prostą sukienkę bez rękawów w kolorze kremowym, gołe nogi i buty na wysokich obcasach. Uśmiechała się szeroko i szczerze. Nieświadomie Sara odwzajemniła jej uśmiech.

Odezwała się znowu:

— Proszę, niech się pani zachowuje normalnie. Proszę udawać, że jestem pani przyjaciółką. Przejdźmy się po ulicy, znajdziemy jakąś knajpkę. Tam będziemy mogły porozmawiać.

Sara zapłaciła za swój nurofen.

— Proszę mi tylko powiedzieć. Dlaczego miałabym to zrobić?

— Z powodu Dantego Scarpirato i Mosami Matsumoto.

Sara poczuła, że sztywnieją jej mięśnie. Ale, co dziwne, nie bała się. Instynktownie czuła, że ta kobieta, chociaż niebezpieczna, nie zrobi jej krzywdy. Drażyla ją tylko ciekawość i niecierpliwość.

— W porządku, proszę prowadzić.

Obydwie kobiety wyszły z apteki na ulicę. Christine mówiła o pogodzie, o tym, co widzi na wystawach sklepów, które mijały. Mówiła cokolwiek, by wyglądało, że są starymi, dobrymi znajomymi. Skierowały się do Cafe Rouge przy World's End. Znalazły stolik w środku głośnej i zapewniającej anonimowość kawiarni. Christine rozejrzała się dookoła kilka razy, na pozór mimochodem. Obydwie zamówiły cappuccino. Sara sączyła swoje i czekała, aż Christine zacznie mówić.

Christine spojrzała na siedzącą naprzeciw Sarę, w jej oczach nie było żadnych emocji. — To ja zabiłam Dantego Scarpirato.

— Domyśliłam się.

— I tak by popełnił samobójstwo. Wcześniej czy później.

— Możliwe.

— Przykro mi.

— Ty byłaś kulą. Ktoś inny pociągnął za spust.

— Ciebie też miałam zabić, ale wczoraj w nocy zerwano kontrakt.

— Więc co tu teraz robisz?

— Wymyśliłam, że jeśli kontrakt zostanie anulowany, ty wrócisz do domu.

Chciałam z tobą porozmawiać. Byłam zaciekawiona. Facet, który zerwał kontrakt, nie zmienia zdania bez ważnej przyczyny. — Jej oczy

zweżyły się i przyjazny uśmiech zniknął. — Chcę wiedzieć, dlaczego kontrakt został anulowany.

Sara piła cappuccino i zastanawiała się przez chwilę.

— Przypuśćmy, że wiem. Ale dlaczego miałabym ci powiedzieć?

— Mogłabym ci pomóc. Spójrzmy prawdzie w oczy, przydałoby ci się paru przyjaciół.

— Dlaczego? Mam tak wielu ukrytych wrogów? Christine pochyliła się do przodu nad wąskim stołem.

— Twój dom jest obserwowany, bez przerwy: młoda para, wyglądają na turystów, siedzą na chodniku i jedzą kanapki; jakiś technik w furgonetce poczty; starszy mężczyzna w kapeluszu panama czytający książkę w ogrodzie. W ciągu tygodnia widziałam z dziesięć osób. Profesjoniści, ale łatwo ich zauważyć, jeśli wiesz, czego szukasz. — Przerwała, pozwalając, aż to przyjmie do wiadomości. — I podsłuchują cię. Sara spojrzała na nią z przerażeniem.

— Oczywiście nie mogę być tego pewna. Ale widziałam ich, jak się włamują. Poradzili sobie z twoimi zamkami bardzo łatwo. Nikt obserwujący ich nie pomyślałby, że to włamanie. — Wzruszyła ramionami. — W każdym razie istnieje poważne prawdopodobieństwo, że masz podsłuch. Każda porządna grupa wywiadowcza założyłaby podsłuch w twoim domu.

Sara przypomniała sobie stos poczty zepchnięty pod ścianę. Poczula się jak osaczona. Była wściekła. — Jak myślisz, kto to mógł być? — zapytała Christine.

Sara wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru mówić Christine o swoim układzie z Barringtonem, ani o podejrzeniach dotyczących MI 5.

— Przypuszczam, że policja. Mój kolega i moja najlepsza przyjaciółka zostają zamordowani, po czym ja znikam. Chyba rozumiesz, że mogą być trochę mną zainteresowani, prawda? Christine kiwnęła głową.

— Rozumiem. Ale czy sądzisz, że to wszystko?

Sara przyjrzała się kobiecie siedzącej naprzeciw. W jej głowie zaczął się krystalizować plan. — Dlaczego miałabym mieć z tobą coś wspólnego?

— Mogłabym dla ciebie dużo zrobić.

— Skąd masz pewność, że nie potrafię tego zrobić sama? Christine oparła się i spojrzała na Sarę. Przez chwilę milczała, po czym zapytała powoli i miękko.

— Myślisz, że byś potrafiła?

Sara nie odpowiedziała. Uśmiechnęła się tylko.

Po chwili Christine znowu pochyliła się nad stołem w kierunku Sary.

— Może i tak, ale to nie zmienia.

— Czego nie zmienia?

— Tego, że razem mogłybyśmy zrobić o wiele więcej.

— Chyba masz rację.

Dziesięć minut później rozstały się mając ustalony plan działania. Sara patrzyła, jak Christine prześlizguje się między zatłoczonymi stolikami i znika jej z oczu.

Sara poszła do domu, nie ulegając ogromnej chęci wytropienia obserwatorów.

Weszła do środka i rozejrzała się dookoła. Skierowała się do łazienki, zrzuciła ubrania na podłogę i stanęła pod prysznicem. Stała w pulsujących strumieniach wody, powoli wyginając ciało, by najsilniejsze uderzenia trafiały na punkty największego napięcia. Przekręciła temperaturę z gorącej na zimną i z powrotem na gorącą, przyprawiając się o wstrząs.

Pomyślała o Christine. Była nią zaintrygowana, ale czuła niechęć do tej dziwnej kobiety. Zastanawiała się, co spowodowało, że stała się morderczynią. Nie zapytała o to. Natomiast próbowała wejść w jej skórę. Przypomniała sobie oczy i uśmiech Christine. Oczy bezkompromisowe, pozbawione emocji, wyrażające zanik wrodzonej, instynktownej moralności.

W tych chłodnych, niebieskich oczach nie było wątpliwości ani żadnej refleksji. Nie tłumaczyła się ze swojego krwawego zajęcia. Zdawała się współczuć bliskim ofiar, ale nie samym ofiarom; patrzyła na nie z pogardą, jak gdyby dostały to, na co zasłużyły. Jest psychopatką, czy też kieruje nią jakiś ukryty cel lub uczucie?

Robiła rzeczy odrażające, lecz coś dziwnie pociągało Sarę w tej kobiecie. Siła osobowości? Sara nie była na to odporna. A teraz nagle ocknęła się, że siedzi naga na kanapie, krople wody z prysznica wolno na niej wysychają, a ona rozmyśla o Dantem i Mosami.

Bartrop otrzymał wstępny raport już pół godziny po powrocie Sary do domu i stale napływały uaktualniające go wiadomości. Oficer Oddziału Specjalnego śledził ją od lotniska. Wsiadła do metra, informował, zdawała się zamyślona, ale nie zaniepokojona, osamotniona czy wystraszona. Szedł za nią do domu, a potem przejęli ją inni obserwatorzy.

Obserwatorzy poinformowali, że godzinę po przyjeździe do domu wyszła, najpierw do apteki. Tam spotkała kogoś, kogo zdaje się znała. Atrakcyjną blondynkę.

Dołączono pełny opis. Razem udały się do kawiarni na pół godziny, po czym się rozstały. Sara Jensen wróciła do domu. Blondynkę zgubili. Nie mieli wystarczającej liczby ludzi, aby obserwować obydwie. Tamtą i Sarę. Jeden z obserwatorów próbował iść za blondynką, ale mu się nie udało. Bartrop zaklął zirytowany.

Przypadkowe spotkanie godzinę po przyjeździe do domu? Mało prawdopodobne.

Opis blondynki został sprawdzony w kartotekach, bez rezultatu. Na razie pozostała nie zidentyfikowana.

Od czasu, gdy Sara Jensen wróciła do domu, nie nawiązywała innych kontaktów. W jej domu były dwie pluskwy, uaktywniające się pod wpływem głosu. Jedna w salonie, druga przy telefonie. Od przyjazdu dziewczyny obydwie milczały.



Christine wchodziła do sklepów frontowymi wejściami i wychodziła tylnymi, przeskakiwała z jednej strony ulicy na drugą, chcąc zgubić ogon: wiedziała, że będzie za jej plecami. Kiedy miała pewność, że nikt jej nie śledzi, skierowała się do domu. Zostało jej niewiele czasu, aby wszystko zorganizować. Na szczęście Sara mieszkała blisko. Weszła do domu i pobiegła po schodach na górę, do gabinetu. Rewelacje Sary tłukły się jej po głowie, jak tykanie bomby zegarowej, która zaraz miała wybuchnąć. Christine usiadła opanowana i spokojna, składając myśli, usiłując narzucić im porządek i logikę, rozeznac się w chaosie i labiryncie brzemienych w niebezpieczeństwo możliwości. Podniecenie, strach, oczekiwanie i bardzo nęcąca zapowiedź przyjemności rozpoczynającej się akcji, krążyły w niej jak narkotyk. Siedziała, rozkoszując się tym uczuciem. Układała spis, planując, ważąc ryzyko, przewidując wyniki, aż do podjęcia decyzji. Kogo zdradzić, a kogo poprzeć? Jakie przyjąć rozwiązanie, co nie jest sprzeczne z jej interesem? Nie była stojącym obok obserwatorem; konsekwencje jej pospiesznych kalkulacji i działań, które w ciągu paru minut podjęcie, mogły okazać się zgubne dla niej i Sary Jensen. Podejście decyzję jak zawsze, kierując się logiką i instynktem, które czyniły z niej jednego z najbardziej niebezpiecznych i perfekcyjnych zabójców do wynajęcia.

Uśmiechnęła się, gdy podjęła decyzję, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Antonia Fieriego, mając nadzieję, że go zastanie i że nie będzie musiała przeprowadzać swojego planu bez jego błogosławieństwa.

Fieri podniósł słuchawkę po piątym sygnale.

Christine z szacunkiem przeprosiła, że mu przeszkadza, i wyjaśniła, że sprawa jest pilna. Opowiedziała mu o Catanii i o szantażystach w Londynie, o zleceniach zabójstw, wydanych przez Catanię, i dwóch udanych zamachach. Fieri w tym momencie wybuchnął i zapytał, dlaczego nie poinformowała go o wszystkim wcześniej.

— Nie było powodu, aby mówić panu o tym wcześniej — odparła chłodno, ale zdecydowanie. — Nie miało to z panem nic wspólnego. Ale teraz sprawy wyglądają inaczej. Trafiłam na dodatkowe informacje. Mam poważne podejrzenia, że Catania może pana skompromitować.

Fieri przez chwilę milczał, po czym zapytał, jaką Christine ma propozycję.

— Zależy, co chciałby pan, abym zrobiła. Ale, tak się składa, że mam dziś w nocy świetną możliwość... Mogłabym uporządkować sprawy tutaj bardzo łatwo.

Znowu zapadła długa cisza. Christine siedziała, czekając spokojnie. W końcu się odezwał.

— Słyszałem już jakieś pogłoski na ten temat. Jak mówisz, masz dowody...

— Jednoznaczne.

— Skąd?

Christine oczekiwała tego pytania. Dała mu przygotowaną odpowiedź.

— Ze źródła w najwyższym stopniu godnego zaufania i znajdującego się blisko sprawy, któremu zależy na pokazaniu nam prawdy.

— Godnego zaufania?

— Absolutnie. Ma pan na to moje słowo.

— I jak mówisz, istnieje realne zagrożenie, że Catania mnie skompromituje?

— Już to zrobił.

— W porządku. Zajmij się tą sprawą. Dostaniesz normalną stawkę. Zadzwoń do mnie, gdy będzie po wszystkim.

## Rozdział 28

Osiódmej wieczorem Sara była już ubrana: dzinsy, biały podkoszulek i jej ulubione, znoszone, wysokie buty timberland. Dzinsy, zwykle opięte, wisiały teraz luźno na jej biodrach. Wciągnęła pleciony skórzany pasek w szlufki i ścisnęła się nim w talii. Na zewnątrz upał zalewał ulice. Czuła go na skórze. Weszła do kuchni, jej buty piszczały na marmurowych płytkach. Wrzuciła kilka kostek lodu do wysokiej szklanki i dopełniła ją whisky. Trzema łykami pochłonęła zawartość. Dołała znowu i sączyła powoli, patrząc na topiący się lód.

O 19.15 zadzwonił telefon, trzy sygnały. Sara cofnęła rękę. Włączyła się sekretarka. Odezwał się miękki głos ze śladami amerykańskiego akcentu. To była Christine. Mechaniczne kliknięcie wskazywało, że dzwoni z budki telefonicznej.

— Miło było cię spotkać. Mam nadzieję, że zobaczymy się wkrótce znowu. Może umówimy się kiedyś na drinka. — To był tekst Ustalonego szyfru. Połączenie się skończyło.

Sara odłożyła słuchawkę. Przewinęła taśmę, żeby skasować wiadomość. Taśma przez parę sekund szła dalej, odgrywając pozostałości jakiegoś starego nagrania. Sara podskoczyła z grymasem bólu na twarzy, gdy usłyszała znajomy, hipnotyzujący głos. Dante mówił, aby zadzwoniła do niego, bo się za nią stęsknił i chce ją jak najszybciej zobaczyć. Poczowała skurcz w żołądku, a w ustach pałący smak whisky. Uderzyła pięścią w przycisk „Stop”, prawie rozwalając sekretarkę i trzęsącym się palcem włączyła „Przewijanie”. Wysłuchała jego głosu ostatni raz. Wstrząsnęły nią ból i poczucie winy. Skasowała wiadomość, a wraz z nią ostatnie wątpliwości.

Złapała kurtkę i baseballową czapkę z wieszaka stojącego w holu i poszła wyłączyć radio. Dotarły do niej pierwsze takty znajomej piosenki.

Zespół INXS grał piosenkę „Suicide Blonde”. Roześmiała się głośno, a jej głos odbił się od ścian pustego domu. Wyłączyła radio i wyszła.

Paręset metrów dalej Christine wyszła z budki telefonicznej i pospieszyła ulicą. Minęła tłumy ciągnące King's Road. Ludzie nie zatrzymywali na niej wzroku, jeśli w ogóle na nią spojrzeli. Mogli zauważyć niewiele: blondynka o ładnym ciele, możliwe, że z ładną twarzą. Trudno to było stwierdzić. Miała na sobie czapkę z daszkiem mocno naciągniętą na oczy, zasłaniającą niemal całą twarz. I nie zwracała na siebie uwagi. Szła zdecydowanie. Patrzyła przed siebie, nie rozglądała się, aby łapać pełne podziwu spojrzenia; nie wyróżniająca się, trudna do zapamiętania, nie zaczepiana, tak jak lubiła. Skręciła za rogiem i poszła w kierunku białej furgonetki. Była zaparkowana w jednej z bocznych ulic wiodących od Chelsea Green, około dziesięciu minut drogi od jej domu. Był to ford transit, taki jakiego często używają hydraulicy. Aż się prosiło, by ktoś napisał palcem na grubej powierzchni kurzu: „Brudas”. Miał przyciemniane szyby, to był jedyny szczegół, który odróżniał go od całej masy białych transitów codziennie anonimowo przemierzających ulice. Daniel Corda ukradł go parę miesięcy temu na jej zamówienie. Zmienił lakier, zmienił rejestrację, dopasował numery do karty wozu innej, legalnej furgonetki i sprzedał Christine jako samochód w razie nie przewidzianych wydarzeń. Christine przez cały ten czas starała się go omijać, sprawdzała tylko czasami, czy wciąż tam stoi. Trzymała go na wypadek zlecenia takiego, jak to. Przekręciła kluczyk w zamku, uchyliła drzwi i wskoczyła do środka. Wzięła ze sobą mały plecak, który zatrzasnęła w skrytce na rękawiczki, i plastikową torbę zawierającą dżinsy, czarny podkoszulek i trampki; ubranie identyczne jak to, które miała na sobie. Rzuciła torbę na siedzenie pasażerskie, zapięła pas i modląc się, by silnik zapalił, przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Spojrzała w lusterko — ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała, była stłuczka — i ostrożnie ruszyła.

Wjechała z Chelsea na kręte uliczki Earl's Court, skręciła w lewo w błękitną mgiełkę Cromwell Road i wyjechała na trasę M4. Minęła Heathrow z legionami jumbo jetów wiszących w powietrzu. Po kolejnych dwudziestu minutach jazdy fabryki i ogromne supermarkety skończyły się i zaczęły się otwarte pola i porośnięte żywopłotami wiejskie domy. Jechała w ciszy, nieobecna dla wszystkiego, oprócz drogi przed sobą.

Skręciła na skrzyżowaniu Nr 14 i wślizgnęła się na wąską drogę. Nad nią wznosiły się falistości terenu Upper Lambourn. Emerytowane rasowe konie spacerowały po łąkach, a dzieci na kucykach cwałowały po wijących się ścieżkach. Nad łąkami unosił się zapach suszającego się siana. To drugie sianokosy w tym roku na tej urodzajnej ziemi.

Skręciła w nie oznaczoną boczną drogę. Furgonetka zjechała w dół po kamienistej nawierzchni, kamyki wyskakiwały spod kół jej samochodu. Jechała jeszcze przez pięć minut i znowu skręciła w leśną drogę, zakurzoną i zapomnianą.

Dotarła do otoczonego sosnami małego skrawka gołej ziemi. Furgonetka spłoszyła stado siedzących na gniazdach gołębi, które uciekły w niebo.

Wyciągnęła plecak ze skrytki, otworzyła drzwi i wysiadła na gąbczastą ziemię pokrytą sosnowymi igłami. Rozejrzała się dookoła i przez parę minut stała nieruchomo, nasłuchując. Była zupełnie sama, poza dzikimi gołębiami, które wróciły na swoje gniazda, a ich gruchanie przybrało ton sennego gaworzenia.

Zadowolona zamknęła furgonetkę i weszła między drzewa.

Wydużyła krok, idąc z łatwością po niepewnym terenie. Gołębie patrzyły na nią z zaciekawieniem. Wyglądała jak młoda autostopowiczka, która wybrała się na wieczorny spacer.

Zachodzące słońce przebijało się przez baldachim sosen, barwiąc wszystko na pomarańczowo. Las stawał się coraz gęstszy; zasłaniał ją. Po półgodzinie poczuła, że jest zupełnie niewidoczna.

W głębi lasu światło stało się drażniące. Christine spojrzała na zegarek. Za niecałą godzinę zrobi się zupełnie ciemno. Nie miała zbyt wiele czasu. Gdy wyszła na skraj lasu, światło już mocno zbladło.

Drzewa ustąpiły małej dolinie, pośrodku której, około pół kilometra stąd, stał ogromny dom z kamienia. Jedynymi śladami życia były dwa mercedesy; czarny, sześciodrzwiowy i czerwony kabriolet, zaparkowane przed domem na okrągłym podjeździe.

Christine uśmiechnęła się do siebie i zaczęła schodzić ze wzgórza w kierunku domu. Karl Heinz Kessler siedział w gabinecie w swoim domu na wsi i przeliczał pieniądze. Pliki banknotów zapieczętowane w ciasnych plastikowych woreczkach wznosiły się przed nim na stosie. W każdym plastikowym opakowaniu było dziesięć tysięcy funtów. Odliczył już pięćdziesiąt plików i rzucił je na stół. Na jego twarzy malowała się powstrzymywana irytacja, jak gdyby wykonywał nieprzyjemne, ale konieczne zadanie. Nie sprawiało mu przyjemności liczenie pieniędzy, jakby był jakimś kasjerem, i czekanie, aż się pojawi jeden z pracowników Catanii i uwolni go od tego zajęcia.

Polecenia Catanii były jasne; nikt poza Kesslerem nie mógł zobaczyć wchodzącego i wychodzącego kuriera. Jego żona została dłużej w domu swoich rodziców we Frankfurcie, więc nie stanowiła problemu, ale musiał dać dzień wolny służącym, zapłacić za ich kolację w Lambourn, tylko po to, aby pozbyć się ich z domu. Było to niezwykle niewygodne, ale w tej sytuacji konieczne. Pewien przyjaciel „pomógł nam rozwiązać”, jak ujął to Catania, problem Sary Jensen, i potrzebował małego upominku jako

wynagrodzenia; miliona funtów. Kessler mógłby to załatwić, prawda? Resztę wynagrodzenia załatwi sam Catania w Rzymie. To naturalne, że Kessler przejmie część odpowiedzialności, prawda?

Kessler zgodził się, ale pod warunkiem, że Matthew Arnott też zapłaci swoją część. Zwrócił się do Arnotta, który stał przy nim zdenerwowany, patrząc mu na ręce, gdy ten liczył pieniądze.

— Teraz twoja kolej.

Arnott podniósł walizkę leżącą przy jego nogach i położył ją przed Kesslerem.

Kessler otworzył i uśmiechnął się. Była pełna banknotów, połączonych papierowymi banderolami w pliki po 10 tysięcy funtów. Kessler zaczął liczyć.

Wyjął pięćdziesiąt plików, zamknął walizkę i zwrócił ją Arnottowi.

— Nie patrz tak ponuro. I tak ci się świetnie udało, biorąc pod uwagę wszystkie sprawy.

— Ponuro? A jak mam patrzeć? — rzucił się Arnott. — Ty tu siedzisz, jakby nic się nie zmieniło, a tam się wszystko wali. To jakiś pieprzony koszmar. Skąd ta twoja pewność, że nam się udało? Policja była u mnie pięć razy, zadając w kółko te same pytania.

Kessler odwrócił się do niego na swoim krześle i popatrzył groźnie. Arnott zamachał rękami w powietrzu.

— Mówisz, żeby się nie martwić. Że podłączyliśmy się do pewnej sprawy. Ja odegrałem już swoją rolę. I nie mogę tego dłużej znosić. Nie mogę spać. Prawie nic nie jem... Poważnie się zastanawiam nad powrotem do Ameryki.

— Nie bądź pieprzonym idiotą! — krzyknął Kessler. — Właśnie tego im trzeba. — Spojrzał piorunująco na Arnotta. — Zostaniesz w ICB, będziesz się zachowywał, jak osierocony kolega, będziesz pracował, utrzymywał kontakt z Carlą i ostrożnie korzystał z pieniędzy. Jeśli zechcesz wrócić do Ameryki za dwa lata, kiedy to wszystko pozostanie tylko złym wspomnieniem, w porządku. Ale na razie siedź na tyłku i, na litość boską, przestań histeryzować. — Kessler wstał i usiadł na krawędzi biurka, patrząc na Arnotta. Mówił teraz spokojniej. — A czego, do diabła, oczekiwałeś? To wszystko było nieuniknione, od dnia gdy Sara Jensen nas nakryła. To przez nią wszystko. Catania zrozumiał to, a ja go popieram. Za późno na robienie z siebie niewiniątka. Ile zarobiłeś, Matthew? Trzydzieści milionów dolarów. I nie patrz na mnie, jak gdybym był jakimś potworem. Mam pięćdziesiąt lat i jestem szefem wykonawczym jednego z najbardziej prestiżowych banków w City. Mam wszystko, czego mógłbym zapragnąć. Czy myślisz, że zrezygnowałbym z tego, pozwoliłbym to wszystko zburzyć jakiejś Sarze Jensen albo Dantemu Scarpirato czy Mosami Matsumoto? — Pochylił się nad Arnottem. — Nie mieliśmy wyboru; oni musieli zginąć. Catania to załatwił; tak było dla nas wygodniej. Ale gdyby tego nie zrobił, ja też bym się nie zawahał.

Arnott spojrział na niego przerażony. Przez chwilę nic nie mówił. Odwrócił się i usiadł w fotelu stojącym z boku biurka Kesslera.

— Ale Sara Jensen nie została zabita, prawda? Wciąż może wyjawić to wszystko, a nas dodatkowo oskarżą o morderstwo.

Kessler parsknął.

— Sara Jensen nie piśnie ani słowa. Nie podam ci szczegółów, ale zawarła z Catanią układ.

Arnott spojrział bez wyrazu na Kesslera, a ten się roześmiał.

— Masz na to moje słowo, Sara Jensen nie stanowi już dla nas problemu.

Prawdopodobnie gdzieś wyjechała z ciężkim załamaniem nerwowym i nigdy już o niej nie usłyszymy.

Kessler spojrział na swój zegarek.

— Lepiej już idź. Posłaniec będzie tu za parę minut. Arnott wstał.

— Ach, i Matthew, na miłość boską, weź się w garść. Teraz wszystko jest w twoich rękach. Jeśli zachowamy spokój, nie będzie więcej problemów.

Arnott kiwnął głową i ruszył do wyjścia. Wsiadł do swojego czerwonego mercedesa i odjechał. Nie zauważył kobiety ukrywającej się za ogromnymi krzakami rododendronu w ogrodzie, dziesięć metrów dalej.

Kessler zebrał wszystkie pliki banknotów i wrzucił je do plastikowej torby.

Zamknął za sobą drzwi biblioteki i przeszedł przez długi korytarz, stukając butami o drewnianą posadzkę. Przechodząc obok lustra, zatrzymał się, by sprawdzić, jak wygląda. Podłoga za nim skrzypnęła. Uśmiech zamarł na jego twarzy.

Odwrócił się, zauważywszy coś. W korytarzu stała jakaś kobieta; blondynka o jasnej karnacji, muskularnie zbudowana, w obcisłym, czarnym podkoszulku. Miała na sobie czapkę z daszkiem, która rzucała cień na jej twarz. Byłaby piękna, ale wszystko psuł wyraz jej twarzy: jakaś pogarda w grymasie ust, chłodna determinacja w oczach. Zdawała się nie zauważać dookoła nic, prócz niego. Na nim skupiła całą swoją uwagę, jak gdyby jej oczy były wymierzoną w Kesslera bronią. Ale najbardziej zastanowiły go usta kobiety, jej uśmiech. Nie mógł zrozumieć tego uśmiechu. Wydawał mu się jednocześnie gorzki i współczujący. Nie należał do ludzi bojaźliwych, ale teraz poczuł, że strach mrozi mu serce. Podjął obronę, jak zwykle przez atak.

— Kim, do diabła, jesteś i jak się tu dostałaś? — wrzasnął, a jego głos odbijał się echem w całym domu. Christine wciąż się uśmiechała.

— Po prostu weszłam przez frontowe drzwi. Zostawił je pan otwarte. Bardzo rozsądnie z pana strony. — Jej głos był niski, pogardliwy i wrogi.

Kessler nic nie odpowiedział. Jego niepokój się jeszcze powiększył. Opuściła go arogancja i poczuł, że zalewa go pot. Ciemne plamy pojawiły się pó bokach jego różowej koszuli z City. Było coś złowrogiego w tej kobiecie. Spojrział na swój zegarek. Posłaniec Catanii będzie tu za minutę.

Nikt nie mógł zobaczyć go tutaj. Trudno w to uwierzyć, ale wpadł w panikę. Czuł się śmieszny. Znowu górę wzięła złość. Dlaczego, do diabła, miałby się bać? Postąpił krok do przodu w kierunku kobiety. Usta Christine wykrzywiły się, warknęła.

— Stój tam, gdzie stoisz. Jeszcze nie skończyłam. — Było w jej głosie coś, co go zatrzymało. — Pańskie małe zlecenie, pańskie i Catanii. Jeszcze go nie wykonano, prawda? — Kessler przechylił lekko głowę, a jego oczy otworzyły się ze zrozumieniem.

— Jesteś posłańcem? Christine roześmiała się głośno.

— Posłańcem? — Jakiś dowcip Catanii, jak podejrzewała. — Posłańcem, kurierem... Tak, jak pan woli.

Ramiona Kesslera opadły z ulgą.

— Dlaczego nie powiedziałś od razu? Patrz, tu mam pieniądze. — Podniósł do góry plastikową torbę. — Trzymaj! — Odzyskiwał kontrolę nad sytuacją i jego głos znów nabrał aroganckiej szorstkości.

— Och, wezmę. Ale najpierw mam wiadomość do przekazania. Kessler spojrzał zaskoczony.

— Jak mówiłam, kontrakt jest nie wypełniony. Sara Jensen wciąż żyje. Kessler się zniecierpliwiał.

— Tak. Już to wiem. Ale jak zrozumiałem, ona nie stanowi już zagrożenia.

Christine uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Wprost przeciwnie. Okazała się bardzo pomocna. — Jej uśmiech zniknął, a głos nabrał śmiertelnej miękkości. — Kontrakt dotyczący jej odwołano i zmieniono. — Zbliżyła się do niego o krok. — Na ciebie. — Patrzyła, jak pot spływa mu po wykrzywionej przerażeniem twarzy.

— Musimy o tym porozmawiać. Czegoś pewnie nie zrozumiałaś. Roześmiała się gorzko.

— Nie, panie Karl Heinz, wszystko zrozumiałam. Myślał pan, że jesteście tacy sprytni, tak? Pan i Catania. Wszystko żeście obmyślili. Cóż, przykro mi to mówić, ale Sara Jensen przechytrzyła was obu. Czy naprawdę sądziliście, że pozwoli panu i Catanii wykręcić się od zabójstwa jej najlepszej przyjaciółki i kolegi oraz usiłowania zabicia jej samej?

— Ja ich nie zabiłem.

— Nie, pan nie. Ja to zrobiłam. Skutecznie. Ale to nie ma znaczenia. To pan i Catania chcieliście, aby oni zostali zabici, i wy wystawiliście zlecenia. Gdybym ja tego nie zrobiła, zrobiłby to ktoś inny. To pan i Catania nacisnęliście spust.

Christine wyciągnęła zza pleców pistolet i wycelowała w czaszkę Kesslera.

Podniósł ręce. Jego usta otworzyły się w niemym proteście. Pistolet wystrzelił. Kula roztrzaskała Kesslerowi głowę. Lustro za nim zalało się czerwienią, on zaś upadł na podłogę. Po sekundzie był już martwy.



Christine podeszła do broczącego krwią ciała i spojrzała na nie z góry. Tyle krwi. Zawsze jest tak wiele krwi. I ten zapach, zawsze ten zapach, pierwotny, elektryzujący. Poczowała gęsią skórę na całym ciele.

Plastykowa torba leżała u stóp nieboszczyka. Banknoty się rozsypały. Czerwony strumyk płynął w ich kierunku. Dłońmi w rękawiczkach Christine pozbierała je. Zdjęła plecak i wrzuciła pistolet głęboko do środka, a na wierzchu ułożyła banknoty. Głęboko oddychając ruszyła przez korytarz i wyszła tylnymi drzwiami.

Opierając się pokusie pobiegnięcia, przemaszerowała przez zwirowy podjazd, przeskoczyła przez drewniany płot i ruszyła w stronę lasu.

Rozpościerała się przed nią jednolita ściana lasu. Z odległości dwustu metrów las wyglądał tajemniczo, jakby stanowił stopioną masę. Zaczynało się ściemniać.

Trudno będzie znaleźć drogę powrotną. Przyspieszyła kroku i zaczęła biec. Gałęzie smagały ją po twarzy. Dwa razy się potknęła. Nie czuła bólu rozdzieranej skóry i kolan rozbijanych o wystające korzenie i kamienie.

Gdy dobiegała do polanki, na której zaparkowała furgonetkę, pot spływał jej po twarzy. Zatrzymała się między drzewami i spróbowała uspokoić oszalały oddech. Wyteżyła oczy w ciemności; na polance nie było nikogo. Podbiegła do furgonetki, zdjęła plecak i wyciągnęła kluczyki. Otworzyła drzwi z tyłu furgonetki. Wrzuciła swój plecak, zajrzała do środka i odliczyła czterysta tysięcy funtów. Wrzuciła je do oddzielnej torby, którą ukryła razem z plecakiem pod stosem gazet. Zamknęła drzwi, pospieszyła do drzwi kierowcy, wskoczyła do środka i pospiesznie odjechała. Spojrzała na swoje porwane dżinsy i krwawiące kolana i głośno zakląła. Będzie musiała je spalić. Ale nic już nie mogła zrobić ze strzępkami oderwanego materiału zostawionymi w lesie i ze śladami krwi na korzeniach i kamieniach. Może będzie padało i krew zostanie zmyta. Christine spojrzała na czyste niebo i zmarszczyła czoło. Pojechała prosto z Lambourn do stojącej na uboczu farmy w zachodnim Sussex. Farma należała do Daniela Cordy. Zaparkowała auto przed domem. Daniel usłyszał silnik i zgrzyt kół na żwirze i wyszedł przywitać ją. Uniósł brwi pytająco. Christine kiwnęła głową.

— Jak na razie, w porządku. — Wyjęła swój plecak, wyciągnęła z niego dwa pistolety, browninga i rugera, z którego zabiła Dantego Scarpirato. Umieściła je w plastikowej torbie i wręczyła Danielowi.

— Pozbądź się tego, proszę.

Wziął torbę i kiwnął głową. Sięgnęła pod gazety i wyciągnęła torbę z czterystoma tysiącami funtów.

— Twoja działka.

Uśmiechnął się, uprzejmie podziękował, wziął pieniądze i pistolety do domu i zamknął wszystko w swoim sejfie. Po chwili wyszedł na zewnątrz, wjechał furgonetką do garażu i zamknął go za sobą na klucz.

W mieszkaniu Christine przebrała się w zapasowe ubranie, które ze sobą przywiozła. Wrzuciła swoje stare ubrania i trampki do plastikowej torby i podała ją Danielowi, kiedy się pojawił.

— Mógłbyś to spalić? — Kiwnął głową. Wziął torbę i zaniósł do małego piecyka ustawionego w jednym z budynków na zewnątrz. Rozpalił go i czekał, aż się odpowiednio rozgrzeje. Christine poszła za nim i stanęła obok. Poczowała uderzenie gorąca, gdy otworzył drzwiczki piecyka, ze środka buchnęły bursztynowoczerwone płomienie. Patrzyła, jak Daniel wrzuca ubrania i buty jedno po drugim do środka. Zamknął drzwiczki i zaprowadził ją do innego budynku, gdzie był zaparkowany czerwony ford mondeo. Wręczył Christine kluczyki i patrzył, jak znika w mroku nocy.

Jutro zabierze transita na złomowisko do swojego przyjaciela. Furgonetka zostanie zamieniona w placek metalu o powierzchni pół metra kwadratowego. Jako ślad prowadzący do mordercy, przestanie istnieć.

Sara wróciła do domu tuż przed dziesiątą. Spacerowała po Carlyle Square, ciesząc się wieczornym powietrzem. Uwielbiała gorące letnie noce, późne zachody słońca, zapach soczystej zieleni, kurzu i gęstą, prawie oszalamiającą woń spalin.

Zatrzymała się przed swoim domem, kiedy Mickey, kot sąsiadów, wyłonił się z ogrodów i zażądał pieszczot. Podszedł do niej i zaczął łasić się do nóg, zaglądając Sarze głęboko w oczy. Sara roześmiała się i pochyliła, aby go pogłaskać. Oparł się przednimi łapkami

O jej kolano nieświadomie wbijając pazurki w materiał spodni. Po pięciu minutach życzyła kotu dobrej nocy i zniknęła w swoim domu. Kątem oka zauważyła profil jakiegoś mężczyzny siedzącego w samochodzie zaparkowanym na rogu ulicy.

Ułatwiła dziś obserwatorom pracę. Była na spacerze w parku Battersea, krążąc między uprawiającymi wieczorny jogging, grającymi w krykieta, w piłkę nożną, spacerującymi i grającymi w kule. Wróciła na King's Road, kupiła kilka czasopism w „Europie”, na rogu Old Church Street,

1 wybrała się do Café Rouge na samotną kolację. W ręku trzymała *Vogue*, *Vanity Fair* i *The Economist*. Dwie młode kobiety obserwarki, prawdopodobnie w jej wieku, paplały do siebie i uśmiechały się, ale nie wyglądały zbyt beztrosko. Stały w kolejce, czekając, aż dostaną miejsca. Sara patrzyła wciąż w swoje czasopisma, gdy po dyskretnej kłótni z kelnerem, śledzące ją kobiety zajęły swoje miejsca trzy stoliki dalej.

Pojawił się kelner, wymachując kartą dań. Sara długo zastanawiała się co wybrać, zamówiła coś, a potem dwa razy zmieniała zamówienie. Usiadła spokojnie, aby cieszyć się doskonałym *bouillabaisse*, antrykotem z grilla i frytkami oraz kieliszkiem szampana i połową butelki czerwonego, stołowego wina. Kiedy siedziała przy swoim stole jedząc i udając, że czyta, czuła nie opanowany chaos, nie dający się kontrolować ani uporządkować.

Przez chwilę myślała o Eddiem i Alexie, o których na długo zapomniała. Jak opowiedzieć im o tym wszystkim, co tu się wydarzyło? Co im powiedzieć? Nic. Nie chciała ich mieszać do tego brudu. Było jeszcze za wcześnie, aby się nad tym zastanawiać.

Jej myśli zwróciły się ku Christine. Czy powinna zawierać z nią układ? Logika i zdrowy rozsądek podpowiadały, że nie. Instynkt, że tak. Christine miała rację. Sara potrzebowała przyjaciół, choćby tymczasowych, a Christine potrafiłaby jej pomóc. Sara zastanawiała się, gdzie tamta teraz; jest i jaki zrobi użytek z jej informacji. Były bardzo cenne, tak, ale czy to się opłaca? I komu?

Odegrała rolę katalizatora. Mogłaby tylko siedzieć i czekać. Czy powinna ufać Christine? Miała swoją polisę ubezpieczeniową: paczkę zostawioną u Jacoba i Jacka. Jeśli miało sens zabicie Kesslera i Catanii, miało również sens zostawienie jej przy życiu.

Musi jeszcze trochę poczekać, żeby się przekonać; to będzie krwawy dowód. Westchnęła ciężko. Poczowała wstręt, ale wiedziała, że nie pozostawiono jej żadnego innego wyjścia. Przynajmniej tym razem, jeśli jej kalkulacje są słuszne, ktoś wreszcie wymierzy sprawiedliwość. Czy to sprawiało jej jakąś różnicę? Nie była pewna. Ale przecież nie potrafiłaby zrobić tego sama.

Otrząsnęła się z myśli i poprosiła o rachunek, mówiąc na tyle głośno, aby jej obserwatorzy mogli ją usłyszeć. Długo szukała pieniędzy, aby zdążyły przygotować się do wyjścia, i zostawiła za sobą duży napiwek i radosne „do widzenia” zebranych kelnerom. Inaczej niż w przypadku Christine, nikt, kto przeciął tego wieczoru drogę Sary, nie powinien tego zapomnieć; chciała mieć pewność. Może tego potrzebować. Będzie miała alibi nie do podważenia.

Gdy weszła do domu, wahadłowy zegar w holu właśnie wybijał dziesiątą. Poszła do sypialni, położyła się na łóżku i włączyła telewizor, chcąc obejrzeć wiadomości. Układała sobie poduszki, aby jej było wygodniej, kiedy nagle poderwała się i zwróciła twarzą do ekranu.

— Giancarlo Catania, prezes Banku Włoch został zamordowany. Wiadomości wciąż nadchodzą, ustalono już, że Catania wychodził z restauracji w Rzymie ze swoją żoną i dwójką przyjaciół, gdy motocykl z dwiema osobami zbliżył się do niego i siedzący z tyłu mężczyzna otworzył ogień. Catania został kilka razy postrzelony i najprawdopodobniej zginął na miejscu. Jego ochroniarze zabili zamachowca i poważnie ranili kierowcę motocykla. Agenci ochrony zatrzymali kierowcę, który przebywa obecnie w szpitalu pod nadzorem policji. Wszelkie podejrzenia wskazują na mafię, ale jak do tej pory nie są znane motywy tego zamachu. Reszta słów nie dotarła do jej świadomości. Sara siedziała bez ruchu. Opanował ją paraliżujący strach, dostała mdłości, gdy jednak w miarę upływu godzin szok ustępował, odczuła ulgę. Czy właśnie ona uruchomiła to wszystko paroma słowami? Czy ona to spowodowała,

czy był to zbieg okoliczności? Nie potrafiła odpowiedzieć. Jeśli jej podejrzenia i wyliczenia okażą się słuszne, Catania nie będzie jedynym, który zginie tragicznie. Gdy Christine pojawiła się w domu jeszcze przed północą, czuła się zadowolona, ale też wyczerpana. Zadzwoiła do Fieriego. Gdy natychmiast odebrał telefon, wiedziała, że coś się dzieje. Mówił zwięźle, szyfrując. Kazał jej przeczytać gazety. Poradził, żeby wyjechała na jakiś czas na wakacje. Wyjaśniła mu, że u niej wszystko w porządku, zastanawiając się równocześnie, co do diabła, złego może się dziać. Powiedział: „dobrze”, ale zdawał się nie przywiązywać do tego większej wagi. Usprawiedliwił się, że musi już iść; był w trakcie jakiegoś spotkania. Po chwili zreflektował się i dodał: „dobra robota” i „stawka tak, jak zwykle”, po czym się rozłączył.

Christine włączyła telewizor i nerwowo przełączała go z kanału na kanał. O północy wysłuchiwała wiadomości w CNN. Catania został zamordowany. Zabójca nie żyje. Jego pomocnik zatrzymany. Christine wpadła w panikę. Czy zacznie mówić? Podejmie *pentitol* Takiego ryzyka nie można zignorować. Zaczęła szybko i metodycznie pakować walizkę.

Miała kryjówkę w Rio, mieszkanie kupione cztery lata temu na taką okoliczność, jak teraz. Skończyła pakowanie, po czym dłuższą chwilę stała pod prysznicem, pozwalając spływać po sobie strugom gorącej wody. Ubrała się i nalala sobie dużą brandy. Siedziała w milczeniu, w ciemności swojego gabinetu planując kolejne ruchy. Złapie pierwszy lot do Rio, wyjedzie jutro wieczorem. Nie spała całą noc czekając i słuchając wiadomości.

Złapanie kierowcy motocykla było katastrofą. Ujawniono jego imię, Cesare Romagna. Był starym pomocnikiem Fieriego. Jego zaufanym, którego używał do załatwiania wielu prywatnych spraw. Przy jakiejś okazji pracował z Christine. Gdyby zaczął mówić, a zawsze istniała taka możliwość, ona i Fieri będą spaleni. Mogła się tylko modlić, żeby trzymał język za zębami albo żeby Fieri dostał go pierwszy. A stawka była ogromna. Nie miał nic do stracenia. To o tym prawdopodobnie rozmawiał w czasie nocnego spotkania.

Christine zastanawiała się, czy Sara Jensen słyszała te wiadomości i jak na nie zareagowała. Nie miała możliwości, aby się tego dowiedzieć. Nie był możliwy żaden kontakt. Każda próba groziła oskarżeniem. Sara Jensen stanowiła ryzyko. Udowodniła, że chętnie podejmuje niebezpieczne gry. Do tej pory odpowiadała jej ta współpraca. Zawarły układ i w tamtej chwili waga zdawała się przechylać na korzyść Christine. Tamta udzieliła jej informacji, i za co? Za mglistą obietnicę pomocy, jeśli zajdzie taka potrzeba. To, czego się dowiedziała, było warte dla Christine ponad milion funtów, bo teraz Fieri mógł nigdy jej nie zapłacić za wykonaną robotę, a ona mogła nigdy nie być wolna, aby cieszyć się tymi pieniędzmi. Wysoka nagroda — wysokie ryzyko; wiedziała o tym i akceptowała.

Ale

w nowej sytuacji wyglądało na to, że Christine ubiła kiepski interes, Sara Jensen — doskonały.

Na razie udało się jej doprowadzić do upadku dwóch facetów, na których chciała się zemścić, a sama ryzykowała niewiele. No tak, ale Sara Jensen nie mogła wiedzieć, że jej informacja wywoła tak szybką i krwawą odpowiedź, ani nie mogła być pewna, czy Christine nie zabije jej, gdy ta tylko powierzy jej swój sekret. Podjęła duże ryzyko i na razie jej się opłaciło. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Co teraz leży w interesie Sary Jensen?

Christine zastanawiała się przez chwilę, czy nie powinna jej zabić...

Było za późno, by robić to teraz, a poza tym nie sądziła, aby Sara stanowiła aż tak duże zagrożenie. Ich interesy wciąż się zbiegały: milczenie, dyskrecja, jeśli potrzeba — kłamstwa. Widziała w Sarze Jensen dziki instynkt przetrwania. To najlepsza gwarancja jej lojalności.

Christine usłyszała jakiś szmer za oknem. Odstawiła drinka i wyteżyła słuch.

Uśmiechnęła się, gdy dźwięk się nasilił: zaczęło padać, kapanie przeszło w ulewę: krew, skóra i fragmenty porwanego materiału zostaną zmyte.

## Rozdział 29

Była druga w nocy. Bartrop właśnie usłyszał wiadomości o Catanii i wciąż próbował rozgryźć, co to wszystko znaczy, gdy odezwał się telefon. Dzwonili z Oddziału Specjalnego. Karl Heinz Kessler nie żył. Bartrop siedział nieruchomo, w szoku. Poprosił o wszystkie szczegóły i o uaktualnianie ich w miarę napływania kolejnych wiadomości.

Przeszedł przez pusty dom do kuchni i zrobił sobie herbatę w filizance. Zaniósł ją do gabinetu i zaczął pić, zamyślony. Catania i Kessler nie żyją, Sara Jensen wróciła do domu i poruszała się bez lęku, pewna siebie. Teraz zrozumiał, jak bardzo jej nie docenił. Ciekawiło go, do czego jeszcze byłaby zdolna. Jeśli jego podejrzenia okażą się słuszne, uczyniła mu przysługę. Morderstwa wskazywały na Fieriego. Jeśli kierowca motocykla pójdzie na współpracę, pojawi się spora szansa na skazanie Fieriego. Ale jaką rolę odegrała tu Sara? O czymś wiedziała, coś zrobiła, dokonała czegoś w rodzaju wymiany. Ale w jaki sposób i z kim? W ich niewidzialnym stosunku równowaga została zachwiana. Było teraz jasne, że ona wie więcej od niego, była o krok do przodu — znalazła się w lepszej niż on pozycji.

Sobota rano. Sara obudziła się o szóstej. Leżała z zamkniętymi oczami, docierał do niej śpiew ptaków i ciche odgłosy porannego ruchu ulicznego. Pozwoliła bodźcom docierać do siebie powoli: dźwięk, zapach, poczucie, że jest we własnym łóżku. Otworzyła oczy i rozejrzała się dookoła. Patrzyła na białą ścianę, biały len, jasne muślinowe firanki poruszane delikatnym wiatrem, okno otwarte na taras pełen kwiatów. Powietrze było chłodne, wilgotne, zapowiadające ciepły dzień. Tej nocy padało i zniknął ciężki, przygniatający, lepki upał. Usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę. Po raz pierwszy od tygodni, miesiący, miała wrażenie, że odzyskuje swój kruchy spokój. Również jej energia

wracała i nagle poczuła wilczy głód. Wskoczyła z łóżka, włożyła na siebie wczorajsze ubrania, złapała klucze, wzięła z holu rower i wyruszyła.

Jeden z niewielu otwartych w niedzielę rano sklepów był, nie wiedzieć czemu, nazwany „Siedem — jedenaście”. Znajdował się na Gloucester Road i był otwarty 24 godziny na dobę. Sara przejechała przez wyludnione ulice, jeśli nie liczyć garstki zawziętych biegaczy i zbieraczy śmieci, odbywających swoją poranną rundkę. Sklep był pusty. Sara ruszyła z drucianym koszykiem, wkładając do środka jajka, mleko, masło, chleb, świeży sok pomarańczowy, gazety — wszystko, czego potrzebowała, aby sobie zrobić śniadanie. Włożyła zakupy do swojego zielonego kosza i pojechała do domu okreśną drogą, ciesząc się porannym słońcem, spokojem i uczuciem, że porusza się bez wysiłku.

Gdy znalazła się w kuchni, przystąpiła do przyrządzania śniadania. Przerwała na chwilę rozbijanie jajek, aby włączyć jakąś muzykę: wybrała k.d. lang; popłynęły przyjemne, relaksujące, w jakiś sposób dające jej poczucie komfortu dźwięki.

Ściszyła muzykę; nie chciała obudzić sąsiadów przez otwarte okna, i wróciła do kuchni. Rękoma klejącymi się od jajek zaczęła ubijać je z mąką i szczyptą soli, zanim poddała mieszankę szybkiemu wirowaniu w mikserze. Pięć minut później świeża kawa parzyła się na kuchence, a placki skwierczały na rozgrzanej patelni.

Rozejrzała się po swojej półce z przyprawami, wreszcie znalazła czerwono-złoto-czarną puszkę melasy. Zdjęła ją, obracając w dłoniach i przyglądając się obrazkowi przedstawiającemu lwa i pszczoły w jego brzuchu. Przeczytała podpis: „Ze słodczy bierze się siła”. Zatrzymała się na moment; ogarnęły ją wspomnienia. Jej mama robiła naleśniki z czarną melasą w nagrodę albo żeby ją dobrze nastroić przed egzaminami. Czasami dodawała odrobinę rumu. Sara poznała smak rumu, kiedy miała cztery lata. I za każdym razem mama pokazywała jej wspaniałą puszkę melasy i odczytywała inskrypcję.

Silny i słodki. Tak dawno temu. A teraz, co z nią będzie...? Jak długo zajmie jej oczyszczenie się z tego? Otrząsnęła się z zamyślenia, ułożyła placki na talerzu i zniosła je na tacy razem z kawą i sokiem pomarańczowym do salonu. Położyła się na kanapie, wzięła gazetę i zabrała się do jedzenia naleśników. Melasa wypływała z nich, spływając jej po palcach. Zlizwała ją, nie zostawiając ani śladu.

Telefon zadzwonił chwilę później, w momencie gdy wychodziła spod prysznic. Poszła ociekająca wodą do sypialni, usiadła na łóżku i podniosła słuchawkę niepewnie, z zaciekawieniem. Telefon dzwonił trochę wcześniej, niż się spodziewała. Barrington. Tym razem nie było formalności, żadnego wstępnego paplania.

— Myślę, że lepiej będzie, jeśli porozmawiamy, prawda?

Sara podjęła teńton. To on był jej winien wyjaśnienia, a nie odwrotnie.

— Tak, prezesie. Myślę że powinniśmy.

— Ktoś przyjdzie zobaczyć się z panią za pół godziny. W porządku?

— Nie. Nie w porządku. Nie mam zamiaru otwierać drzwi mojego domu każdemu, kto ma ochotę przyjść. Jeśli ktoś ma się tu zjawić, to lepiej, żeby to był pan. Ach, a jeśli o tym mowa, może wzięłyby pan ze sobą swojego szefa, czy kogokolwiek, kto pociąga za sznurki. Wtedy być może postaram się o szczerą odpowiedź. Czy wciąż mam nadzieję na zbyt wiele?

Nastąpiła dłuższa cisza. Sara mogła sobie wyobrazić Barringtona, jak głęboko wzdycha i jak go kusi, by zrobić uszczypliwą uwagę, aby nie wyglądało, że jest zaskoczony tonem jej odpowiedzi. W końcu odezwał się, cierpliwie, jak gdyby mówił do niesfornego dziecka. Sara ledwie się powstrzymała od śmiechu.

— Jak powiedziałem, ktoś przyjdzie do pani dziś rano. Ja nie mam czasu, pani nie ma czasu, wszyscy nie mamy czasu.

— Tak, jestem pewna, że to niezbyt przyjemnie mieć zepsuty weekend, prawda, panie prezesie? Oczywiście, nie może pan decydować za niego, czy też za nią, bez upewnienia się najpierw, czy ma wolne terminy, więc może pan zadzwoni do mnie później, żeby przekazać mi, co udało się panu ustalić?

— Słuchaj, Saro, widzę, że jesteś zła, i potrafię to zrozumieć. Sara przerwała mu.

— Zrozumieć? Nie prezesie. Nie, sędzę, aby pan nawet próbował. — Jej ręce trzęsły się z wściekłości, odłożyła słuchawkę i usiadła, czekając, aż oddzwoni.

Barrington zadzwonił do Bartropa.

— Ona jest wściekła. Chce się z panem zobaczyć.

Brwi Bartropa uniosły się w wyrazie najwyższego zdziwienia.

— Co ma pan na myśli mówiąc, że chce się ze mną zobaczyć?

— Cóż, nie dokładnie z panem. — Barrington poprawił się niezręcznie na swoim siedzeniu. — „Kogokolwiek, kto pociąga za sznurki”, tak to ujęła.

Bartrop głośno parsknął rubasznym śmiechem.

— Przepraszam, panie prezesie. Po prostu wyobraziłem sobie, jak to mówi. Więc jest wściekła, tak?

— Tak, ale to nie jest chwilowy nastrój, więc nie naśmiewałbym się z tego, gdybym był na pana miejscu. Była również bardzo otwarta, mówiła bez ogródek, bez udawania, jak gdyby uważała, że gra jest skończona.

Bartrop lekko zachichotał.

— Tak jej się zdaje?

— Niech pan posłucha, panie Bartrop, nie udaję, że potrafię czytać w jej lub pańskich myślach. Poprosił pan, abym do niej zadzwonił i ja to zrobiłem. Teraz wolałbym tę sprawę zostawić panu, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Nie, nie mam nic przeciwko temu. Tak będzie lepiej. To taniec dla dwóch partnerów.

— Zobaczy się pan z nią?



— Myślę, że nadszedł już czas, a jak pan myśli? Barrington uśmiechnął się do siebie.

— Cóż, życzę panu powodzenia.

— Więc zechce pan zatelefonować do niej znowu i powiedzieć, że ktoś się z nią spotka?

— Niech pan zatelefonuje do niej sam. Nie jestem pańską sekretarką. Pięć minut później Bartrop siedział w swoim samochodzie, prowadził Munro, i zmierzali w kierunku Carlyle Square.

Przyjechali tuż przed siódmą. Bartrop polecił Munro, aby na niego zaczekał, a sam wysiadł z samochodu i poszedł do domu Sary Jensen. Spojrzał na fasadę. Wiedział, że dziewczyna jest w środku; obserwatorzy dawali mu regularne sprawozdania z każdego jej ruchu. Stał przez chwilę i się zastanawiał.

Był ciekawy. Chciał przygotować się, aby móc zarejestrować pierwsze wrażenie. Wiedział, jak wygląda; przeglądał jej fotografie zrobione przez obserwatorów i nagrania wideo, ale nigdy nie widział jej na żywo, w akcji, nie obserwował, jak myśli, reaguje, jak się porusza.

Wciąż pozostawała dla niego enigmą. Spędził godziny układając to, co wie o jej charakterze. Wiedział, że była dziwaczną mieszanką różnych cech, a intensywność każdej z nich wystarczyłaby do zdeterminowania całego charakteru. Ale w niej łączyły się one w jakąś szaloną całość, cudem nie rozsadyły jej na kawałki. Zdawało się raczej, że skrajności tworzyły niespotykaną harmonię, chociaż kruchą i wymagającą. Nic dziwnego, że szukała schronienia i stabilności u Jacoba Goldsmitha, u swojego brata i chłopaka. Jeśli ta teoria była słuszna, a miała mocne podstawy, ekstremalne wydarzenia w jej życiu wywoływały ekstremalne reakcje. A to czyniło ją tak niebezpieczną i tak cenną. Łączyła w sobie także żyłkę autodestrukcji i zwierzęcy instynkt przetrwania. A nade wszystko, była nieprzewidywalna.

Bartrop zadzwonił do drzwi.

Sara usłyszała dzwonek, zobaczyła czarnego rovera z jakimś mężczyzną za kierownicą, zaparkowanego przed jej domem, i drugiego mężczyznę, który stał na schodach przed drzwiami. Ten za kierownicą, podlizujący się i oficjalny, zdecydowała. Oddział Specjalny czy służby wywiadowcze z teorii Jacoba?

Przyjrzała się bacznie mężczyźnie na schodach. Wysoki, wyprostowany, pewny siebie, brązowe włosy zaczesane do tyłu, przyciągający uwagę, szczupły, władcza postawa. Nie widziała twarzy; stał zbyt daleko; dostrzegła tylko czubek jego głowy. Podobnie jak mężczyzna, któremu się przyglądała, czuła falę ciekawości.

Kimkolwiek jest, niech tylko nie będzie podobny do Barringtona, słabego, pokrętnego, nie potrafiącego działać; niech się okaże mocny, zdecydowany, niech wie, czego chce. Zeszła po schodach i otworzyła drzwi.

Mężczyzna wyciągnął do niej rękę.

— James Bartrop, przyjaciel Anthony'ego Barringtona. Sara uścisnęła jego dłoń z taką samą siłą.

— Lepiej niech pan wejdzie. — Odsunęła się, by go wpuścić przez otwarte drzwi. Stał nieruchomo.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolałbym porozmawiać w samochodzie.

— Było to polecenie, bez nuty prośby. Sara zamilkła na chwilę, spojrzała na samochód i z powrotem na niego.

— W porządku, proszę mi dać minutkę. — Weszła na górę po schodach, wzięła swoją torebkę i mały dyktafon, który dostała kiedyś od Jacoba. Włączyła go i ukryła w torebce. Zeszła na dół, wzięła klucze i zamknęła za sobą drzwi. Bartrop zaprowadził ją do samochodu. Miała już do niego wsiąść, kiedy pojawiła się pani Jardine.

— Saro, całe szczęście, wróciłaś.

— Wróciłam. Przy okazji, pani Jardine, ten pan tutaj mówi, że nazywa się Bartrop, James Bartrop. Twierdzi, że jest agentem nieruchomości i chce mnie zabrać, abym obejrzała dom. Na wypadek gdybym się już nie pojawiła, niech pani zapamięta, jak wygląda i jak się nazywa — powiedziała to lekko, z uśmiechem. Kobieta zachichotała.

— Kupować kolejny dom... Cieszę się, że komuś się tak dobrze powodzi. — Skinęła Bartropowi i zajęła się swoimi sprawami.

Bartrop otworzył drzwi. Sara wsiadła do samochodu; usiadł obok niej. Przednie siedzenia oddzielone były od tylnych szklaną przegrodą.

— Jedź przez chwilę gdziekolwiek, Munro. — Bartrop zamknął przegrodę i zwrócił się do Sary. — Nie miałem zamiaru uprowadzać pani.

— Cóż, to na wszelki wypadek, gdyby pan zmienił zamiar. Uśmiechnął się.

Obserwatorzy używali domu pani Jardine jako swojej

bazy. Ją i jej męża, dawnego oficera armii, hojnie wynagradzano za tę

niedogodność. Nie było wątpliwości, po czyjej są stronie. Tak czy owak, Sara popisała się szybkością reakcji. Najwyraźniej nie ufała mu, ale nie mógł mieć jej tego za złe. — Sądzę, że nadszedł czas, abyśmy porozmawiali, jak pani myśli?

Spojrzała na niego. — Powiedziałabym, że jesteśmy z tym mocno spóźnieni. Ale najpierw, może zechce mi pan wyjaśnić, dla kogo pan pracuje i jaka jest pańska rola. Sara patrzyła przez okno, patrzyła na przechodniów idących King's Road, zauważała tylko plamy kolorów na wystawach szeregu sklepów; obrazy ślizgały się po powierzchni jej świadomości. Skoncentrowała zmysły na mężczyźnie siedzącym przy niej, próbując go rozszyfrować, podobnie, jak podejrzewała, on próbował ją rozszyfrować. Czowała siłę jego oporu i determinację. Nie będzie łatwo.

— Cóż, dojdziemy do tego w odpowiednim czasie. Najpierw chciałbym poruszyć parę innych kwestii.

Sara odwróciła do niego głowę i spojrzała mu w oczy, czekając, aż zacznie mówić. Przez chwilę zapadła pełna napięcia cisza.

— Pierwsza rzecz, która mnie interesuje, to dlaczego najpierw pani znika, a potem znowu się pojawia? Nie wydaje mi się, aby mogła pani czuć się szczególnie bezpieczna. Wszak zostali zamordowani Giancarlo Catania i Karl Heinz Kessler.

— Co? — spytała z nie udawanym zdziwieniem. O Catanii wiedziała, ale Kessler... To ją pozbawiło wątpliwości. Jej rozmowa z Christine musiała być tym kamykiem, który spowodował lawinę. Zarejestrowała swój szok, podtrzymała go, już świadomie, aby nie pozostało wątpliwości, co do jego szczerości.

Bartrop przyjrzał się jej. Była albo cholernie dobrą aktorką, albo rzeczywiście nie wiedziała; tego się nie spodziewał. Siedziała w milczeniu.

— Dlaczego wyszła pani ze swojej kryjówki, Saro? Czy zawarła pani z kimś układ? Czy zawarła pani układ z mafią?

Sara patrzyła prosto przed siebie, po czym powoli odwróciła się do niego.

— Jak pan śmie. — Jej głos był niski. Pobrzmiwał w nim gniew. — Siedzi pan tu bezkarny, nie odczuwa pan żalu, i jeszcze mnie oskarża. Dwoje niewinnych ludzi zostało zamordowanych, ponieważ zlecił mi pan tę pracę, a przynajmniej domyślam się, że to pan. Czy może pan też ma nad sobą jakiegoś poruszającego sznurkami tajemniczego mistrza marionetek?

Jego twarz stężała.

— Nie, nie mam nad sobą żadnego mistrza, jak to pani nazywa.

— A więc cała odpowiedzialność spoczywa na panu. — Przerwała na chwilę, chcąc się uspokoić. — Dwoje zabitych. I dlaczego? Kto był pana prawdziwym celem przez cały ten czas? Dostarczyłam panu i pańskiemu uległemu Barringtonowi wszystkich dowodów, jakich mógł pan potrzebować, a pan nic nie zrobił. Żadnych aresztowań, nawet żadnych cichych rezygnacji. Żadnego wymierzenia sprawiedliwości, żadnego skutku. Nic. — Coś jej właśnie wpadło do głowy. — Chyba, że mi pan powie, że to pan zabił Catanię i Kesslera.

Bartrop się roześmiał.

— To raczej pani domena, prawda? Zemsta. Powstrzymała słowa. Patrzyła na niego w milczeniu.

— To pani zabiła tego kierowcę ciężarówki, prawda? Tego, który rozbił samochód pani rodziców.

Patrzyli na siebie. Nawet nie drgnęła. Jej oczy były martwe, nieprzeniknione.

Wyglądała tak, jakby zamknęła do siebie dostęp. Odezwał się znowu.

— Zemsta z zimną krwią, bez litości.

Nic go tym razem nie przygotowywało na jej reakcję.

— Litość. Proszę mi nic nie mówić o litości. Miałam z tym wystar-

czająco wiele wspólnego. — Przerwała w samą porę. Tak desperacko pragnęła wyjaśnić, pozwolić słowom, aby się wydostały. Nie rozumie pan? To kryje się za wszystkimi moimi czynami. Zemsta i litość, tylko to trzyma mnie w całości. Zrobiłam to raz dla moich rodziców i jeszcze raz dla Mosami i Dantego. I tak, przyznaję, również dla mnie samej. To jedyny sposób, w jaki mogę na to patrzeć i żyć ze wszystkim, co się wydarzyło. Czy wie pan, jak to jest? Widzieć martwych ludzi? Wyobrażać sobie, jak do tego doszło? Kiedy o tym myślę... Przez chwilę walczyła ze sobą, aby nie zacząć łkać, po czym kontynuowała wewnętrzny monolog. Zemsta jest jedynym sposobem, w jaki mogę to załatwić. Radykalna, niedoskonała i nie przynosi ukojenia, Bóg jeden wie, jak boli, ale jest to jakieś wyjście, jakaś forma sprawiedliwości. Nie rozumie pan tego? Odwróciła się, aby na niego spojrzeć. Jego twarz była nieodgadniona.

Obserwował ją w milczeniu, domyślając się, co się w niej teraz działo. Siedziała napięta, jak gdyby starając się nie wybuchnąć. Postanowił zmienić taktykę.

— Zdaje sobie pani sprawę, że musiałem mieć bardzo ważne powody, aby rozpocząć to dochodzenie.

— Mam nadzieję, że je pan miał. — Jej głos był teraz chłodny, opanowany.

— Co by pani powiedziała, gdybym zdradził pani, że celem był szef mafii, który kontroluje ogromną część importu heroiny i kokainy do Wielkiej Brytanii?

— Powiedziałabym, że powinien pan powiedzieć mi to na początku lub znaleźć profesjonalistę, który znałby ryzyko, i nie wystawiałby niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo, tak jak ja to nieświadomie zrobiłam.

— Przypuszczam, że nie doceniliśmy pani.

— Tani komplement pod płaszczykiem szczerości. Dlaczego mi pan nie powie, o co panu chodzi?

— W porządku, powiem pani. Chcę, by pani pomogła mi dostać tę osobę. To wszystko. Wszystko inne, co się wydarzyło, jeśli chodzi o pani sprawę, nie jest dla mnie istotne.

— Nie interesuje mnie, co jest dla pana istotne, a co nie. Dlaczego nie mógłby mnie pan uczciwie poprosić o pomoc? Zamiast tego wysuwa pan jakieś mroczne groźby. Podejrzenia. Tylko tyle pan ma. A po tym wszystkim, co się stało, myśli pan, że tak łatwo zmusić mnie do czegokolwiek? — Dławiła ją pogarda. — Proszę zatrzymać samochód.

Bartrop odsunął szybę pomiędzy nim a Munro i poprosił go, żeby się zatrzymał. Samochód zwolnił, Sara otworzyła drzwi i wysiadła. Odwróciła się jeszcze do niego.

— Nie potrzebuje pan mojej pomocy. Zna pan teorię domina? Kiwnął głową, zaciekawiony.

— Niech pan tylko patrzy, jak padają kolejne kostki. Sami to załatwią

ze sobą. — Trzasnęła drzwiami. Munro rzucił swojemu szefowi pytające spojrzenie.

— Wracamy — powiedział Bartrop.

Bartrop siedział w swoim gabinecie przy biurku i patrzył przez okno. Zadzwoił Miles Forshaw, jego zastępca.

— Warto było?

— Myślę, że tak. Na jakiś dziwny sposób.

— Czego się dowiedziałeś?

— Nauczyłem się cierpliwości. Forshaw zmarszczył czoło z niepokojem.

— Więc, co się dzieje? Bartrop uśmiechnął się.

— Nic. Nic nie robimy. Przyglądamy się i czekamy.

— A co z Sarą Jensen?

— Cóż, zdaje się, że zdecydowała, że jej rola się skończyła.

— A skończyła się naprawdę?

— Oczywiście, że nie.

## Rozdział 30

Następnego popołudnia w domu w Maroku Jacob i Jack nie mogli sobie znaleźć miejsca, zgryźliwi i wytrąceni z równowagi nieobecnością Sary. Wiedzieli, że nie może do nich zadzwonić. Ostrzegła ich, że nie będzie się z nimi kontaktować ani telefonicznie, ani listownie. Nie chciała, aby skojarzono ich z jej osobą, na wypadek, gdyby nie wypalił układ z Catanią. Nie chciała, aby Jacob i Jack zostali wciągnięci w rozgrywki z Barringtonem i osobą, która za nim stała. Wiedzieli o tym, zgodzili się, choć niechętnie, ale trzy dni później okazało się, że nie potrafią tak żyć.

Aby zapomnieć, poszli do gabinetu Jacka zobaczyć popołudniowe wiadomości w CNN; przyjemne urozmaicenie; nie musieli rozmawiać ze sobą przez całą godzinę. Jack włączył telewizor pilotem. Usiedli obok siebie na kanapie i słuchali. Spiker po odczytaniu głównych tematów wrócił do wiadomości, które nadeszły późno poprzedniej nocy. Jego głos był zrównoważony, spokojny, zwyczajny. Ale słowa uderzyły w Jacoba i Jacka. Giancarlo Catania został zamordowany w Rzymie. Siedzieli w szoku, a spiker przekazał kolejną wiadomość, że Karl Heinz Kessler, inny wysoko postawiony bankowiec, także został zamordowany w Londynie. Spojrzeli na siebie z przerażeniem.

— Wracam do Londynu — zdecydował Jacob.

— Jadę z tobą — odpowiedział Jack.

Zarezerwowali miejsca na najbliższy lot z Marakeszu następnego ranka.

Christine przecisnęła się przez tłum w trzecim terminalu na Heathrow i podeszła do kasy biletowej linii Varig. Uśmiechnęła się do kobiety w błękitnym mundurze i powiedziała płynnie po portugalsku.

— Mam zarezerwowane miejsce na lot do Rio, dzisiaj w nocy. Julia Rodriguez. Kobieta uśmiechnęła się.

— Chwileczkę, już szukam. — Wstukała szybko dane do swojego komputera.

— Tak, zgadza się. Bilet pierwszej klasy, płacony kartą kredytową Visa. Poproszę o kartę i paszport.

Christine wyciągnęła swoją złotą kartę Visa i paszport na nazwisko Julia Rodriguez. „Mrs Hernandez”, jak mówił identyfikator, spojrzała na paszport, po czym dyskretnie na Christine i najwyraźniej usatysfakcjonowana zajęła się kartą kredytową. Przejechała nią przez czytnik i wydrukowała rachunek. Christine podpisała go i zabrała kartę i paszport. Kobieta wręczyła jej bilet.

— Wejście na pokład nr 9. Życzę przyjemnego lotu. Christine odwzajemniła jej uśmiech.

— Dziękuję, na pewno będzie przyjemny. — Odwróciła się i żwawo przeszła przez salę do schodów prowadzących do hali odlotów. Atrakcyjna kobieta, typowa Brazylijka: średni wzrost, mocne, muskularne ciało, ciemna karnaqa, krótkie, czarne włosy z chłopcęią fryzurą, brązowe oczy. Christine uśmiechnęła się do swojego odbicia, gdy szła szklanym korytarzem prowadzącym do wejścia na pokład. Spędziła dziś rano dwie godziny udoskonalając Julię Rodriguez; farbowanie włosów, nożyczki, samoopa-lacz, brązowe szkła kontaktowe, fałszywy paszport, i najtrudniejsze ze wszystkiego, inny sposób poruszania się; nerwowy, pospieszny. Szła szybko, napinając mięśnie brzucha, miała na sobie trochę za małe buty. Po Christine Vilhers nie został żaden ślad.

Samolot wystartował godzinę później. Wzniósł się w powietrze, zrobił długi powolny łuk i zaczął wspinać się do wysokości rejsowej.

Christine odpięła swój pas. W rękę trzymała kieliszek szampana. Spojrzała na zewnątrz, w ciemność okrywającą angielską wieś daleko pod nią. Nie wiedziała, kiedy zobaczy ją znowu, ale nie czuła szczególnej tęsknoty. W tej chwili była pełna radosnego uniesienia. Jak jaszczurka, która odrzuciła swój ogon, świętowała odzyskaną wolność.

Kiedy varig 747 był wysoko nad Atlantykiem, kierowca motocykla zdecydował się na *pentito* i zaczął powoli i metodycznie informować

o wszystkich, których znał. Nie miał wyboru. Jego adwokat, zmuszony przez policję, powiedział mu, że słyszał, że *don* mu nie ufa i już zaaranżował zabójstwo.

Jedyną szansą pozostania przy życiu był program ochrony świadków. Miał 42 lata. Żadnej rodziny. Mógł zniknąć, i to łatwo, a potem z pomocą i pod ochroną państwa, rozpocząć nowe życie, może w Ameryce. Mógł też poczekać na nóż, który zjawi się nieuchronnie i wejdzie między jego łopatki, albo na kulę, która roztrzaska mu głowę i uciszy go na zawsze.

Sędziowie w Rzymie zaczęli składać kawałki historii w całość. Do północy wydano nakazy aresztowania. Między wieloma innymi nazwiskami, na liście znalazło się nazwisko Antonia Fieriego.

Bartrop siedział sam w swoim domu przy Chelsea Square. Kostki

domina padały. Gdzie się zatrzymają? Jak ona to uruchomiła? Co właściwie zrobiła? Nie powiedziała mu. Nie miał wątpliwości, że Sara Jensen gardziła nim. Dostał z tej operacji to co chciał nie dlatego, że ona miała ochotę współpracować, ale dlatego, że jej plan działania częściowo pokrywał się z jego planem. Uważała, że jest odporna na jego groźby, i swoją postawą pozbawiła ich siły. Ale pomimo tego co myślała, była bezbronna. Miała swoją piętę achillesową. Jacoba Goldsmitha. Dał jej schronienie. Nie popełnił zbrodni, ale Goldsmith to staruszek, który chciał się cieszyć spokojnym, prostym życiem. Nie brał w niczym bezpośrednio udziału, ale przez cały czas był na horyzoncie, choć nigdy nie stał się celem ani głównym aktorem. Gdyby jednak sytuacja uległa zmianie i wszystko skupiłoby się na nim, Sara Jensen na pewno nie zniosłaby tej sytuacji i zaczęłaby mówić.

W porządku, dostał czego chciał: Fieri namierzony, ogromne szanse skazania. Ale jeden *pentito* nie wystarczał. Jedno kruche życie. Bartrop i Włosi, potrzebowali lepszej podstawy, by wzmocnić oskarżenie, zapanować nad sytuacją. Bartrop potrzebował Sary Jensen. Chciał wiedzieć to, co ona wiedziała, zamierzał to odkryć. Poszedł do łóżka. Śniła mu się Sara.

Następnego ranka dostał kolejny impuls dla swoich zamierzeń.

O jedenastej zadzwonił Oddział Specjalny z Heathrow. Jacob Goldsmith właśnie przyleciał do kraju. Bartrop przyjął wiadomość i uśmiechnął się z oczekiwaniem. Wszystkie kawałki układanki trafiały na swoje miejsce.

Jacob i Jack pojechali taksówką prosto na Carlyle Square. Zapłacili kierowcy i stali na progu w nerwowym milczeniu, dzwoniąc do drzwi Sary. Po chwili usłyszeli jakiś głos z góry, podnieśli głowy i zobaczyli Sarę, wyglądającą przez okno.

— Jacob! Jack! — krzyczała z radości. — Już schodzę. Uśmiechnęli się do siebie.

— Wiedziałem, że nic jej nie jest — powiedział Jacob.

Sara zbiegła do drzwi. Uścisnęła i ucałowała obydwu i dyskretnie wytarła łzy z policzka Jacoba. Zostawili swoje walizki w holu. Uśmiechnęła się do nich, po czym położyła palec na ustach.

— Chodźmy na spacer. — Spojrzała na nich stanowczo. Kiwnęli głowami nieco zdumieni. Wyszli na zewnątrz, na Carlyle Square. Sara otworzyła kluczykiem bramkę do ogrodów i zaprosiła ich do środka. Cała trójka usiadła na ławce. W ogrodzie było kilkoro dzieci śmiejących się

1 bawiących i kobieta, która je pilnowała. Ale siedzieli wystarczająco daleko, poza zasięgiem jej słuchu.

Sara usadowiła się między Jacobem i Jackiem.

— Jak dobrze znowu was widzieć, brak mi słów. — Wszyscy odezwali się naraz, zakłócały słowa, śmiech i ulga. W końcu śmiechy ustały i zaczęły się pytania.



— Mój dom jest na podsłuchu — powiedziała Sara. Jacob jak zwykle zarzucił ją pytaniami kierowany troską, by jej strzec.

Jego pytania, które zwykle doprowadzały Sarę do irytacji, dzisiaj przynosiły ulgę; widziała go znowu, była w swoim domu, w Londynie, odpowiedziała więc na wszystkie. Nikomu innemu nie mogła tego powiedzieć. Tylko Jacobowi. I Jackowi. Zasłużył na to. Jacob już nie musiał dźwigać ciężaru.

- Co zrobiłaś? Co się stało? Czy miałaś coś wspólnego ze śmiercią Catanii i Kesslera? — zarzucił ją pytaniami Jacob.

Jack patrzył zdziwiony, spoglądając to na Jacoba, to na Sarę. Odpowiadała powoli, z trudem, ale konkretnie. Najbardziej zdziwiły Jacka ich spojrzenia, błysk porozumienia.

— Nie zrobiłam wiele. Zachowywałam się biernie. Przekazałam pewnej osobie jedną informację, a innej nie powiedziałam nic. Powinam prawdopodobnie pierwszej osobie nie mówić nic, a tej drugiej wszystko. Ale tego nie zrobiłam i jestem zadowolona. A odpowiedź na twoje ostatnie pytanie brzmi: nie wiem. Możliwe, że tak.

Jacob patrzył zirytowany, Jack ogłupiały. Jacob zaryzykował.

— Czy masz coś przeciwko opowiedzeniu nam tego jeszcze raz, ale tym razem bez zagadek?

W ciągu następnych dziesięciu minut wyjaśniła im wszystko. Obaj siedzieli w milczeniu przez parę minut przyswajając wiadomości.

— A ta Christine Villiers. Gdzie ona teraz jest? — zapytał Jacob.

— Przypuszczam, że się ukrywa. Więcej się ze mną nie kontaktowała. Jeśli przekazała moje informacje Fieriemu i z jego polecenia zabiła Kesslera, nie będzie się teraz kręcić po okolicy, prawda?

— A myślisz, że przekazała? Sara westchnęła ciężko.

— Boże, Jacob, nie wiem. Ale myślę, że to bardzo prawdopodobne.

— A co z tym Jamesem Bartropem. Sara zmarszczyła czoło.

— Zapytał mnie, czy „zawarłam układ z mafią”. Możesz w to uwierzyć?

— Cóż, przecież to zrobiłaś, prawda? Sara spiorunowała Jacoba spojrzeniem.

— Nie. Nie zrobiłam. Powiedziałam Christine Villiers o Catanii. I rzeczywiście miałam nadzieję, że użyje tych wiadomości, aby go skompromitować, może nawet zabić. Podejrzywałam, że Catania może być związany z mafią. To prawdopodobne założenie. A gdyby był, mafia nie pochwaliliby tego, że jest szantażowany przez ludzi z zewnątrz i samodzielnie składa zamówienia na zabicie kilku osób. Co by zrobili, gdyby się dowiedzieli, zależałoby od nich. A Christine Villiers? Skąd mam wiedzieć, czy ma jakieś kontakty z mafią? Jest płatnym zabójcą; mieszka we Włoszech. Znowu uczyniłam rozsądne przypuszczenia. Sumując razem

te wszystkie fakty, miało sens powiedzenie jej o tym, więc jej powiedziałam. I teraz Catania i Kessler nie żyją. Czy miała z tym coś wspólnego? Skąd mam wiedzieć? Ale oni nie żyją. Kilku mafijnych handlarzy narkotyków jest w więzieniu, a ich siatka przemytnicza została zniszczona. Dante i M osami nigdy nie wrócą, ale to jest najlepsze, co mogłam dla nich zrobić. Wymierzyć sprawiedliwość. Matthew Arnott i Carla Vitale są wciąż na wolności, ale oni byli tylko płótkami. Nie mają znaczenia. A jeśli chodzi o Barringtona i Jamesa Bartropa... tak, nienawidzę ich. Czuję do nich wstręt. Uważam, że są odpowiedzialni za śmierć Mosami i Dantego. Barrington może mniej; jest po prostu słaby. Ale Bartrop; on jest prawdziwym winowajcą. Zdaje się myśleć, że wszystko, co się zdarzyło, da się wybaczyć, że jest to smutne, i że nie docenił mnie — to jego jedyny błąd. Teraz straszy mnie, usiłuje szantażować.

— Sara spojrzała na zieleń ogrodu.

— Nigdy nie powiem mu o niczym.

— Ale on ci nie popuści, jeśli sądzi, że wiesz coś, o czym mu nie powiedziałaś — wtrącił Jacob.

Uśmiechnęła się.

— Tak, jestem pewna, że nie popuści. Ale kiedy przyjdzie następnym razem mnie wypytywać, już mnie tu nie będzie.

Obydwaj mężczyźni aż podskoczyli z przerażenia i zapytali jednym głosem.

— A gdzie będziesz? Sara uśmiechnęła się.

— Jadę do Katmandu, dołączyć do Eddiego i Alexa. Sprawdziłam ich plan podróży. Są teraz w Katmandu, kupują tam zapasy. To doskonały moment. Wysłałam do nich telegram, żeby wyszli po mnie na lotnisko. Już zarezerwowałam sobie bilet. Lecę dziś wieczorem, Królewskie Linie Lotnicze Nepalu, z lotniska Gatwick.

Jacob i Jack siedzieli w milczeniu, patrząc jeden na drugiego, potem na Sarę, potem gdzieś w dal, jak gdyby usiłując dojrzeć Katmandu. Jacob odezwał się pierwszy.

— Myślę, że to dobry pomysł. Chociaż będzie mi cię brakowało. Pojechałbym z tobą, ale jestem już trochę za stary — roześmiał się i spojrzał na Jacka. — No i stęskniłem się za Green. Nadszedł czas, abym się tam pokazał, wziął na ręce Rubina, zobaczył, co się dzieje w ogrodzie. Wszystkie kwiaty pewnie zwiędły. — Spojrzał smutno. Sara ścisnęła go za ramię.

— Wróć, Jacob. Pewnie nieprędko. Oprócz ciebie i Jacka nie mam teraz tu do kogo wrócić. A nie mogę powstrzymać się od myśli, że im dłużej mnie tu nie będzie, tym lepiej. — Uśmiechnęła się. — Następnym punktem wycieczki Eddiego i Alexa są piękne, dalekie strony: Butan, Ladakh. Niełatwe miejsca do zdobycia, ale również niełatwo tam kogoś odszukać. I piękne. Zawsze chciałam tam pojechać.

— Chyba najlepiej będzie, jeśli cię odwieziemy na lotnisko? — powiedział Jack.

— Och, zrobilibyście to? — spytała Sara. — Możliwe, że będziemy musieli jechać śmieszną trasą i zrobić sobie niewielką, zabawną przejażdżkę. Nie chciałabym alarmować Bartropa.

Jack powiedział z radością.

— Nie ma problemu. Nie robiłem tego od lat, ale podobnych rzeczy się nie zapomina.

Jacob spojrzał sceptycznie.

— Cóż, przekonamy się.

Wyruszyli późnym popołudniem. Jack nie stracił swego wycucia. Brał ostre objazdy przez pomocny Londyn, boczne ulice w drodze do Gatwick. Gdy Sara przybyła na lotnisko, była pewna, że nikt ich nie śledzi. Jeszcze raz uściskała obydwu mężczyzn, tym razem wszyscy troje płakali. W końcu uwolniła się z ich objęć, odeszła, odwróciła się już w budynku i pomachała im ostatni raz na do widzenia. Miała szczęście. Nikt ich nie śledził w drodze na lotnisko. Obserwatorzy próbowali, ale siedzieli teraz w samochodzie przed domem Jacoba na Golders Green i byli przekonani że Sara, Jacob i Jack są w środku.

Miała szczęście również dlatego, że Bartrop nie przypuszczał, że będzie chciała opuścić kraj znowu i to w taki sposób. Nikt jej nie wypatrywał w okienku biletowym ani przy kontroli paszportowej. Przeszła przez lotnisko nie zauważona. Godzinę później była na pokładzie samolotu, czując jak ciężar w końcu opada jej z ramion; samolot wznosił się do nieba. Siedziała sama, łzy ulgi spływały jej po policzkach. Za parę godzin będzie ze swoim bratem i chłopakiem, a wszystko inne stanie się wspomnieniem.

Piętnaście godzin później w Katmandu był poniedziałek rano. Samolot rozpoczął swój niebezpiecznie ostry manewr schodzenia na lotnisko. Sara obserwowała szczyty majaczące w oddali; olbrzymie, wspaniałe, niepodobne do niczego, co widziała przedtem. Po jakimś czasie ustąpiły one, zdawało się że niechętnie, równinom, jak gdyby straciły swoje terytorium w okrutnej bitwie. Piękno i siła tego krajobrazu przeraziły ją. Serce zaczęło bić szybciej w oczekiwaniu, jak gdyby w wyobraźni już chodziła po tych górach. Samolot dotknął asfaltu i zadrżał ostro, hamując na krótkim pasie startowym.

Sara odpięła pasy i wstała. Tak szybko chciała wyjść. Zbiegła po schodach do budynku terminalu. Jej serce tłukło się, gdy czekała w kolejkach: kontrola paszportowa, odbiór bagażu, odprawa celna. W końcu przez to przeszła. Ruszyła w tłum, jej oczy przedzierały się przez zbiorowisko ludzkie.

Stali trochę na uboczu, z dala od reszty. Alex i Eddie; wysocy, opaleni, uśmiechający się radośnie. Szczere twarze. Sara uśmiechnęła się do nich i pobiegła w ich kierunku, zostawiając wszystko inne za sobą.

## Epilog

Już panu powiedziałem. Nie wiem, gdzie ona jest i może mnie pan straszyć czym pan chce. Nie zależy mi. Martwiłbym się tylko tym, co zmartwiłoby Sarę, a teraz nie już jej nie może zmartwić. Wyjechała. Odmówiła mi powiedzenia dokąd, z tej właśnie przyczyny. Do niczego pan ze mną nie dojdzie. I proszę nie zapominać, że wiem wszystko o pańskich brudnych gierkach. Byłaby z tego cholernie dobra historia dla prasy...

Bartrop pochylił się na krzesło w jego kierunku.

— Musi pan jednak codziennie przejść przez ulicę.

Jacob pochylił się do przodu i roześmiał się Bartropowi w twarz.

— Mam siedemdziesiąt trzy lata. Czy pan myśli, że przestraszą mnie takie pogróżki?

— Wcześniej, czy później ona wróci albo sam ją znajdę.

— Niech pan na to nie liczy. Zostanie tam tak długo, jak będzie potrzebowała. Kiedy wróci, sprawa zostanie skończona i zamknięta. I nic pan na to nie poradzi. Wtedy może pana też już nie będzie. Niech pan o niej zapomni, parne Bartrop. Narobił pan wystarczająco dużo szkód. Dostał pan to, co chciał. Dzięki niej ma pan Fieriego. Teraz niech pan ją zostawi w spokoju.

A co się stanie, jeśli nie skorzystam z pańskiej uprzejmej rady. Jacob się roześmiał.

— Mam wystarczająco dużo materiałów, aby pana unieszkodliwić. To i tak wyjdzie na jaw. Nie sądzi pan chyba, że wszystko można zatuszować, szastając na prawo i lewo zakazami publikacji. Takie rzeczy przeciekają, ludzie mają dobry węch. Być może nigdy nie stanie się to tajemnicą poliszynela, ale zawsze ktoś to usłyszy. A człowiek taki jak pan ma dużo wrogów, w samym rządzie i poza nim. Nie zechce pan dawać im broni do ręki, prawda? — Jacob się uśmiechnął.

Bartrop uśmiechnął się również.

— Cóż, pożyjemy, zobaczymy. Jeśli wyjechała, niech będzie. Sprawy

się trochę pogmatwały. Może powinniśmy po prostu zostawić je swojemu biegowi.  
— Więc zostawi ją pan w spokoju? Bartrop wstał i kiwnął głową.  
— Zostawię ją w spokoju. — I dodał w myślach — na razie.